

Steel Danielle

Porwanie

Rozdział I

Charles Delauney, powłócząc lekko nogą, wchodził powoli po schodach Katedry św. Patryka. Za kołnierzem poczuł powiew lodowatego wiatru. Zostały dwa tygodnie do Świąt Bożego Narodzenia, a on zapomniał już, jak zimno było w Nowym Jorku w grudniu. Lata całe tu nie był... lata całe nie widział swego ojca.

Ojciec miał teraz osiemdziesiąt siedem lat, a matka zmarła przed laty, kiedy Charles miał trzynaście. Pamiętał tylko, że była bardzo piękną i bardzo łagodną kobietą. Jego ojciec leżał teraz zgrzybiały, chory i niedołężny. Adwokaci nalegali, żeby Charles przyjechał do domu przynajmniej na kilka miesięcy i spróbował uporządkować sprawy rodzinne. Nie miał rodzeństwa i wszystkie sprawy Delauneyów spoczywały na jego barkach: zarządzanie gruntami rozszanymi po całym kraju, ogromna posiadłość w pobliżu Newburgh, dom w Nowym Jorku, węgiel, ropa, stal i kilka wielkich nieruchomości w samym centrum Manhattanu. Do zdobycia majątku nie przyczynił się ani Charles, ani nawet jego ojciec, tylko jego dziadkowie. Charles nigdy się jednak tym nie interesował.

Twarz miał młodą, ale pokrytą zmarszczkami, zniszczoną bólem i walką. Spędził prawie dwa lata w Hiszpanii, walcząc za sprawę, którą głęboko się przejmował, choć nie była jego własną. To była jedna z niewielu rzeczy, o które naprawdę dbał... coś, do czego szczerze się zapalił. Prawie dwa lata temu, w lutym 1937 roku, przyłączył się do Brygady Lincoln, żeby walczyć z faszystami, i od tego czasu przebywał w Hiszpanii, biorąc udział w wojnie. W sierpniu został ranny podczas bitwy nad Ebro, niedaleko miasta Gandesa. Nie po raz pierwszy zresztą. Gdy miał piętnaście lat, w ostatnim roku pierwszej wojny światowej, uciekł z domu i wstąpił do wojska; został wtedy ranny w nogę w Saint-Mihiel. Jego ojciec wściekł się wówczas na niego.

Ale teraz nic nie mógł zrobić. Żył w całkowitej niewiedzy o świecie, o wojnie w Hiszpanii, nie rozpoznawał nawet Charlesa. Charles, patrząc na śpiącego w swoim ogromnym łóżku ojca, pomyślał, że może to i lepiej. Kłóciliby się tylko i walczyli ze sobą. Stary zniechęciłby syna za to, kim został, za jego przekonania polityczne i społeczne, za nienawiść do faszystów. Nigdy nie pochwalał tego, że Charles mieszkał za granicą. Starszy Delauney późno został ojcem i nie mógł pogodzić się z tym, że Charles chce żyć z dala od domu, w tym europejskim piekle.

Charles, w 1921 roku, jako osiemnastoletni chłopiec, ponownie pojechał do Europy. Mieszkał tam od siedemnastu lat, wykonując czasami dla przyjaciół jakieś drobne prace; w początkowym okresie sprzedawał swoje nowelki. Ostatnio jednak żył przede wszystkim ze swojego bardzo okazałego konta bankowego. Jego ogromne dochody zawsze go irytowały. „Żaden normalny człowiek nie potrzebuje tylu pieniędzy, żeby żyć” — zwierzył się kiedyś przyjacielowi. Przez całe lata większość tych pieniędzy oddawał na cele charytatywne, a największą przyjemność czerpał z nędznych groszy, które otrzymywał za swoje opowiadania. Studiował w Oxfordzie, potem na Sorbonie w Paryżu i w końcu pojechał do Florencji. W tamtych czasach nie grzeszył rozsądkiem. Pił tyle dobrego bordeaux ile mógł, czasami absynt, i wesoło bawił się w towarzystwie fascynujących kobiet. Po trzech szalonych latach w Europie, mając dwadzieścia jeden lat uważał się za człowieka światowego. Spotykał ludzi, o

których inni tylko czytali, robił rzeczy, o których niewielu mogło marzyć, poznał kobiety, do których inni tylko wdychali. A potem... potem pojawiła się Marielle... ale to była już inna historia. Usiłował o tym zapomnieć, wspomnienie Marielle było jednak wciąż żywe i zbyt bolesne.

Czasami nocą błąkała się w jego snach, zwłaszcza gdy był w niebezpieczeństwie, albo gdy przestraszył się spał gdzieś w okopach, a kule świstały nad jego głową... i wtedy myśl o niej pojawiała się... obraz jej twarzy... niezapomnianych oczu... i niezgłębionego smutku, który ją przepełniał, kiedy widzieli się ostatni raz. Nie spotkał jej od tego czasu, a było to prawie siedem lat temu. Przez siedem lat nie widział jej, nie dotykał... nie trzymał w ramionach... nie wiedział nawet, gdzie jest. Powtarzał sobie, że to już nie ma znaczenia. Kiedyś, gdy był ranny i przekonany, że umrze, pozwolił sobie na wspomnienia. Lekarze znaleźli go nieprzytomnego w kałuży krwi; po obudzeniu mógłby przysiąc, że widział ją, jak stała tuż za nimi.

Kiedy spotkali się w Paryżu, miała zaledwie osiemnaście lat. Była tak świeża i urocza jakby dopiero co zesza z obrazu doskonałego mistrza. Charles miał wtedy dwadzieścia trzy lata.

Ujrzał ją pewnego dnia, siedząc w kawiarni z przyjacielem, i od razu uległ jej urokowi.

Natychmiast go oczarowała. Spojrzała na niego z figlarnym wyrazem twarzy, a potem uciekła do swojego hotelu, zobaczył ją jednak znowu na obiedzie u ambasadora. Zostali sobie formalnie przedstawieni, co odbyło się w atmosferze nieco sztywnej, którą mąciły jedynie ciągle roześmiane oczy Mañelle, przeszywające Charlesa na wylot.

Jej rodzice nie byli, niestety, nim oczarowani. Ojciec, poważny człowiek, dużo starszy od swojej żony, ział reputację Charlesa. Był rówieśnikiem jego własnego ojca i Charles przypuszczał, że mogli się znać. Jej matka, półfrancuzka, przesadnie przestrzegła form towarzyskich i wydawała się Charlesowi wyjątkowo ponura. Trzymali Marielle pod niezwykle ostrą kuratelą, żądając, by w każdej chwili była do ich dyspozycji. Nie mieli pojęcia, jaka to z niej flirtiera ani też, jak potrafiła się wygłupiać. Ale istniało również jej poważne oblicze. Charles stwierdził, że mógł rozmawiać z nią godzinami.

Rozbawiło ją, gdy zauważyła go w ambasadzie. Pamiętała go z kawiarni, chociaż przyznała mu się do tego dopiero dużo później, kiedy dopytywał się o to. Byli sobą nawzajem zafascynowani. Charles wydawał się Marielle niezwykle intrygującym młodym mężczyzną, niepodobnym do tych, których znała. Chciała wiedzieć o nim wszystko: skąd pochodzi, dlaczego jest tutaj, jak to się stało, że mówi tak dobrze po francusku. Jego ambicja i możliwości jako

pisarza zrobiły na niej ogromne wrażenie. Nieśmiało wyznała mu, że trochę maluje. Później, kiedy już się lepiej poznali, pokazała mu kilka zdumiewająco dobrych rysunków. Ale tej pierwszej nocy to nic literatura ani sztuka przyciągnęła ich do siebie. To było coś w ich wnętrzu, co nieodwołalnie zbliżyło ich do siebie. Jej rodzice również to zauważyli. Matka widząc ich rozmawiających razem przez moment, próbowała odciągnąć Marielle i przedstawić ją kilku innym młodym ludziom, którzy zostali zaproszeni na przyjęcie. Ale Charles chodził wszędzie za dziewczyną, jak duch, który nie może znieść z nią rozłąki. Następnego popołudnia spotkali się w Deux Magots, a potem, jak dwoje rozbawionych dzieciaków, poszli na długi spacer wzdłuż Sekwany.

Marielle powiedziała mu wszystko o sobie, o swoim życiu, marzeniach, o tym, że chciałaby zostać kiedyś artystką i poślubić kogoś, kogo pokocha, i mieć z nim dziewięć lub dziesięć dzieci. Wizja ta nie wydawała się Charlesowi zabawna, ale był tak nią zafascynowany, że specjalnie się nie przejął. Coś ulotnego, delikatnego i cudownego było w tej dziewczynie, a jednocześnie cechowała ją jakaś siła, sprężystość i żywotność. Wydawało mu się, że to koronka, którą ktoś delikatnie położył na znakomicie wyrzeźbionym białym marmurze. Nawet jej skóra była przeświecająca jak alabastrowe posągi, które widział we Florencji, kiedy po raz pierwszy przyjechał ze Stanów. Gdy słuchała jego marzeń o pisaniu,

jej oczy lśniły jak ciemnoniebieskie szafry. Charles miał nadzieję, że pewnego dnia opublikuje zbiór swoich nowel. Był przekonany, że Marielle rozumie wszystko i przejmując się bardzo sprawami, które miały tak ogromne dla niego znaczenie.

Rodzice zabrali ją do Deauville. Charles pojechał tam za nią, a potem do Rzymu... Pompei... na Capri... do Londynu i w końcu z powrotem do Paryża. Dokądkolwiek jechała, on mając tam przyjaciół i wsparcie, bez kłopotu się zjawiał. I tak często, jak to było możliwe, spacerował z nią albo towarzyszył jej na balach i spędzał wyjątkowo nudne wieczory z jej rodzicami. Ale Marielle była dla niego jak narkotyk; wiedział, że gdziekolwiek się znajdzie, dokądkolwiek pojedzie, zawsze będzie jej pragnął. Nawet absynt nigdy nie był tak fascynujący jak ta dziewczyna. A kiedy ona

spoglądała na niego, jej oczy wyrażały tę samą nieokiełznaną namiętność co jego własne. Rodzice Marielle mieli wprawdzie pewne obawy co do Charlesa, ale w końcu przecież znali jego rodzinę. Poza tym był dobrze wychowany, inteligentny, a trudno było pominąć fakt, że kiedyś miał odziedziczyć ogromną fortunę. Jej rodzice wiedzieli dobrze, że pieniądze nic nie znaczą dla Marielle i że nigdy się nad nimi nie zastanawiała.

Myślała tylko o Charlesie, zachwycając się jego siłą, namiętnością, jaką płonął po każdym ich pocałunku, o wyrzeźbionych, jak antyczna grecka moneta, pięknych rysach jego twarzy, o delikatności jego rąk, kiedy dotykał jej ciała.

Charles na samym początku ich znajomości wyjaśnił, że nie ma zamiaru wracać kiedykolwiek do Stanów, bo on i jego ojciec nie żyli w zgodzie od czasu, kiedy wyruszył na wojnę mając piętnaście lat. Powrót po wojnie do Nowego Jorku był dla niego koszmarem — miał wrażenie, że to miasto jest dla niego za małe, za nudne, za bardzo go przytłacza. Zbyt wiele oczekiwano od niego; były tam sprawy, którymi nie miał zamiaru się zajmować: zobowiązania towarzyskie, rodzinne obowiązki, nauka o inwestycjach, dzierżawach i kredytach, posiadłości, które kupował i sprzedawał jego ojciec, a które pewnego dnia Charles miał odziedziczyć. życie to coś więcej, tłumaczył Marielle, gładząc delikatnymi palcami jej długie, opadające na ramiona, jedwabiste włosy w kolorze cynamonu. Była wysoką dziewczyną, ale w porównaniu z Charlesem wydawała się mała. Przy nim czuła się delikatna, krucha i cudownie bezpieczna.

Kiedy się poznali, Charles mieszkał w Paryżu od pięciu lat. Uwielbiał to miasto. Tutaj było jego życie, przyjaciele, praca, dusza, inspiracja.

Ale we wrześniu Marielle miała popłynąć statkiem „Paryż” do domu, wrócić do spokojnego życia, jakie czekało na nią w Stanach Zjednoczonych, do mężczyzn, których mogła tam poznać, do dziewcząt, które były jej przyjaciółkami, i małego, ale eleganckiego domu zbudowanego z piaskowca na East 62, który w żaden sposób nie mógł równać się z domem Delauneyów. Był jednak całkiem duży... całkiem duży... i bardzo nudny, dlatego też nie dorównywał nawet mieszkaniu Charlesa na rue du Bac, na poddaszu, które wynajmował od zubożałej damy, właścicielki całego „hôtel particulier” znajdującego się poniżej.

Charles zabrał kiedyś Marielle do swojego mieszkania” Nie doszło jednak do niczego między nimi, bo w ostatnim momencie Charles oprzytomniał i opuścił pośpiesznie pokój na chwilę, żeby się uspokoić.

Wrócił z poważną miną i kiedy Marielle poprawiała sukienkę i starała się opanować, usiadł obok niej na łóżku.

— Przepraszam...

Jego ciemne włosy i gorejące zielone oczy sprawiały, że wyglądał trochę demonicznie, a na jego twarzy malowała się udręka. Marielle nie знаła nikogo tak niezwykłego jak Charles ani nie robiła rzeczy, które nagle chciałyby z nim robić. Wiedziała, że traci dla niego głowę, ale nie mogła na to nic poradzić.

— Marielle... — powiedział bardzo cicho.

Miękkie, rudobrązowe włosy zasłoniły pół twarzy dziewczyny.

— Nie mogę tego zrobić... przyprawiasz mnie o szaleństwo — wyszeptał.

Ale kochał się z nią i Marielle była, zachwycona. Żadne z nich nigdy nie czuło czegoś podobnego.

Kiedy potem nachylił się nad nią i pocałował, uśmiechnęła się. Robiła wrażenie osoby bardzo doświadczonej i mądrej.

Gdy Charles był blisko niej, czuł się jak pijany. Jediną rzeczą, jakiej był pewien, to to, że nie chciał jej stracić. Ani teraz, ani nigdy. Nie chciał wracać dla Marielle do Nowego Jorku, błagać o jej rękę, pertraktować z jej ojcem. Nie chciał czekać. Pragnął jej teraz. W tym pokoju, w tym domu. W Paryżu. Chciał, żeby zawsze z nim była.

— Marielle?

Charles popatrzył na nią bardzo spokojnie i oczy dziewczyny pociemniały.

— Tak? — powiedziała cicho.

Była taka młoda i tak bardzo w nim zakochana. Znał ją wystarczająco dobrze, żeby wyczuć, jak silny miała charakter.

— Wyjdiesz za mnie za mąż?

Słyszał, jak głośno oddycha. Po chwili zaśmiała się.

— Mówisz poważnie?

— Tak... o Boże... wyjdiesz?

Ogarnął go lęk. Co będzie, jeśli powie „nie”? Wydawało się, że całe jego życie zależy od decyzji Marielle. Co będzie, jeśli nie poślubi go, jeśli mimo wszystko będzie chciała wrócić z rodzicami do domu, jeśli była to dla niej tylko gra? Ale, spojrzawszy w jej oczy, wiedział, że obawy były niemądre.

— Kiedy? — zachichotała ze zdenerwowania.

— Teraz.

Nie żartował.

— Nie mówisz poważnie.

— Jak najbardziej.

Wstał i zaczął przemierzać pokój jak piękny, młody lew, przesuwając ręką po włosach, planując coś sobie i obserwując Marielle.

— Mówię bardzo poważnie, Marielle.

Stanął w miejscu i spojrzał na nią, spięty i podekscytowany.

— Wciąż nie odpowiedziałaś na moje pytanie.

Zbliżył się szybko do niej i chwycił mocno w ramiona. Marielle roześmiała się, mówiąc, że gada głupstwa.

— Jesteś szalony.

— Tak, jestem. I ty także. Wyjdiesz za mnie?

Chwycił ją mocniej, a ona udała, że krzyczy. Mimo to nie zwolnił uścisku. Marielle śmiała się, nie mogąc się opanować i wtedy Charles pocałował ją. Całował ją, dopóki nie wymusił na niej odpowiedzi między jednym pocałunkiem a drugim.

— Tak... tak... tak... wyjdę — wyszeptała, nie mogąc złapać tchu. — Kiedy poprosisz mojego ojca?

Odchyliła się z błogim wyrazem twarzy. Twarz Charlesa zachłnurzyła się.

— On się nigdy nie zgodzi. A jeśli nawet, to będzie nalegał, żebyśmy wrócili do Stanów i rozpoczęli życie na serio, tani, gdzie mógłby mieć na nas oko. — Mówiąc to znowu wyglądał jak lew w klatce i raz jeszcze zaczął przemierzać pokój. — Powiem ci to od razu: nie zrobię tego.

— Nie zapytasz mojego ojca czy nie wrócisz do Nowego Jorku?

Wyciągnęła przed siebie swoje długie, pełne wdzięku nogi. Wyglądała na zmartwioną.

Charles usiłował nie zwracać na to uwagi.

— Do Nowego Jorku na pewno nie... i... — przerwał.

Stanął i znowu na nią popatrzył. Jego czarne włosy były rozwichrzone, a oczy przeszywały ją na wylot.

— Co ty na to, żebyśmy uciekli?

— Teraz?

Marielle była oszołomiona, gdy Charles skinął głową. Znała go wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, że mówił poważnie.

— Boże, oni mnie zabiją.

— Nie pozwolę im na to — powiedział i usiadł obok niej. — Wyżywasz za dwa tygodnie, więc jeśli mamy to zrobić, zróbmy to szybko.

Marielle skinęła spokojnie głową, zastanawiając się i rozważając to w myślach, ale już wiedziała, że nie było żadnego wyboru, żadnej wątpliwości. Poszłaby za nim na koniec świata. A kiedy znowu ją pocałował, była tego pewna.

— Myślisz, że w końcu nam przebaczą?

Niepokoiliła się o rodziców. Podobnie jak Charles nie miała rodzeństwa; jej ojciec nie był już młody. Oboje z matką mieli tak ambitne plany związane z jej przyszłością. Poprzedniej zimy Marielle została przedstawiona wytwornym kręgom towarzyskim w Nowym Jorku. I teraz, kiedy odbyli podróż po Europie, jak tylko ich córka ukończyła szkołę średnią, rodzice spodziewali się, że w niedługim czasie Marielle znajdzie odpowiedniego męża. W pewnym sensie Charles na pewno był odpowiednim kandydatem, przynajmniej według jego rodziny, ale nie można było zaprzeczyć, że obecnie jego styl życia był trochę ekscentryczny i pozostawiał wiele do życzenia.

Ale za jakiś czas, jakby powiedział jej ojciec, Charles ustatkowałby się. Kiedy jednak w nocy Marielle próbowała poruszyć ten temat z ojcem, zasugerował jej, żeby poczekała, aż zachowanie Charlesa rzeczywiście się zmieni.

— Poczekaj i przekonaj się, czy naprawdę go lubisz, gdy wróci do Nowego Jorku, kochanie. A tymczasem przyjrzyj się wielu przystojnym, młodym mężczyznom, którzy na ciebie czekają. Nie ma potrzeby natychmiast zakochiwać się w nim.

Młody Vanderbilt towarzyszył jej przez jakiś czas tej wiosny. Był też przystojny młody Astor, którego jej matka nie spuszczała z oka. Ale oni nie interesowali Marielle; ani teraz, ani nigdy przedtem. I nie miała zamiaru czekać, aż Charles powróci do Nowego Jorku. Była całkiem pewna, że nigdy tego nie zrobi,

ponieważ wiedziała, jakie żywił uczucia do Nowego Jorku, do Stanów Zjednoczonych, a szczególnie do swojego ojca. Był szczęśliwy tam, gdzie był teraz. Rozkwitł przez ostatnie pięć lat. Paryż odpowiadał mu w pełni.

Uciekli trzy dni przed tym, jak jej rodzice mieli wyruszyć w drogę. Młodzi zostawili dla nich wiadomość w hotelu Crillon. Marielle czuła się winna, że swoją ucieczką tak zasmuca rodziców, ale znała ich wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że jednak się ucieszą, że wychodzi za mąż za Delauneya. Nie była pod tym względem zupełnie w porządku, zważywszy na niezbyt dobrą reputację Charlesa, ale była pewna, że małżeństwo z nim będzie im trochę pochlebiało. Wiadomość, jaką zostawiła, powinna ich zachęcić do szybkiego wyjazdu; Marielle i Charles mieli przecież przed Bożym Narodzeniem przyjechać do nich z wizytą do Nowego Jorku.

Rodzice jednak nie byli na tyle niefrasobliwi, żeby wyjechać. Czekali cierpliwie, choć ze złością, na powrót młodych kochanków, mając nadzieję na unieważnienie małżeństwa i wyciszenie całej sprawy, zanim stałaby się prawdziwym skandalem. Tylko ambasador wiedział, co zrobili Marielle i Charles, bo szukali u niego pomocy. Przeprowadził dyskretny wywiad, ale jedyne, czego się dowiedział, to to, że pobrali się w Nicei i, jak przypuszczał, wkrótce potem pojechali do Włoch.

Marielle i Charles spędzili cudowny miesiąc miodowy w Umbrii, Toskanii, Rzymie, Wenecji, Florencji i nad jeziorem Como. Zapędzili się do Szwajcarii i dwa miesiące później, gdy kończył się październik, wrócili bez pośpiechu do Paryża. Rodzice Marielle wciąż jeszcze byli w hotelu Crillon i kiedy młodzi małżonkowie powrócili, w mieszkaniu Charlesa czekała na nich wiadomość.

Marielle nie mogła uwierzyć, że rodzice nie wyjechali z Paryża i, ku jej zdumieniu, ciągle na nią czekali. Dwa miesiące oczekiwania nie zmiękczyły ich serc.

Kiedy Marielle i Charles pojawili się w hotelu ręką w rękę, szczęśliwi i spokojni, rodzice zażądali, by Charles niezwłocznie wyszedł, dodając, że unieważnienie małżeństwa załatwią rano, w czasie podróży.

— Nie robiłabym tego, gdybym była na waszym miejscu — spokojnie powiedziała Marielle. Stanowcze stanowisko Marielle spowodowało, że Charles uśmiechnął się. Jak na nieśmiałą, cichą dziewczynę potrafiła zajmować wyjątkowo zdecydowaną postawę. Charles był zadowolony, że stało się to tym razem. Zadowolony, a w chwilę później — zaskoczony.

— Nie mów mi, co mam robić! — krzyknął na nią ojciec.

Zaraz potem matka wygłosiła tyradę, jak niewdzięczna jest Marielle, jak niebezpieczne będzie jej życie z Charlesem; że chcieli tylko jej szczęścia i teraz wszystko jest zrujnowane.

Zawodziła jak grecki chór, a Marielle stała w środku burzy, obserwując ich spokojnie.

Osiemnastolatka stała się nagle kobietą, którą Charles miał zamiar czcić przez całe życie.

— Nie można unieważnić ślubu, tato — znowu spokojnie powiedziała Marielle. — Jestem w ciąży.

Tym razem Charles osłupiał, a potem nagle rozbawiło go oświadczenie żony. Z pewnością nie była to prawda, ale za to doskonały sposób na zmuszenie rodziców do porzucenia pomysłu o unieważnieniu małżeństwa.

Gdy tylko Marielle to powiedziała, rozpętało się piekło: jej matka płakała jeszcze głośniejszym głosem, ojciec usiadł i z trudem oddychał, mówiąc, że ma bóle w klatce piersiowej. Matka oznajmiła Marielle, że go zabija.

Kiedy dobra żona wyprowadziła starszuka z pokoju, Charles zaproponował, żeby wrócili na rue du Bac i później przedyskutowali sprawę z jego teściami.

Wyszli z hotelu na rozgrzane powietrze. Charles, niezmiernie rozbawiony, przycisnął Marielle do siebie i pocałował.

— To było genialne. Powinienem być sam o tym pomyśleć.

— To nie było genialne — wyjaśniła rozradowana Marielle. — To jest prawda.

Była bardzo z siebie zadowolona. Mała dziewczynka, którą tak niedawno była, miała zostać matką. Charles był oszołomiony.

— Mówisz poważnie?

Skinęła głową i popatrzyła na niego.

— Kiedy to się stało?

Był bardziej zdumiony niż zmartwiony.

— Nie jestem pewna... Rzym?... może Wenecja... Nie byłam całkowicie pewna aż do zeszłego tygodnia.

— No, no, ty przebiegła kobietko... — zamruczał, ale gdy trzymał ją blisko siebie, wyglądał na zadowolonego. — A kiedy przyjdzie na świat spadkobierca Delauneyów?

— Myślę, że w czerwcu. Coś koło tego.

Charles nigdy nie myślał zbyt wiele o ojcostwie. Ta perspektywa powinna go była przerazić, zważywszy na życie pełne swobody, jakie prowadził, ale teraz był szczerze wzruszony.

Przywołał taksówkę i pojechali do domu na me du Bac, całując się na tylnym siedzeniu jak dwoje dzieci, a nie jak przyszli rodzice.

Jej rodzice byli zagniewani także i następnego dnia, ale po dwóch tygodniach kłótni w końcu ustąpili. Matka zabrała Marielle do amerykańskiego lekarza na Champs Elysées, który

potwierdził, że dziewczyna spodziewa się dziecka. Unieważnienie małżeństwa nie wchodziło więc w rachubę. Poza tym ich córka była z pewnością szczęśliwa. I czy podobało im się to, czy nie, wiedzieli, że muszą się pogodzić z obecnością Charlesa Delauneya. Zanim ostatecznie wyjechali, Charles obiecał im, że znajdzie lepsze mieszkanie, służącą, niańkę do dziecka i kupi samochód. Ojciec Marielle wymusił też na nim przyrzeczenie, że stanie się „porządnym człowiekiem”. Ale bez względu na to, czy był porządny, czy nie, oczywisty był fakt, że tych dwoje było szalenie szczęśliwych.

Wkrótce potem rodzice Mariefle odpłynęli statkiem „Francja” do Stanów. Po całym tym podnieceniu, bałaganie, napięciu i wyczerpaniu związanym z przebywaniem z nimi, Marielle i Charles uzgodnili, że nie pojedą do Nowego Jorku na Boże Narodzenie, a może nawet nigdy tego nie zrobią. Byli szczęśliwi na swoim poddaszu na Lewym Brzegu, prowadząc wspólne życie, otoczeni przyjaciółmi Charlesa. Nigdy nie pisało mu się lepiej niż wtedy. W Paryżu, w 1926 roku, przez jedną krótką słoneczną chwilę życie dało im pełnię szczęścia.

Charles otworzył ogromnie ciężkie drzwi katedry. Zimno czuł nawet w kościach, a noga rwała go bardziej niż zwykle. Zima była równie ostra jak w Europie. Tak długo nie był w Nowym Jorku; od tak dawna nie był w kościele.

Wszedł do środka i spojrzał w górę na ogromne sklepienie katedry.

Właściwie żałował, że tu przyjechał. Przygnębiający był widok ojca, chorego i nieświadomego swego otoczenia i wszystkich wokół niego. Przez chwilę wydawało się, że poznał Charlesa, ale moment ten minął i ojciec osunął się ciężko na poduszki, zamykając wyblakłe oczy. Charles zawsze, kiedy patrzył na niego, czuł się samotny. Tak jakby starszy Delauncy już odszedł. Równie dobrze mógł już umrzeć. Charlesowi nie pozostał teraz nikt. Wszyscy odeszli..., nawet przyjaciele, z którymi razem walczył w Hiszpanii. Było ich zbyt wielu, żeby móc się za nich modlić.

Obserwował księdza w Czarnej sutannie, idącego między rzędami. Charles podszedł wolno do małego ołtarza w bocznej części kościoła. Modliły się tani dwie zakonnice; młodsza z nich uśmiechnęła się do niego, gdy klękał sztywno obok nich. Jego włosy przyprószyła siwizna, ale oczy pozostały wciąż tak pełne życia jak wtedy, gdy miał piętnaście lat. Ciągle emanowała z niego energia, moc i siła. Nawet młoda zakonnica mogła to wyczuć. Gdy jednak pochylił głowę, w jego oczach pojawił się smutek. Pomyślało nich wszystkich: o ludziach, którzy tyle dla niego znaczyli, o tych, których kiedyś kochał, i o tych, u których boku walczył. Ale nie przyszedł tutaj, by modlić się za nich. Wstąpił do kościoła, bo dziś była rocznica najgorszego dnia w jego życiu.

Dziewięć lat temu... dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem. Dzień, którego nigdy nie zapomni..., ten dzień, kiedy prawie ją zabił. Był obłąkany, nieprzytomny z gniewu i bólu... bólu tak strasznego, że naprawdę nie mógł go znieść. Chciał wtedy rozerwać jej ciało na strzępy, zatrzymać czas, cofnąć wskazówki zegara, sprawić, żeby to, co się stało, nigdy się nie wydarzyło... a przecież wtedy tak bardzo ją kochał... kochał ich oboje... nie mógł znieść teraz myśli o tym.

Pochylił bardziej głowę. Nie był w stanie modlić się za niego, ani za nią, ani za siebie samego, ani za kogokolwiek innego. Trudno mu było o tym myśleć... ból był wciąż tak wielki, ledwo tylko przytłumiony; teraz rzadko pozwalał sobie na przypominanie sobie o tym, co się stało. Ciągle byli obecni w jego sercu. Ale kiedy wspomnienia o nich napływały falą, ból stawał się tak wielki, że odbierał mu oddech.

Charles popatrzył prosto przed siebie nieobecny wzrokiem i łza spłynęła mu wolno po policzku. Młoda zakonnica spojrzała na niego. Klęczał w ten sposób przez długi czas, nic nie widząc, myśląc o nich i o tym, co zdarzyło się w jego życiu w tym mieście, o którym chciał zapomnieć. Ale dzisiaj postanowił

przyjść tutaj do katedry, żeby poczuć się trochę bliżej nich. Najgorsze było to, że data ta wypadła dokładnie przed Bożym Narodzeniem.

W Hiszpanii znalazłby sobie gdzieś kościół, małą kapliczkę, chałupę i myślałby o tych samych sprawach i czułby ten sam yozdzierający ból, ale w prostocie tamtejszego życia znalazłby jakąś pociechę. Tutaj czuł się obco, otaczali go nieznajomi ludzie w przestronnej katedrze i zimne, szare kamienne ściany, podobne do ścian rezydencji, w której mieszkał teraz ze swoim umierającym ojcem. Podnosząc się powoli, nabrał pewności, że nie zostanie długo w Stanach. Chciał wkrótce wrócić do Hiszpanii. Był tam potrzebny. W Nowym Jorku, oprócz prawników i bankierów, nikt go nie potrzebował a i jemu wszystko było obojętne. A teraz nawet bardziej niż przed laty. Nigdy nie stał się „porządny człowiekiem”, o czym marzył jego teść. Na wspomnienie o swoich teściach uśmiechnął się smutno. Obydwoje już nie żyli. Tak jak wszyscy. W wieku trzydziestu pięciu lat Charles DelaurieY czuł się tak, jakby to było jego dziesiąte życie.

Stał przez długi czas, patrząc na posąg Madonny z dzieciątkiem... przypominali mu ich... potem odwrócił się powoli. Czuł się gorzej niż przed przyjściem tutaj. Chciał znowu być blisko Andr, czuć go blisko siebie, słodkie ciepło jego ciała, miękkość jego policzków, małą rączkę, która zawsze trzymała jego rękę tak mocno.

Oślepiiony był łzami, gdy szedł powoli w kierunku głównych drzwi katedry. Noga bolała go jeszcze bardziej, a wiatr świstał w kościele.

Nagle wydarzyło się coś, z czym się nie zetknął od długiego czasu. Ale dawniej często się zdarzało. Czasami nawet na polu bitwy wyobrażał sobie, że ją widzi.

Zobaczył ją teraz daleko, otuloną futrem. Przeszła obok niego jak duch, nikogo nie zauważając. Charles stał przez chwilę, obserwując ją. Kiedy tak patrzył, ożyły wspomnienia. Wtedy zdał sobie sprawę, że to nie był duch, ale kobieta, która wyglądała dokładnie tak jak Marielle.

Była wysoka, szczupła, poważna i bardzo piękna. Miała na sobie ciemną czarną sukienkę i płaszcz z soboli, tak długi, że niemal zamiatała nim posadzkę; futrzany kołnierz miękko okalał jej policzki. Rondo kapelusza przesłaniało jej twarz, tak że była mało widoczna. Mimo to Charles wyczuł instynktownie, że to ona. Poznał sposób, w jaki się poruszała, w jaki patrzyła, w jaki zdjęła spokojnie czarną rękawiczkę i padła na kolana przed małym ołtarzem. Była tak samo pełna wdzięku jak zawsze, wysoka i wiotka, z tym, że teraz wydawała się o wiele szczuplejsza. Zakryła twarz rękoma i przez dłuższy czas wyglądało na to, że się modli. On wiedział, dlaczego. Oboje przyszli tutaj z tego samego powodu. Gdy tak jej się przyglądał, zdał sobie sprawę, że to była Marielle.

Wydawało się, że upłynęła wieczność, zanim odwróciła się i popatrzyła na Charlesa, ale gdy to zrobiła, było jasne, że go me widzi. Zapaliła cztery świece i wsunęła trochę pieniędzy do skrzynki na datki. Potem stanęła i ponownie spojrzała na ołtarz, a na jej policzkach pojawiły się łzy. Pochyliwszy głowę, wtuliła się w futro. Zaczęła iść wolno między ławkami, jak gdyby bolało ją całe ciało, a z mm i jej dusza. Charles, gdy przechodziła obok niego, wyciągnął rękę i zatrzymał ją. Wyglądała na zaskoczoną i spojrzała na niego ze zdziwieniem, jak gdyby została przebudzona z głębokiego snu. Aie kiedy spojrzała w jego oczy, na moment przestała oddychać i utkwiała w nim wzrok. Podniosła rękę do ust, a jej oczy napęłniły się łzami.

— O mój Boże...

To było niemożliwe. A jednak to była prawda. Nie widziała go od prawie siedmiu lat. Trudno było w to uwierzyć.

Bez najmniejszego szmeru Charles dotknął jej ręki. Kiedy to zrobił, Marielle nie zastanawiając się przytuliła się do niego, bez namysłu, bez słowa, a on otoczył ją ramionami. Wydawało się słuszne, że obydwójce przyszli tutaj, że powinni być dzisiaj razem i że przyłgnęli do siebie jak dwoje tonących ludzi.

Minęło sporo czasu, zanim odsunęła się i popatrzyła na niego. Postarzał się, zniszczony wojną, wydawał się zmęczony. Miał małe blizny, na twarzy, jedną większą, której nie mogła zobaczyć, na ramieniu, oczywiście chorą nogę i siwe pasemka we włosach. Ale jednak, gdy tak na niego patrzyła, czuła się, jak gdyby miała osiemnaście lat i jej serce biło tak jak wtedy, kiedy była w Paryżu.

Marielle już dawno zdała sobie sprawę, że istnieje w niej jakaś część, która nigdy nie uwolni się od Charlesa Delauneya. Wiedziała o tym od długiego czasu i nauczyła się z tym żyć. To było coś, co musiała zaakceptować. Tak samo jak ból, jak to, że Charles czasami powłóczył nogą albo że drażniło go, gdy było zimno lub wilgotno. To był ból taki sam jak inne, które nauczyła się znosić.

— Nie wiem, co powiedzieć — uśmiechnęła się smutno do niego, wycierając łzy. — Po tak długim czasie „jak się czujesz”? wydaje się takie głupie.

To była prawda, ale co jeszcze zostało do powiedzenia? Słyszała o nim od czasu do czasu, ale nie było to nic konkretnego w ciągu tylu lat. Od niedawna wiedziała, że jego ojciec jest chory. Jej rodzice zmarli, oboje w odstępie kilku miesięcy, zanim wróciła do domu z Europy.

— Wyglądasz niewiarygodnie pięknie.

Przynajmniej mógł na nią popatrzeć. Mając trzydzieści lat wyglądała jeszcze piękniej niż wtedy, gdy miała osiemnaście, kiedy się pobierali, a jednak jej oczy wciąż były tak samo smutne. To go właśnie bolało.

— Dobrze się czujesz? — zapytał.

Chciał przez to powiedzieć tysiące rzeczy i Manelle, tak jak dawniej, zrozumiała go. W końcu byli kiedyś jak jeden taniec, jedna piosenka, jeden ruch. Charles zaczynał o czymś myśleć, a ona kończyła tę myśl bez słowa. Po prostu znali się nawzajem tak dobrze, jak gdyby byli identycznymi połówkami jednej osoby. Ale teraz już nie byli dwiema połówkami... a może jednak tak?

Charles zatanawiał się na tym, gdy patrzył na nią. Była kosztownie ubrana, płaszcz z soboli był fantastyczny. Kapelusz, który zaprojektowała dla niej Lily Dache, Marielle nosiła w efektywny sposób. Z pewnością robiła teraz wrażenie bardziej doświadczonej i dojrzalszej niż wtedy, gdy była młodą dziewczyną. Uśmiechnął się do siebie. Gdyby ją taką poznał, kto wie, czyby się w niej zakochał. Ale dziś znowu wdarła się do jego serca, jak przed laty.

Dlaczego była tak cholernie uparta ostatnim razem, kiedy ją widział?

— Wyglądasz tak poważnie, Marielle.

Jego oczy zdawały się ją przeszywać, i domagać się odpowiedzi
ila tysiące pytań.

Próbowała się uśmiechnąć i odwróciła głowę, zanim znowu na niego spojrzała.

— To trudny dzień... dla każdego z nas...

Gdyby było inaczej, nie byłoby ich tutaj. Wciąż wydawało jej się niezwykle, że stali tu razem, po tylu latach, w Katedrze św. Patryka.

— Przyjechałeś do domu na dobre? — zapytała z ciekawością.

Wydawał się wyższy i silniejszy niż dawniej, bardziej masywny. I trudno było w to uwierzyć, ale robił wrażenie człowieka jeszcze bardziej odważnego niż dawniej.

Charles potrząsnął przecząco głową. Chciał usiąść z nią w ławce kościelnej i móc rozmawiać przez cały dzień.

Nie sądzę, żebym mógł to znieść. Jestem tu od trzech tygodni i już mam ochotę wrócić do Hiszpanii.

— Do Hiszpanii? — uniosła brwi.

Jego życie wydawało się tak nierozzerwalnie związane z Paryżem i ich wspomnieniami z tego miasta, że trudno było go sobie teraz wyobrazić gdziekolwiek indziej.

— Tam jest wojna. Byłem tam przez dwa lata. Marielle skinęła głową. To było zrozumiałe.

— Zastanawiałam się kiedyś, czy wciąż walczysz. — To był przecież jego żywioł, pomyślała.

— Miałam przeczucie, że tam pojedziesz.

Miała wtedy rację, a Charlesa nic nie mogło powstrzymać przed podjęciem takiej decyzji. Nie miał nic do stracenia. Nic do zyskania. Nic nie zatrzymywało go w domu.

— A ty? — uważnie spojrzał na Marielle.

Było niezwykle, że rozmawiali w takim miejscu, a jednak chcieli dowiedzieć się o sobie wszystkiego.

Przez długą chwilę nic nie mówiła, a potem odpowiedziała mu bardzo cicho:

— Wysłałam za męża.

Skinął głową, starając się nie wyglądać na kogoś, komu zadano ból. W rzeczywistości Marielle wbiła mu sztylet w ranę, która tak długo się jątrzyła.

— Za kogoś, kogo znam?

Było to nieprawdopodobne, gdyż przez ostatnie siedemnaście lat mieszkał za granicą, ale Marielle miała taką minę, jakby poślubiła co najmniej Astora.

— Nie wiem — odpowiedziała.

Wiedziała jednak, że jej mąż był przyjacieleni ojca Charlesa. Był od niej starszy o dwadzieścia pięć lat.

— Nazywa się Malcolm Patterson.

Nie było żadnej radości w jej oczach, gdy wymawiała jego imię, adnej durny. Nagle kapelusz całkowicie zasłonił Charlesowi jej twarz. Wyczuł coś, co mu się me spodobało, bo Mariette wcale nie wyglądała na szczęśliwą.

Więc to robiła w ciągu ostatnich siedmiu lat. Nie wywarło to na ii wrażenia. Wydawał się zmartwiony. I to bardzo.

— Znam to nazwisko — powiedział chłodno i zawahał się, nim znowu spojrzał jej w oczy. — Jesteś szczęśliwa?

Czy warto było odmawiać powrotu do niego siedem lat temu? Dla Charlesa było jasne, że nie. Marielle nie była pewna, co mu odpowiedzieć. Nie wszystko było w jej małżeństwie złe.

Malcolm obiecał zaopiekować się nią w czasie, kiedy potrzebowała tego rozpaczliwie, i dotrzymał słowa. Nigdy jej nie zawiódł. Był zawsze miły. Ale z początku nie zdawała sobie sprawy, jak będzie zimny, daleki i ciągle zajęty. Jednak pod pewnymi względami był doskonałym mężem. Grzeczny, inteligentny, rycerski, uroczy. Ale nie był Charlesem... me był płomieniem i uczuciem jej młodości..., nie o jego twarzy śniła, kiedy wahała się życiem a śmiercią... nie jego imienia „wzywała... i oboje wiedzieli, że nigdy nie będzie Charlesem.

— Mam spokój. To znaczy bardzo dużo.

Z Charlesem nie mogło być mowy o spokoju... była jedynie radość, podniecenie, miłość i namiętność... i na koniec rozpacz. Tak jak wielka była radość, tak wielki był smutek.

— Widziałem cię... w Hiszpanii... kiedy zostałem postrzelony... — powiedział jak we śnie. „I ja cię widziałam co noc przez te lata”... Marielle chciała mu to powiedzieć, ale wiedziała, że nie powinna. Zamiast tego uśmiechnęła się.

— Wszyscy mamy swoje duchy, Charlesie.

Niektóre sprawiają więcej bólu niż inne.

— Więc to tylko tyle? Jesteśmy duchami? Niczym więcej?

— Może.

Potrzebowała dwóch lat, spędzonych w sanatorium, by zrozumieć, że to się skończyło; by nauczyć się żyć z bólem, dać sobie radę z tym, co się zdarzyło. Nie mogła teraz narażać się na niebezpieczeństwo powrotu do wspomnień, nawet dla Charlesa, zwłaszcza dla niego. Nie mogła sobie pozwolić na krok do tyłu, bez względu na to, jak bardzo go jeszcze kochała.

Dotknęła jego ręki, a potem policzka. Nachylił się, żeby ją pocałować, ale nieznacznie odwróciła głowę. Pocałował ją w policzek, tuż obok ust, a ona długo miała zamknięte oczy, gdy ją trzymał w objęciu.

Kocham się... zawsze będę cię kochać... — powiedział.

Gdy to mówił, w jego oczach płonęła namiętność, którą znała tak dobrze. To nie było uczucie zrodzone z pożądania, ale z wiary, pragnienia i troski tak wielkiej, że zdolnej prawie zabić człowieka. Charles wszystko w ten sposób pojmował i Marielle wiedziała, że pewnego dnia to go zabije.

Z trudem zniosła jego żar. Teraz była pewna, że nie może dłużej ryzykować. On miał swoje rany, ona — swoje, nie mniej okrutne, choć nie zdobyte w bitwie.

— Ja też cię kocham — wyszeptała.

Zdawała sobie sprawę, że nie powinna mówić tych słów, ale to był szept z przeszłości, pożegnanie tego wszystkiego, co było i umarło wraz z Andr.

Czy zobaczysz się ze mną, zanim znown wyjadę do Hiszpanii? W typowy dla siebie sposób Charles wywierał na niej presję.

Marielle uśmiechnęła się do niego, ale tym razem potrząsnęła przecząco głową.

— Nie mogę, Charlesie. Mam męża.

— Czy on wie o mnie?

Powoli, ze śmiertelną udręką, Marielle zaprzeczyła.

— Nie, nie wie. Myśli, że popełniłam jakieś szaleństwo jednego lata po skończeniu szkoły średniej, podczas podróży po Europie, i wymknęłam się spod kontroli. Myślę, że mój ojciec tak to opisał swoim przyjaciółom. To jest dokładnie to, co powiedział przed laty, coś o „małym romansie”. I to wszystko, co wie Malcolm. Nigdy nie chciał rozmawiać o mojej przeszłości. Nie ma pojęcia, że byłeś kiedyś moim mężem.

To było tak podobne do ojca Marielle. Nigdy nie powiedział ludziom o jej życiu z Charlesem, a ułatwił mu to ich pobyt

w Europie. Zależało mu wyłącznie na pozorach. Skłamał, żeby chronić reputację Marielle.

Mówił wszystkim, że została w Europie, aby się uczyć. Za wszelką cenę musiał zachować twarz i chciał olnić Marielle od jej „potwornej pomyłki”, jaką popełniła poślubiając Charlesa Delauneya. A teraz mąż Marielle wciąż wierzył w to kłamstwo, bo ona mu na to pozwoliła.

Charles nie mógł uwierzyć, że nigdy nie powiedziała mężowi prawdy. Gdy byli razem, mówili sobie wszystko. Dzielili się wszystkimi swoimi sekretami. Ale co miała do ukrycia w wieku osiemnastu lat? Jak się ma lat trzydzieści, to jest już zupełnie co innego.

Malcolm nie ma o niczym pojęcia, Charlesie. Po co mu mówić?

Po co mówić mu, że spędziła dwadzieścia sześć miesięcy w sanatorium, czekając na śmierć..., że próbowała przeciąć sobie żyły... brała proszki... chciała utopić się w wannie... po co mówić mu :o tych rzeczach? Charles wiedział, zapłacił rachunki... i wyzdrowiała.

— Powiesz mu, że mnie dzisiaj widziałas?

Był jej ciekaw, jej i allm Coz to za maizeustWO mogło byc,

mu nic nie powiedziała? Czy go kochała, a on ją? powiedziała „kocham cię” tak łatwo po tych wszystkich latach i Charles „uwierzył jej

• Mariefle potrząsnęła przecząco głową.

— Jak mogę mu powiedzieC, ze cię widziałam, jesh on nie wie, ze istniejesz w moim zyclu?

Spojrzała na niego siniało Jej twarz była przesliczna Wyglądała spokojnie i to był jej sukces

— Kochasz go?

Nie wierzył, zęby go kochała, i chciał to usłyszec z jej ust

— Oczywiście. Jestem jego żoną.

I Szanowała go, podziwiała, była mu wdzięczna. Nigdy nie kochała go tak jak Charlesa i nigdy nie pokochałaby go. Co więcej, nie chciała tego Miłosc podobna do tej, jaką darzyła Charlesa, przysparzała zbyt wiele bólu, a ona już nie miała siły na to ani odwagi. Spojrzała na zegarek, a potem na Charlesa.

— Muszę już iść.

— Dlaczego? Co się stanic, jeśli nie pójdziesz, tylko wrócisz ze tnną do domu?

Zdawało się, że mówi poważnie.

— Nie zmieniłeś się. Jesteś wciąż tym samym człowiekiem, który namówił mnie do ucieczki, kiedy byliśmy w Paryżu.

Obydwoje uśmiechnęli się na to wspomnienie.

— Wtedy łatwiej było cię przekonać.

— Wszystko było prostsze, byliśmy młodzi.

— Wciąż jesteś młoda.

Marielle w głębi serca wiedziała, że to nieprawda. Otuliła się szczelniej płaszczem i naciągnęła rękawiczkę. Charles towarzyszył jej do głównych drzwi katedry.

Chcę cię jeszcze raz zobaczyć przed wyjazdem.

Marielle westchnęła i zatrzymała się, by na niego spojrzeć.

— Charlesie, to niemożliwe.

— Jeśli nie przyjdiesz, to ja przyjdę pod twój dom i nacisnę dzwonek.

— Prawdopodobnie zrobiłbyś to uśmiechnęła się, choć smutkiem napełniło ją wspomnienie tego dnia, kiedy się poznali.

— Będziesz miała wtedy piekielnie dużo czasu, by wyjaśnić całą sytuację.

Na samą myśl o tym Marielle rozboleła głowa, nagle jakby dostała migreny.

— Wiesz, gdzie się zatrzymałem. Mieszkam u ojca. Zadzwoń. Albo ja to zrobię — dodał.

Po siedmiu latach groził jej. A wyglądał przy tym tak niewiarygodnie przystojnie.

— A jeśli nie zadzwonię?

— To cię znajdę.

— Nie chcę, żebyś mnie znalazł.

Była poważna, podobnie jak Charles, gdy jej odpowiedział:

— Nie jestem pewien, czy w to wierzę. Po tych wszystkich latach nie możemy tak po prostu... nie mogę pozwolić ci tak odejść, Marielle... nie mogę... przykro mi.

Był smutny i prawie załamany.

— Wiem — szepnęła.

Wzięła go pod ramię. Gdy wychodzili z katedry, szofer Malcolma właśnie wybiegał z bocznych drzwi. Spędził interesującą godzinę obserwując tych dwoje. Nigdy nie widział Marielle w takiej sytuacji, ale, w pewnym sensie, nie zdziwiło go jej zachowanie. Malcolm miał

swoje własne życie, a Marielle była piękną, młodą kobietą. Piękną, i żyjącą w nieustannym lęku. Bała się każdego, a w szczególności

onieśmiała ją własny mąż. Szofer zastanawiał się, kto, za jakiś czas, zapłaciłby mu więcej za informacje o tym, co właśnie zobaczył... może sama pani Patterson? Albo jej mąż?

Charles i Marielle, trzymając się pod ramię, schodzili powoli po schodach. Kiedy zeszli na dół, Charles przycisnął Marielle do siebie.

— Nie będę nalegał, jeśli nie zależy ci na tym, ale chciałbym cię zobaczyć przed wyjazdem. Wyglądał jednak tak, jakby miał zamiar się z nią spotkać.

— Po co?

Popatrzyła na niego, a Charles dał jej jedyną odpowiedź, jaką mógł:

— Wciąż cię kocham.

Oczy miała pełne łez, gdy odwróciła od niego wzrok. Nie chciała go więcej kochać ani być kochaną przez niego; nie chciała wspomnień, cierpienia, bólu. Spojrzała znowu na Charlesa.

— Nie mogę do ciebie zadzwonić.

— Możesz zrobić wszystko, co chcesz. I cokolwiek zrobisz, ja wciąż..., czy to jest tak trudne dla ciebie jak dawniej?...

Pomyślał, że spotkali się tu dlatego, że dziś właśnie była rocznica tego strasznego dnia... Spojrzał na Marielle. Oboje mieli łzy w oczach. Marielle skinęła głową.

— Tak, tak samo. Ciągle o tym pamiętam.

I nigdy nie zapomni. Teraz to zrozumiała. Musiała z tym żyć, tak jak z ciągłym bólem. Znowu spojrzała na Charlesa.

— Tak mi przykro...

Przez lata chciała mu powiedzieć te słowa i teraz to zrobiła. Ale niczego to nie zmieniło.

Charles potrząsnął głową, przycisnął ją mocno do siebie na pożegnanie. Spojrzał na nią po raz ostatni, odszedł w kierunku Piątej Alei. Nie był w stanie wymówić ani jednego słowa.

Marielle patrzyła za nim przez dłuższy czas, po czym wsunęła

się do samochodu Malcolma. Gdy szofer wiozł ją do domu, myślała

o Charlesie... o dawno utraconym życiu, które nigdy nie powróci...

i o Andre.

Rozdział II

Patrick, szofer Pattersonów, wiozł

Marielle do domu jadąc, zgodnie z jej życzeniem, na północ wzdłuż Piątej Alei. Straciła jednak szybko z oczu Charlesa. W końcu pojechali na wschód do rezydencji przy Sześćdziesiątej Czwartej Ulicy, w której Marielle przez ostatnie sześć lat mieszkała z Malcolmem

Dom znajdował się między Madison a Piątą Aleją, zaraz za parkiem. Był piękny, ale nigdy nie był domem Marielle. Należał do Malcolma. Od początku czuła się tam nieswojo. To była budząca grozę rezydencja z ogromną rzeszą służących, która kiedyś należała do rodziców Malcolma. Patterson traktował ją prawie jak pomnik ku ich czci, z bezcennymi kolekcjami, uzupełnianymi przez siebie rzadkimi przedmiotami zebranymi podczas podróży lub podarunkami kustoszów muzeów. Czasami Marielle czuła się tam jak jeszcze jeden wartościowy przedmiot wystawiony na pokaz, którym nie można się bawić, jak lalka postawiona na półce, którą można podziwiać, ale nie wolno jej dotykać.

Większość ze służących traktowała Marielle grzecznie, dając jednak zawsze do zrozumienia, że nie pracuje dla niej, tylko dla jej męża. Wielu z nich służyło od dawna. Po sześciu latach spędzonych w domu swojego męża Marielle czuła, że ledwo ich zna. Malcolm zawsze jej zalecał, by zachowywała dystans; równie chłodno odnosił

się do niej prawie cały personel. Służba nie okazywała jej żadnych ciepłych uczuć. Od początku Malcolm nie pozwalał Marielle na dokonanie jakichkolwiek zmian. To był wciąż jego dom i wszystko było wykonywane tak, jak on sobie życzył. Jeśli jej polecenia różniły się od jego zarządzeń, służba zachowywała się grzecznie, ale nie reagowała. Patterson sam wynajął służących, z których większość była Irlandczykami, Anglikami lub Niemcami. Jej mąż uwielbiał wszystko, co niemieckie. W młodości studiował na uniwersytecie w Heidelbergu i mówił doskonale po niemiecku.

Czasami Marielle zastanawiała się, czy powodem, dla którego służba ją lekceważyła, był fakt, że kiedyś Marielle pracowała dla Malcolma.

Kiedy w „1932 roku wróciła z Europy, nie mogła znaleźć żadnej pracy. Kryzys gospodarczy w Stanach Zjednoczonych był w pełnym toku: nawet osoby z wykształceniem uniwersyteckim były bezrobotne, a ona nie miała absolutnie żadnego doświadczenia. Nigdy przedtem nie pracowała dla nikogo, a rodzice nic jej nie zostawili.

Ojciec stracił wszystko podczas krachu w 1929 roku i to go zabiło. Był zbyt stary, by przeżyć takie napięcie, by zaczynać wszystko od nowa. W końcu serce nie wytrzymało; wcześniej jednak umarła jego dusza. Nie zostawił nic oprócz kilkuset dolarów. Jego żona zmarła sześć miesięcy później. Marielle była wtedy jeszcze w Europie i Charles zajął się sprzedażą ich domu, aby móc spłacić długi, bo Marielle była zbyt chora, by sama się tym zająć. Kiedy w końcu wróciła do Nowego Jorku, nic nie miała, nawet domu. Zamieszkała w hotelu na East Side i zaczęła szukać pracy w tym samym tygodniu, w którym przyjechała. Miała dwa tysiące dolarów, które pożyczyła od Charlesa. To było wszystko, co od niego wzięła. Była zupełnie sama. I Malcolm uratował ją. Do dnia dzisiejszego była mu za to wdzięczna. I zawsze będzie. Pojawiła się w jego biurze pewnego wietrznego lutowego dnia. Twarz, która uśmiechnęła się do niej zza biurka, była dla niej jak promień słońca. Przyszła do niego, bo pamiętała, że był jednym z przyjaciół ojca. Miała nadzieję, że może będzie wiedział o jakiejś pracy, ° kimś, kto potrzebowałby osoby do towarzystwa mówiącej po francusku. To było wszystko, co potrafiła zrobić, nie licząc jej

pełnych wdzięku rysunków. Od lat już zresztą nie rysowała. Nie miała żadnego przygotowania do pracy jako sekretarka, jednak po godzinnej rozmowie Malcolm zatrudnił ją. Do czasu gdy znalazła sobie mieszkanie, płacił za jej pobyt w hotelu. Próbowала mu później zwrócić pieniądze, ale nie chciał o tym słyszeć. Wiedział, że miała kłopoty pieniężne, i był szczęśliwy, że mógł jej pomóc.

oczyła się szybko. Dobrze pracowała jako asystentka jego sekretarki, Angielki, która najwyraźniej nie akceptowała Marielle, ale mimo to była dla niej uprzejma. I nikt się nie zdziwił, gdy Malcolm zaczął zapraszać Marielle najpierw na obiady, potem na mityngi kolacyjne. W końcu zaczął zabierać ją na ważne towarzyskie spotkania, zawsze dyskretnie sugerując, by kupiła sobie z tej okazji nową suknię w sklepie, gdzie go znali. Z początku wprowadziło Marielle w zakłopotanie. Nie chciała go oszukiwać i znaleźć się w niezręcznym położeniu.

Do tej pory Malcolm był zawsze tak miły dla niej, taki mądry, zabawny, wyrozumiały. Nigdy nie dopytywał się o jej dotychczasowe życie, dlaczego mieszkała w Europie przez sześć lat albo dlaczego w końcu wróciła do Stanów. Ich rozmowy dotyczyły wyłącznie aŻniej5zości. Był uprzejmy, dobrze wychowany, czuła się przy nim tak spokojnie... Cała jej wcześniejsza rezerwa w stosunku do niego zniknęła. Marielle była szczególnie zdziwiona faktem, że nigdy nie robił jej awansów. Wydawało się, że po prostu lubi jej towarzystwo i pokazywanie się z piękną, młodą kobietą w drogich strojach, za które zapłacił. Brakowało jej wówczas śmiałości i pewności siebie, ale Malcolm chyba tego nigdy nie zauważał. Zresztą, kiedy z nim była, zawsze czuła się bardziej swobodnie, nabierała sił i energii. Nie była tą samą osobą co dawniej, ale teraz przynajmniej mogła zaakceptować swoje nowe „ja”

Gdy towarzyszył jej Malcolm, nikt ją o nic nie pytał. Oczywiście, ludzie chcieli wiedzieć, kim była, jak się nazywała, ale poza tym nie interesowali się jej wcześniejszym życiem ani dlaczego ma taki poważny wyraz twarzy. Byli pod wrażeniem jej wyglądu i faktu, że pokazywała się z Malcolmem. Czasami nawet to ją bawiło. Czuła się bezpieczna, bo on ją ochraniał przed wszystkim.

Właśnie taką opiekę zaoferował jej Malcolm w Święto Dziękczynienia, prosząc, by go poślubiła. Zapewnił, że będzie jej przyja

30

ciem i opiekunem aż do swojej śmierci, a skoro jest o tyle od niej starszy, umrze zapewne wcześniej niż ona. Nie udawał, że ją kocha, a jednak Marielle czuła, że na swój sposób był w niej zakochany. Zawsze przecież taki delikatny, miły i troskliwy. Właściwie niczego więcej od niego nie chciała. Nie mogła ryzykować i nie zniosłaby bólu, gdyby coś zniszczyło ich przyjaźń. Wspomnienia związane z Charlesem były wciąż tak przeszywająco bolesne, że nadal nie potrafiła z nikim rozmawiać o przeszłości, nawet z Malcolmem. Jednak starała się

być uczciwa w stosunku do niego i opowiedzieć mu o rzeczach, które zadały jej ból, ale on nie chciał o niczym słyszeć.

— Wszyscy mamy przeszłość, moja droga — powiedział, uśmiechając się łagodnie, gdy jedli kolację w restauracji „Plaza”. — Ale podejrzewam, że przeszłość osoby dwudziestoczteroletniej nie jest tak straszna jak osoby w moim wieku.

Malcolm w pełni zaakceptował Marielle. Mogła przyjść do niego ze swoją przeszłością, bólem i ranami, i znaleźć pociechę i ochronę. Tego właśnie pragnęła, a nie jego domu, biżuterii czy pieniędzy. Malcolm był już dwa razy żonaty i Marielle dowiedziała się od plotkarzy o jego legendarnej hojności. Ale ona szukała przystani w czasie burzy, miejsca, w którym mogłaby ukrywać się przez resztę życia, i to właśnie obiecał jej Malcolm. Szybko się zorientował, jak była przerażona, chociaż nie wiedział, jak bardzo życie ją sponiewierało. On wymagał jedynie od niej, żeby była gotowa urodzić mu dzieci. Z poprzednich małżeństw nie miał potomstwa i teraz, gdy miał czterdzieści dziewięć lat, ogromnie pragnął mieć spadkobiercę imperium Pattersonów. Jego pieniądze zostały zdobyte ciężką pracą przez wcześniejsze pokolenia, których przedstawiciele wcale nie należeli do wyższych sfer, ale zanim urodził się Malcolm, nazwisko Pattersonów cieszyło się już dużym szacunkiem. Malcolm nadał mu jeszcze więcej znaczenia.

W pierwszej chwili jego propozycja oszołomiła Marielle i przez krótką chwilę myślała, że żartuje. Owszem, spędzali ze sobą wiele czasu, on był niewymownie hojny dla niej, ale nigdy się do niej nie zbliżył, nigdy jej nie pocałował.

— Ja... nie wiem, co powiedzieć... mówisz poważnie?

Malcolm uśmiechnął się ze spokojem i wziął ją za rękę, ubawiony jej zdziwieniem. Wciąż wydawała mu się dziecinna. Łagodnie podniósł jej dłoń do ust i ucałował.

— Oczywiście, że mówię poważnie, Marielle.

Ich oczy spotkały się, robił wrażenie raczej ojca niż kochanka. Ale było w nim coś, co podobało się Marielle i czego tak rozpaczliwie potrzebowała. Była w Stanach niespełna rok i nie miała nikogo na tym świecie z wyjątkiem Malcolma.

— Chcę, żebyś została moją żoną. Zaopiekuję się tobą, kochanie. Obiecuję cito. A jeśli uda nam się mieć dzieci, będę ci wdzięczny do końca życia.

Kiedy go słuchała, jego oferta wydała jej się dziwna i zabrzmiała raczej jak umowa handlowa niż propozycja małżeństwa. On pragnął, by urodziła mu dzieci, a ona chciała i potrzebowała jego opieki. Nie powiedział, że ją kocha ani nie patrzył na nią a uwielbieniem, ale przecież Marielle też nie była w nim zakochana. I chociaż różniło się to zupełnie od tego, czego doświadczyła z Charlesem, to teraz właśnie tego najbardziej potrzebowała. Przeraziły ją tylko plany związane z dziećmi. Nie była pewna, czy chciała znowu ryzykować, ale nie śmiała o tym mówić z Malcolmem.

— A jeśli me będzie żadnych dzieci?

Zmartwiona szukała jego spojrzenia, a on trochę się zdziwił, bo wydawało mu się, że wie o niej wszystko.

— To zostaniemy przyjaciółmi — odparł.

Powiedział to tak spokojnie, że Manelie przestała się wahać. Wciąż jednak nie mogła zrozumieć, dlaczego chciał poślubić właśnie ją. Wokół niego było tyle kobiet, które umarłyby, by go zdobyć. Przecież prawie jej nie znał.

— Ale dlaczego ja? Jest tyle innych..., bardziej odpowiednich. — powiedziała, rumieniąc się.

Nie miała pieniędzy, żadnej pozycji społecznej. Oczywiście, jej rodzice cieszyli się szacunkiem, ale nie w jego kręgach; poza tym zostawili ją bez grosza. Ale właśnie to wszystko podobało się Malcolmowi. Była dziewczyną bez więzów, bez rodziny, zobowiązań.

W pewnym sensie była „jego”, albo raczej byłaby, gdyby poślubiła go, i to mu się podobało. Malcolm Patterson był mężczyzną opętanym pragnieniem posiadania domów, samochodów, obrazów, kolekcji Fabergé, posiadaniem „przedmiotów”. Marielle była kolejnym przedmiotem, który mógł mieć na własność..., bardzo ważnym, jeśli byłaby w stanie dać mu dzieci. Poza tym była spokojną, niewymagającą dziewczyną. Będzie dystygowaną, atrakcyjną żoną i może, pewnego dnia, jeżeli szczęście dopisze, bardzo dobrą matką.

— Może powinienem powiedzieć, że cię kocham — szepnął cicho, lecz oboje wiedzieli, że to nieprawda. — Ale nie jestem pewien, czy to jest ważne dla kogoś z nas.

Znał ją dobrze, lepiej, niż zdawała sobie z tego sprawę.

— Może to wcale nie ma znaczenia — dodał. Może i z czasem pokochamy się nawzajem, nieprawdaż?

Marielle skinęła głową, wciąż zdumiona tym, co mówił. Nagle Malcolm spojrzął na nią oczekująco, a Marielle wiedziała, jakiej odpowiedzi się spodziewał i na jaką czekał.

— Czy możesz mi odpowiedzieć?

Zawahała się, ale tylko przez moment.

— Ja... — spojrzała na niego niespokojnie. — Jesteś pewien?

Bała się o niego bardziej niż o siebie samą. Co będzie, jeśli go rozczaruje? Co będzie jeśli..., jeśli znowu się załamie? Ostatni rok nie był łatwy. Dziecko Lindberghów zostało porwane dwa tygodnie po jej powrocie do Stanów i ta okropna wiadomość śmiertelnie ją przeraziła. A w maju, kiedy świat usłyszał o śmierci dziecka, Marielle bolała nad rozpaczą rodziców. Ich cierpienie było jej bliskie. Całe dni spędzała w łóżku, mówiąc, że ma grypę, ale w rzeczywistości była niezdolna do normalnego funkcjonowania. W końcu, w przypływie strachu, zadzwoniła do swojego doktora w Szwajcarii, który ją uspokoił. Ale co będzie, jeśli się to powtórzy? Jeśli Malcolm się dowie..

— Nie jestem pewna, czy to uczciwe.

Marielle spuściła wzrok, bo w jej oczach pojawiły się łzy. Nagle Malcolm zapragnął wziąć ją w ramiona i kochać się z nią. Właściwie po raz pierwszy rozbudziła w nim tego rodzaju uczucie i przez chwilę pomyślał, czy naprawdę nie mógłby jej pokochać.

— Kochanie..., proszę... wyjdź za mnie..., zrobię wszystko dla ciebie...

To były jedyne słowa odpowiednie do sytuacji, jakie przyszły mu na myśl. Marielle spojrziała na niego, uśmiechając się smutno i potrząsnęła głową.

— Nie musisz tego robić. Chcę jedynie, żebyś był dla mnie dobry, taki jaki zawsze byłeś.

Zbyt dobry. Nie zasługuję na ciebie.

— Bzdura. Zasługujesz na więcej, niż mogę ci dać. Zasługujesz na przystojnego, młodego mężczyznę, oszalałego z miłości do ciebie, który co wieczór zabierałby ciebie na tańce. A nie na starego człowieka, którego będziesz musiała pchać na wózku inwalidzkim, kiedy będziesz miała lat czterdzieści.

Marielle roześmiała się nie wyobrażając sobie takiej sytuacji. Stary Malcolm, który był teraz pełen życia i młodości? Potężny, energiczny mężczyzna, który pomimo przedwcześnie posiwiałych włosów, wyglądał dziesięć lat młodziej, niż miał w rzeczywistości. Siwe włosy dodawały mu tylko powagi.

— A więc, teraz, kiedy już wiesz, co przyniesie przyszłość, czy przyjmiesz moją propozycję?

Ich spojrzenia spotkały się i Marielle, prawie niedostrzegalnie, skinęła głową. Czuła, że brakuje jej tchu. Malcolm wziął ją w ramiona i przycisnął do siebie. Łzy pojawiły się w jej oczach, kiedy na niego spojrziała. Chciała być równie dobra dla Malcolma, jak on był dla niej, gotowa była przrzec mu wszystko. Przysięgła sobie, że nigdy go nie zawiedzie.

Ślub był skromny i cichy, a udzielił im go 1 stycznia sędzia, który był bliskim przyjacielem, w domu Malcolma, w obecności kilku jego znajomych. Marielle i tak nie miała kogo

zaprosić, oprócz kobiet, które poznała, gdy pracowała w biurze. Ale one miały jej za złe, że zabrała im Malcolma, którego zawsze pragnęły, co prawda z innych powodów niż Marielle, bo chciały jego pieniędzy, a nie jedynie jego opieki. Ta historia kopciuszka nie wzbudziła ich zachwytu.

Podczas ceremonii ślubnej Marielle miała na sobie beżowy atlasowy kostiumik, który Malcolm przywiózł jej z Mainbocher, oraz odpowiedni do niego kapelusz — kreację Sally Victor. Nigdy nie wyglądała bardziej uroczo niż tego dnia, z ciemnokasztanowymi włosami upiętymi w elegancki kok i niebieskimi oczami pełnymi wzruszenia. Płakała, gdy sędzia ogłosił ich mężem i żoną. Przez cały dzień starała się być blisko Malcolma, jak gdyby bała się, że jakiś zły duch wedrze się pomiędzy nich.

Miesiąc miodowy spędzili na Karaibach, na prywatnej wyspie w pobliżu Antiguay. Wyspa należała do przyjaciela Malcolma: był

tam fantastyczny dom, jacht oraz zastęp dyskretnych, wyjątkowo dobrze wyszkolonych angielskich służących. Wszystko było doskonałe i Marielle stwierdziła, że jej uczucie do Malcolma pogłębiło się. Coraz bardziej wzruszała ją jego troska i delikatne zachowanie. Z mądrością, życzliwością i ogromną ostrożnością podszedł do ich wspólnego fizycznego pożycia. Bardzo pragnął dziecka, ale nie na tyle, by być w stosunku do niej brutalny czy porywczy. Przez większość miodowego miesiąca starał się dowiedzieć, co mogłoby sprawić jej największą przyjemność. Był doświadczonym mężczyzną i Marielle lubiła spędzać z nim czas w łóżku, widać jednak było, że brakowało czegoś między nimi. Mimo to z chęcią przebywali ze sobą i kiedy trzy tygodnie później powrócili do Nowego Jorku, byli naprawdę dobrymi przyjaciółmi.

Marielle śmiało weszła do jego domu, z radością, jakiej nie czuła przez lata. Ale po powrocie realia ich wspólnego życia poraziły ją. Mieszkali w jego domu, widywali jego przyjaciół, dniem i nocą otoczona była przez jego służących i musiała robić wszystko, co on chciał. Większość służących uważała ją za łowczynię posagów i traktowała jak intruza. Wiedzieli, że Marielle pracowała kiedyś dla Malcolma, i zazdrość powodowała ich niechęć do niej, a nawet nienawiść. Jej rozkazy były ignorowane, prośby potajemnie wysmiewane, ubrania albo znikwały, albo były „przypadkowo” zniszczone. Kiedy w końcu Marielle próbowała porozmawiać o tym z Malcolmem, z rozbawieniem przyjął jej skargi, co jeszcze bardziej ją zdenerwowało. Powiedział, żeby dała „jego ludziom” trochę czasu, by mogli przyzwyczaić się do niej, a za jakiś czas pokochają ją tak jak on.

Po powrocie do Nowego Jorku Malcolm znowu spędzał całe dnie w biurze. Prowadził swoje własne życie, co napełniało Marielle smutkiem, bo czuła się bardzo samotna. Wciąż lubił się z nią pokazywać i był dla niej zawsze dobry, ale stało się oczywiste, że Marielle nie miała dzielić z nim ani jego życia, ani nawet sypialni. Tłumaczył się, że do późna w nocy czyta dokumenty lub odbywa międzynarodowe rozmowy, musi więc mieć ciszę wokół siebie i nie chce jej przeszkadzać. zaproponowała, by zamienili pokoje, tak by on miał gabinet tuż obok sypialni, gdzie mógłby pracować w nocy. Malcolm jednak nie chciał się na to zgodzić. I nie zmienił zdania. Nic, oprócz tego, że teraz wychodzili częściej razem, nie zmieniło się w jego życiu po ślubie z Marielle. Niekiedy, mimo jego czułości, Marielle czuła się, jak gdyby była jednym z jego pracowników.

Dostawała teraz pewną sumę, która pierwszego dnia każdego miesiąca była przynoszona na jej konto. Malcolm zachęcał ją, by kupowała sobie wszystko, na co tylko miała ochotę. Ale służba wciąż była jego, dom wciąż wyglądał dokładnie tak samo jak dawniej, ludzie, z którymi się spotykali, byli jego przyjaciółmi, i Malcolm nigdy jej ze sobą nie zabierał, kiedy wyjeżdżał w interesach. Właściwie Marielle będąc jego sekretarką częściej mu towarzyszyła w podróżach służbowych.

Nie złościła się na nową sekretarkę Malcolma, która teraz z nim podróżowała, bo lubiła ją.

Brigitte była ładną dziewczyną z Berlina, a jej zachowanie i reputacja były nienaganne. Traktowała Marielle z ogromnym szacunkiem. Miała jasne włosy i błyszczące czerwone paznokcie. Bardzo zdolna, zawsze uprzejma w stosunku do Marielle, czasami nawet okazywała jej przyjaźń. Tak samo jak o obecną panią Patterson, starsze sekretarki były zazdrosne o Brigitte; Marielle było jej żal, gdy widziała uniesione znacząco brwi koleżanek dziewczyny. Niemka zawsze okazywała jej szacunek i pomoc, gdy Mazidle dzwoniła do biura. I była szczególnie miła, kiedy Marielle zaszła w ciążę. Przysyłała jej małe, ale ładne prezenty dla dziecka. Nawet zrobiła na drutach kocyk i kilka sweterków, co głęboko wzruszyło także Malcolma. Poza tym, ledwo zauważał obecność Brigitte. Miał przecież inne sprawy na głowie: ważne interesy, żonę i, w końcu, syna, na którego tak bardzo czekał. Marielle myślała, że łatwo zajdzie w ciążę. Tak było przedtem. Zdziwiła się, kiedy nie stało się tak po pierwszych kilku miesiącach ich małżeństwa. Po sześciu miesiącach Malcolm zażądał, żeby udała się do specjalisty w Bostonie. Sam ją zabrał do szpitala, gdzie poddano ją szczegółowym badaniom. Lekarze stwierdzili, że wszystko jest w porządku, i zachęcili ją i Malcolma, by w dalszym ciągu próbowali. Uważali, że ciąża była jedynie kwestią czasu, i podsunęli im kilka propozycji, które onieśmieliły Marielle, ale Malcolm pragnął je wypróbować. Ale kiedy sześć miesięcy później ich wysiłki nie przyniosły rezultatu, oboje byli głęboko zmartwieni.

To wtedy właśnie Marielle udała się na rozmowę ze swoim prywatnym lekarzem. Nie powiedział jej nic nowego poza tym, że niektóre kobiety po prostu nie zostały stworzone, by mieć dzieci. Znał już takie przypadki: młode kobiety, najzupełniej zdrowe, po prostu nigdy nie urodziły dziecka. To nie była niczyja wina.

— Czasami — powiedział cicho — Bóg nie chce, by się to zdarzyło.

Z każdym miesiącem, ciągle nie mogąc zajść w ciążę, Marielle denerwowała się coraz bardziej i stres z tym związany stał się przyczyną jej migren.

— To się zdarzyło wcześniej — odpowiedziała przyciszonym głosem.

Prawie bała się spojrzeć na lekarza. To była sprawa, o której jeszcze nie powiedziała Malcolmowi. Nie mogła mu tego wyjawić, szczególnie teraz, kiedy nie była w stanie mieć jego dziecka.

— Była pani w ciąży? zapytał zaintrygowany lekarz.

Pomyślał kiedyś o tym, gdy ją badał, ale wtedy nie był pewien i nie dopytywał się. A ona nigdy mu nic nie powiedziała. W Bostonie lekarze pytali ją o to kilka razy, lecz Marielle zaprzeczała. Teraz jednak czuła, że może zaufać temu mężczyźnie, który jej tajemnicę zachowa dla siebie. Był on jedną z nielicznych osób w jej życiu, które nie były zobowiązane do lojalności wobec Malcolma.

Tak — skinęła głową.

— Czy przerwała pani ciążę?

To go naprawdę niepokoiło. Z doświadczenia wiedział, że kobiety, które decydowały się na aborcję wykonywaną w ciemnych zaułkach i uliczkach nędzy, często nie mogły mieć dzieci. Szły do rzeźników i miały szczęście, jeśli przeżyły, nie mówiąc już o możliwości posiadania potomstwa.

— Nie, nie przerwałam.

— Rozumiem — lekarz popatrzył współczująco na Marielle. — Straciła je pani.

— Nie — odpowiedziała, krzywiąc się nagle, jak gdyby lekarz zadał jej fizyczny ból. — To znaczy, tak... urodziłam je... i zmarło... później.

— Tak mi przykro.

Marielle opowiedziała mu potem o wszystkim, płacząc przy tym nieustannie. Ale kiedy dwie godziny później opuszczała jego gabinet, czuła ulgę. W pewnym sensie miała uczucie, że ktoś zdjął jej ciężar z ramion. Lekarz uspokoił ją mówiąc, że jest pewien, iż Marielle

L.
znowu zajdzie w ciążę. Nie było absolutnie żadnego powodu, dla którego tak miałyby się nie stać.

I miał rację. Dwa miesiące po wizycie u lekarza Marielle odkryła ze zdumieniem i radością, że jest w ciąży. Właśnie zaczynała myśleć, że to się już nigdy nie zdany i czy, nie będąc w stanie dać Malcolmowi dziecka, nie powinna zaproponować mu rozwodu. Ale nagle rozblęskło dla niej światło, a Malcolm nie posiadał się z wdzięczności i podniecenia. Obsypał ją biżuterią i prezentami, przychodził do domu w porze obiadowej, by zobaczyć jak się czuje, traktował ją jak najrzadszy klejnot i spędzał każdą wolną godzinę na robieniu planów dotyczących ich dziecka. Było jasne, że chciał, by dała mu syna. Mimo to gotów był cieszyć się nawet w przypadku, gdyby urodziła dziewczynkę.

— Jeśli to będzie dziewczynka, będziemy po prostu musieli postarać się o więcej dzieci — powiedział szczęśliwy.

Marielle zaśmiała się. Miała tak duży brzuch, że już nie widziała swoich stóp i od tygodni nie spała przyzwoicie. Fakt, że miała jeszcze zgrubieć, przerażał ją. Z drugiej strony, rozkwitła podczas ciąży i ból ostatnich kilku lat wydawał się przyćmiony nowym życian, jakie w sobie czuła. Godzinami siedziała trzymając ręce na brzuchu czekając na moment, kiedy będzie mogła wziąć w ramiona dziecko, które wypełniłoby pustkę, jaka dokuczała jej od lat. Ciągle niuiiała sobie powtarzać, że tym razem to nie będzie Andrć, to bdzie inne dziecko., on nigdy nie powróci. A jednak bez względu na to, czy będzie to chłopiec czy dziewczynka, wiedziała, że powita jego lub ją całym swoim sercem. Podobnie jak Malcolm.

Malcolm rozkazał wszystkim w domu, by się opiekowali Mazidle, zaspokajali każdą jej zachciankę, karmili ją praktycznie co godzinę i pilnowali, by nie upadła, potknęła się lub przemęczyła. Jednak personel o wiele mniej przejmował się jej ciążą niż Malcolm. Wydawało się, że służący uważali to za oka7ję, by być dla niej jeszcze bardziej nieuprzejmi. Szczególnie gospodyni, która służyła u Malcolma od dwudziestu lat, jeszcze za czasów jego poprzednich dwóch żon — nie przestawała uważać Mazidle za chwilowego intruza. Perspektywa dziecka w domu przerażała ją.

Większość z niechętnych Mazidle służącyph była zła na panią Patterson. Gospodyni, pokojówki, kierowca Patrick, Irlandczyk, którego Marielle nie lubiła od samego początku, nawet kucharka i jej podwładni, wszyscy byli zirytowani, że muszą spełniać kaprysy Marielle i przygotowywać dla niej specjalną herbatę, kiedy miała migrenę. Wydawało się, że jej bóle głowy uważają za oznakę słabości i jej dolegliwość traktowali często z dużym zniecierpliwieniem.

Wyglądało na to, że nawet opiekunka do dziecka uważała Mazidle za niższą istotę. Była Angielką, którą Malcolm zatrudnił podczas jednej ze swoich zagranicznych podróży. Miała kamienną twarz i równie twarde serce. Trudno było ją sobie wyobrazić, jak przekazuje ciepło i czułość nowo narodzonemu dziecku. Kiedy przybyła na miesiąc przed planowanym porodem, Mazidle była przerażona, gdy ją ujrzała.

— Wygiąda jak strażnik więzienny, Malcolmie. Jak możemy pozwolić, by opiekowała się naszym dzieckiem?

Marielle nie rozumiała też, po co właściwie mieliby ją zaangażować. Przecież kiedyś sama opiekowała się Andrć. Wspomnienia były jednak dla niej zbyt bolesne, by mogła rozmawiać o tym teraz z Malcolmem.

— Sama mogę opiekować się dzieckiem — powiedziała.

Malcolm roześmiał się tylko i odrzekł, żeby nie była niemądra. Chciał, żeby pozwalała się wszystkim rozpieszczać.

— Będziesz wyczerpana po urodzeniu dziecka. Musisz odpocząć. Panna Griffin doskonale się nadaje. Ma wspaniałe referencje i praktykę w szpitalu. Jest osobą, której potrzebujesz, chociaż sama o tym

nic wiesz. Zobaczysz, że dzieci nie są tak spokojne, jak ci się zdaje.

Marielle dokładnie wiedziała, że są spokojniejsze, niż myślał, więc nic mogła mu tego powiedzieć. Gdy miała osiemnaście lat, opiekowała się własnym dzieckiem, bez żadnej pomocy jakichś tam panien (IrillFin).

Gdy tylko panna Griffin przybyła do domu Pattersonów, od razu ogłosiła, że migreny Marielle są szkodliwe dla przyszłego dziecka i prawdopodobnie stanowią oznakę jakiejś ukrytej choroby matki. Tak jak gdyby chciała zawstydzić Marielle.

Jednak bóle głowy były zbyt poważne i tylko zaciemniony pokój i odpoczynek przynosiły ulgę. Tysiące rzeczy mogło je spowodować: napięcie, zmartwienia, kłótnia z Malcolmem, przykra uwaga pokojówki, przeziębienie, późna pora, zbyt wielka ilość jedzenia, nawet szklanka wina. Były torturą dla Mazidle. Zawsze za nie przeproszała, tak jakby świadczyły o poważnych zaburzeniach psychicznych, co sugerowała panna Griffin.

Tylko Hayerford, angielski główny lokaj, był miły dla Marielle. Nigdy nie okazał jej niezdrowego zainteresowania jej dolegliwościami, przez cały czas był grzeczny i zawsze sympatyczny. Nie tak jak panna Griffin, która chciała koniecznie sprzymierzyć się z Malcolmem i, podobnie jak każdy w tym domu, szybko zaczęła traktować Marielle jak intruza. Patrzyła na nią jak na niemiłą, ale potrzebny przedmiot, który musieli znosić, by narodziło się dziecko. W końcu wszystko to zaczęło przerażać Marielle. Chciała przebywać teraz z ludźmi, którzy ją kochali. Tęskniła za szczęśliwymi chwilami spędzonymi z Charlesem przed narodzinami ich dziecka. Czasami leżała na łóżku i płakała i nieraz Malcolm był wstrząśnięty, gdy znajdował ją w takim stanie.

— Jesteś teraz przewrażliwiona. Spróbuj nie brać sobie tego wszystkiego tak bardzo do serca — tłumaczył jej.

Ale po rozmowach z panną Griffin dochodził do wniosku, że Marielle jest trochę niezrównoważona.

Wydawało się, że popłakuje całymi dniami. Nawet gdy kiedyś przyszła do jego biura i zobaczyła Brigitte, zdenerwowała się. Poczula się taka gruba i brzydka w porównaniu z nią, że przez trzy dni nie chciała nigdzie wychodzić z Malcolmem. On jednak, jak zawsze, traktował ją z całą wyrozumiałością i okazywał jej wiele cierpliwości. Ale nawet on widział, że Marielle była okropnie podenerwowana pod koniec ciąży. Tak jakby panicznie się bała i nie potrafiła tego lęku opanować. Malcolm robił wszystko, co mógł, żeby jej pomóc, mimo że panna Griffin wyjaśniła, że są kobiety, które tak bardzo boją się porodu, że wariują na myśl o bólu. Zachowanie Marielle wydawało się potwierdzać ogólną teorię Angielki, że Marielle była słaba, a co gorsza, tchórzliwa.

Marielle chciała urodzić dziecko w domu i nalegała na to, jednak Malcolm równie uparcie domagał się, żeby dziecko przyszło na świat w Doctors' Hospital, gdzie w razie problemów najnowsze urządzenia były w zasięgu ręki. Marielle uważała, że o wiele spokojniej byłoby rodzić dziecko w domu, i zwierzyła się Malcolmowi ze swoich obaw dotyczących ewentualnego porwania dziecka. We wrześniu aresztowano Bruna Richarda Hauptmanna za porwanie dziecka Lindberghów. Ta wiadomość pogłębiła tylko jej strach. Malcolm jednak stwierdził, że, będąc prawie w siódmym

N

miesiącu ciąży, była po prostu przesadnie nerwowa. To był trudny okres dla Marielle, lecz nikt o tym nie wiedział. Tylko jej lekarz zdawał sobie sprawę, przez co przechodziła, i przy każdym spotkaniu starał się uspokoić ją i zapewnić, że tym razem wszystko będzie inaczej. W noc narodzin dziecka Pattersonowie byli w domu. Malcolm pracował nad jakimiś papierami w swojej sypialni, a Marielle czytała w pokoju, kiedy nagle poczuła pierwsze skurcze. Zaczekała chwilę, a potem poszła do męża, by mu o tym powiedzieć.

Malcolm pośpieszył do niej, jak tylko ją zobaczył. Patrick zawiózł ich do szpitala i Malcolm został z Marielle tak długo, jak pozwolili mu na to lekarze. Następnie zawieziono ją na salę porodową. Była odurzona lekarstwami, które jej podano, i mówiła coś Malcolmowi o tym, jak inaczej było w Paryżu. Lekarz uśmiechnął się do niego i obydwaj mężczyźni popatrzyli na siebie ze zrozumieniem: majaczyła.

— Poród nie powinien być trudny — powiedział cicho lekarz, gdy pielęgniarki zabrały Marielle. — Zaraz do pana wrócę — uśmiechnął się.

Malcolm usadowił się w fotelu w ogromnym prywatnym apartamencie, który zarezerwował dla Marielle. Była już północ. Theodore Whitman Patterson urodził się o godzinie 4.23 rano. Lekarz podał jej chłopca zawiniętego w kocyk. Marielle z początku widziała go przez lekką mgiełkę. Miał okrągłą, różową buzię i czuprynę jasnych włosów. Spojrzał na nią ze zdziwieniem, jak gdyby oczekiwał kogoś innego, a potem zapłakał długo i głośno. Wszyscy w pokoju porodowym roześmieli się, a łzy spływały Marielle po policzkach. Myślała, że André odszedł... pamiętała go tak dobrze... te same okrągłe policzki, te zdziwione oczy... ale włosy André były czarne, tak jak Charlesa... lśniące kruczoczarne włosy... to nie był André, a jednak tak bardzo go przypominał. Przycisnęła policzek do jego buzi i czując dawny ból w duszy doznała jednocześnie przyływu radości, czułości i spełnienia.

Później zabrano dziecko, by je umyć i pokazać ojcu. Była półsenna, gdy zajmowali się nią lekarze.

Dopiero rano zawieziono ją do apartamentu, w którym, czekając na jej powrót, spokojnie drzemał Malcolm. Obok łóżka stał szampan, chłodząc się w srebrnym wiaderku. Malcolm obudził się. Leki odurzające przestały już działać i Marielle była przytomna, obolała, ale szczęśliwa... i dumna... w końcu spełniła marzenia Malcolm'a i wywiązała się z umowy. Widziałeś go? zapytała.

Malcolm nachylił się i pocałował ją w policzek.

— Tak — odpowiedział i w jego oczach pojawiły się łzy, bo dziecko było wszystkim, czego pragnął. — Jest taki śliczny i podobny do ciebie.

— To nieprawda - potrząsnęła głową. Pragnęła powiedzieć zakazane słowa... „podobny jest do André”. — Jest taki słodki... Gdzie on jest?

Z przerażeniem spojrzała na pielęgniarkę. Co będzie, jeśli zniknie?... jeśli coś się mu stanie..., ktoś go zabierze...

— Za chwileczkę będzie z powrotem. Śpi w pokoju dzieciennym.

— Chcę go mieć tutaj, w moim pokoju.

Marielle popatrzyła nerwowo na Malcolm'a, a on wziął ją za rękę.

— Wszystko jest z nim w porządku. Wiem... ale chcę go zobaczyć...

Nie miała zamiaru spuścić z niego oka, pozwolić mu odejść, dopuścić do tego, by to się znowu zdarzyło... nigdy. Jak szalona rozejrzała się po pokoju i przez chwilę bała się, że dostanie migreny. A w tym momencie ten minął, a Malcolm nalał jej szampana, który starała się popijać łyżkami. Po tym wszystkim, przez co przeszła, i po lekarstwach, które jej zaaplikowano, nawet na szampan marki Cristal, który kupił Malcolm, nie miała zbytniej ochoty.

Przyniesiono z powrotem dziecko. Trzymała je blisko siebie. Chłopiec spał, a gdy się obudził, odpięła guńki przy koszulce nocnej i nakarmiła go. Tak szybko powróciło szczęście, jakby nic

się nie wydarzyło, nie było żadnego smutku, straty, tragedii..., niczego... znowu była matką i złożyła swoją miłość w ręce tego maleńkiego dziecka,

Malcolm patrzył zafascynowany, jak go karmiła. Potem wziął syna na ręce i przyglądał mu się w pełnej uwielbienia ciszy. A później poszedł do domu i zasnął spokojnie w swojej własnej sypialni, ze świadomością, że jego życie jest pełnowartościowe, spełnione i prawie doskonałe. I mimo wątpliwości, jakie mógł mieć w ciągu ostatnich dwóch lat, był teraz zadowolony, że poślubił Marielle. Dziecko było tego warte.

Ciężkie, ponure dębowe drzwi otworzyły się z trudem, gdy Marielle wchodziła cicho do domu. Na twarzy jej malowała się powaga. Spotkanie z Charlesem po tylu latach było dla niej szokiem i dostarczyło jej wiele wzruszenia.

— Dzień dobry, madam.

Lokaj wziął od niej płaszcz, a jedna z pokojówek stanęła obok, by jej pomóc. Marielle westchnęła na ich widok. To było ciężkie popołudnie, ciężki dzień. Kiedy zdejmowała rękawiczki i kładła je obok zamszowej torebki, wciąż czuła w kościach chłód kościoła.

— Dzień dobry, Hayerford — powiedziała do starego lokaja. — Czy pan Patterson jest w domu?

— Nie sędzę.

Skinęła głową i weszła na schody. Nie wiedziała, czy powinna iść do swojego pokoju, czy też pójść na drugie piętro.

Często decydowała się nie odwiedzać syna, mimo że bardzo pragnęła go zobaczyć. Z początku, ku swojemu wielkiemu zdziwieniu, miała mieszane uczucia w stosunku do dziecka Malcolma. Czuła do niego ogromną miłość, jakiej nigdy się po sobie nie spodziewała... większą niż za pierwszym razem..., większą, niż była w stanie ofiarować, gdy miała osiemnaście lat... Ale jednocześnie starała się trzymać z dala od niego i często ukrywała uczucie, jakim go darzyła. Nie mogła sobie pozwolić na pokochanie tego dziecka. Wiedziała, że jeśliby coś się z nim stało, tym razem by ją to zabiło. Tak więc zmuszała się, by nie przebywać w jego pobliżu, a nawet udawać obojętność. Ale były chwile, kiedy nie mogła wytrzymać, kiedy musiała być przy nim, chwile, gdy bosko skradała się w nocy na górę i tylko przyglądała się śpiącemu synkowi. Wydawał jej się piękniejszy niż jakiegokolwiek dziecko, jakie widziała, cieplejszy, okrągłejszy, słodszy, bardziej kochany, bardziej doskonały. Był nagrodą za cały jej ból, podarunkiem od Boga za to wszystko, co straciła. Żyła tylko dla niego.

Malcolm oczywiście też go uwielbiał, zachwycał się jego bystrością i spokojnym zachowaniem, ale nie był tak pełen napięcia, obaw i troski o bezpieczeństwo Teddy'ego jak Marielle. Uważał go po prostu za spokojne, szczęśliwe dziecko, które przynosiło radość wszystkim, którzy je znali.

Na pewien czas chłopiec rozbudził pragnienia Malcolma i przez pierwszy rok po narodzinach Teddy'ego Malcolm miał nadzieję, że

Marielle znowu zajdzie w ciążę. Ale ich wysiłki były daremne, poza tym teraz, mając syna, Malcolmowi mniej zależało na kolejnym dziecku. Po pewnym czasie zaprzestali prób i każde z nich dyskretnie pozostawało w swoich pokojach. Nie wyglądało na to, żeby taka sytuacja przeszkadzała Marielle i oboje byli zadowoleni z życia, jakie prowadzili. W wieku lat trzydziestu Marielle miała dziecko, które ubóstwiała, i męża, który dobrze ją traktował. O tym marzyła w tamtych dniach niejedna kobieta. A Malcolm miał spadkobiercę, którego tak pragnął. Niczego im więc nie brakowało.

Marielle wydawała się teraz spokojniejsza, obawiała się jednak ciągle o bezpieczeństwo Teddy'ego. Była jak lwica broniąca małych. Dwa lata wcześniej porywacz dziecka Lindberghów został skazany na karę śmierci, ale Marielle wciąż zachowywała się tak, jak gdyby za każdym rogiem czaił się potencjalny kidnaper.

Malcolm był jej wdzięczny za to, że tak doskonale opiekowała się Teddym, że była wspaniałą matką, dobrą żoną i że dała mu doskonale, piękne, jasnowłose dziecko jego marzeń. To było wszystko, czego pragnął...

Wchodząc powoli po schodach, Marielle zastanawiała się, czy wstąpić do synka. Nie była jednak w nastroju, by znosić widok guwernantki. Nie chciała też niepokoić Teddy'ego swoją rozmową z panną Griffin. Ale nagle usłyszała go. Dobiegł ją głośny śmiech z korytarza na górze i kiedy go usłyszała, cała się rozjaśniła.

Widziała już synka dzisiaj rano, a przecież musiała ograniczać swoje z nim spotkania. W przeciwnym razie Teddy stałby się dla niej jej jedyną miłością. To była gra, którą ciągle ze sobą prowadziła, nigdy nie zbliżając się do niego za blisko, nigdy nie przebywając z nim tak często, jak tego pragnęła. Wiedziała, że jeśli to zrobi, zwariuje w razie, gdyby coś się kiedyś wydarzyło. Ale tak naprawdę, to dziecko już od dawna było splecione z każdą cząstką jej duszy. Nie mogłaby się już oderwać się od niego. Myślała jednak, że wydzielając swój czas dla chłopca, w ten sposób zachowuje dystans i wolność. Na nieszczęście w rezultacie Teddy spędzał większość czasu pod ciągłą opieką nieugiętej panny Griffin. Malcolm nalegał, żeby guwernantka została z nimi. Mimo że była u Pattersonów już cztery lata, Marielle nie potrafiła jej polubić.

A panna Griffin wciąż traktowała ją jak jakąś medorożwiniętą umysłowo istotę Migreny Marielle, jej zdenerwowanie, obawa przed porywaczami, ledwo skrywana i niezdrowa miłość do dziecka, występująca na przemian z okresami powściągliwości w stosunku do syna, wszystko to sprawiało, że panna Griffin traktowała ją jako osobę zasługującą tylko na pogardę. Swojego poglądu nie krępowała się dzielić z kimkolwiek, kto jej słuchał, gdy schodziła do kuchni. Ona uwielbiała Malcolma, szanowała go i potajemnie o nim marzyła. Przez całe cztery lata był jej panem i gdyby los był dla niej bardziej łaskawy, to ona, panna Griffin, byłaby teraz na miejscu Mañelle. Na miejscu tego, jak ją czasami nazywała, patetycznego, nerwowego cherlaka, który wciąż mówił o sprawie dziecka Lindberghów, o tym, jakim to było wielkim szokiem, kiedy usłyszała wiadomości o porwaniu. Oczywiście, był to nieprzyjemny wypadek, ale zdarzył się sześć lat temu, a potem Lindberghowie mieli jeszcze dwóch synów.

Mañelle stała przez dłuższą chwilę w korytarzu, słuchając śmiechu dziecka i uśmiechając się do siebie. Potem, jak gdyby pchana przez niewidzialne siły, weszła wolno po marmurowych schodach na drugie piętro.

Gdy weszła na górę, drzwi pokoju dziecinnego były zamknięte, a ze środka dochodził chichot syna. Wiedziała, że powinna zapukać, ale wołała zaskoczenie. Powoli nacisnęła mosiężną klamkę i wolno otworzyła drzwi na oścież. Mała istotka ze złotymi lokami i ogromnymi niebieskimi oczami odwróciła się. Kiedy Teddy zobaczył matkę, uśmiech rozjaśnił jego buzię.

Mamusiu! — krzyknął.

Przeleciał przez pokój i wpadł prosto w jej ramiona. Marielle roześmiała się i chwyciła syna. Podniosła go do góry i trzymała blisko siebie, a on przytulił twarz do jej szyi i wdychał zapach jej perfum.

— Tak ładnie pachniesz — szepnął.

Zawsze zwracał uwagę na jej zapach i wygląd. Marielle uwielbiała, kiedy twierdził, że wygląda naprawdę ładnie. Większość kobiet wokół niego była taka zwyczajna. Wyjątek stanowiła Brigitte, sekretarka tatusia, która czasami odwiedzała go i przynosiła mu niemieckie bajki i cukierki. Mówiła, że w Niemczech wszystko jest lepsze, ale panna Griffin powiedziała, że to nieprawda. Powiedziała, że wszystko, co naprawdę dobre, znajduje się w Anglii.

— Jak się czuje dzisiaj mój przystojny książę?

Marielle pocałowała syna w policzek i postawiła na podłodze. Guwernantka popatrzyła na nią z niezadowolaniem.

Czujemy się dobrze, pani Patterson. Właśnie mieliśmy pić herbatę, zanim pani przyszła.

Marielle sądziła, że nie powinien pić czegoś takiego, ale panna Griffn uważała picie herbaty za święty rytuał i Malcolm już dawno oflatnie pozwolił im urządzać herbatki. Jak zwykle zlekceważono

Marielle, według której mleko i ciasteczka byłyby zdrowsze.

W rzeczywistości Teddy wolał je niż herbatę.

Dzień dobry, nianiu — Marielle niepewnie uśmiechnęła się do panny Griffn.

Nigdy nie była całkowicie pewna, jak zostanie przyjęta, i dlatego czuła się tak skrępowana w jej obecności. Jednak od lat nie

potrafiła tego wyjaśnić Malcolmowi i wyglądało na to, że panna Griffn pozostanie z nimi na zawsze. Poza tym Teddy miał dopiero cztery lata i jeszcze nie nadszedł czas, by poedzieć

pannic Griffn, że chłopiec już jej nie potrzebuje.

Pokojówka przyniosła trzy herbaty. Była to nieprzyjemna

Irlandka, której Marielle nigdy nie tubila. Ale to gospodyni ją zatrudniła, a panna Griffn uwielbiała tę dziewczynę. Nazywała się Edith. Ona i kierowca byli serdecznymi przyjaciółmi.

Miała rude, farbowane włosy i zachowywała się poufale, jednak doskonale pręła rzeczy

Teddy'ego i panny Griffn. I nigdy nie spuszczała oczu z szafy Marielle.

Co dzisiaj robię? — Marielle szeptem zapytała Teddy'ego, gdy wypili herbatę.

Chłopiec popatrzył na nią poważnie.

Bawiłem się z Alexandrem Wilsonem. On ma kolejkę — okwiadczył z przejęciem.

Teddy zaczął wyjaśniać matce zasady jej działania, opowiadał, że są tam umieszczone małe mosty, miasteczka i stacje i że bardzo żałuje, że nie dostał takiego prezentu na urodziny.

Obchodził je dwa tygodnie wcześniej.

Grudzień był dla Marielle dziwnym miesiącem: pełnym radości i smutnych wspomnień.

Może Święty Mikołaj przyniesie ci kotejkę — pocieszyła syna.

Wiedziała przecież, że Malcolm już ją kupił. Od tygodni robotnicy pracowali w suterenie, budując specjalny pokój dla

kolejki, montując góry, pagórki, jeziora i dokładnie takie same miasteczka, jakie przed chwilą opisał Teddy.

— Mam nadzieję odparł zamyślony.

Nagle roześmiała się znowu i cichutko przysunął się do matki. Uwielbiał być blisko niej, czuć

zapach jej perfum, jej jedwabiste włosy pozwalając, by go całowała tak jak wtedy, gdy był zupełnie malutki. Podziwiał ją najbardziej ze wszystkich osób, jakie znał, i kochał ją nade

wszystko... bardziej nawet niż kolejkę.

— Czy robiłaś dzisiaj coś przyjemnego? — zapytał.

Zawsze ją o to pytał, tak jakby naprawdę troszczył się o to. Podobnie jak pytał ojca i Brigitte,

co działo się w biurze, sprawiając tymi pytaniami ogromną przyjemność Malcolmowi. Teddy

zawsze mówił, że Brigitte jest bardzo piękna, prawie tak piękna jak jego mama. Dziewczyna

była zachwycona i uważała go za cudowne dziecko. Marielle pozwoliła jej kilka razy zabrać

Teddy'ego do Zoo i raz do Empire State Building. Teddy powiedział potem, że była to

najbardziej ekscytująca rzecz, jaką zrobił do tej pory. Kiedy wrócił tamtego dnia do domu,

był tak przejęty wycieczką, że powiedział Brigitte, że ją kocha.

Byłam dzisiaj w kościele Marielle odpowiedziała cicho. Panna Griffn przyglądała się jej, a

Teddy zdziwił się, gdyż

zwykle chodził do kościoła razem z matką. Dzisiaj jednak nie był w kościele.

— Czy dzisiaj jest niedziela? zapytał. Nie uśmiechnęła się Marielle.

Zastanawiała się, czy kiedykolwiek o tym mu powie. Może kiedy dorośnie. Przypuszczała, że

w przyszłości stanie się osobą, z którą będzie mogła o tym porozmawiać.

— Ale mimo to poszłam dodała. Czy było przyjemnie?

Marielle skinęła głową. Było przyjemnie... i smutno... i po tych wszystkich latach zobaczyła Chartesa. Nie miała odwagi, by mu powiedzieć o Teddym. To nie byłoby słuszne, On walczył w Hiszpanii, ryzykując życiem, może mając nadzieję, że umrze, podobnie jak Marielle. Ale ona teraz miała to cudowne dziecko, ten promyczek nadziei i słońca, który wypełniał jej dni i całe życie. W tym szczególnym dniu roku nie mogła nilusić się, by powiedzieć CharLesowi, że urodziła dziecko. Powiedziała mu tylko oMalcobnie.

I wiedziała, że do niego nie zadzwoni. Nie mogłaby... nie należało tego robić., on był częścią innego życia.

— Byłam w Katedrze św. Patryka. Wiesz, to taki duży, duży kościół. Byliśmy tam zeszłego roku, na Wielkanoc,

Teddy skinął główką, jak mały, mądry człowieczek,

— Pamiętam. Możemy pójść tam jeszcze raz? Lubił też chodzić do Centrum Rockefellera, które znajdowało

się po drugiej stronie ulicy, i obserwować tam łyżwiarzy. Marielle została z Teddym przez dłuższy czas, rozmawiając,

ściskając go i czytając mu jakąś bajkę, dopóki panna Griffin nie oznajmiła, że już czas na kąpiel. Teddy spojrział błagalnie na matkę.

— Nie możesz zostać? Proszę...

Marielle bardzo tego chciała, bardziej niż cegokolwiek, ale wiedziała, że zakjócenie ustalonego porządku panny Griffin byłoby złamaniem zasad dobrego zachowania, A tego panna Griffin nie wybaczyłaby jej łatwo,

— Ja mogę go wykąpać zaproponowała z wahaniem, chociaż doskonale zdawała sobie sprawę, jaka będzie reakcja.

Panna Griffin nie cierpiała, gdy ktoś się wtrącał w jej sprawy. Dziękuję, ale nie ma takiej potrzeby, pani Patterson — odpowiedziała i wstała energicznie, Proszę pocałować matkę na dobranoc, Theodorze, i powiedzieć jej, że zobaczysz się z nią rano.

To była aluzja i Marielle ją zrozumiała.

— Ale ja nie chcę zobaczyć jej rano, Chcę widzieć ją teraz, Marielle także chciała powiedzieć, że pragnie go oglądać teraz,

kąpać go, zrobić dla niego kolację, położyć do swojego łóżka i tulić, dopóki nie zaśnie, całować jego małe oczka, policaj i nosek, gdy będzie zasypiał. Ale oni nie pozwoliliby jej robić takich rzeczy. Mogła odwiedzać go w pokoju dzieciennym, pić z nim herbatę i powiedzieć mu dobranoc, na długo zanim szedł spać.

— Jutro pójdziemy do parku, kochanie. Może nad staw.

— Jutro po południu jest przyjęcie urodzinowe u Oldenfieldów, pani Patterson — powiedziała panna Griffin.

— W takim razie zabiorę go rano.

Wyzywająco spojrzała na pannę GńfYin, ale bez rezultatu, Starsza kobieta za każdym razem wygrywała, bo miała poparcie Malcolma i wiedziała o tym. Marielle zawsze czuła się przy niej tak bezsilna, bez żadnego wpływu na nic, jak gdyby nie istniała.

— Pójdziemy jutro rano — powtórzyła.

Popatrzyła uspokajająco na synka, ale itak lzy zaczęły spływać mu po policzkach. Jutro było takie dalekie.

— Nie możesz zostać? — ponownie zapytał.

Marielle potrząsnęła przecząco głową i przycisnęła go do siebie na chwilę. A potem wstała i kiedy panna Griffin wyprowadzała płaczącego chłopca do łazienki, starała się opanować.

Wychodząc z pokoju cicho zamknęła za sobą drzwi

Zawsze czuła, że to okrutne zostawiać Teddy'ego pod opieką guwernantki. Był

wychowywany przez obcych, nawet nie przez przyjaciół, a sama Marielle nie śmiała się im

przeciwstawić. Została wprowadzona do tego domu, by urodzić dziecko, i kiedy to zrobiła, wyglądało na to, że nie nadaje się już w ogóle do niczego. Ciężko było jej z tym żyć, czuła się bezużyteczna i niepożądana. A jednak była wdzięczna, że żyła u boku Malcolma, że miała dziecko... Posiadała jedynie synka i dlatego był on tak bardzo dla niej cenny.

Myśląc o tym, Marielle poszła do swojej garderoby. Włożyła długi, różowy atlasowy szlafrok i przyglądała się długo i uważnie swojemu odbiciu w lustrze. W pewnym sensie czas był dla niej życzliwy. Mimo dwóch porodów, jej figura nie zmieniła się. Tylko jej twarz wydawała się teraz starsza, o ostrzejszych rysach, bardziej stanowcza i mądrzejsza. Zdradzały ją oczy mówiły, że miała za sobą ciężkie życie. Marielle usiadła i przytapała się na myśleniu o Charlesie, który był tak niedaleko. Przez jeden szalony moment chciała zadzwonić do niego, ale wiedziała, że nie może. Nie miała mu nic do powiedzenia oprócz wzajemnego obwiniania się, przeprosin i żalów. Nie było odpowiedzi na pytania i teraz oboje wiedzieli, że nigdy nie będzie.

Wkrótce przyszedł do domu Malcolm i powiedział Marielle, że na wieczór ma zaplanowaną kolację związaną z interesami. Przeprosił ją, że wypadła tak niespodziewanie, pocałował w czubek głowy i pośpiesznie udał się do swojej sypialni.

Marielle poleciła, by przyniesiono jej tacę z kolacją na górę. Próbowwała w kółko czytać tę samą stronę jednej książki, ale stwierdziła, że bez względu na to, jak się starała, nie mogła zrozumieć ani słowa. Jej myśli były gdzie indziej.

Przez cały wieczór wspomnienia o Charlesie nie dawały jej spokoju... Charles w Paryżu, kiedy był taki dzielny, szalony, miody... w Wenecji... w Rzymie podczas ich miodowego miesiąca... Charles śmiejący się... dokuczający jej... pływający w jeziorze... biegnący przez pole... a potem ostatniego razu... w Szwajcarii... i teraz, dzisiaj... Marielle położyła głowę i w końcu zapłakała, nie będąc już w stanie dłużej mieć wspomnień.

Wreszcie, późno w nocy, kiedy w domu wszyscy spali, poszła cicho na górę i popatrzyła na śpiące dziecko. Uklękła przy łóżeczku i pocałowała aksamitne czoło synka. Potem na palcach zeszła na dół do swojego pokoju, w którym spała samotnie. Bardzo chciała zadzwonić do Charlesa, ale zbyt wiele zawdzięczała Malcolmowi. Nie mogła zadzwonić do Charlesa... bez względu na to, co wciąż do niego czuła lub co powiedział jej w kościele..., wiedziała, że jej dni z Charlesem Delauneyem minęły bezpowrotnie.

Rozdział III

Następnego ranka Marielle zeszła do jadalni na śniadanie. Nieczęsto pojawiała się na dole o tej porze. Zwykle podawano jej śniadanie do sypialni, ale dziś wyjątkowo wcześniej się obudziła. Malcolm już tam był — kończył swoją kawę i jajka, czytając poranną gazetę. We Włoszech Mussolini właśnie zażądał, żeby Francja oddała Korsykę i Tunis.

— Dzień dobry, kochanie — powitał ją jak zwykle uprzejmie, mile i z takim zadowoleniem, jakby Mariefle była uroczym gościem domu, którego nie spodziewał się spotkać tak wcześniej. — Dobrze spałaś?

— Nie za bardzo — odpowiedziała szczerze.

Takie szczerze odpowiedzi należały do rzadkości. Zwykle łatwiej było po prostu powiedzieć to, czego oczekiwano..., dobrze... dziękuję...

wspaniale... cudownie... ale poprzednia noc pełna była koszmarów.

— Znowu jeden z twoich bólów głowy?

Malcolm spojrział na Marielle znad gazety, ale nie wyglądała na chorą. Pomyślał, że nawet jakby wypiękniała od wczoraj.

— Nie, tylko długa, bezsenna noc. Prawdopodobnie wypiliśmy zbyt dużo kawy po kolacji.

— Powinnaś pić wino lub szampana. To zawsze pomoże ci zasnąć — powiedział z uśmiechem.

Marielle uśmiechnęła się i zapytała:

— Będiesz dziś wieczorem w domu?

— Myślę, że tak. Spędzimy spokojny wieczór przy kominku.

W zeszłym tygodniu pięć wieczorów z rzędu spędzili poza domem, ale przed Bożym Narodzeniem zawsze prowadzili taki szaleńczy tryb życia. Ten tydzień był spokojny.

— Co masz zamiar dzisiaj robić? — zapytał.

— Myślałam, żeby rano wziąć Teddy'ego do parku.

Malcolm uważał, że Marielle zbyt mało się udzielała towarzysko. Rzadko wychodziła z domu i nigdy nie jadała obiadów z przyjaciółmi. Chociaż wszystkim ją przedstawił, unikała spotkań z ludźmi. Była bardzo cichą, skromną kobietą. A kiedy nalegał na nią od czasu do czasu, by z kimś się spotkała, zawsze mówiła, że nie ma czasu.

— Chcę wziąć go również na „Królową Śnieżkę”. Sądysz, że jest za mały na taką bajkę? — zapytała męża.

Ponad rok temu otworzono kino i film ten stał się ogromnym przebojem.

Malcolm potrząsnął przecząco głową i odłożył gazetę.

— Bynajmniej. Myślę, że mu się spodoba. To mi coś przypomniało. Chcę sprawdzić, jak postępują prace w pokoju z kolejką. Pracują tam na dole tak cicho jak duchy. Zostało tylko dwanaście dni do Bożego Narodzenia.

— Czy będzie gotowa na czas? — zapytała Marielle.

Wiedziała jednak, że nie mogłoby być inaczej, jeśli projektem tym zajmował się Malcolm. Nie tolerował żadnego niedotrzymywania terminu.

— Na pewno — odpowiedział. — A tak, przy okazji, w następnym tygodniu jadę do Waszyngtonu. Chciałabyś mi towarzyszyć?

— Jedziesz, by znowu spotkać się ze znajomymi?

Malcolm znał kilka ważnych osobistości w Departamencie Wojny i uwielbiał jeździć do Waszyngtonu, by się z nimi widywać. Skinął głową.

— W sprawie pewnego ważnego interesu, jaki załatwiam. A potem mam spotkanie z ambasadorem Niemiec dotyczące pewnego przedsięwzięcia w Berlinie.

— Wygiąda na to, że będziesz bardzo zajęty

— Tak, ale gorąco cię namawiam do wyjazdu ze mną.

Marielle doskonale jednak wiedziała, że nie miałby tam dla niej czasu i mimo że ją zaprosił, byłaby dla niego tylko ciężarem. Poza tym tyle rzeczy było do zrobienia przed Bożym Narodzeniem.

— Chciałabym zostać tutaj i przygotować się do Świąt. Będziesz zły na mnie, jeśli nie pojedę z tobą?

— Oczywiście, że nie, moja droga. To ty decydujesz. Zresztą wkrótce będę z powrotem.

— Może po Nowym Roku pojedziemy razem — zaproponowała

Marielle.

Zawsze bała się, że zrobi coś złego, nieodpowiednio się zachowa, zrani kogoś, zawiedzie Malcolma dlatego, że nie jest tam, gdzie powinna być. Ale gdzie powinna być? Z Malcolmem w Waszyngtonie czy tutaj z Teddym? Z biegiem lat coraz trudniej było jej podejmować decyzje tego typu. Uważała, że jeśli dokona się złego wyboru, to potem można stracić wszystko, co się ma. Tę lekcję miała już za sobą i drogo za nią zapłaciła.

— Zgadzasz się? — zapytała nerwowo.

— Oczywiście — szybko uspokoił ją Malcolm i pocałował na pożegnanie.

Chwilę później Marielle poszła na górę, żeby się ubrać. Następnie, tak jak obiecała, wstąpiła do dzieciennego pokoju po Teddy'ego. Panna Griffin chciała towarzyszyć im na spacerze, ale przynajmniej raz Marielle była stanowcza i powiedziała jej, że ona i Teddy chcą być sami przez cały ranek. Chłopiec był przejęty tym, co powiedziała. Panna Griffin była tak oburzona, że gdy tylko Marielle i Teddy zeszli na dół, trzasnęła ze złością drzwiami pokoju dzieciennego. Teddy zaśmiał się. Marielle też się uśmiechała wkładając płaszcz.

Właśnie w tej chwili weszła do domu Brigitte. Zatrzymała się, by pogawędzić z nimi przez chwilę, po drodze na górę do gabinetu Malcolma.

Idziecie w jakieś interesujące miejsce, Teodorze? — zapytała z lekkim niemieckim akcentem. Wymieniła życzliwe spojrzenie z Marielle. Marielle zawsze czuła, że w innych okolicznościach mogłyby zostać przyjaciółkami. Ale Malcolm nigdy by nie pozwolił, żeby jego żona przyjaźniła się z jego pracownikami.

— Idziemy do parku — dumnie powiedział Teddy, spoglądając na matkę z miłością.

Potem zauważył niebieską sukienkę, jaką miała na sobie sekretarka ojca, i wykonał mały ukłon, który rozweselił Brigitte.

Podoba mi się twoja sukienka, Briggy. Wyglądasz bardzo ładnie.

Młoda Niemka zaśmiała się i lekko zaczerwieniła.

— Może powiesz mi to znowu za jakieś dwadzieścia lat, młody człowieku? — zapytała.

Jej propozycja zabiła trochę Teddy'ego z tropu, Obie kobiety uśmiechnęły się.

— Nieważne, w każdym razie dziękuję ci bardzo. Ja także myślę, że jesteś bardzo przystojny.

Czy to nowy płaszczyk? — zapytała Brigitte.

— Nie — chłopiec potrząsnął stanowczo głową. — Stary.

Potem spojrzął na matkę. Miała już na sobie futro i obydwójce byli gotowi do wyjścia.

— Idziemy? — zapytała Marielle.

Teddy skinął głową, a potem stanął na palcach, by złożyć pocałunek na policzku Brigitte, czując lekki zapach jej perfum.

— Baw się dobrze, Teodorze.

Gdy wychodził trzymając matkę za rękę, pomachała mu, a on odwrócił się i zrobił to samo.

Na dworze było lodowato, tak jak poprzedniego dnia. Marielle zdecydowała, że Patrick zawiezie ich na Piątą Aleję, by mieli bliżej do stawu. Usta Teddy'emu nie zamykały się.

Kiedy dojechali na miejsce i szli w kierunku Central Park, Marielle opowiadała mu o czasach, gdy mieszkała w Paryżu. Malcolm uwielbiał opowiadać mu o swoich podróżach do Berlina, a panna Griffin zawsze rozводziła się nad urokami Anglii.

— Pewnego dnia pojedziemy na wycieczkę do Europy, na dużym statku, takim jak Normandia — obiecała synkowi.

Chłopiec słuchał opowieści z szeroko otwartymi oczami.

— Czy tatuś również pojedzie? — zapytał, zachwycony pomysłem podróży statkiem.

— Oczywiście. Wszyscy pojedziemy.

Marielle pragnęła podróżować z Teddym. Nie znosiła go zostawiać, co było jednym z powodów, dla których nie lubiła wyjeżdżać z Malcolmem, i zawsze czuła ulgę, że tak rzadko ją o to prosił.

Teddy zamyślił się, idąc i trzymając Marielle za rękę, a lodowaty wiatr smagał ich twarze.

Nos chłopca zaczerwienił się, Marielle miała załzawione oczy, ale oboje byli ciepło ubrani, mieli czapki, szaliki i rękawiczki.

— Może tatuś będzie zbyt zajęty — powiedział z żalem.

Marielle starała się go pocieszyć.

— Nie, jestem pewna, że pojedzie, jeśli zdecydujemy się na taką

podróż.

Starła się, by zabrzmiało to wesoło, lecz Teddy miał rację:

Malcolm zawsze był zajęty, zwłaszcza ostatnio.

— Jeśli nie będzie miał czasu, by z nami pojechać, może moglibyśmy spotkać go w Berlinie

— powiedział Teddy rzeczowo.

Był taki bystry. Wszystko zauważał. Nawet to, że Malcolm załatwiał wiele interesów z Niemcami. To dlatego Brigitte była dla niego tak użyteczna i prawdopodobnie dlatego od sześciu lat pracowała w jego biurze. Była bardzo miła i operatywna, co sprawiało, że jego stosunki handlowe z Niemcami znacznie się ożywiły od czasu, gdy Brigitte zastąpiła w biurze Marielle.

— Może moglibyśmy też pojechać do Londynu — dodał Teddy z uprzejmości dla panny Griffn. — I moglibyśmy zobaczyć Big Bena, i Tower of London... Buckingham Palace... i króla!

Wszystko, o czym opowiadała mu panna Griffin, robiło na nim ogromne wrażenie. Marielle uśmiechnęła się.

W końcu doszli do stawu. Dzisiaj pokrywała go cienka warstwa lodu i Marielle poczuła, jak dreszcz przebiegł po jej plecach. Przyciągnęła chłopca do siebie opiekuńczo, jakby jakiś diabeł czekał na nich na środku stawu.

— Nie ma tu dziś nikogo. Chodźmy zobaczyć karuzelę — powiedziała, błędąc na twarzy pomimo smagającego ją zimnego wiatru.

— Chcę zobaczyć łódki.

Teddy był rozczerowany

— Nie ma żadnej.

Była wystraszona, ale chłopiec tego nie zauważył.

— No już... chodźmy.

— A możemy przejść się po lodzie? — zapytał.

Lód pokrywający prawie cały staw fascynował chłopca, ale Marielle odciągnęła go jeszcze energiczniej.

— Nigdy, przenigdy nie rób tego, Teddy, słyszysz?

Chłopiec skinął głową, zaskoczony gwałtownością jej reakcji.

Właśnie wtedy Marielle spojrzała na tafłę lodu i zdawało jej się, że go widzi. To niemożliwe; chyba znowu umysł płatał jej figle, może zwariowała. Na chwilę zamknęła oczy, jakby pragnęła uwolnić się od zjawy, a potem bardzo szybko je otworzyła.

— Idziemy do domu — powiedziała ochryplym głosem.

Rzucała ukradkowe spojrzenia na mężczyznę, jak gdyby wciąż nie była pewna tego, co widzi.

— Teraz? — zapytał Teddy bliski płaczu. — Przecież dopiero co tu przyszliśmy. Nie chcę iść do domu. Nic możemy iść na karuzelę?

— Przykro mi... przejedziemy się samochodem..., do zoo... na herbatę... może na łyżwy...

Zrobiłaby wszystko, byleby tylko stąd odejść. Całe jej ciało zaczęło drżeć. Ale kiedy próbowała odciągnąć synka od stawu, mężczyzna, którego wcześniej zobaczyła, zbliżał się do nich, biegnąc tak szybko, jak tylko mógł wzdłuż jeziora.

Gdy ich dogonił, miał dzikie spojrzenie, a jego czarne włosy były rozwichrzone. Marielle zrozumiała z przerażeniem, że nie myliła się. Zobaczywszy wyraz twarzy matki, Teddy nagle się przestraszył. Matka zawsze wpajała mu nieokreślony strach przed nieznanymi, a ten mężczyzna wyglądał szczególnie okropnie. Był wysoki, rozczochrany i wydawało się, że rzucił się ku nim bez tchu. Bez ostrzeżenia chwycił Marielle za ramiona, popatrzył jej w oczy, a potem spojrzał na Teddy'ego. Marielle wiedziała teraz, że nie zwariowała. Nie przywidziało jej się. To był Charles.

Nagle przypomniała sobie, jak blisko posiadłości Delauneyów znajdował się staw. Charles w czasie poprzedniej, nieprzespanej nocy sporo wypił i teraz wyszedł na dwór, by wytrzeźwieć przed spotkaniem z prawnikami ojca.

Co tu robisz? — zapytał, a potem spojrzął na chłopca. — I kto to jest?

Ten dzieciak miał coś z Andró, a jednak się od niego różnił. W jego twarzy było coś prawie anielskiego; taką twarzyczkę chciałoby się całować; jego oczy rozśmieszały człowieka, kiedy tylko w nie spojrzął.

— To jest Teddy — powiedziała cicho Mariefle drżącym głosem.

— Teddy i co dalej?

Przypatrywał jej się bacznie. Marielle uświadomiła sobie nagle, że nie był całkiem trzeźwy.

— To jest Teddy Patterson.

Uniosła podbródek i spojrzała Charlesowi prosto w oczy. Nie mógł jej tego zrobić, nie mógł sprawić, żeby znowu czuła się winna, nie mógł zrujnować jej życia... a może tak?

— To jest mój syn.

Teddy przyłgął bardziej do jej ręki, zastanawiając się, kim jest ten mężczyzna. Pomyślał, że wygląda strasznie.

— Nie powiedziałaś mi tego wczoraj. Mówiłaś tylko o Malcolmie.

Jego oczy przewierały ją na wylot i sprawiały jej niemal fizyczny ból. Mimo to Marielle nie odwróciła wzroku. Była dzielniejsza, niż wydawało się to Malcolmowi. Ale Charles zawsze o tym wiedział.

— To nie był odpowiedni czas ani miejsce, by ci o tym mówić.

— A teraz?

Spojrzął na nią z wściekłością, a Teddy przeraził się, bo twarz mężczyzny znalazła się tuż przy twarzy matki. Chciał krzyknąć, żeby tytko ją ochronić.

— Czy to sprawiedliwe? — zapytał Charles, tym razem jednak głośniej.

Wydawało się, że jest coraz bardziej pijany.

Ale Marielle była spokojna i całkowicie opanowana. Była z Teddym i nie miała zamiaru pozwolić Charlesowi, by ich zranił. Bez względu na przeszłość, nie mógł już jej przestraszyć. Nie mogła mu na to pozwolić.

— Nie sądzę, że powinniśmy o tym teraz dyskutować.

Przyciągnęła Teddy'ego do siebie i łagodnie dotknęła jego twarzy, by go uspokoić. Ale ten ruch jeszcze bardziej rozwścieczył Charlesa. Wciąż był tak pociągającym mężczyzną, że Marielle czuła, jak drżą jej kolana, gdy na niego patrzyła. Zdawało się jednak, że Charles nie panuje nad sobą.

— Dlaczego masz dziecko? — krzyknęła na nią, a ona starała się nie cofnąć, by nie wystraszyć Teddy'ego. — A co ja mam?

— Nie wiem..., twoje bitwy w Hiszpanii... twoje przekonania...

przyjaciół... pisanie..., jeśli nie masz niczego innego, to może takiego dokonałeś wyboru.

Była zdecydowana nie dyskutować o tym w obecności Teddy'ego, ale bała się tak po prostu odejść i jeszcze bardziej rozzłościć Charlesa. Mocno trzymała rączkę dziecka, starając się dodać mu odwag swoim uściskiem.

— To wybór, którego ty dokonałaś siedem lat temu, kiedy mnie opuściłaś — wrzasnął na nią Charles. — Ty dokonałaś wyboru za mnie. Mogliśmy mieć więcej dzieci.

— Musimy już iść — powiedziała płaczliwym głosem.

Teddy patrzył na nich w osłupieniu, zastanawiając się, co to wszystko znaczy.

Marielle znowu odezwała się do Charlesa, tym razem łagodniej.

— Jakie mogliśmy mieć życie? Ty mnie nienawidziłeś i miakś wtedy rację. Ja także siebie nienawidziłam... może zawsze już będę... ale, Charlesie, ja nie mogłabym tego znieść. Nie mogłabym spojrzeć ci w oczy, wiedząc, co o mnie myślisz.

To wszystko powiedziała mu siedem lat temu, zanim wyjechała z Europy.

— Mówiłem ci wtedy, że chcę, żebyś do mnie wróciła — odrzekł uparcie.

— Wówczas było za późno — Marielle odetchnęła i wytarła oczy, zapominając na chwilę Ó Teddym. — Myślę, że zawsze mnie obwiniałeś, tak samo jak ja winałam siebie.

Wciąż go kochała, ale nie mogłaby z nim zostać, nie wtedy, nie po tym, co się wydarzyło. Charles popatrzył na Teddy’ego, jakby w dalszym ciągu nie mógł uwierzyć w jego istnienie. Teddy był pięknym dzieckiem, w pewnym sensie nawet piękniejszym niż Andrć. A potem Charles znowu spojrział na Marielle, groźnie, zastanawiając się, jak mógłby ją najbardziej zranić.

— Nie zaszgiijesz na to — powiedział podniesionym głosem.

Przez jeden szalony moment chciał ją spoliczkować. Dlaczego ponownie wyszła za męża? Dlaczego urodziła to dziecko? Dlaczego, na Boga, opuściła go wtedy? Ale obydwójce wiedzieli, dlaczego. Może nie mogło być inaczej.

— Nie zasługujesz na niego — powtórzył z okrucieństwem, które tak dobrze znała.

To było drugie oblicze ich wielkiej miłości, oblicze, które zniszczyło Marielle, zanim odeszła od Delauncya.

— Może nie zasługuję.

— Nie powinnaś była mnie wtedy zostawiać.

— Nic miałam wyboru. Umarłabym, gdybym wtedy z tobą została.

Charles wiedział, że to była prawda. Obydwójce wtedy tracili myśli. Ona próbowała kilka razy popełnić samobójstwo; on był jak oszalały, gdy rzucił się na nią tamtej nocy. Ale byli tak śmiertelnie zranieni tym, co się zdarzyło...

— Może powinniśmy wtedy umrzeć?

W oczach Marielle pojawiły się łzy, a Teddy przysunął się bliżej do matki.

— To okropne, co mówisz.

— Może dla ciebie... masz teraz nowe życie... męża... dziecko. Ale dlaczego? Dlaczego, do cholery, skoro ja wciąż budzę się każdego dnia myśląc o nim... i o tobie..., żałując, że nie umarłem razem z nim. Czy ty kiedykolwiek o nim myślisz? Pamiętasz? Czy wszystko zapomniałaś?

Gdy to powiedział, wściekłość pojawiła się nagle w oczach Marielle. Wściekłość, którą skrywała przez lata pełne bólu i udręki, wściekłość, o której Charles nie miał pojęcia.

— Jak śmiesz? Nie ma dnia, żebym nie pamiętała, nie myślała o nim... nie widziała jego twarzy, gdy zamykam oczy... nie myślała nawet o tobie.

Dokładnie tak, jak widziała ich poprzedniej nocy, kiedy nie mogła zasnąć i leżała w łóżku, wspominając, walcząc ze sobą, by nie zadzwonić do niego.

— Ale to go nie przywróci, nieważne, jak bardzo zniszczymy teraz nasze życie lub siebie nawzajem. On odszedł... jest już spokojny..., może nadszedł czas, żebyśmy i my się uspokoili.

— Nigdy nie zaznam spokoju bez ciebie — powiedział Charles z wściekłością.

Znowu wyglądał młodo. Tym razem Marielle uśmiechnęła się do niego i potrząsnęła głową. W pewnym sensie, pomimo że był od niej starszy, wydawał się dziecinny. Nigdy nie dojrzał, nie wydorósł, nie wyleczył się z ran. Po prostu pozostał dzieckiem, zdolnym do największych wariactw, jakie robił, gdy był chłopcem, udając wygnańca, walcząc w wojnach innych ludzi i, w pewnym sensie, broniąc się przed wydoroseniem.

— To niemądrze tak mówić. Nawet nie wiesz, kim teraz jestem. Może nawet i dawniej mnie nie znałeś. Może i tak cała nasza miłość umarłaby śmiercią naturalną, jeśli sprawy inaczej by się potoczyły.

Marielle spojrziała na Teddy’ego, uśmiechnęła się do syna i przycisnęła do siebie.

— Teddy, to jest stary przyjaciel mamy. Nazywa się Charles i czasami zachowuje się trochę po wariacku, ale jest miłym człowiekiem. Chciałbyś się z nim przywitać?

Teddy stanowczo pokręcił główką i schował się w fałdach jej futra. Rozmawiali przy nim zbyt swobodnie, ale chłopiec miał dopiero cztery lata i niewiele rozumiał z tego, o czym mówili. Wyczuł atmosferę rozmowy, złość i pasję, ale cała historia była zbyt skomplikowana dla niego, by mógł ją zrozumieć.

— Przykro mi, jeśli go wystraszyłem.

Przez chwilę zdawało się, że żałował tego, co powiedział, ale wciąż jeszcze w jego oczach było szaleństwo.. Nie golona od poprzedniego dnia broda nadawała jego twarzy wyraz dziki i tajemniczy.

— Powinno ci być przykro. I po co to wszystko? Czy naprawdę wciąż mnie obwiniasz za to, co się stało?

Charles popatrzył na nią, a potem na chłopca. Jego spojrzenie nie złagodniało, kiedy znowu spojrzął na Marielle. Wydawał jej się bardziej jeszcze pijany. Po raz pierwszy od długiego czasu Marielle poczuła prawdziwy strach. To przypomniało jej złe czasy, kiedy to Charles stał się dla niej obcym człowiekiem.

— On powinien być mój. Mam do niego prawo... powinien.

Surowo przyglądał się Teddy'emu chowającemu się w futrzany płaszcz matki. Marielle odpowiedziała stanowczo:

— Ale nie jest twój, Charlesie.

— Jakim prawem odeszłaś..., zrobiłaś to... urodziłaś nie moje dziecko?

Gdy to mówił, wydawało się, że jest coraz bardziej wściekły.

— Zgodziłaś się na rozwód. Miałam prawo to zrobić.

Marielle nie chciała, by się nad nią znęcał.

— Powiedziałaś, że moja odmowa cię zabije.

— I prawie tak się stało.

Oboje wiedzieli, że mówiła prawdę.

— Wolałbym, żebyś umarła, niż miała nie moje dziecko — powiedział.

Marielle cofnęła się ze strachem i odrazą, zastanawiając się, jak mogła kiedykolwiek kochać tego człowieka. Przypomniała sobie, jaki był nierozsądny.

— Charles, przestań.

Wyciągnął rękę i chwycił jej ramię. Wtedy Teddy zapiszczał i skoczył, chowając się za matkę.

— Straszysz dziecko. To nie w porządku. Przestań!

Gwizdę na to. On jest mój... mam do niego prawo.

— Przestań!

Marielle prychnęła na Charlesa, nie bała się go już. Wyrwała ramię z jego uścisku. Nie miała zamiaru przyglądać się, jak jej życie się wokół niej wali.

— On nie jest twój, ja także nie... i André też nie był nasz. Na tym świecie nikt nie należy do nikogo. Wszyscy należymy do Boga i jesteśmy tutaj wypożyczeni sobie nawzajem... kiedy pożyczka dobiega końca, jest po wszystkim..., to jest straszne... i piekielnie boli... i czasami przychodzi zbyt wcześnie... ale on nie był naszą własnością..., ja nie byłam twoją ani ty moją... podobnie jak Teddy.

— Kochasz go, prawda?

— Oczywiście, że tak.

— A on cię kocha?

— Tak.

— Dlaczego ty go masz, a ja nie mam nic?

— Może mam szczęście. A może dlatego, że Malcolm mi współczuł... może tak ma być... albo dlatego, że chętnie zgadzam się zapłacić cenę, której ty nie chcesz zapłacić.

— Jaką cenę? Jaką cenę zapłaciłaś, wychodząc za niego za mąż? Poślubiła mężczyznę, którego nie kochała i który jej nie kochał, o czym wiedziała. To nie było tak łatwe, jak ktoś mógłby sądzić. Ale Charles nigdy ani przez moment nie pomyślał, że mógłby zrobić coś takiego.

— Czego musiałaś się wyrzec wychodząc za niego za mąż? Nadziei..., miłości... czułości..., tej miłości i uczucia, które kiedyś dzieliła z Charlesem... miłości, o której istnieniu wiedziała.

— Każdy coś traci, gdy poślubia kogoś.

Ze względu na lojalność wobec Malcolma, nigdy nie powiedziała Charlesowi prawdy.

— Może straciłam przeszłość.

— Jestem pod wrażeniem twojego poświęcenia — powiedział pogardliwie, patrząc na nią zamglonym od alkoholu wzrokiem.

— A ja jestem pod wrażeniem twojego zachowania — odparła Marielle. — Jest tak samo nieznośne jak zawsze.

Zdenerwował i ją, i Teddy'ego, i nie rozwiązali niczego. Nie było już nic do rozwiązania. Wszystko było skończone.

— Nie ma żadnego powodu, żebyś to mi robił, ani sobie samemu. Myślisz, że co jeszcze chcesz osiągnąć?

Charles przyglądał się Teddy'emu, a sposób, w jaki na niego patrzył, zdenerwował Marielle. Zachowywał się tak samo, jak kiedyś, gdy wypił za dużo i zaczynał wariować. Pewnego razu zniszczył cały pokój hotelowy, bar, restaurację; prawie zabił dwóch ludzi... i ją... jeden raz. Tytko raz... ale wiedziała, do czego był zdolny. Trudno było to zapomnieć.

— Przepraszam — powiedział.

Robił wrażenie bardzo nieszczęśliwego, ale jego słowa nie zabrzmiały szczerze. Popatrzył potem na Teddy'ego, który zerkał zza pleców matki.

— Ciebie także przepraszam, mały. Zachowałem się wyjątkowo niegrzecznie w stosunku do ciebie i twojej matki. Mam złe nawyki, ale znam ją od wielu lat, od tak dawna, kiedy oboje byliśmy dziećmi.

Wtedy byli prawie dziećmi. Osiemnaście i dwadzieścia trzy lata... Mój Boże, byli dziećmi. Charles spojrział poważniej na Teddy'ego.

— Kiedyś chciałbym cię poznać.

Nie wydawało się, żeby Teddy odwzajemniał to pragnienie, ale skinął grzecznie głową.

— Kiedyś też miałem małego chłopca..., nazywał się Andrć... — powiedział, podnosząc wzrok na Marielle, a w jego oczach pojawiły się łzy. — Przepraszam... może po prostu wczorajszy dzień był taki trudny do zniesienia... spotkanie z tobą... cholera...

Odwrócił głowę i pociągnął nosem, próbując przestać o tym wszystkim myśleć.

— Dlaczego to zawsze tak jest? Dlaczego tak cholemie boli? Czy dla ciebie to też jest takie okropne?

Popatrzył na nią pytająco. Był już spokojniejszy i Marielle skinęła głową.

Powiedziała mu o tym wczoraj w kościele, ale zapomniał. Pił niemal od chwili, gdy zostawił ją na schodach katedry.

— Powinniśmy już wracać — powiedziała. — Robi się późno.

Teddy musiał zjeść obiad, a potem iść na przyjęcie urodzinowe w towarzystwie panny Griflin. Dobiegało południe. To był straszny ranek. Marielle odczuwała głęboki żal i smutek. Jej czas spędzony z Teddym był tak cenny.

— Żałuję, że nasze spotkanie wypadło tak niespodziewanie. — powiedziała.

Poprzedniego dnia, kiedy nie wiedział o dziecku, łatwiej się z nim rozmawiało, dziś był przepełniony złością i żalem. W nocy smutek topił w alkoholu i litował się nad sobą, ale teraz napad zazdrości i wściekłości rozpałił jego uczucia.

— Wczoraj postanowiłem, że wyjeżdżam w przyszłym tygodniu. Zobaczysz się ze mną? Marielle potrząsnęła głową, trzymając mocno dłoń Teddy’ego.

— Dlaczego nie? — zapytał Charles.

— Wiesz, dlaczego. I tak jesteś na mnie zły, a nasze spotkanie tylko pogorszy sprawę. Po co zadrećcać się czymś, czego nie możemy mieć?

— Kto mówi, że nie możemy? Ty nie jesteś szczęśliwa, masz to wypisane na twarzy. Jesteś nerwowa, napięta jak struna, wewnątrz powiązana w supelki. Do diabła, możemy mieć wszystko, czego pragniemy, jeśli tylko będziemy mieli odwagę po to sięgnąć. Wyglądał groźnie, gdy to mówił.

To świetna postawa, Charlesie.

— Mogę zrobić wszystko, cokolwiek mi się podoba.

— Masz szczęście.

— Pragnę cię.

— Nie mów tak — błyszczącymi oczami spojrzała na Charlesa. — A nawet, jeśli mnie pragniesz, to co z tego? „Bierzemy, co chcemy”, jak powiedziałaś, a ty wyjeżdżasz i wracasz do Hiszpanii. A co by się stało ze mną?

Próbowała go przekonać, ale to nie było łatwe ze względu na stan, w jakim się znajdował.

— Może byłabyś szczęśliwsza niż jesteś teraz. Albo może chciałabyś pojechać tam ze mną. Mañelle prawie zaśmiała się z jego naiwności. Po sześciu latach miała po prostu opuścić Malcolma i ich dziecko i wrócić z Charlesem do Europy, tak jakby nic się nie wydarzyło. Naprawdę był szalony.

— Mogłabyś nawet zabrać ze sobą chłopca.

— Twoja gościnność mnie przygniata. A co z Malcolmem? Co się z nim stanie po tym wszystkim?

— Raz się wygrywa... raz przegrywa... on traci...

— Sugerujesz paskudne rzeczy, Charlesie, i wiesz o tym. Znasz mnie na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie zrobiłabym tego.

— Może — powiedział, chwytając mocno przegub jej dłoni — .. mógłbym cię zmusić... Charlesie, to nie jest Hiszpania i ty nie walczysz za moją wolność. To śmieszne.

Nie chciała, żeby zobaczył, że przestraszyło ją jego spojrzenie.

— Jakie to byłoby śmieszne, gdybym wziął coś, czego pragniesz albo kochasz — bardzo kochasz... a potem może mógłbym... powiedzmy, skłonić cię... żebyś do mnie wróciła?

— Co przez to chcesz powiedzieć?

Sama myśl o tym, co sugerował, przeraziła Marielle.

— Myślę, że rozumiesz.

— Nie zrobiłbyś tego.

Dawał do zrozumienia, że porwie Teddy’ego, by zmusić ją do wyjazdu z nim. Chyba postradał zmysły. Nie mógłby tego zrobić. A może tak? Jego spojrzenie mówiło, że mógłby. Ale przeszłość — że to było niemożliwe. Chociaż...?

— Wszystko zależy od tego, jak bardzo jestem zrozpaczony, czy nie tak?... nie tak?

Charles nagle puścił jej przegub i zaśmiał się. Marielle popatrzyła na niego z przerażeniem. Poczuliaby ulgę, gdyby znowu odszedł. Nagle zaczęła żałować, że spotkała go poprzedniego dnia w kościele. Może on również wciąż opłakiwał Andrć, ale wszystko to widocznie zmieniło go w kogoś innego, kogo Marielle już nie poznawała i nie chciała znać.

— Jeśli kiedykolwiek byś zrobił coś podobnego, chcę, żebyś wiedział, że nigdy ci się to nie uda i nie zmusisz mnie do powrotu do ciebie... zabiłabym cię wtedy... tak samo mój mąż.

— Przerażasz mnie — zaśmiał się, z lekka zataczając.

— A ty przyprawiasz mnie o mdłości. Kiedyś przeżyliśmy coś pięknego, co pielęgnowałam w sercu przez dwanaście lat... razem ze wspomnieniami o kimś słodkim i czystym... a ty

wykorzystujesz to w taki podły sposób, by zatruć samego siebie i wszystkich wokoło. pi André, ani ty nie byłeś wtedy taki.

— Być może się zmieniłem.

Uśmiechnął się do niej złośliwie. Tragedią dla nich obojga było jednak to, że w rzeczywistości się nie zmienił. Wciąż ją kochał, ciągle tęsknił za ich dzieckiem, chciał, by Marielle wróciła do niego i by mogli odzyskać dawno straconą, ale nigdy nie zapomnianą przeszłość.

— Żegnaj — powiedziała Marielle.

Przez chwilę patrzyła na niego ze smutkiem.

Odchodząc z Teddym, uśmiechnęła się łagodnie do chłopca.

— Teraz idziemy do domu — wyjaśniła dziecku.

Nie miała już nic więcej do powiedzenia Charlesowi.

Gdy odchodzili, Charles patrzył za nimi, ale tym razem nie poprosił, żeby do niego zadzwoniła. Był na nią zły bardziej niż kiedykolwiek. A Maëlle nigdy tak nie drżała jak wtedy, gdy szła z powrotem do samochodu. Teddy nie powiedział ani słowa, dopóki nie dotarli do auta.

— Nie lubię go powiedział cicho, gdy szofer zamknął drzwiczki samochodu marki Pierce-Arrow.

Patrick poszedł za nimi do parku, tak jak przykazał mu Malcolm, by zapewnić im bezpieczeństwo. Znowu widział Charlesa, ale był zbyt daleko, by cokolwiek usłyszeć z ich rozmowy. Rozpoznał go jako mężczyznę z kościoła i był coraz bardziej zaintrygowany. Wydawało mu się dziwne, że Marielle wzięła ze sobą chłopca, ale może chciała, żeby dziecko się spotkało z tym mężczyzną.

— On nie jest złym człowiekiem — powiedziała smutno Manelle, gdy jechali do domu. — Jest bardzo nieszczęśliwy. Dawniej byliśmy bardzo dobrymi przyjaciółmi.

Teddy skinął głową, starając się to zrozumieć. A potem ponownie spojrzął na matkę i zadał jej pytanie, którego nie spodziewała się:

— Kim był André?

Zaparło jej dech w piersi, gdy ją o to zapytał. Uplłynęła chwila, zanim mu odpowiedziała.

— André był jego małym synkiem. Zmarł... wiele lat temu...

i Charles od tego czasu jest bardzo smutny. To właśnie dlatego zachowuje się tak dziwnie.

Teddy skinął główką, jak gdyby teraz wszystko było dla niego jasne. Potem znowu podniósł oczy.

— Czy ty też znałaś André? — zapytał.

Marielle starała się nic rozplakać. Kiwnęła głową i mocno ścisnęła rękę dziecka. Chciała mu o tym kiedyś opowiedzieć, ale nie

w ten sposób, nie uciekając się do wykrętów, tak jak teraz. Ale

Teddy był zbyt mały i za wcześnie byłoby mu o tym mówić.

A jednak musiała spróbować.

— Tak, też go znałam — powiedziała ze smutkiem, wycierając łzy z policzka.

— Czy był miły?

To zawsze było ważne dla Teddy'ego. Marielle poczuła, że za chwilę wybuchnie płaczem, ale opanowała się.

— Był bardzo słodki... i bardzo mały, kiedy umarł.

Łzy wolno potoczyły się jej po policzkach. Nie była pewna, co miała odpowiedzieć Teddy'emu. Nie było nic więcej do powiedzenia. Marielle przytuliła go do siebie, bardziej wdzięczna niż kiedykolwiek, że go miała. Ona też była przestraszona tym, co powiedział jej Charles. I zastanawiała się, czy naprawdę tak myślał. Czy wziąłby chłopca, by zmusić ją do powrotu do niego? To było nieprawdopodobne. Wiedziała, że to tylko czeze groźby. Nigdy nie zrobiłby niczego, co zraniłoby jej synka.

— Przykro mi, że go dzisiaj spotkaliśmy. Chciałam spędzić z tobą mile czas nad stawem.

— W porządku — chłopiec uśmiechnął się do niej. — Zawsze lubię być z tobą.

Teddy zazwyczaj mówił rzeczy, które ją rozczulały i sprawiały, że kochała go jeszcze bardziej.

— Co ty na to, żebyśmy poszli jutro zobaczyć „Królową

Nazajutrz była niedziela i Malcolm jak zwykle zagłębił się w swoich papierach, co sprawi, że Marielle nie będzie miała nic do roboty. Niedziela to dzień wolny panny Griffin, a więc nikt się nie sprzeciwi, aby Teddy spędził czas z Marielle. Jeżeli zajdzie potrzeba, Betty jej pomoże, a Edith posiedzi z chłopcem wieczorem.

— Hurra! Możemy to zrobić? Czy naprawdę możemy zobaczyć „Królową Śnieżkę”?

— Pewnie, że tak. Postaram się o to.

Kiedy zajechali przed dom, Teddy wyskoczył z samochodu i popędził do domu. Hayerford otworzył im drzwi i zdobył się na uśmiech, gdy młody pan Teodor wpadł jak burza do holu i omal nie zderzył się ze swoim ojcem. Przez chwilę Marielle zastanawiała się, czy Teddy powie Malcolmowi o Charlesie, ale chłopiec... bardzo się śpieszył, by zjeść obiad i przygotować się na przyjęcie. Był też zbyt podniecony myślą o „Królowie Śnieżce”, by pamiętać o dziwnym mężczyźnie, którego spotkali w Central Park. Zanim Mancie zdjęła płaszcz, Teddy był już w połowie drogi na drugie piętro.

— Gdzie byliście? — zagadnął żonę Malcolm.

Wrócił już z biura. Lubił w soboty wpadać do domu. Potem jednak wychodził do klubu, by zjeść obiad ze starym przyjacielem z Kalifornii. To był swego rodzaju rytuał, którego przestrzeganie sprawiało mu dużą przyjemność.

— Poszliśmy nad staw, ale był zamarznięty — odpowiedziała Marielle.

— Musiało być potwornie zimno — powiedział, patrząc na nią, a Marielle potaknęła.

— Wychodzisz? — zapytała, zastanawiając się, dokąd się wybiera.

— Tak — odrzekł i mocno ją pocałował w policzek. — Ale nie zapomnij o dzisiejszej kolacji u Whytesów.

Whytesowie organizowali przyjęcie z okazji Bożego Narodzenia. Marielle miała zamiar włożyć bajeczną suknię, którą Malcolm kupił jej u Madame Grés w Paryżu. Była z białego atłasu naszytego lśnącymi pająkami. Marielle chciała włożyć do niej diamentową kolia i kolczyki, srebrne pantofle i sięgające do ziemi gronostajowe (juro, które Malcolm ofiarował jej na urodziny. Wyglądała w tym stroju niezwykle szykownie.

— Czy na jutro wieczór też mamy jakieś plany?

Jej pytanie przypomniało Malcolmowi wiadomość, jaką zostawił tego ranka na jej biurku.

— Jutro rano wyjeżdżam do Waszyngtonu. Chcę przyjechać tam po południu. Wieczorem jestem umówiony na skromną kolację z ministrem handlu. Muszę być przygotowany na bardzo pracowity poniedziałek, który spędzę z ambasadorem.

Rzeczywiście, był tak przejęty tą podróżą, że zabierał ze sobą dwie sekretarki.

— Czy nie masz nic przeciwko temu? — zapytał.

Oboje wiedzieli, że i tak nie miałyby to żadnego znaczenia, gdyby była niezadowolona, ale zawsze się o to uprzejmie pytał, a Marielle równie uprzejmie brała udział w tej grze, udając, że „pozwala wyjechać mężowi”.

— Oczywiście, że nie. Jutro po południu mam randkę z twoim synem— idziemy zobaczyć „Królową Śnieżkę”. Spędzimy bardzo miły wieczór.

Uśmiechnęła się do męża. Sposób, w jaki ją traktował, sprawiał jej przyjemność i dawał poczucie bezpieczeństwa, zwłaszcza teraz, gdy zobaczyła Charlesa zachowującego się jak szaleniec.

— Jesteś pewna, że nie chcesz jechać?

— Tutaj będzie nam dobrze.

Marielle znowu się uśmiechnęła, a Malcolm pocałował ją w czoło.

Dał znak Patrickowi, że jest gotowy, i kierowca wyszedł z powrotem do samochodu, by zaczekać na niego. Hayerford podał Malcolmowi filcowy kapelusz.

— Do zobaczenia, kochanie. Życzę ci miłego popołudnia. Odpocznij wieczorem. Nie chcesz chyba dostać migreny.

Czasami Marielle myślała, że oni wszyscy traktują ją jak kalekę. Przez całe popołudnie czuła się jednak dobrze, mimo że spotkanie z Charlesem mogło przyprawić o ból głowy.

Widziała się z Teddym przed przyjęciem urodzinowym kolegi i po jego powrocie do domu. Wieczorem, zanim wyszła do Whitesów, poszła na górę, by znowu ucałować chłopca. Kiedy to robiła, panna Grinn mruzczała pod nosem, uważając widocznie, że Marielle widziała dziecko wystarczająco dużo razy jak na jeden dzień. Lubiła jednak pokazywać się Teddy'emu w wieczorowej sukni. On to uwielbiał. Wydawał „ochy” i „achy” na widok wszystkiego, co Marielle nosiła na sobie.

Suknia od Madame Grés wyglądała na niej fantastycznie. przylegała do ciała, podkreślając figurę; Malcolm, gdy ją zobaczył, powiedział, że wygląda jak bogini. Ściągała zachwycone spojrzenia gości na kolacji u Whytesów. Jej wygląd fascynował wszystkich. Większość mężczyzn powiedziała Malcolmowi, jakim jest szczęściarzem mając o połowę młodszą, niewiarygodnie śliczną żonę.

Tej nocy, gdy wracali do domu z przyjęcia, Marielle nie odzywała się. Malcolm znowu jej powiedział, jak pięknie wygląda. Podziękowała mu uśmiechem, ale myślała o Charlesie i groźbach, jakie rzucił w parku.

Uznała jednak, że to wściekłość go popychała do tego. Była pewna, że nigdy nie skrzywdziłby dziecka, niezależnie od tego, czyje to dziecko było. Był po prostu zawiedziony, że nie chciała się z nim spotkać, i nie wiedział, co mógł innego zrobić, aby ją zmusić. Mimo to Marielle była zadowolona, że zdecydowała się mu odmówić. Spotkanie roznieciłoby tylko stare płomienie i unieszczęśliwiło ich oboje. Gdyby sprawy ułożyły się inaczej, wcześniej powiedziała by Malcolmowi o swojej przeszłości, ale w tych okolicznościach wiedziała, że nie może tego zrobić. Malcolm nie przypuszczał, co znaczył dla niej kiedyś Charles. Nie wiedział o jego istnieniu ani o tym, że była jego żoną i miała dziecko, które zmarło, ani o powodach, jakie mógł mieć ten mężczyzna, by swój żal i gniew wyładowywać na Teddym.

— Wydajesz się zatroskana.

Malcolm zauważył zamyślenie Marielle, ale smutek jeszcze bardziej podkreślił jej urodę. Po raz pierwszy od dłuższego czasu Malcolm stwierdził, że jej pragnie. Zdziwiło go to pożądanie.

— Po prostu myślę — odpowiedziała.

— O czym?

— O niczym wyjątkowym.

— No cóż, dla mnie ty wyglądasz wyjątkowo.

Znowu się uśmiechnęła, wciąż pogrążona w myślach. Z sobie tylko wiadomych powodów Malcolm zdecydował się nie kontynuować rozmowy.

Gdy Marielle znalazła się w pokoju, jedna z pokojówek pomogła jej się rozebrać. Marielle schowała biżuterię i położyła się do łóżka. Leżąc myślała o Charlesie i o tym, co jej powiedział w parku... a kiedy już zasnęła, nie śniła o Andrć... ale o Teddym.

Rozdział IV

Następnego popołudnia Marielle zabrała Teddego na film „Królowna Śnieżka”, w Radio City Music Hall. Potem oboje poszli do Schrafft’sa na gorącą czekoladę. Wspaniale spędzili to popołudnie. Teddy powiedział, że uwielbia, kiedy panna Griffin ma dzień wolny, co sprawiło, że Marielle bardziej niż kiedykolwiek zapragnęła wyjazdu guwernantki. Przypomniała sobie, że musi koniecznie poruszyć znowu ten temat z Malcolmem, który wciąż uważał, że panna Griffin dobrze opiekuje się chłopcem i wpaja mu zasady dobrego wychowania. Według Malcolma najlepszymi guwernantkami na świecie były Angielki. Ale ani Marielle, ani Teddy nie myśleli o panie Griffin, kiedy wracali do domu.

Wieczorem Marielle wykąpała chłopca w swojej ogromnej wannie. Teddy był zachwycony kąpielą. Zrobili mnóstwo piany i łazienka pełna była baniek mydlanych.

Edith, rudowłosa Irlandka, wściekła się, gdy to zobaczyła. Powinna dziś w nocy posiedzieć z Teddym, ale już dawno miała zamiar ten wieczór spędzić z Patńkiem. Wybierali się na bożonarodzeniowe tańce do Irish Dance Hall w Bronksie. Namówiła już Betty, młodą pomoc kuchenną, by ta przyszła na górę i posiedziała z chłopcem w czasie nieobecności Edith. Po powrocie Edith miała dać dziewczynie pięć dolarów i pójść do łóżka w wolnym pokoju jecinnym. Nikt nie załatwiłby tego mądrzej. Tak więc nie była dowolona z bałaganu, jaki zrobiła Marielle i Teddy, oraz z faktu, że musiała sprzątnąć łazienkę przed wyjściem.

Niemożliwe było znalezienie kogoś innego, kto by to za nią zrobił.

Marielle zjadła kolację z Teddym w jego pokoju jadalnym „zanim poszedł spać, przeczytała mu opowiadanie. Gdy się położył, śpiewała mu kolędy i głaskała po włosach. Chłopiec zasnął, leżąc obok matki w swojej czerwonej piżamce. To było tak niepodobne do szybkich pożegnań na dobranoc i lodowatego powietrza w pokoju, dostającego się do pokoju przez otwarte przez pannę oórn okna.

Marielle zsunęła się łagodnie z łóżeczka, tak by nie obudzić dziecka.

Schodząc na dół do swojego pokoju zastanawiała się, czy rzeczywiście, tak jak mówiła panna Griffin, psuła chłopca, a jeśli tak, to czy to miało znaczenie. Ostatnio Marielle spędzała z nim dużo więcej czasu i wydawało się, że jest jej coraz trudniej zachowywać się w stosunku do niego z dystansem. Wyglądało na to, że jej dawne obawy przed zbytnim zbliżeniem rozwiąły się i teraz korzystała z każdej okazji, by pobyć z synem. A jeśli nawet go za bardzo kochała, to jaką szkodę mogłoby mu to wyrządzić? Jakie to miało znaczenie? Była tak szczęśliwa, że miała Teddy’ego. I nie chciała pozwolić sobie na myśl, że coś się może zdarzyć. Malcolm miał rację, że martwiła się zbyt wieloma sprawami. Najwyższy czas, by przestała się tak wszystkim przejmować.

Gdy leżała w łóżku z egzemplarzem „Rebeki”, z Waszyngtonu zadzwonił do niej Malcolm. Było już po dziesiątej. Powiedział Marielle, że spędził czarujący wieczór. Zjadł kolację z Harrym Hopkinsem, który za dwa tygodnie miał zastąpić Daniela Ropera na stanowisku ministra handlu. Malcolm wiedział o tym, chociaż wciąż nominacja ta była trzymana w tajemnicy. Na kolacji był także Louis Howe, prawa ręka prezydenta Roosevelta. Dużo rozmawiali o nastawieniu Roosevelta do Europy, który sądził, że wojna była nieuchronna, ale wciąż miał nadzieję, że przy odrobinie szczęścia można by jej uniknąć.

Ambasador Niemiec powiadomił Malcolma o tym, jak wspaniale układają się sprawy w Berlinie. Nie było wątpliwości, że niemiecka

armia rozszerzała zakres działania, ale ambasador zapewnił Malcolma, że jego inwestycje na tamtym terenie są bezpieczne. I kiedy Malcolm podał w wątpliwość zdanie przedstawiciela Niemiec, ambasador przyznał, że „noc kryształowa” w 1938 roku, kiedy to zorganizowano pogrom Żydów niemieckich, nie była najlepszym posunięciem, ale z drugiej strony to, co Hitler robił dla Niemiec, jeśli chodziło o przemysł, mogło zmienić świat na lepsze. Malcolm był bardzo przejęty możliwością współuczestniczenia w tych przemianach. Powiedział Marielle, jak niezwykle interesujące były rozmowy z Howem, Roperem i towarzyszącymi im

panami na temat ostatnich wydarzeń w Niemczech. Stwierdził, że widzi niezwykłą przyszłość przed Niemcami i ich sojusznikami. Marielle była wzruszona, że Malcolm zadzwonił do niej, by się podzielić swoją radością.

Wkrótce znowu wybierał do Niemiec i Marielle, jak zwykle, postanowiła zostać w domu z Teddym.

— A przy okazji, jak tam film?

Uwielbiał słuchać wiadomości o synu.

— Bardzo mu się podobał.

— Wiedziałem, że tak będzie. Słyszałem, że jest wspaniały. Może jeszcze raz go obejrzymy razem z nim.

Mimo że coraz rzadziej bywał w domu, wciąż lubił brać udział w ich zabawach i przyjemnościach. Marielle była tak słodka dla chłopca i, mimo nadmiernej troskliwości i ciągłych obaw o dziecko, była naprawdę dobrą matką.

Malcolm nagle ziewnął i Marielle uśmiechnęła się do siebie. To był ciężki dzień dla niego, nie tak relaksujący jak w jej przypadku. Ona poszła do kina i bawiła się, kąpiąc Teddy’ego. Kiedy kończyła rozmawiać z Malcolmem, usłyszała dziwny hałas w holu, jak gdyby ktoś uderzył w jakiś przedmiot, a potem kroki na schedach. Nasłuchiwała przez chwilę, ale znowu zapadła cisza, więc stwierdziła, że się przesłyszała.

— Lepiej prześpij się trochę — powiedziała Malcolmowi. — Z pewnością masz przed sobą kolejny ciężki dzień. Wracasz jutro wieczorem?

Gdy wyjeżdżał, oboje byli tak zajęci, że zapomniała go o to zapytać.

— Raczej we wtorek. Jutro wieczorem może zjem kolację z ambasadorem Niemiec, jeśli nie będzie zajęty. Po południu mamy spotkanie i wtedy zobaczymy. Ale w każdym razie myślę, że rozsądniej będzie, jeśli wrócę we wtorek. Zadzwonię jeszcze do ciebie.

— Więc wtedy porozmawiamy. I Malcolmie... powodzenia na spotkaniach...

Znowu nagle poczuła dla niego wdzięczność. Dał jej tak wiele i o tak mało prosił.

— Trzymaj się, Marielle. Kiedy wrócę, spędzimy razem miły wieczór

A wkrótce będzie Boże Narodzenie — ten magiczny okres, który miał ogromne znaczenie dla każdego z nich, odkąd był z nimi Teddy. Dla Malcolma, który nigdy przedtem nie miał dzieci, to było całkiem nowe życie. Nie mógł się doczekać chwili, kiedy wręczy chłopcu kolejkę i pokaże mu pokój specjalnie zbudowany do zabawy.

Marielle odłożyła słuchawkę. Leżała przez dłuższy czas w ciemnościach, myśląc o Malcolmie i jego wielu zaletach. Ale dwie godziny później w dalszym ciągu nie mogła zasnąć, bo cały czas wspominała Charlesa i to, co powiedział nad stawem. Modliła się, żeby nie zaczęła ją boleć głowa. Te ostatnie dni były bardzo dla niej trudne. Czasami bezsenność w nocy oznaczała, że rano dostanie migreny.

Postanowiła wstać. Uśmiechając się do siebie, cicho i bez pantofli poszła na górę na drugie piętro. Zamierzała dać jeszcze jednego całusa śpiącemu synkowi, dotknąć jego włosów i popatrzeć na niego przez chwilę przed powrotem do sypialni. Zauważyła, że ktoś upuścił ręcznik na schodach. Widocznie jedna z pokojówek była nieuważna. To było prawdopodobnie powodem hałasu, jaki usłyszała niedawno, jakby komuś zważyło się pranie po marmurowych schodach. Możliwe, że dziewczyna wpadła na jakiś mebel i upuściła trochę rzeczy. Marielle podniosła ręcznik i poszła w kierunku pokoju dziecinnego.

Z saloniku Teddy’ego i holu było przejście do trzech sypialni. Jedna należała do panny Griffn, druga była pusta i przeznaczona dla drugiego dziecka, którego nigdy nie mieli, zaś w największej spał Teddy.

Gdy Marielle przechodziła cicho przez salonik, usłyszała jakies

poruszenie. Pomyślała, że to chyba Edith w wolnym pokoju. Wiedziała, że panna Griffin już wróciła i prawdopodobnie śpi. Oficjalnie miała dzień wolny aż do niedzieli wieczór, tak więc Edith siedziała tej nocy przy chłopcu.

Ale gdy Marielle zrobiła krok w kierunku drzwi do sypialni Teddy'ego, potknęła się o nieoczekiwany przedmiot i wywaliła się jak długa na podłogę. Musiała powstrzymać się od krzyku, by nie obudzić dziecka. Przedmiot, o który się potknęła, wydawał się duży i miękki. Gdy chciała przeskoczyć nad nim, bosą i w kószuli nocnej, coś dotknęło jej nogi. Marielle krzyknęła krótko ze strachu. W pokoju było tak ciemno, że nic nie widziała. Nagle, zaraz obok niej, ktoś wydał niewyraźny, jakby zwierzęcy pomruk. Marielle była naprawdę przestraszona. Idąc po omacku wzdłuż ściany dotarła do stołu. Zapalając światło, zastanawiała się, co robi, gdy stanie twarzą w twarz z napastnikiem, ale nie miała zamiaru uciekać z pokoju i pozostawić swego dziecka bez opieki. Jednak to, co zobaczyła po zapaleniu światła, przeszło jej oczekiwania.

Betty, druga pomoc kuchenna, była zwinęta w kłębek, ręce i nogi miała związane sznurem, a w usta wepchnięty ręcznik, obwiązany dodatkowo linką. Jej twarz była czerwona, a po policzkach ciekły jej łzy. Zobaczywszy Marielle, nie była w stanie wydać innego dźwięku niż słaby jęk.

— O Boże... Boże... co się stało? — krzyknęła Marielle.

Z powodu szoku, jakiego doznała widząc związaną na podłodze i zakneblowaną dziewczynę, zapomniała, by mówić cicho, żeby nie obudzić Teddy'ego. Czy było tu włamanie? Walka? Nieproszony gość? Co się stało? I co robiła tutaj ta dziewczyna? Pracowała przecież w kuchni.

Marielle wyciągnęła ręcznik z ust Betty i próbowała rozluźnić sznur, cały czas zadając jej pytania. Ale więzy były mocne, a sznur gruby. Przez chwilę pomyślała, czy nie powinna ich przeciąć, ale rozhisteryzowana dziewczyna krzyczała chaotycznie i w końcu udało się Marielle ją uwolnić.

— Co się stało? zapytała dziewczyny, potrząsając nią, by się czegoś dowiedzieć. Gdzie jest Edith?

I gdzie była panna Griffin? Dziewczyna była zbyt rozhisteryzowana, by móc coś wyjaśnić. Jedyne, co mogła robić, to szlochać i rozkładać ręce. I nagle uczucie strachu wkradło się do • serca Marielle. Przebiegła obok dziewczyny do pokoju Teddy'ego i otworzyła z trzaskiem drzwi. Sprawdziły się jej najgorsze koszmary, Nie było dziecka i łóżeczko było puste. Nie został po nim żaden ślad, nie było wiadomości na poduszce, żadnej kartki z pogrózkami czy z żądaniem okupu. Po prostu nie było dziecka. Jego łóżko było jeszcze ciepłe, kiedy Marielle go dotknęła. Gdy zdała sobie sprawę z tego, co się stało, jej całe ciało zaczęło dygotać. Pobiegnęła z powrotem do Betty, która wciąż szlochała, rozcierając ręce i stopy i ciężko oddychając. Marielle zaczęła ją potrząsać.

— Co się stało? Musisz mi powiedzieć!

— Nie wiem... było ciemno... spałam na tapczanie, kiedy mnie chwycili. Wiem tylko, że słyszałam męskie głosy.

A]e gdzie jest Teddy, z rozpaczą myślała Marielle... na Boga, gdzie on jest?

— Co ty tutaj robiłaś?

Marielle krzyczała na dziewczynę, która tak bardzo płakała, że ledwo mogła mówić. Wiedziała, że teraz musi powiedzieć prawdę.

— Edith wyszła... na tańce..., poprosiła mnie, żebym z nią została... dopóki nie wróci... nie wiem, co się stało. Chyba było ich wielu. Położyli mi na twarz poduszkę i poczułam coś okropnego i potem chyba zemdlałam, a kiedy się obudziłam, byłam związana, a ich nie było, i to wszystko, co wiem, a potem pani mnie znalazła.

— Gdzie jest panna Griffin?

Czy to ona wzięła dziecko? Czy była do tego zdolna? Marielle pobiegła do pokoju guwernantki, czując, że za chwilę oszaleje. Nie było jej dziecka... ktoś je wziął... a ona nie wiedziała, kto ani dokąd... w głowie słyszała szept... czy Charles zrobił to, co powiedział w parku? Czy go wziął? Zrobiłby coś takiego? Po to, by się zemścić? Poczula się niedobrze, gdy otworzyła drzwi od pokoju panny Griffin. Guwernantka leżała związana i zakneblowana poszewką na poduszkę, którą miała owiniętą wokół głowy. Wszędzie czuć było chloroform. Kiedy Marielle zdjęła poszewkę, pomyślała, że starsza kobieta wygiąda tak, jakby nie żyła. Ale panna Griffin poruszyła się. Marielle zostawiła ją i pobiegła do telefonu. Wykręciła numer centrali, modląc się, żeby szybko odnaleźli Teddy'ego. Nieswoim głosem powiedziała telefonistce, kim jest i że natychmiast potrzebuje policji.

— A o co chodzi? — zapytała kobieta.

Marielle zawahała się przez moment a jej głos się załamał. Pomyślała o prasie, ale po chwili Wszystko jej było jedno.

Już kiedyś straciła dziecku i wiedziała, że nie przeżyje straty kotejnego,

— Proę.. proszę przysłać natychmiast polię... leciwo wydobyła z siebie te słowa, ale odzyskała spokój, gdy ypowiedñaJa to, co jest koszmarem dla każdej matki. — Tu pani Patterson. MÓJ syn został porwany.

Zaległa krótka cisza po drugiej stronie linii. Jednak telefonistka raz się ożywiła i zapisała adres.

Marielle drżącymi rękami odłożyła słuchawkę i popatrzyła na Betty, która siedziała na podłodze, przerażona tym, co się teraz stanie, pewna, że w jakiś sposób przez nią zniknął chłopiec. Przez dłuższy czas Marielle tylko stała.., myśląc o nim, jego maleńkiej twanyczce, miękkih lokach, które głaskała, O tym, jak śpiewała mu piosenkę na dobranoc zaledwie kilka godzin wcześniej. A teraz, o północy, już go nie było.

Usłyszała jęk, dochodzący z pokoju panny Griffin i pobiegła na pomoc. Wyciągnęła kaebel z ust guwernantki i zawołała Betty, żeby pomogła jej rozwiązać kobietę. Panna Chriffin była oszołomiona i zwymiotowała po ch3oroformje który jej dali. Kiedy w końcu była w stanie mówić, okazało się, że nie wie nic więcej o napastnikach niż Betty. Weszli do jej pokoju gdy spała. Wydawało jej się, że słyszała dwa męskie glosy, a może więcej. Zresztą mówiti niewiele, apotem została uspiiona chlorofoniem.

Słuchając jej, Marielie poczuła się jak sparalizowana, To było tak, jakby słuchała historii, która zdarzyła się komuś innemu. Trudno jej było pojąć, co się stało. Nagle usłyszała dzwonek i pośpieszyła na dół, wciąż bez pantofli i szlafroka. Zeszła po schodach jak duch we śnie.

Hayerford był zupełnie roztrzęsiony. Zdążył narzucić na siebie szlafrok, zanim przybyła policja i właśnie był w trakcie njaśniania, że wszystko jest w porządku i że to musi być jakieś nieporozumienie, policja nie jest tu wcale potrzebna.

Może to jest jakiś kawat albo pomyłka...

Wyglądał groźnie, jak gdyby policjanci popełnili przerażiive faux pas. Ak gdy Marielle, blada i z rozpuszczonymi włosami, biegła do nich po schedach, srało się jasne, że to nie jest żadna

I

pomyłka. Trzej poUcjanci stojący przy drzwiach i lokaj popatrzyli na nią ze zdziwieniem.

To nie pomyłka.

Stała między nimi, cała drżąca. Hayerford poszedł, by jej przynieść płaszcz do okrycia.

— Mój syn został porwany.

Policjanci szybko poszli z nią na górę do pokoju dziecinnego, a Uayerford za nimi. Zaszedł do sypialni Marielle, by poszukać pantofli i szlafroka. Kiedy znalazł się w pokoju

dziecinny, był zszokowany historią, jaką opowiadały dwie kobiety. Nie było wątpliwości. Dziecko zniknęło. Jeden z policjantów notował, podczas gdy pozostali dwaj naradzali się. Jeden z nich poszedł zadzwonić. Od czasu porwania dziecka Lindberghów wykroczenie tego typu nie było już tylko przestępstwem stanowym, lecz federalnym, FBI będzie się chciało z pewnością zająć się śledztwem.

Mężczyzna, który okazał się odpowiedzialny za sprawę, najpierw odbył rozmowę z Marielle. Upominał wszystkich, żeby w miarę możliwości nie dotykali niczego w pokoju, by nie zniszczyli odcisków palców, które mogli pozostawić porywacze. Wszyscy zrozumieli polecenie. Betty wciąż płakała, a guwernantka czuła się tak słabo, że Flayerford poszedł zadzwonić po lekarza.

Czy była jakaś kartka z żądaniem okupu? Jakaś wiadomość zostawiona gdzieś w pokoju? — zapytał starszy ołcer.

Był Irlandczykiem po pięćdziesiątce. Miał pięcioro dzieci i perspektywa utraty któregoś z nich przerażała go. Mógł sobie wyobrazić, jak się czuje Marielle. Patrząc na nią, zastanawiał się nad tym, co teraz przeżywa. Wyglądała na taką spokojną, opanowaną, prawie oziębłą. A jednak jej ręce trzęsły się okropnie, a całe ciało drżało, mimo że miała na sobie ciepły szlafrok, który przyniósł jej Flayerford. Wciąż była bez butów z rozpuszczonymi włosami i patrzyła jak ktoś, kto nie całkiem rozumie, co się stało. Widział już podobne reakcje, wiele razy, podczas pożarów, raz w czasie trzęsienia ziemi, wojny... po morderstwach... to był rodzaj szoku, który wprawiał umysł i ciało w odrętwienie, ale wcześniej czy później, ten szok tak ją powalał. Zabrano jej dziecko.

Marielle wyjaśniła, że nie było żadnej kartki, żadnej wiadomości, żadnego znaku oprócz pustego łóżka i dwóch kobiet, związanych i zakneblowanych przez napastników.

Policjant skinął głową i notował. W tym czasie wezwano więcej funkcjonariuszy do domu Pattersonów. W ciągu pół godziny dom był oświetlony i dwa tuziny policjantów przetrząsało rezydencję Pattersonów wewnątrz i na zewnątrz w poszukiwaniu jakichś śladów. Ale, na razie, niczego nie znaleźli.

Obudzono całą służbę i ustawiono w rzędzie. Sierżant O'Connor przesłuchiwał kolejno każdego, ale nikt niczego nie widział ani nie słyszał. Nagle Marielle zdała sobie sprawę że nie było pośród nich Patricia L. Edith, nigdy im nie ufała i podejrzewała, że z jakichś powodów nienawidziła jej. I teraz zastanawiała się, czy ta nienawiść mogłaby doprowadzić ich do porwania chłopca. [Trudno było w to uwierzyć, ale wszystko było możliwe. Należało to zbadać. Powiadomiła policję o ich nieobecności. Policyjne radia otrzymały rysopis dwójki skizujących oraz Teddy'ego.

Im szybciej go znajdziemy, tym będzie lepiej wyjaśnił sierżant O'Connor.

Nie chciał jej mówić, że wtedy przestępcy nie będą mieli czasu, by zrobić chłopcu krzywdę, wywieźć zbyt daleko czy nawet zabić go. Ale nawet ona pamiętała dobrze, że dziecko Lindberghów zostało najprawdopodobniej zabite tej samej nocy, kiedy je porwano.

Sierżant ostrzegł ją również, że po nadaniu przez radio komunikatu prasa natychmiast awi się.

Jeśli opublikowanie tej wiadomości mogłoby przyczynić się do szybkiego odnalezienia Teddy'ego, Marielle uznała, że było warte ryzyka. Wiedziała też, że musi zadzwonić do Malcolma, zanim usłyszy to przez radio lub przeczyta przy porannej kawie. Ale dom roił się od policji i nie zdążyła zadzwonić do niego przed przybyciem FBI.

Wszystko to było jak koszmar albo bardzo kiepski film. Policjanci biegali z góry na dół, otwierali na oścież okna, rozsuwali kotary, przesuwali meble, rozkopywali ogód, oświetlali krzaki reflektorami, zatrzymywali przechodniów i przepytывali służbę. To było tak nierealne, że Marielle miała ciągle uczucie, że nic naprawdę się nie zdarzyło, że to zły sen, z którego się przebudzi jutro rano. że okaże się jednym z tych okropnych koszmarów, jakie miewała cierpiąc na migrenę.

— Varii Patterson.

Sierżant O'Connor stał obok niej, otoczony przez pół tuzina mężczyzn w ciemnych garniturach. Wydawało się, że wszyscy mieli kapelusze, oprócz jednego, który widocznie był ich szefem: „soki, szczupły i poważny, około czterdziestu albo czterdziestu dwóch lat. Miał brązowe włosy i wydawało się, że przeszywa Marielle swoim przenikliwym wzrokiem. Gdy przyglądał się jej, wygiądał ra twardego faceta, który zawsze dostaje to, czego chce.

— Pani Patterson — powiedział sierżant O'Connor tak łagodnie, jak tylko mógł — to jest agent specjalny Taylor z FBI i został wyznaczony do pani sprawy. Jej sprawy... jakiej sprawy?... co się stało? Gdzie ona jest? Gdzie jest Malcolm?... i gdzie jest ich dziecko?...

— Milo mi.

Uścisnęła mu sztywno rękę, podczas gdy on przygotował się jej badawczo.

Był bardzo opanowany, jego twarz nie zdradzała żadnych emocji, gdy słuchał Marielle, która podawała mu szczegóły. Brat udział w dochodzeniu w sprawie Lindbergbów, ale wtedy zbyt późno powiadomiono o porwaniu FBI. Zanim to zrobiono, wszystko zostało tak sfuszerowane, że udział FBI nie miał już większego znaczenia. Porwania były specjalnością agenta Taytora. Teraz przynajmniej można było od początku zająć się sprawą, ale jak na razie nie było się na czym oprzeć. Szofer i pokojówka zniknęli; wysłano za nimi list gończy. Nie było żadnej kartki z żądaniem okupu, żadnych śladów, odcisków palców, opisu mężczyzn, niczego oprócz ich sposobu działania, chloroformu, faktu, że nie było dziecka.

Taylor wysłuchał wszystkiego z uwagą, coraz bardziej zaintrygowany nie tyle sprawą, ile tą kobietą. W jej oczach było coś przerażającego, jak gdyby w każdej chwili mogła stracić panowanie nad sobą. Wyraźnie trzęsły jej się ręce, ale oprócz tego wyglądała na całkowicie spokojną i opanowaną. Mówiła uprzejmie i rozsądnie. Ale przez moment złączyła się, że się załamie i zwariuje. Widział, że ledwo trzymała się na nogach i była śmiertelnie przerażona. Mimo to stojąc w szlafroku, bosa, wyglądała jak cesarzowa na balu, spokojna, nieosiągalna i niewiarygodnie piękna.

— Czy jest jakieś spokojne miejsce, gdzie moglibyśmy porozmawiać? — zapytał. Popatrzył wokół siebie na policjantów przetrząsających jej dom i na służbę, która stała i obserwowała ich.

— Tak.

Marielle zaprowadziła go do gabinetu Malcolma. To był ładny pokój wypełniony rzadkimi książkami. Stały tam skórzane kanapy i fotele oraz ogromne biurko Malcolma, przy którym pracował, biurko, za którym dopiero co siedział rano. Widok pokoju przypomniał Taylorowi, że nie widział jej męża. Gdy tylko usiedli, zapytał ją o niego. Marielle zadrżała.

— Wyjechał. Do Waszyngtonu. Rozmawiałam z nim na dwie godziny przed odkryciem... zanim poszłam na górę...

Nie mogła zmusić się do powiedzenia, że Teddy został porwany.

Czy już dzwoniła pani do niego?

Marielle potrząsnęła głową. Wyglądała na bardzo załamaną. Jak mu o tym powie?

— Nie miałam czasu — powiedziała cicho, czując nagle, że to wszystko była jej wina.

Taylor skinął głową, obserwując Marielle. Ta kobieta go intrygowała. Pochodził z zupełnie innego świata i nigdy nie spotkał nikogo takiego jak ona. Tak dystyngowanego, uprzejmego, a jednocześnie ciepłego i łagodnego.

Wyrósł w dzielnicy Queens w bardzo biednej rodzinie. Służył w piechocie morskiej podczas pierwszej wojny światowej. Wyszedł z niej cało i po jej zakończeniu wstąpił do FBI.

Pracował już tam dwadzieścia lat, niedawno obchodził swoje czterdzieste urodziny. Miał żonę i dwoje dzieciaków. Kochał bardzo swoją rodzinę, ale gdy siedział naprzeciwko Marielle, próbując skoncentrować się na sprawie, musiał przyznać, że nigdy nie spotkał kobiety takiej

jak ona. Nawet w szlafroku wyglądała arystokratycznie i dostojnie. Jej twarz była tak niewinna, a spojrzenie tak pełne bólu, że Taylor zapragnął wziąć ją w ramiona.

— Przykro mi, pani Patterson.

Dla dobra Marielle musiał zmusić się do ponownego myślenia o sprawie.

— Proszę mi o tym jeszcze raz opowiedzieć, dokładnie tak, jak to się zdarzyło.

Z początku zamknął oczy i słuchał jej, ale potem od czasu do czasu je otwierał i obserwował twarz Marielle, jak gdyby była sprzeczność w tym, co mówiła, coś nie w porządku, nieprawda, którą wyczuwał w tajemniczy sposób. Ale tutaj miał do czynienia

nie z kłamstwem, lecz z jakimś nieuchwytnym strachem. Czekał, aż skończy i potem zapytał: — Czy to wszystko? Może istnieje coś, co zwróciło pani uwagę, dzisiaj w nocy albo w ciągu ostatnich kilku dni... coś, co panią przestraszyło i teraz może się wydawać związane ze sprawą?

Marielle znowu potrząsnęła przecząco głową, nie chcąc dzielić się swymi przypuszczeniami z nieznanym człowiekiem.

— Czy jest coś, o czym chciałaby pani mi powiedzieć, zanim reszta świata o tym się dowie..., nawet pani mąż?

W innych wypadkach pytał o chłopaków, kochanków, przyjaciół, ale jakoś tutaj to nie pasowało. Marielle nie była takim typem kobiety...

— Czy istnieje ktoś w pani życiu albo istniał w przeszłości, kto mógłby zrobić pani coś takiego... przychodzi pani ktoś taki do głowy?

Tym razem zapadła bardzo długa cisza, po której Marielle z widocznym trudem pokręciła przecząco głową.

— Mam nadzieję, że nie — odpowiedziała.

— Pani Patterson... proszę dokładnie pomyśleć... życie pani dziecka może zależeć od informacji, jakiej mi pani udzieli.

I kiedy pomyślała o Charlesie, serce jej mocniej zabiło. Czy to możliwe, że wciąż pragnęła go chronić?... nawet gdyby to był on?... ale czy mogła ryzykować i nie powiedzieć agentowi Taylorowi?

Zanim odpowiedziała, sierżant O'Connor zapukał szybko i wszedł do pokoju, by ogłosić, że pokojówka i kierowca są w domu a dziecka niema z nimi.

— óazi oni są? — zapytał Taylor.

Był zirytowany. Wyczuł, że Marielle walczyła z samą sobą i miała zamiar powiedzieć mu o czymś ważnym.

— Są w jadalni i, słuchaj... — sierżant popatrzył znacząco na Taylora, a potem przepaszająco na Marielle. — Są kompletnie pijani, oboje, a ona ma na sobie potwornie zniszczoną suknię balową. — Znowu spojrział na Marielle. — Założę się o ostatni grosz, że to pani suknia i pani nawet nie wie, że ona ją ma na sobie.

Ale to wszystko wydawało się teraz mało ważne. Pytanie było, gdzie jest jej syn i kto go ma?

— Weź ich do kuchni i daj im tyle czarnej kawy, ile możesz

W

wlać w nich, dopóki nie wyrzygają. A potem mnie zawołaj — powiedział Taylor.

Policjant skinął głową i zniknął. John Taylor z powrotem skupił swoją uwagę na matce dziecka. Nagle oficer znowu się pojawił z miną, jakby miał coś ważnego do powiedzenia.

— Pani Patterson, zadzwoniliśmy do pani męża — oznajmił.

Nie była pewna, czy ma mu dziękować, czy nie. Czuli się winna, że sama nie zadzwoniła do Malcolma, ale doznała pewnej ulgi. Nie chciała, aby tę wiadomość usłyszał od kogoś nieznanego, nie miało to już jednak większego znaczenia. Marielle myślała teraz jedynie o tym, jak bardzo Malcolm kocha Teddy'ego.

— Co powiedział?

Była przestraszona, a O'Connor obserwował jej reakcję.

— Był bardzo zdenerwowany — odpowiedział.

Zerknął na Johna. Nie powiedział jej, że Patterson płakał przez telefon, ale nie poprosił o rozmowę z żoną. O'Connor pomyślał, że było to dziwne, choć między ludźmi ich pokroju czasami rzeczy przedstawiały się inaczej. To wszystko widział już wcześniej, począwszy od porwań, a skończywszy na morderstwach.

— Powiedział, że będzie tutaj rano.

— Dziękuję panu.

Gdy opuścił pokój, Marielle spojrzała znowu na agenta FBI.

Obserwując ją Taylor czuł, że miała mu jeszcze coś do powiedzenia. Zastanawiał się, jak bezpośredni może być w stosunku do niej. A jeśli skłamię albo zemdleje, albo będzie próbowała opuścić z wściekłością pokój? Ale Marielle nie zrobiła żadnej z tych rzeczy, tylko go słuchała. I obserwowała. Był potężnym, atrakcyjnym, bardzo przystojnym mężczyzną. Ona jednak nie zwracała uwagi na jego wygląd, tylko na to, co mówił.

— Pani Patterson. Czasami są rzeczy, o których nie chcemy powiedzieć ludziom, których nie znamy, rzeczy, do których nie chcemy się przyznać dotyczące nas albo tych, których kochamy... ale w wypadku takim jak ten, to całkiem co innego. Nie muszę pani mówić, co tu wchodzi w grę. Pani wie... my wszyscy wiemy. Czy przemyślałaby to pani łaskawie i zastanowiła się, czy nie powinna niniejsze pani o czymś jeszcze poinformować?

Zanim jednak Marielle mogła odpowiedzieć, Taylor opuścił pokój, obiecawszy wrócić, jak tylko porozmawia z Patrickiem i Edith.

Marielle została w kryjówce Malcolma, zastanawiając się, ile może powiedzieć Taylorowi. Doszła jednak do wniosku, że musi mu zaufać.

Kiedy Taylor wszedł do kuchni, Patrick i Edith byli jeszcze pijani, mogli jednak logicznie powiedzieć, gdzie spędzili noc, co robili i kto był z nimi. O'Connor zapisywał całą rozmowę, jaką przeprowadzał z nimi agent FBI. Patrick był oburzony, że poszukiwano go przez policję. Powiedział, że to może zrujnować jego reputację, o co ani O'Connor, ani Taylor nie troszczyli się przez moment. Obaj podejrzewali, że kierowca mógł być bardzo niemiły, kiedy miał okazję. Podobnie jak Edith.

— Dlaczego wyszłaś z nim dzisiaj w nocy? — Taylor zapytał dziewczynę.

Edith założyła nogę na nogę, starając się wyglądać seksownie w sukni, którą ukradła. Poprzedniej nocy nosiła ją na przyjęciu u Whytesów Marielle... Poprosiła Edith o wysłanie jej do czyszczenia. Pokojówka miała zamiar to zrobić, ale najpierw chciała ją trochę ponosić, tak jak robiła to z wieloma innymi sukniami. Nie

miała tylko odwagi, żeby „pożyczyć” futro z gronostajów.

— Czy nie powinnaś być na służbie?

— Tak, i co z tego? — odpowiedział za nią Patrick. Co za różnica, kto siedział z dzieciakiem? Gdyby to ona tam była, to też związane by ją i złapano jak kurczaka. I to za co? Za wszawą pensję, jaką nam dają?

Był wciąż, zbyt pijany, by zdawać sobie sprawę, że mógł zaszkodzić im obojgu swoim gadaniem. Ale Edith szybko trzeźwiała i wyglądała na zdenerwowaną.

— nie wiedziałam... powinnam... myślę... po prostu myślałam, że skoro niedługo święta...

— Skąd masz tę suknię?

— To moja Edith starała się nadrobić bezczelnością — Moja siostra mi ją uszyła. Taylor ze zrozumieniem skinął głową a potem usiadł naprzeciwko niej, jak gdyby znał ją lepiej niż rzeczywistości, i nie miał zamiaru kupować jej historyjki.

— ieśg póproszę panią Patterson, by tu przyszła, to zgodzi się z tobą, czy może powie, że to jej suknia?

Dziewczyna zwiesiła głowę i zaczęła płakać. Patrick zaś stawał się coraz bardziej wojowniczo nastawiony.

— O rany, ty becząca suko, dość tego... więc co... więc pożyczyłaś jej suknię. Przecież zawsze je oddajesz. Kurczę, nie myślcie, że pracowaliśmy dla Dziewicy Marii. I słuchajcie groźnie pokiwał palcem do Johna Taylora — nie kupujcie żadnej z tych bzdur tej świętej Madonny. Dwa razy w tym tygodniu widziałem ją z facetem. Raz nawet wzięła dzieciaka, więc nie wmawiajcie nam, że to nasza wina. Porozmawiaj z nią lepiej i zapytaj o tego chłopaka, którego całowała w kościele w piątek i wczoraj w parku, gdy była z Teddym. Twarz O'Connora pozostała kamienna, gdy to notował. John Taylor przyglądał się Patrickowi z zainteresowaniem. Wiedział, że jeśli nie będzie się odzywał, to usłyszy jeszcze więcej. J miał rację. Za niecałą minutę kierowca podał mu kolejne informacje.

— Jeśli o mnie chodzi, to facet wyglądał jak obłąkany. Wyzywał ją i wrzeszczał, wyglądało, jakby jej groził, nawet próbował ją pocałować. Biedny Teddy był nieprzytomny ze strachu. Jeśli o mnie chodzi, to ten łajdak jest szalony.

— Skąd wiesz, że to jej chłopak? — Taylor zapytał spokojnym głosem, ale jego spojrzenie było lodowate. — Widziałeś go z nią przedtem?

Patrick zastanowił się i pokręcił przecząco głową.

— Nie... tylko tego popołudnia w kościele i wczoraj w Central Park. Ale ona mogła go widywać kiedy indziej, a wyglądało na to, że on ją naprawdę zna. Nie zawsze pozwalała, żebym ją woził.

— Czy sama jeździ samochodem?

— Od czasu do czasu — Patrick zastanowił się znowu — Czasami chodzi na spacer. Nie robi jednak tego zbyt często. Myślę, że rozczuła się nad sobą. Ma bóle głowy.

To był z pewnością interesujący obraz, jaki namalował Patrick. Ale Taylor miał wrażenie, że w rzeczywistości Marielle jest silniejsza

— Czy widziałeś ją kiedykolwiek z innymi mężczyznami?

Patrick z wyraźnym żalem przyznał, że nie, z wyjątkiem tego jednego mężczyzny. Nagle Taylor zaskoczył go pytaniem, którego

kierowca się nie spodziewał

— Czy widziałeś kiedyś pana Pattersona z innymi kobietami?

Zapadła długa, dająca do myślenia cisza. Patrick popatrzył na wciąż szlochającą Edith.

Dziewczyna była pewna, że.. straci pracę

przez tę sukienkę, którą wzięła, i przejmowała się tym o wiele bardziej niż zniknięciem chłopca, którego miała pilnować.

John Taylor powtórzył pytanie w razie, gdyby Patrick potrzebował przypomnienia.

— Czy kiedyś widziałeś swojego pracodawcę z inną kobietą?

— Z żadną, którą bym pamiętał... oprócz jego sekretarek, oczywiście.

Ale po te wszystkie informacje Taylor mógł sięgnąć później. Jednakże sprawa „chłopaka” naprawdę go zaintrygowała. Marielle wydawała się na to zbyt opanowana, mądra, lojalna i zbyt przyzwoita. Ale nigdy nic nie wiadomo. Teraz musiał ją o to zapytać. Nienawidził robić takich rzeczy, wymuszać odpowiedzi, sprawiać ból. Ale cała ta sytuacja, która go tutaj sprowadziła, była bolesna. Warto było zrobić wszystko, by odnaleźć chłopca.

Taylor wstał i popatrzył z odrazą na kierowcę. Razem z dziewczyną tworzyli obleśną parę.

Mimo to instynkt podpowiadał mu, że nie mogli być zamieszani w porwanie. Możliwe, że wzięli łapówkę i w zamian za sto dolarów zostawili gdzieś otwarte drzwi. Ale nawet tego nie był pewien. Może po prostu wyszli korzystając z nieobecności pracodawców, ukradli sukienkę, pożyczili samochód, wymigując się od obowiązków wobec dziecka. Taylor wątpił, żeby

było w tym coś więcej. Na szczęście dla nich, bo inaczej z przyjemnością by ich przycisnęła do muru.

Powiedział O'Connorowi, żeby wypuścił Patricka i Edith. Rano znowu ich przesłucha. Obydwoje już stwierdzili, że nie widzieli niczego niezwykłego ani tej nocy, ani poprzedniego dnia. Jediną niezwykłą rzeczą, powtarzał Patrick, było spotkanie Marielle z jej „chłopakiem”. — I co ty na to? O'Connor zapytał półszeptem, zanim Taylor opuścił kuchnię.

Prawdopodobnie to wszystko kłamstwa ale zapytam ją.

— Nie wygląda na taką kobietę .

O'Connor potrząsnął głową. Może to ten facet zabrał dzieciaka. Gdyby była związana z kimś innym niż jej mąż, byłoby to możliwe. A nigdy nic nie wiadomo. Zawsze te najbardziej ciche zaskakiwały człowieka.

— Nie, nie wygląda — zgodził się Taylor.

Powiedział to prawie ze smutkiem. Ale jeśli to była prawda, to tym bardziej chciał z nią porozmawiać przed powrotem jej męża. Udał się do biblioteki. Gdy wszedł do pokoju zobaczył, że Marielle wciąż tam siedziała, prawie nieruchomo. Jednak wydawało się, że jeszcze bardziej się trzęsie mimo ciepła panującego w domu. Najwyraźniej była w szoku. Wbrew sobie Taylorowi zrobiło się jej żal.

— Chciałaby się pani napić czegoś mocniejszego albo herbaty?

— Nie, dziękuję — powiedziała smutno. — Czy coś wiedzieli? — zapytała go z nadzieją.

Taylor jednak pokręcił głową.

— Myśli pan, że jest to możliwe, żeby wzięli go i gdzieś zostawili, a potem wrócili? — zapytała.

Ta myśl przyszła jej do głowy, gdy siedziała sama w pokoju i teraz chciała się nią podzielić z agentem FBI.

— Możliwe, ale mało prawdopodobne. Jutro rano znowu będę z nimi rozmawiał, ale sądzę, że chyba po prostu wyszli, by potaćzyć i popić.

Był tak samo rozczarowany jak Marielle. O ileż prostsze byłoby, gdyby to oni wzięli chłopca.

— Nie cieszę się ich sympatią — powiedziała smutno.

Niewiele osób w domu Malcolma ją lubiło, ale wstydziła się powiedzieć o tym Taylorowi.

Tylko Malcolma uważali za swojego szefa. Chociaż Marielle była dla nich miła, oni w stosunku do niej byli zawsze chłodni, niegrzeczni i gburowaci. I nie wiedzieli, jak bardzo to ją raniło.

Żona Malcolma nie miała tak łatwego życia, jak mogło się to pozornie wydawać. Ile to razy była nieszczęśliwa i samotna podczas długich nocy. Taka sytuacja trwała od lat, jednak Marielle dochowała wierności Malcolmowi, była uczciwa wobec niego, zachowywała się zawsze przyzwoicie. Była dobrą matką dla Teddego, ale nikt tego nie doceniał. Czasami myślała, że nawet Malcolm tego nie zauważał.

Taylor obserwował jej twarz i zastanawiał się nad czymś.

Dlaczego pani myśli, że pani nie lubią?

Zgadzał się całkowicie z Marielle. Widział nienawiść w oczach Patricka i wyraz twarzy Edith, kiedy mówiła o jej sukience.

— Sądzę, że są zazdrośni. Większość z nich była już tutaj, zanim się pobraliśmy. Stałam się dla nich intruzem. Byli już

w pewnych układach z moim mężem, i oto nagle ja się pojawiłam,

a oni nie chcieli, by im przeszkadzano. W takim domu jak ten

każdy ma swój własny kąt; coś robi, czegoś pragnie, zrobił coś,

czego nie powinien, jednak nie chce, żeby to wyszło na jaw. Jestem

dla nich jak dokuczliwy ból głowy, a oni tego nie lubią. Coś, co przed chwilą powiedziała, przypomniało mu o jej

bólach głowy. Ta dziwna przypadłość utkwiała mu w pamięci i Taylor nie mógł powstrzymać się od myśli, w świetle wszystkiego, co widział i co powiedział kierowca, że ona i Malcolm nie byli szczęśliwym małżeństwem.

— Może ma pani rację — z rezerwą powiedział agent FBI. — A jak brzmi odpowiedź na pytanie, które postawiłem pani przed moim wyjściem?

— Nie mogę sobie nic więcej przypomnieć.

Bez względu na to, co Charles mówił w parku, trudno jej było uwierzyć, że byłby w stanie porwać Teddy'ego. Nie mógł mówić tego poważnie.

— Jest pani pewna?

Dwaj umundurowani policjanci zawędrowali aż do biblioteki. Taylor skinął na nich i poprosił o filiżankę herbaty dla Marielle i kawę dla siebie. Zrobiła się już trzecia rano i patrzenie jak dygocze sprawiło, że zrobiło mu zimno i poczuł się zmęczony.

— Czy coś już wiecie? — zapytała Marielle, powstrzymując się od płaczu.

Taylor potrząsnął głową. Wciąż nie mogła uwierzyć, że jeśli pójdzie teraz na górę, nie znajdzie tam Teddy'ego. Musiał tam być... ale w głębi serca wiedziała, że go tam nie ma. Policjant, który przyniósł herbatę, wyszedł, zostawiając uchylone drzwi od biblioteki. Taylor wstał, podszedł do nich dużymi krokami i zamknął je.

— Pani Patterson — powiedział powoli. — Chcę pani powiedzieć coś, co opowiedział pani szofer. Chcę to sam z panią

!r przedyskutować, ponieważ jeśli prasa dostanie te wiadomości w swoje ręce, zrobią z tego piekielną historię.

Marielle już wiedziała, o jaką historię chodziło, i może w pewnym sensie ulżyłoby jej, gdyby mu o tym opowiedziała.

— Pan Reilly mówi, że ma pani „chłopaka”.

Gdy Taylor to mówił, jego twarz nic nie wyrażała.

Marielle uśmiechnęła się. To było tak bezsensowne, że musiała się uśmiechnąć. Jednak wiedziała też, jak złośliwy jest Patrick, mogła więc wyobrazić sobie historię, jaką opowiedział.

— To interesujące określenie — powiedziała.

— Czy jest dokładne?

Marielle czuła, że naciska na nią. Chciał wiedzieć o niej wszystko, dla dobra życia jej dziecka. Musiał to robić, musiał być bezlitosny, choć trudno mu było wyzwolić się spod jej czaru.

Marielle westchnęła i spojrzała na niego.

— Nie, to nie jest dokładne określenie.

To zabawne myśleć o Charlesie jako o jej „chłopaku”.

— On jest moim byłym mężem. Nie widziałam go od prawie siedmiu lat, aż do przedwczoraj. Wpadliśmy na siebie w Katedrze św. Patricka.

Czy spotkanie było zaplanowane?

Marielle poważnie potrząsnęła głową, a sposób, w jaki na niego spojrzała, sprawił, że Taylor uwierzył jej. To spojrzenie było pełne smutku. Wyczuł, że nie było to pierwsze nieszczęście, jakie tę kobietę spotkało.

— Nasze spotkanie było całkowicie przypadkowe. On mieszkał w Hiszpanii... walczył przeciwko Franco.

— O Chryste, jeden z tych.

Taylor napił się kawy. Mimo że miał za sobą długą, bezsenność, musiał być ciągle czujny. Sam chciał z nią porozmawiać i usłyszeć całą historię przed powrotem jej męża.

— Czy jest komunistą?

Marielle ponownie się uśmiechnęła. Znowu kolejne śmieszne słowo na określenie Charlesa, mimo że nic teraz nie wydawało się już zabawne. Kiedy nie ma Teddy'ego, nie będzie już śmiechu... ani szczęścia... nie będzie niczego, dla czego warto by żyć... ale on wróci. Tym razem będzie inaczej. Musi być. Historia będzie miała szczęśliwe zakończenie.

— Nie sędzę, żeby miał rzeczywiście coś wspólnego z polityką. Po prostu spędza życie na walce z wiatrakami. Jest idealistą, marzycielem i pisarzem. Pojechał do Pamplony, by walczyć z bykami. Jest podobny do Hemingwaya. Myślę, że po prostu trafił na wojnę w Hiszpanii i przyłączył się do niej. Nie wiem. Od lat go nie widziałam. Od 1929 roku faktycznie nie byłam z nim..., nie miałam

z nim żadnego kontaktu od 1932 roku, kiedy to wróciłam do Stanów i poślubiłam Malcolma.

— Więc dlaczego teraz? Dlaczego nagle się tu znalazł? żeby się z panią spotkać?

— Nie — zaprzeczyła Marielle. — Obowiązki rodzinne. Jego ojciec jest bardzo stary, prawdopodobnie konający albo bliski śmierci.

— Czy zadzwonił albo napisał do pani po przyjeździe?

Marielle potrząsnęła głową.

— Myśli pani, że śledził parną? Jest zły, że wyszła pani powtórnie za mąż?

Marielle westchnęła i popatrzyła na Taylora.

— Nie wiem, czy mnie śledził, nie sędzę. Nie zadzwonił... ale tak... myślę, że jest zły, że wyszłam za mąż... i że mam Teddy'ego... nie wiedział o tym. W piątek powiedziałam mu o moim małżeństwie, ale... nie powiedziałam nic... o Teddym. I wczoraj w parku, zobaczył go.

— Wczoraj? — z zainteresowaniem zapytał Taylor.

— W Central Park. Poszliśmy nad staw, ale był zainarżnięty.

Taylor skinął głową. Chciał dowiedzieć się czegoś o tym drugim spotkaniu.

— Zgodziła się pani z nim tam spotkać?

— To znowu był zbieg okoliczności. Jego dom znajduje się tuż obok parku, naprzeciw przystani.

— Czy chciała się pani z nim tam spotkać?

— Nigdy o tym nie myślałam.

Marielle popatrzyła prosto na Taylora. Ciągle drżała.

— Myślała pani o nim?

Skinęła głową, i popatrzyła mu głęboko w oczy. Nie myślała o niczym innym od czasu, gdy spotkała Charlesa w kościele.

— Nie myśli pani, że dwa przypadkowe spotkania po siedmiu latach to trochę za dużo, by w to uwierzyć? Nie widzi go pani przez siedem lat i nagle pojawia się dwa razy w ciągu dwóch dni. Nie sądzi pani, że celowo pani szukał?

— Może.

To było możliwe. Zadawała sobie te same pytania.

— Czy chciał oś od pani?

Spojrzenie Taylora przenikało ją na wskroś.

Marielle zawałała się, a potem odpowiedziała:

— Tak... chciał się ze mną spotkać.

— Po co?

— Nie jestem pewna... żeby porozmawiać... porozmawiać o rzeczach, które już nie mają znaczenia. Teraz wszystko jest skończone... minęło..., wiele lat temu. Jestem żoną Malcolma... od sześciu lat... — głos jej się załamał.

Spojrzała żałośnie na Johna Taylora, który pojawił się w jej życiu w takiej okropnej chwili. Widziała go jak przez mgłę. Widziała jego twarz, słyszała jego głos, ale nie wiedziała, kim jest. Nic o nim nie wiedziała. Była odrętwiała i nieludzko przerażona na myśl, co mogło przydarzyć się Teddy'emu.

— Kiedy wyszła pani za niego za mąż? John zapytał łagodnie, ale wciąż dociekliwie.

— W 1926 roku... kiedy miałam osiemnaście lat...

Marielle popatrzyła śmiało mu w oczy i zdecydowała się powiedzieć całą prawdę.

— Mój mąż nie wie o tym, inspektorze. Myśli, że byłam „niegrzeczna” w Europie, kiedy miałam osiemnaście lat. Sądzę, że mój ojciec dał do zrozumienia wszystkim swoim znajomym, że miałam „poważny flirt z nieodpowiednim kandydatem na męża”. Nic więcej. Mój ojciec był marzycielem. W istocie, o czym doskonale wiedział, byłam mężatką przez pięć lat. Mieszkaliśmy w Europie. Próbowałam to wyjaśnić Malcolmowi, kiedy poprosił mnie o rękę, ale nie chciał o tym słyszeć. Powiedział, że każde z nas ma przeszłość i lepiej pozostawić ją nietkniętą i nieujawnioną. On słyszał historię, którą opowiadał mój ojciec, chcąc zaoszczędzić sobie kłopotów. Nie sądę, żeby kiedykolwiek przyznał któremuś ze swoich znajomych, że Charles i ja byliśmy małżeństwem. Mieszkaliśmy we Francji... — powiedziała z błędnym spojrzeniem. — I byliśmy bardzo szczęśliwi.

Gdy to mówiła, wyglądała jeszcze piękniej.

— I co się później stało? — Taylor zapytał głębokim i ochrypłym głosem, starając się skupić na relacji Marielle.

— Wiele rzeczy.

Wymykała się Johnowi, który natychmiast to wyczuł. Tylko jedna rzecz zniszczyła marzenia Charlesa i Marielle. Jedna rzecz. Jedno okropne popołudnie, o którym żadn z nich nigdy nie potrafiło zapomnieć.

— Pam Patterson Marielle muszę dowiedzieć się, co się stało..., dla twojego dobra... dla dobra Teddy’ego.

To, co mówił, dotarło wreszcie do Marielle. Oczy miała pełne łez, gdy na niego spojrzała.

— Nie mogę o tym teraz mówić. Nigdy nie mogłam...

Oprócz tej jednej rozmowy z lekarzem w klinice.

— Musisz.

Taylor był stanowczy, ale Marielle wciąż mu się opierała. Nie mogę.

Wstała i przeszła przez pokój. Przez dłuższy czas stała i wyglądała przez okno. Na zewnątrz było ciemno i gdzieś w tej ciemności był Teddy.

Odwróciła się, by spojrzeć na inspektora. Nigdy w ciągu swojego życia nie widział tyle cierpienia. Bardziej niż kiedykolwiek pragnął wyciągnąć rękę i dotknąć Marielle.

Przykro mi. Nie cierpię tego robić — powiedział. Nigdy przedtem nie mówił tego nikomu, ale nigdy też nie

pragnął tak żadnej kobiety. Była w niej czystość i łagodność, a jednocześnie kruchość, która budziła w nim ogromny niepokój.

— Marielle...

Pozwolił sobie mówić jej po imieniu nie pytając o pozwolenie, ale musiał zrobić wszystko, aby zbliżyć się do niej.

— Musisz mi powiedzieć.

— Nigdy nie powiedziałam mojemu mężowi... może gdyby wiedział..., gdybym mu powiedziała...

Może wtedy nigdy nie byłoby Teddy’ego ani nawet małżeństwa.

— Możesz mi powiedzieć.

Chciał, by mu ufała.

— A potem? Potem opowiesz prasie?

Przewiercała go spojrzeniem, ale Taylor potrząsnął powoli głową.

— Nic ci nie mogę obiecać. Ale daję ci moje słowo. Stanę na głowie, żeby zachować w tajemnicy to, co mi powiesz, chyba że będzie miało wpływ na bezpieczeństwo Teddy’ego. Zgoda?

Marielle skinęła głową w odpowiedzi i odwróciła wzrok, by popatrzeć na ogród.

— Mieliśmy syna, Charles i ja... małego chłopca, który nazywał się Andr...

Marielle czuła, jak ścisnęło jej się gardło, gdy wymówiła jego imię.

— Urodził się w jedenaście miesięcy po naszym ślubie... miał lśniące czarne włosy i wielkie niebieskie oczy. Był jak aniołek... mały, grubiotki cherubinek, którego uwielbialiśmy. Wszędzie go zabieraliśmy.

Znowu spojrzała na Johna i nagle poczuła, że musi opowiedzieć mu całą historię.

— Był taki piękny, i zawsze uśmiechnięty. Dokądkolwiek z nim szliśmy, ludzie od razu się z nim zaprzyjaźniali.

John obserwował ją, jak mówiła i nie podobał się mu ani wyraz jej oczu, ani sposób, w jaki opowiadała.

— Charles uwielbiał go... tak jak ja... i pewnego roku pojechaliśmy na Boże Narodzenie do Szwajcarii. Andrć miał dwa i pół roku. Spędziliśmy cudowne chwile, bawiąc się na śniegu. Zbudowaliśmy nawet bałwana.

Łzy zaczęły jej spływać po policzkach, łzy bólu. Taylor słuchał uważnie, nie przerywając.

— Jednego popołudnia Charles chciał iść w góry na narty, ale ja wolałam zostać w Genewie. Tak więc poszłam z Andr nad jezioro, rozmawialiśmy, bawiliśmy się. Jezioro było zamrożone, a na brzegu stała grupka kobiet z dziećmi. Zatrzymaliśmy się, żeby trochę porozmawiać. Wdałam się w rozmowę z jakąś panią o małych chłopcach w wieku Andr... Ledwo mogła mówić, ale nie przerwała opowiadania. Walcząc z każdym słowem, z trudem oddychała.

— Wiesz, jakie są kobiety, uwielbiają opowiadać o swoich dzieciach. Więc rozmawiałam z tą kobietą o tym, jak psotni są dwuletni chłopcy, i kiedy rozmawialiśmy... kiedy rozmawialiśmy...

Marielle dotknęła oczu drżącą dłonią. Nie zastanawiając się, Taylor wyciągnął do niej rękę, jak gdyby chciał jej pomóc, a ona przyłgnęła do niej mocno.

— .. podczas gdy rozmawialiśmy, Andrć wybiegł na lód razem z innymi dziećmi i nagle rozległ się okropny... okropny...

Ledwo mogła mówić dalej. Pokój wydawał się duszny. John jednak ścisnął jej dłoń tak mocno, jak mógł, i Marielle kontynuowała.

— . . . Rozległ się okropny, trzeszczący dźwięk... prawie jak grzmot... i lód zatrzęszczał... troje dzieci wpadło do... jednym z nich był Andrć... popędziłam na lód z innymi kobietami, a ludzie i(rzyczeli. Pierwsza dotarłam do dziury... wyciągnęłam obie dziewczynki... wyciągnęłam je — zaszlochała. — Wyciągnęłam je... ale nie mogłam wydobyć Andrć... próbowałam... tak bardzo próbowałam... próbowałam wszystkiego... nawet spuściłam się do wody, ale on wpadł pod lód, a potem go znalazłam...

Głos Marielle był zniekształcony przez ból i słuchając jej John Taylor płakał.

— Cały był siny i leżał w moich ramionach taki maleńki, zimny itaki nieruchomy....

Próbowałam wszystkiego... próbowałam sztucznego oddychania, rozgrzać go... przyjechała karetka i zabrali go do szpitala, ale...

Marielle spojrzała na Johna i oboje płakali nad małym chłopcem, który utopił się pod lodem w Genewie.

— Nie mogli go uratować. Powiedzieli, że zmarł w moich ramionach, kiedy go wyciągnęłam... ale nawet wtedy nie oddychał... skąd mogli wiedzieć, kiedy umarł? — I czy to miało jakieś znaczenie? To była moja wina..., powinnam go wtedy pilnować, a nie robiłam tego. Rozmawiałam z jedną z tych cholernych kobiet... o nim... i wtedy on odszedł... jedna chwila rozmowy z nimi i zabiłam moje dziecko...

— A Charles? — zapytał Taylor.

Zadał bardzo ważne pytanie, kluczowe dla niego. Ledwie ochłonął po tym, co przed chwilą usłyszał, ale z twarzy Marielle wywnioskował, że w tamtym strasznym dniu zdarzyło się coś więcej jeszcze.

— Oczywiście on uważał, że to moja wina. Zatrzymali mnie w szpitalu, zresztą i tak chciałam tam zostać... z Andrć... pozwolili mi go trzymać, bardzo długo. Tuliłam go do siebie. Ciągłe myślałam, że gdybym go tylko mogła rozgrzać, ale oczywiście...

— Co zrobił Charles, gdy dotarł do szpitala? — zapytał łagodnie Taylor.

Marielle popatrzyła na niego tak, jakby go nie widziała.

— Uderzył mnie..., mocno..., znowu i znowu..., potem..., powiedzieli..., myślałam..., że to nie ma znaczenia..., powiedzieli, że kiedy wskoczyłam pod łód...

— Co on ci zrobił, Marielle?

— Próbował mnie bić... powiedział, że zabiłam Andrć, że to wszystko była moja wina..., uderzył mnie... ale zasłużyłam nato... i...

Marielle dławiała się łzami i wydała dźwięk, jakiego John nigdy nie słyszał u innego człowieka. To był lament podobny do skowytu psa.

— ...straciłam dziecko...

Znowu spojrzała na Taylora. Tym razem objął ją ramieniem i przytulił mocno do siebie, pozwalając wyplakać się na swoim ramieniu. Trzymał ją przy sobie i, nie myśląc o tym, gładził jej włosy.

— O, Boże — nagle zrozumiał. — Byłaś w ciąży.

— W piątym miesiącu..., to miała być dziewczynka... zmarła tej samej nocy, tego samego dnia co Andrć.

Marielle przez dłuższy czas nic nie mówiła, tylko cichutko płakała, a John Taylor cały czas ją przytulał.

Tak mi przykro... tak przykro, że ci się to zdarzyło... i że znowu musiałaś przez to przejść opowiadając mi o tej tragedii.

Ale musiał to zrobić. Musiał wiedzieć, co ukrywała. Widział to w jej oczach, ale nie miał pojęcia, że będzie to takie straszne.

— Wszystko w porządku — powiedziała cicho.

Ale to nie była zupełna prawda. Nagle Marielle przypomniała sobie, że nie ma Teddy”ego... nie mogła już znieść tej strasznej myśli i wspomnień o tym, co się zdarzyło przed laty.

Dlatego właśnie John Taylor musiał odnaleźć jej synka.

— Wtedy nie czułam się dobrze. Przez długi czas. Sądzę... sądzę, że nazwałbyś to załamaniem nerwowym albo czymś podobnym. Charles chyba również zachowywał się, jakby postradał zmysły. Musieli odrywać go siłą ode mnie tamtej nocy w szpitalu.

Powiedziano mi, że upadł podczas pogrzebu Andrć. Nie wiem... nie pozwolili mi iść.

Umieścili mnie w prywatnej klinice w Villars i spędziłam tam dwadzieścia sześć miesięcy.

Charles zapłacił za mój pobyt, ale nigdy go nie widziałam. W końcu, zanim opuściłam klinikę, pozwolili mu się ze mną zobaczyć. Poprosił mnie, żebym do niego wróciła, ale nie mogłam. Oboje uważaliśmy przecież, że to ja zabiłam nasze dziecko, jeśli nie ich dwoje. Nie tylko pozwoliłam Andrć utopić się, ale wskoczyłam do lodowatej wody i zabiłam nie narodzoną córeczkę.

— A co miałaś zrobić? Pozwolić, żeby się topił?

— Nie, zrobiłam to, co musiałam, ale zrozumienie tego zajęło mi dwa lata i kolejne sześć, żebym nauczyła się z tym żyć —

• powiedziała z płaczem. — Myślę, że stwierdziłam..., że kiedy urodził się Teddy, Bóg postanowił mi przebaczyć. Okres, gdy byłam z nim w ciąży, był niezwykle ciężki dla mnie i zawsze uważałam, że to kara.

— To szaleństwo. Wystarczająco zostałaś ukarana. Co zrobiłaś, by na to zasłużyć?

Marielle uśmiechnęła się smutno do mężczyzny, z którym właśnie podzieliła się opowieścią o swoim losie.

• — Większość życia spędziłam próbując to zrozumieć.

Taylor ponownie dotknął jej dłoni. Nalał trochę brandy do filiżanki herbaty, którą popijała. Sam obsłużył się biorąc jedną z karafek Malcolma. Wciąż trudno mu było uwierzyć, że nigdy nie powiedziała o tym mężowi. Z jakim samotnym ciężarem musiała żyć. Nic dziwnego, że cierpiała na bóle głowy.

— A spotkanie w kościele? — zapytał, chociaż już się wszystkiego domyślał.

— To była rocznica..., śmierci dzieci. Zawsze tego dnia chodzę do kościoła i zapalam świece za ich dusze i za dusze moich rodziców. I nagle pojawił się tam Charles, jak zjawa. Taylor zastanawiał się, czy była to zjawa, na którą czekała Marielle. Był zafascynowany tą kobietą, wszystkim, przez co przeszła, a jednak przeżyła. Była o wiele silniejsza i bardziej dojrzała, niż się wydawało.

— Czy wciąż jesteś w nim zakochana? — chciał to teraz wiedzieć.

— Tak, przypuszczam, że zawsze pozostanie we mnie to uczucie do niego.

Była wobec niego szczerą, otwartą i czystą, niemal jak święta. Kiedy pomyślał o insynuacjach szofera, jakoby miała „chłopaka”, ścierpła na nim skóra.

— Ale teraz ta część mojego życia się skończyła.

Zabrzmiało to, jakby naprawdę tak myślała.

— A on, czego on chciał? Zebyś wróciła do niego?

— Nie wiem. Tylko przez chwilę widziałam go w kościele św. Patricka. Oboje byliśmy zdenerwowani, Powtarzał mi, ciągle, że to nie była moja wina, ale ja wiem, że nigdy tak nie myślał.

Oskarżał mnie o zamordowanie naszego syna, o to, że go nie dopilnowałam...

Marielle odwróciła głowę. Tym razem John zmusił ją, by napiła się brandy.

Rzeczywiście tak było. Miałam dwadzieścia jeden lat i popełniłam potworny błąd. Tylko przez chwilę rozmawiałam z tą kobietą, a on odszedł... Dziwi mnie, że Charles chce mi to przebaczyć, zważywszy na to, co myślał wtedy o mnie.

— Jesteś pewna, że chce?

Marielle szczerze spojrzała na inspektora. To było ważna sprawa.

— Nie wiem. Kiedy spotkałam go w piątek w katedrze, myślałam, że tak. Powiedziałam mu, że ponownie wyszłam za mąż. Sądzę, że był zdziwiony, może nawet niezadowolony, ale wydawało się, że to akceptuje. Ale następnego dnia, gdy spotkaliśmy go w parku... był wściekły z powodu Teddy'ego, wściekły, że ja mam dziecko... a on nie ma. Powiedział, że nie zasługuję na nie. Wydawało mi się, że mi grozi, ale myślę, że to były tylko słowa. Powiedział, że mógłby zabrać Teddy'ego, aby mnie zmusić do wyjazdu z nim.

John Taylor usłyszał to, czego chciał. Był prawie pewien, że mają swojego człowieka. Musieli go znaleźć. Dzięki Bogu, że mu się zwierzyła. Teraz przy odrobinie szczęścia odnajdą chłopca, zamkną jej byłego męża i zapomną o nim. O ile współczuł Marielle, że tyle wycierpiała, o tyle nie czuł żadnej sympatii dla Charlesa, który uderzył ją w szpitalu, kiedy była w ciąży, zamiast pocieszać, i oskarżył o zamordowanie ich dzieci. Zostawił ją na dwa lata w szpitalu i pozwolił, by przez resztę życia żyła ze świadomością, że to ona była winna śmierci ich syna. Taylor uważał, że ten facet zasłużył na karę.

— Myślisz, że mówił poważnie?

— Nie jestem pewna. Po prostu nie wiem. Nie mogę wyobrazić go sobie krzywdzącego kogokolwiek, nie mówiąc o dziecku. Ale nie jestem pewna, bo jego wściekłość i ból mogą go doprowadzić do takich szalonych czynów. Doszłam do wniosku, że nie mogę tego ukrywać przed tobą.

W końcu oskarżenia szofera, który stwierdził, że Marielle „ma chłopaka”, okazały się błogosławieństwem.

Była szósta rano, a sprawy nie posuwały się naprzód, nie odnaleziono żadnego tropu dotyczącego Teddy'ego, choć informacje podane przez Marielle mogły ułatwić poszukiwania.

John uważnie zapisał nazwisko i adres Charlesa i obiecał, że porozmawia z nim dyskretnie za kilka godzin. Jeśli będzie zadowolony z jego alibi i uwierzy w jego słowa, sprawa Charlesa DeJauneya będzie zamknięta. W przeciwnym wypadku przystąpi ostro do działania. W duchu miał nadzieję, że znajdzie jakiś ślad. Jedno było pewne: facet był głupcem i wyraźnie groził Marielle. Było całkiem możliwe, że zabrał chłopca po to, aby się zemścić za dzieci, które stracił i za których śmierć wciąż obwiniał była żonę, albo dlatego, że liczył na powrót Marielle. Ale Taylor obiecał nie mówić o tym ani prasie, ani FBI, ani też Malcolmowi, dopóki nie porozniawia z Charlesem Delauneyem. Jedyne to mógł zrobić dla Marielle, która była mu bardzo wdzięczna, doceniając jego starania.

Kiedy wyszli z biblioteki, była prawie siódma. Na dworze wciąż było ciemno. Stali w holu i rozmawiali jeszcze jakiś czas. John patrzył na Marielle, żałując, że nie może jej obiecać, że odnajdzie Teddy'ego. Jak nikt inny, zasługiwała na to. Miał uczucie, że jej małżeństwo z Malcolmem Pattersonem nie było niczym innym jak zwykłym układem. Teddy był wszystkim, co miała, a teraz jej go odebrano. Taylor zdawał sobie sprawę z tego, jak bardzo uwielbiała to dziecko. Było jasne, że nigdy nie zamierzała powrócić do Charlesa, co Taylor uważał za bardzo rozsądne. W rzeczywistości nie miała nikogo, kto mógłby jej pomóc. Trudno było zrozumieć, jak chłopiec mógł zniknąć tamtej nocy, bez żadnego śladu ani hałasu. Po prostu zabrano go z łóżeczka w czerwonej pizamce... i zniknął. Został porwany.

Rozdział V

po odbyciu długiej rozmowy z Johnem Taylorem, Marielle snuła się po domu jak duch. Najpierw wróciła do swojego pokoju, ale nie mogła tam długo wytrzymać. Wydawało jej się, że ściany ją okrążają, brakowało jej powietrza. Zupełnie nieświadomie znalazła się na schodach i, zanim sobie zdała sprawę, była w pokoju Teddy'ego. To było jedyne miejsce, w którym chciała być, tylko tam czuła go blisko siebie.

Nie była w stanie w to uwierzyć... zrozumieć. Kto to zrobił i dlaczego? Było jasne, że przyczyną musiały być pieniądze. W domu zostały już zamontowane dodatkowe linie telefoniczne i wszędzie było pełno policji. Czekali na telefon albo na list z żądaniem okupu. Dziennikarze intensywnie włączyli się w poszukiwanie śladów porywaczy. Użyto wszystkich typowych metod. Coraz więcej mężczyzn z FBI chciało porozmawiać z Malcolmem. Marielle czuła się teraz niepotrzebna. Nic nie mogła zrobić. Mogła się tylko modlić, żeby jej syn żył jeszcze.

Uklękła obok jego łóżeczka i położyła głowę. Wspominała uczucie, jakiego doznała dotykając Teddy'ego zaledwie przed paru godzinami, przed położeniem go do łóżka w jego małej, czerwonej pizamce z haftowanym niebieskim kołnierzykiem, uszytej przez parnę Griffln. Dręczyła ją myśl, czy nie jest mu teraz zimno, czy się boi, jest może głodny... czy ci ludzie są dla niego mili. Nie mogła znieść tego, że nie wie, gdzie jest jej dziecko.

Marielle zabrakło tchu, gdy tak klęczała. Nagle usłyszała dźwięk w pokoju i odwróciła się raptownie. Zobaczyła pannę GrifYin, która stała za nią, wciąż blada, ale jak zwykle sztywna w swoim ubraniu służbowym. Po raz pierwszy od tylu lat spojrzała z sympatią na

Marielle. Czują, że musi jej coś powiedzieć. Podobnie jak Marielle, z trudem wymawiała słowa. Jest mi...

Jej usta zadrżały i odwróciła głowę od Marielle. Nie mogła znieść widoku udręki, jaka malowała się na twarzy młodej kobiety. Qdzwierciedlała zbyt dokładnie to, co czuła panna Grimm.

— Jest mi przykro... powinnam..., powinnam usłyszeć... — Guwernantka wybuchnęła płaczem, gdy wypowiedziała dręczące ją słowa. — Powinnam była ich zatrzymać.

— Nie mogła niania wiedzieć... zresztą musiało ich być wielu — pocieszyła ją Marielle. Byli doskonale zaopatrzeni w sznury, chloroform i prawdopodobnie broń.

— Nie można się obwiniać.

Bez słowa podeszła do panny Griffin i objęła ją ramieniem. Stała obejmując starszą kobietę, jakby trzymała dziecko, które starała się pocieszyć. Jej zachowanie, pełne godności i serdeczności sprawiało, że guwernantce jeszcze bardziej było żal i wstyd, pamiętała bowiem dobrze, jak niemiła była zawsze dla Marielle. Uważała ją za tak słabą, rozpieszczoną, tak głupią. A teraz dojrzała w niej coś, czego nigdy się nie spodziewała: ukrytą siłę, którą inni wokół niej mogli z niej czerpać.

Obie kobiety stały przez dłuższy czas, bez słowa, podtrzymując się nawzajem.

Potem Marielle wyszła z pokoju Teddy'ego i udała się na dół, skąd dochodził jakiś hałas i słychać było podniesione głosy. Domyśliła się, że na zewnątrz są reporterzy: gdy otworzyły się drzwi wejściowe, próbowali siłą przepchnąć się przez kordon policji do domu.

— Tam jest!

Marielle usłyszała wrzask policjantów. Zastanawiała się, o kim mówią, i modliła się, aby ta osoba przyszła z pomocą.

Kiedy spojrzała przez poręcz, zobaczyła Malcolma. Wrócił do domu. Wyglądał tak dystyngowanie, błądy i poważny w swoim czarnym płaszczu, ciemnym garniturze i kapeluszu fHcowym. Gdy wchodził po schodach miał minę, jakby uczestniczył w pogrzebie. W połowie schodów spotkał Marielle, która wciąż miała na sobie szlafrok i była bosa. Objął ją ramieniem i stał tak przez dłuższy czas w milczeniu. W końcu weszli na górę i kiedy znaleźli się w jej sypialni, zapytał:

Jak to się mogło zdarzyć, Marielle? Jak mogli włamać się do domu i tak swobodnie się w nim poruszać? Gdzie był wtedy Hayerford? Gdzie były pokojówki? Gdzie była panna Griffin?

Marielle miała uczucie, że zawiodła go. To do jej obowiązków należało przecież opiekować się dzieckiem i domem. Zobaczyła w jego oczach naganę i ból, a spojrzenie, jakie jej przesłał, dotknęło ją do żywego. Nie miała żadnego usprawiedliwienia, żadnego wyjaśnienia. Nawet samej sobie nie była w stanie tego wyjaśnić. Ledwo mogła zrozumieć, co się stało.

— Nie wiem... ja też tego nie rozumiem... kiedy rozmawialiśmy przez telefon, usłyszałam hałas, ale nie myślałam potem o tym... nie przyszło mi do głowy, że ktoś jest w domu, ktoś poza służbą, to znaczy... nawet nie wiedziałam, że Edith wyszła...

Zwrócono już jej suknię, brudną, poplamioną, ze śladami szminki, cuchnącą papierosami i tanią whiskey. Ale nie dbała teraz o to. Zależało jej tylko na dziecku.

— Powiniennem był wynająć ochronę — powiedział Malcolm, wciąż patrząc z udręką na Marielle. — Nigdy nie myślałem... zawsze uważałem, że histeryzujesz, kiedy tak przeżywałaś porwanie dziecka Lindberghów... kto mógł wiedzieć, że miałaś rację?

Utkwił w niej wzrok.

Był załamany człowiekiem, pozbawionym nagle jedyne dziecko, a wraz z nim nadziei, szczęścia i wszystkiego, co dobre w życiu. Jakby się nagle postarzał; wydawało się, że tego wszystkiego nie przeżyje. Marielle poczuła, iż sama przez swoją lekkomyślność zniszczyła tego człowieka. A jednak to nie była jej wina..., nie była... a może tak? Trudno się było w tym połapać, tak samo jak przed laty. Nie wiadomo, czyja to była wina i dlaczego wydarzyły się te straszne rzeczy. Czy Andrć utopił się, bo wybiegł na lód? Dlaczego

była w stanie uratować dwie małe dziewczynki, a nie własne dziecko? Czy zabiła dziewczynkę, która miała się narodzić, bo zanurzyła się w lodowatej wodzie... a może to się stało, bo Charles ją uderzył? A teraz to porwanie... czy to była jej wina..., może Malcolma... albo kogoś innego? W roztargnieniu przesunęła ręką po rozwichrzonych włosach. Malcolm obserwował ją i uświadomił sobie, że wygląda, jakby straciła zmysły.

— Powinnaś się ubrać powiedział cicho, opadając ciężko na fotel. — Wszędzie jest pełno policji, a prasa tłoczy się na zewnątrz. Przez następne kilka dni będziemy musieli wydostawać się z domu przez ogród. — Spojrzał ponuro na Marielle. — Policja mówi, że nie było żadnego żądania okupu. Już dzwoniłem do banku i są gotowi wypłacić znaczne banknoty, kiedy porywacze zadzwonią albo prześlą list z żądaniem okupu.

To było wszystko, co mogli zrobić. Nagle Marielle poczuła ulgę, że Malcolm jest w domu. Zaopiekuje się nią, pokieruje dobrze sprawami. Zmusi ich do oddania Teddy’ego.

Marielle spojrzała na męża, czując bardziej niż kiedykolwiek, że go zawiodła. On nigdy czegoś takiego nie zrobił. Nigdy jej nie zawiódł. Nigdy. Ani razu przez te wszystkie lata, kiedy byli małżeństwem.

— Tak mi przykro, Malcolmie... nie wiem, co powiedzieć...

Skinął głową. Nie powiedział, że to jej wina, ale spojrzawszy na niego, Marielle zrozumiała, że ją tym obarcza.

Malcolm podniósł się wolno i podszedł do okna. Kiedy stał spoglądając na ogród, w którym zwykle bawił się Teddy, Marielle zobaczyła, że płacze. Bała się go pocieszyć, coś powiedzieć, spróbować dotrzeć do niego w jego bólu. Jeśli ją winił za to, że nie upilnowała Teddy’ego, co mogła mu powiedzieć na pocieszenie?

Gdy stała tak bezradnie, poczuła, jakby jakaś obręcz zaciskała się jej wokół głowy i przez chwilę miała wrażenie, że zemdleje. Malcolm odwrócił się i spojrzał na nią. Rozpoznał symptomy migreny. Wyglądała strasznie, ale nie był tym zdziwiony. Czuł się tak samo okropnie jak ona.

— Jesteś blada, Marielle. Boli cię głowa?

— Nie — skłamała.

Nie pozwoliłaby na to, żeby ktoś zobaczył, jak jest teraz słaba, nieodporna, załamana, jak się boi. Musiała być silna, dla Malcolma,

W

dla dziecka, dla nich wszystkich. Starła się utrzymać równowagę, walcząc z tak znajomą jej falą mdłości.

— Czuję się dobrze. Pójdę się ubrać.

Powinna się położyć, ale wiedziała, że nie zaśnie. Nie mogłaby znieść koszmarów.

— Porozmawiam z ludźmi z FBI powiedział Malcolm.

Zadzwoił już do kilku ze swoich znajomych do Waszyngtonu, którzy obiecali skontaktować się z J. Edgarem Hooyerem. W Waszyngtonie zapewniono Malcolmowi policyjną eskortę, dzięki której przyjechał tak szybko, jak pozwalał mu na to jego samochód marki Franklin Twelye. Zadzwonił do niego również wstrząśnięty ambasador Niemiec, by wyrazić mu swoje współczucie.

Byli bardzo mili powiedziała Marielle ledwo dosłyszalnym szeptem, mając na myśli FBI. Zastanawiała się teraz, co agent Taylor powie Malcolmowi o Charlesie. Ale jeśli miało to pomóc w odnalezieniu Teddy’ego, była gotowa znieść wszystko. Taylor obiecał jej, że jeśli będzie mógł, dochowa tajemnicy, ale nie wtedy, gdyby miało to zaszkodzić chłopcu. Marielle chętnie się na to zgodziła. Była gotowa poświęcić dla Teddy’ego siebie samą, swoje małżeństwo, życie.

Malcolm patrzył na nią długo i poważnie. Przez moment czuł się winny.

— Nie mam zamiaru cię obciążać winą, Marielle... wiem, że nie jesteś za to odpowiedzialna. Po prostu nie rozumiem, jak to się mogło zdarzyć.

Wyglądał tak ponuro jak człowiek, z którego uchodzi życie. Stracił miłość swojego życia, podobnie jak Marielle. Ona jednak nie mogła mu pomóc.

— Ja też tego nie rozumiem — powiedziała cicho.

Malcolm opuścił pokój. Marielle przebrała się w szarą kaszmirową sukienkę. Włożyła jedwabne, szare pończochy i czarne buty ze skóry aligatora. Uczesała się i umyła twarz. Modliła się, żeby ustąpił ten straszliwy ból głowy.

Ubrana, zeszła do kuchni, żeby zorganizować przygotowanie posiłków dla policjantów i ludzi z FBI kręcących się po domu. Okazało się jednak, że Hayerford już to zrobił. Kanapki podał na tacach, razem z owocami, ciastkami i ogromnym dzbanem parującej kawy. Kiedy wróciła na górę, zauważyła, że w jadalni podano gorące dania. Były jednak prawie nietknięte, gdyż mężczyźni byli ciągle tak zajęci, że żal im było czasu na jedzenie.

— Czy mogę w czymś pomóc? — zapytała dyżurującego sierżanta.

O'Connor wiele godzin temu poszedł do domu, a teraz przybyła kolejna grupa policjantów, by zastąpić kolegów. Marielle nie przypominała sobie, żeby któregoś z nich widziała ostatniej nocy. W dalszym ciągu zdejmowali odciski palców i czekali na telefon od porywaczy.

Nie tylko Marielle nie położyła się spać. Przechodząc obok biblioteki, zobaczyła Malcolma pogrążonego w rozmowie z dwoma

- ludźmi z FBI. Zerknął szybko na nią, a potem odwrócił wzrok. Przez chwilę zastanawiała się, czy rozmawiali o niej. Mężczyźni popatrzyli na nią dziwnie, gdy stała w drzwiach. Zaraz zresztą odeszła. Co mogli o niej mówić? Co tu było do powiedzenia? To nie była jej wina, że zabrano Teddy'ego... a może tak? Czy obwiniali ją z powodu Charlesa? Mieli rację? Może opowiadali o tym Malcolmowi?

Marielle znowu wróciła na dół do głównego holu i nagle zaskoczyły ją odgłosy straszliwej bójki. Z zewnątrz dochodziły podniesione głosy. Kiedy drzwi wejściowe uchyliły się na kilka centymetrów, nagle pół tuzina wrzeszczących obcych ludzi z oślepiającymi reflektorami znalazło się obok Marielle. Natychmiast wyrósł przed nimi jak tarcza rząd policjantów, którzy wypchnęli dziennikarzy na zewnątrz. Wymknęła im się tylko jedna, mała, rudowłosa kobieta. Była ładna, młoda i bardzo drobna. Miała na sobie śmieszny czarny kapelusz i bardzo brzydkie ubranie. Stała patrząc na Marielle tak, jak gdyby ją znała. Zanim Marielle mogła zorientować się, co się dzieje, rudowłosa istota zadała jej pytanie.

— Jak się pani czuje, pani Patterson? Wszystko w porządku? Czy są jakieś wiadomości? Czy miała pani jakieś wieści od małego Teddy'ego? Co pani czuje? Boi się? Myśli pani, że może już nie żyć?

Przez cały czas błyskały w oddali światła, oślepiając Marielle blaskiem i sprawiając ból podobny do tego, kiedy miała migrenę. Gdy usiłowała uciec, nagle jakiś potężny głos zaryczał obok niej i silne ręce odsunęły ją na bok. To był John Taylor.

— Wyrzućcie stąd tę kobietę!

Nagle rudowłosa postać zniknęła, drzwi wejściowe były znowu zamknięte i hałas gubił się gdzieś w oddali. Marielle uświadomiła sobie, że John Taylor podtrzymał ją prowadząc do fotela w holu. To wtedy właśnie, gdy wchodził do domu Pattersonów, dziennikarze siłą wepchnęli się razem z nim.

Cholerne męty. Następnym razem wejść przez kuchnię.

Patrzył na nią z widoczną troską. Wyglądał na zmęczonego, ale Marielle wyglądała jeszcze gorzej. Jeden z ludzi Taylora przyniósł szklankę wody i John podał ją Marielle. Upiła trochę i spróbowała uśmiechnąć się do niego, ale tym razem nie mogła powstrzymać się od płaczu. Ból głowy, gniew Malcolma, jej strach o Teddy'ego i zwykle wyczerpanie to było dla niej zbyt wiele.

I ta rudowłosa kobieta zadała jej takie okropne pytania. A co, jeśli już nie żył? Co, jeśli go zabili? Tak, bała się. Potwornie. I Malcolm wydawał się taki załamany i rozgniewany, kiedy wrócił.

Spojrzała na Johna Taylora i westchnęła. Było jej wstyd, że straciła panowanie nad sobą.

— Przepraszam.

— Za co? Za to, że jesteś człowiekiem? Ci dranie przyprowadzają mnie o mdłości.

Potem zniżył głos i popatrzył na Marielle. Dopiero co widział się z Charlesem Delauneyem.

— Czy możemy porozmawiać gdzieś na osobności? Może znowu w bibliotece? — zapytał.

Marielle potrząsnęła głową.

— Mój mąż tam jest. Rozmawia z twoimi ludźmi.

Zastanowiła się przez chwilę.

— Już wiem — powiedziała.

Poprowadziła Johna do małego pokoju muzycznego, którego nikt nigdy nie używał.

Wypełniony był starymi książkami, instrumentami i papierami Malcolma. Od czasu do czasu Brigitte używała go jako biura. Stało tam biurko, dwa krzesła i mała kanapa.

John ulokował Marielle na kanapie, a sam przysunął sobie

jedno z krzeseł. Przyglądał jej się przez dłuższą chwilę. Znał ją

zaledwie parę godzin, ale chciał wierzyć we wszystko, co mówiła,

i zaryzykować dla niej nawet swoją reputację. Nigdy nie spotkał

podobnej istoty. Była jak bohaterka książki albo snu, mająca

w sobie wewnętrzną siłę i doskonałość. Nie znał nikogo do niej

odobnego. A jednocześnie była niezwykle atrakcyjną młodą kobietą. I doznała krzywd od

dwóch mężczyzn, którzy wydawali się Taylorowi antypatyczni.

Delauney zrobił na nim wrażenie zepsutego, bogatego chłopca, alkoholika uzalającego się nad sobą, ludzającego się politycznymi ideałami, wciąż jęczącego z powodu tego, co zdarzyło się prawie dziesięć lat temu. Ciągle miał pretensję do Marielle, że odmówiła powrotu do niego po tym, jak ją prawie zabił. Taylor wyczuł, że Charles potrafi być porywczy i zwariowany, a może nawet niebezpieczny. I zdolny był do tego, aby porwać chłopca, dla zemsty. Taylor nie czuł też sympatii do Malcolma. Jak dotąd, znał go jedynie z artykułów prasowych, w których zawsze opisywano go jako człowieka chłodnego i nadętego.

— Czy coś się stało? — zapytała.

Coś gorszego niż do tej pory? Marielle zastanawiała się, czy to było możliwe.

— Słyszałeś o czymś?

Popatrzyła na niego ogromnymi oczami. Nagle przestraszyła się, ale John potrząsnął szybko głową, by ją uspokoić.

— Nie o Teddym — powiedział.

Czuł się tak, jak gdyby poprzedniej nocy podzielili się tajemnicami całego życia. Chciał zrobić wszystko, by teraz chronić Marielle. Przeszła przez wystarczające piekło, mimo to zaufała mu, a on nie chciał jej zdradzić. Ale nie chciał też narażać dziecka na niebezpieczeństwo. Martwił się.

— Spędziłem trzy godziny z Charlesem Delauneyem.

Marielle obserwowała go z ciekawością, zastanawiając się, co powiedział Charles.

— Powiedziałeś mi, że to wszystko wiesz ode mnie?

— Tak. Obwinia się albo tylko udaje tak mówiąc, że ogarnęło go szaleństwo po stracie dziecka i dlatego tak zareagował. Twierdzi także, że kiedy zobaczył cię z Teddym w parku, był jeszcze ciągle pijany. Mówi, że nie jest pewien, co powiedział, ale jest gotów przyznać, że trochę przesadził. Uparcie powtarza, że nie miał zamiaru nikogo skrzywdzić, zwłaszcza Teddy'ego.

— Wierzysz mi? — zapytała Marielle.

Szukała jego spojrzenia. Musiała znać prawdę i chciała uwierzyć Taylorowi. Ufała mu, było w nim coś głęboko prawego. Czowała, że jej nie zdradzi. Pamiętała, jak trzymał jej dłoń poprzedniej nocy i wziął w ramiona, gdy płakała, wspominając Andrzeja.

— I w tym właśnie tkwi problem — odpowiedział.

Ponownie na nią spojrzał i potrząsnął głową, przechylając się do tyłu na krześle.

— Nie wierzę, chociaż nie sądzę, że mógłby skrzywdzić chłopca. To nie jest taki facet, jak ten, który porwał dziecko Lindberghów. Ale myślę, że to zepsuty, młody człowiek i że zrobiliby prawie wszystko, żeby dostać to, czego chce — groźby, wymuszenie, może coś gorszego. Może wziął Teddy'ego, żebyś wróciła do niego. Może według niego to jest właściwy sposób. Nie jestem pewien. Nie wiem nawet, co sam myślę. Ale mogę ci powiedzieć, że chyba raczej mu nie wierzę. Jego opowiadanie, że był pijany, co mogłoby usprawiedliwiać jego groźby, nie przekonało mnie, kiedy tego słuchałem.

Podczas rozmowy z Taylorem Charles wodził dzikim wzrokiem, miał rozczochrane włosy, był nie ogolony i czuć było od niego zapach alkoholu. Wyglądał jak człowiek, któremu nie udało się życie i który był zdolny do potwornych czynów, wszystko w imię sprawiedliwości. Wplątał się w wojnę, która nie była jego wojną, tylko dla czystej przyjemności zabijania. Tak przynajmniej uważał John Taylor. Nie znał się na polityce, nie rozumiał, że mogą być szlachetne wojny, walki z bykami w Hiszpanii, nie rozumiał, jak można bić ciężarną żonę po stracie ich synka. Nie rozumiał takich ludzi. Jedyną osobą, którą rozumiał i o którą się troszczył, Bóg jeden wiedział, dlaczego, była Marielle. I jej chciał pomóc.

On mnie niepokoi i chcę, żebyś o tym wiedziała. To oznacza, że będziemy go śledzić.

Chciałbym wrócić i przeszukać jego dom. Ale to również oznacza, że mogę nie być w stanie dochować twojej tajemnicy, dlatego chcę cię ostrzec. Może sama zechcesz powiedzieć o tym wszystkim mężowi, zanim dowie się z innych źródeł.

Marielle skinęła głową. Była wdzięczna za ostrzeżenie. John przynajmniej pozwalał jej, by sama zdecydowała. Był wobec niej tak lojalny, jak przypuszczała.

Próbowała uśmiechnąć się do niego, ale głowa bolała ją tak bardzo, że nie była w stanie.

Nagle ból przeszył ją tak mocno, że skrzywiła się. John zauważył to.

— Dobrze się czujesz?

— Tak.

Te słowa nie miały już żadnego znaczenia, ale właśnie takich słów od niej oczekiwano.

— Lepiej prześpij się trochę. W przeciwnym razie załamiesz się, kiedy naprawdę będziesz potrzebna.

Marielle skinęła głową, ale nie wyobrażała sobie, że mogłaby zasnąć... zanim nie powróci Teddy. Jak będzie żyć bez niego? Nie mogła go dotykać, nie mogła trzymać go w objęciach; nie wiedziała, gdzie jest, czy jest bezpieczny, czy dobrze się z nim obchodzą... nagle zatęskniła do zapachu jego szyjki i włosów..., do jego śmiechu... tłusciutkich ramionek zarzuconych wokół jej szyi, spojrzenia, które mówiło jej, jak bardzo ją kocha. Jak przeżyje bez niego do czasu, gdy go odnajdą?

O mało co nie zemdlała na samą myśl o tym. Nagle poczuła silną dłoń na ramieniu.

— Marielle, nie myśl o tym, trzymaj się... odnajdziemy go.

Marielle skinęła głową i wstała. Uświadomiła sobie, że ma kilka bardzo trudnych rzeczy do powiedzenia Malcolmowi.

— Czy masz zamiar powiedzieć coś mojemu mężowi o Charlesie? — zapytała.

Była zakłopotana, ale nie potrafiła się tym przejmować. Jeśli sama będzie musiała mu powiedzieć, zrobi to. To było takie proste. Nie było czasu na ukrywanie czegokolwiek, gdy w grę wchodziło życie Teddy'ego.

— Powiem mu, że Charles Delauney, podobnie jak wiele innych osób, jest podejrzany. Nie mam pewności, czy coś zrobił. Musisz wiedzieć jednak, że go nie lubię. Nie podoba mi się, że

ci groził w parku. Oburza mnie również sam fakt, że był wściekły o to, że ty masz dziecko, a on nie. Myślę, że na swój sposób wciąż cię kocha. Mówi, że chce, żebyś do niego wróciła, i sądzi, że to jest wystarczający powód dla ciebie. Bo on tak chce.

Taylor nie powiedział Marielle, co Charles mówił o jej małżeństwie z Malcolmem, że to było oszustwo i pozory, wszyscy w mieście wiedzieli, że Patterson ma kochanki, ludzie mówili też, że Marielle żyła jak zakonnica, a Malcolmowi nie zależało na niej. Charles Delauney uważał, że to były wystarczające powody, dla których powinna opuścić męża. Powiedział też, że nie sądził, aby Marielle kochała Malcolma. Według niego wyszła za męża, bo była sama, bała się i źle się czuła po wyjściu z kliniki w Szwajcarii. Szukała ojca, a nie męża. Ale z drugiej strony nietrudno było zrozumieć jej decyzję, gdy się widziało Delauneya z jego dzikim wzrokiem i napadami szału.

Taylor zdawał sobie sprawę z uroku takiego mężczyzny jak Malcolm Patterson, a jednak rozumiał także, co przyciągnęło osiemnastoletnią dziewczynę do Delauneya. Charles to barwna osobowość, przystojny, dziki i romantyczny, ale, tak jak mężczyźni w jego typie, również niebezpieczny... tacy mężczyźni robili głupie rzeczy... na przykład bili swoje żony... albo grozili im i oskarżali. Ale czy porywali dzieci innych ludzi? Oto było pytanie. Taylor nie znał na nie odpowiedzi. Ale jedna rzecz była pewna: jeśli Charles to zrobił, to nie dla pieniędzy. I może dlatego nikt do tej pory nie wystąpił z żądaniem okupu. Mógł po prostu wynająć ludzi, by zabrali chłopca od Marielle i ukryli go. Ale co by z nim zrobił, gdyby już go miał?

John Taylor wstał i wyprowadził powoli Marielle z pokoju. Podziękowała mu za to, że uprzedził ją, iż będzie musiał powiedzieć o wszystkim Malcolmowi. Spojrzała zmartwiona ostatni raz na Johna. Wszystko było takie pogmatwane.

— Czy naprawdę sądzisz, że mógłby to zrobić? Mam na myśli Charlesa — zapytała. Trudno było w to uwierzyć. Zawsze był nieodpowiedzialny, ale nie do tego stopnia... nie mogła uwierzyć, żeby naprawdę zabrał Teddy'ego. Czyżby nienawidził jej tak bardzo? Trudno było to sobie wyobrazić.

— Nie wiem — szczerze odpowiedział Taylor. — Sam chciałbym znać odpowiedź. Marielle skinęła głową. Wrócili do rozgardiaszu panującego w głównej jadalni. Był tam człowiek z FBI i Malcolm, który miał ponurą minę. Marielle przedstawiła go Johnowi Taylorowi.

— Czekalem na pana — mruknął Malcolm.

Najwyraźniej Taylor nie zrobił na nim żadnego wrażenia.

— Byłem poza domem i rozmawiałem z ludźmi o tej sprawie — odpowiedział John.

Ani razu nie spojrzał na Marielle.

Obserwując Malcoma, John nie był pewien, czy Delauney nie ma jednak racji. Wydawało się, że Malcolm nie żywi specjalnie ciepłych uczuć do Marielle ani też nie stanowi dla niej jakiegoś

widocznego oparcia. Myśli tylko o sobie i własnym smutku z powodu utraty jedyne syna. Zamiast poprosić go o pomoc, Malcolm zażądał kategorycznie, żeby Taylor odnalazł dziecko.

— Jesteśmy przygotowani na otrzymanie żądania okupu, sir — powiedział John Taylor okazując szacunek, którego wcale nie miał dla tego człowieka.

Wiaściwie już wiedział, że go nie lubi.

— Ja także — powiedział Malcolm. — Departament Skarbu Stanów Zjednoczonych przyśle nam dziś znaczony banknoty.

— Musimy to załatwić bardzo ostrożnie — stwierdził Taylor.

Podobna rzecz doprowadziła do katastrofy w sprawie Lindberghów i John nie chciał, żeby tym razem coś poszło źle.

Chciałbym porozmawiać z panem po południu, jeśli będzie pan miał czas zwrócić się do Malcolma.

Chciał wiedzieć, czy Malcolm podejrzewa kogoś albo czy się boi. I tak samo jak w przypadku Marielle, chciał porozmawiać z nim na osobności. Pragnął jednocześnie dać Marielle trochę czasu na rozmowę z mężem o Charlesie Delauneyu.

— Teraz z panem rozmawiani — zmarszczywszy brwi odpowiedział Malcolm.

Spał w samochodzie w drodze z Waszyngtonu i był bardziej wypoczęty niż Marielle czy John Taylor.

— Obawiam się, że mam kilka innych spraw do załatwienia przed naszą rozmową — odrzekł agent FBI.

Przede wszystkim chciał wrócić do biura, wziąć prysznic, ogolić się, napić mocnej kawy i zastanowić trochę nad całą sprawą.

Prawdę powiedziawszy, nie dysponowali żadnymi poszlakami. Mieli jedynie Charlesa jako podejrzanego i zeznanie kierowcy, który rano przyznał, że ktoś zadzwonił do niego kilka tygodni temu i zaoferował mu sto dolarów. W zamian za tę sumę szofer miał wyjść z domu z Edith dokładnie tamtej nocy, kiedy porwano Teddy'ego. Patrick pomyślał, że ktoś chce zrobić żart Pattersonom. Poza tym od wieków planowali, że pójdą na irlandzkie tańce świąteczne w Bronksie, więc chętnie się zgodził. Tydzień temu przysłano sto dolarów w zwykłej kopercie, którą wsunięto pod drzwi kuchenne. Kierowca wyrzucił kopertę i wydał gotówkę, nie myśląc więcej o całej tej sprawie. Powiedział, że nie pozna głosu rozmówcy. Zwrócił jedynie uwagę na dziwny akcent, ale nie wiedział, czy to był angielski, czy może niemiecki. Patrick twierdził, że nie pamięta.

Ale nawet, zastanawiał się John, gdyby Delauney wziął dziecko, nie zrobiłby tego sam.

Jednak podobno tydzień temu Charles nie widział Marielle i nie wiedział, że jego była żona ma dziecko... a może wiedział? Czy to wszystko było sprytnie przemyślane? Może obserwował ją od tygodni? Miesiące? Czy otrzymywał informacje o niej, gdy był w Europie? Może od lat planował zemstę? Trudno było znaleźć w tym jakiś sens. Zbyt mało było dowodów i za wcześnie było na wnioski. Ale dlaczego rozmowa z nieznanym nie wydała się szoferowi podejrzana? Mogła przecież oznaczać, że ktoś planował włamanie albo napad na Malcolma czy Marielle. Dla Johna Taylora było jednak jasne, że kierowca nie przejmował się swoimi pracodawcami.

Malcolm był zirytowany, że Taylor nie może teraz z nim mówić. Wspomnił o swojej podróży do Waszyngtonu, żeby John zrozumiał, z kim ma do czynienia. Chciał mu dać do zrozumienia: zrób to dobrze, teraz, tak, jak ja chcę, albo pożałujesz tego. Problem był jednak w tym, że Taylor nie należał do mężczyzn, których można było zastraszyć. I nie miał zamiaru pozwolić, by Malcolm na niego naciskał.

— Porozmawiam z panem dziś po południu, sir. Powiedzmy około czwartej?

— W porządku. Zakładam, że pańscy ludzie wiedzą, gdzie pana znaleźć, gdyby wcześniej zadzwonili porywacze?

To był łagodny policzek przeznaczony dla Johna, aluzja do tego, że „znika”.

— Oczywiście.

— Bardzo dobrze. A tak przy okazji, czy może pan coś zrobić z tymi szakalami tłoczącymi się na schodach przed drzwiami?

— Obawiam się, że nie. Oni wszyscy myślą, że stojąc tam, bronią prawa do zgromadzeń. Mimo to możemy ich troszeczkę cofnąć i odciągnąć od domu. Powiem moim ludziom, żeby tego dopilnowali.

— Dobrze by było — powiedział Malcolm zamiast „dziękuję”, patrząc się wrogo na Taylora. John wyszedł, a Malcolm spojrzął na swoją żonę i zatnuczał:

— On mi się nie podoba.

— Jest miłym człowiekiem. Był bardzo uprzejmy dla mnie poprzedniej nocy.

Marielle nie powiedziała Malcolmowi, jak bardzo uprzejmy był Taylor podczas jego nieobecności. Zachowanie Johna wywarło na niej niezapomniane wrażenie.

— Na twoim miejscu byłbym bardziej nim zauroczony, gdyby odnalazł twojego syna. Pamiętaj o tym, Marielle.

Mówił tak, jakby ona o tym zapomniała.

Zastanawiała się, dlaczego Malcolm jest dla niej taki okrutny. Wiedziała, że jest zdenerwowany i wydawało się, że uważał, iż to była jej wina. A może tylko tak jej się zdawało? Czyżby znowu czuła się odpowiedzialna, tak samo jak w wypadku André i jej nie narodzonej córeczki? Czy zawsze musiała być wszystkiemu winna? Właśnie to poczucie winy wywoływało u niej bóle głowy. Poczucie winy oraz jej straszliwa bezradność, gdy zdarzało się coś złego, a ona nie mogła tego zmienić. Ale teraz nie mogła pozwolić sobie na myślenie o tym, co się wydarzyło, o tym, co może się przydarzyć Teddy'emu. Musiała być silna. Zdawała sobie sprawę, że, zanim po południu wróci John Taylor, musi porozmawiać z Malcolmem.

Możemy pójść na chwilę na górę? — zapytała Marielle.

Spojrzała nerwowo na męża. Malcolm zerknął na nią z dziwnym wyrazem twarzy, jakby zaproponowała mu pójście do łóżka. Trudno było w to uwierzyć.

— Muszę porozmawiać z tobą — dodała.

— To nie jest odpowiednia pora.

Nie miał ochoty z nią teraz dyskutować. Chciał oddzwonić do ambasadora Niemiec, który go wzruszył swoim telefonem zaraz po porwaniu Teddy'ego.

— Nie, pora jest odpowiednia. To jest ważne, Malcolmie.

— Nie może poczekać? — zapytał, chociaż z jej spojrzenia wynikało, że mówi poważnie.

Właściwie Marielle zadziwiła go. Jak na kobietę, która pozornie załamywała się za każdym razem, kiedy napotykała w życiu jakieś najmniejsze trudności, nadzwyczaj dobrze znosiła ten kryzys. Oczywiście, była zmęczona i blada, ale sprawiała wrażenie opanowanej i rozsądnie myślącej. Wyglądało na to, że oprócz nerwowego drżenia rąk, które nie uszło uwadze Malcoma, Marielle kontrolowała swoje emocje. Jednak Malcolm nie widział potwornej sceny, jaka zdarzyła się tego ranka w pokoju chłopca, jak płakała, tuląc do siebie pluszowego misia Teddy'ego. Nie zdawał sobie sprawy, jak wielki strach paraliżował jej gardło za każdym razem, gdy pomyślała o synku. Ale Marielle walczyła z tym, bo wiedziała, że musi. W przeciwnym razie poddałaby się i całkowicie załamała.

— Malcolmie, pójdziesz ze mną na górę? — nalegała.

— W porządku. Będę tam za chwilę.

Marielle czekała na niego w swojej garderobie i chodziła po małym pokoju. Nie wiedziała, od czego zacząć, co powiedzieć. Żałowała, że nie zmusiła go do wysłuchania tego wszystkiego, zanim się pobrali. Wtedy nie chciał o tym słyszeć, ale teraz musiał.

Malcolm przyszedł pół godziny później w momencie, gdy Marielle miała zejść na dół po niego. W końcu pojawił się. Wydawał się ogromny w małym pokoju. Wziął krzesło i popatrzył na Marielle z widocznym rozdrażnieniem.

— W porządku, Marielle. Nie wiem, o czym możesz chcieć ze mną teraz rozmawiać. Mam nadzieję, że o czymś ważnym, co ma związek z Teddym.

— Możliwe, chociaż mam nadzieję, że nie ma powiedziała cicho, siadając na małej sofie naprzeciwko Malcolma.

Dziwne, jak byli sobie obcy, nawet w tak kryzysowej sytuacji. Nagle wydało się Marielle, że przepaść między nimi powiększyła się.

To ma związek ze mną i myślę, że jest ważne. Kilka lat temu, kiedy pobieraliśmy się, powiedziałam ci, że pewne sprawy związane ze mną mogą ci się nie podobać, a ty odparłeś, że to nie ma znaczenia, bo każdy ma przeszłość. Uważałeś, że najlepiej nie nawiązywać do niej, ale, według mnie, winnam ci była wyjaśnienie.

Marielle westchnęła. Z trudem oddychała, ale wiedziała, że musi mu to powiedzieć. I tym razem Malcolm jej słuchał.

Pamiętasz to? zapytała go cicho.

Na chwilę jego wzrok złagodniał. Marielle tłumaczyła sobie, że może był dla niej tak okrutny, bo sam cierpiał. Może utrata Teddy'ego była dla niego tak wielkim szokiem, że nie był w stanie pocieszyć Marielle, podobnie jak ona i Charles nie mogli się pocieszyć wzajemnie dziewięć lat temu. Czasami, kiedy wspólne cierpienie jest zbyt wielkie, można tylko walczyć w samotności. Marielle zastanawiała się, czy tak właśnie było teraz i może, mimo wszystko, nie czynił jej odpowiedzialną za porwanie dziecka. Ale musiała dalej opowiadać. — Pamiętam — odpowiedział Malcolm. — Ale co to ma wspólnego z tym, co się teraz dzieje? Albo z Teddym?

W jego oczach było oskarżenie. Marielle zmusiła się, by nie zwracać na to uwagi.

— Nie wiem. Nie jestem pewna. Ale muszę powiedzieć ci to, co wiem.

Odetchnęła głęboko i kontynuowała, nie zdając sobie sprawy z tego, jak bardzo była teraz piękna.

Mój ojciec powiedział swoim najbliższym przyjaciołom, że kiedy miałam osiemnaście lat, podczas wycieczki do Europy, przeżyłam młodzieńczy flirt i trochę zaszalałam. Powiedział wszystkim, że zdecydowałam się tam zostać i studiować w Paryżu. Zgoda, było w tym trochę prawdy, ale niewiele. Przeżyłam coś więcej niż flirt. Uciekłam z Charlesem Delauneyem. Jestem pewna, że musisz znać jego ojca.

Malcolm skinął głową. Znał go lepiej niż jej własnego ojca. Ojciec Charlesa był stetrycznym, starym człowiekiem, ale przebiegłym i z ogromną fortuną. Nigdy nie spotkał jednak jego syna. Mówiono, że był renegatem i pisarzem, że kiedy miał czternaście czy piętnaście lat uciekł z domu na wojnę i potem pozostał w Europie. Stary Delauney mówił, że jego syn nie był nic wart. To wszystko, co o nim słyszał Malcolm. Teraz wyglądało, że jest oszołomiony wyznaniem Marielle.

— Kiedy miałam osiemnaście lat, wyszłam za niego za mąż. Kiedy skończył się nasz miesiąc miodowy, moi rodzice chcieli unieważnić małżeństwo, ale okazało się, że jestem w ciąży. Tak więc rodzice pojechali do domu, a ja zostałam. Małżeństwo nigdy nie zostało unieważnione. Mieliśmy chłopca... —mówiaco tym Marielle usiłowała nie rozplakać się.

Po tych wszystkich latach opowiadanie tej historii dwa razy w ciągu jednego dnia było dla niej ogromnym przeżyciem. Ale wiedziała, że musi o tym powiedzieć Malcolmowi.

Zniknięcie Teddy'ego zmieniło wszystko.

— Nazywał się André — powiedziała, dławiąc się łzami. — Wyglądał tak samo jak Teddy, tylko zamiast jasnych włosów, takich jak twoje, miał bardzo czarne.

Marielle starała się uśmiechnąć, ale Malcolm nic nie odpowiedział. Nie uważał tego opowiadania za zabawne. I Marielle wiedziała, że, mówiąc mu o swoim życiu, musiała trzymać się faktów. Po co miał wiedzieć, jak bardzo kochała André, jak rozpaczliwie kochała wtedy Charlesa albo jak straszne było jej życie po śmierci synka. Powinna mu tylko powiedzieć, że chłopiec zmarł i że Charles, po zobaczeniu Teddy'ego, oszalał. Musiał usłyszeć to od niej, by nie pomyślał, że chroni Charlesa. Jediną osobą, którą chciała teraz chronić, był Teddy. I jeśli mieli go odnaleźć, Malcolm musiał o tym wszystkim usłyszeć.

— Umarł, kiedy miał dwa lata... w Szwajcarii. Byłam wtedy w ciąży z kolejnym dzieckiem, które też zmarło.

Malcolm zaniepokoił się.

— W jaki sposób? — zapytał.

— André utopii się.

Marielle zacisnęła oczy i próbowała odzyskać spokój, ale w odróżnieniu od Johna Taylora, Malcolm Patterson nie zbliżył się do niej.

Wybiegł na jezioro... było zamrożone... i wpadł pod lód... razem z dwiema dziewczynkami. Uratowałam je.

Mówiła to prawie jednostajnym głosem, starając się nie widzieć znowu twarzy André, nie czuć jego lodowatej buzi obok swojego policzka, gdy próbowała ożywić go, starając się nie czuć zapachu jego ciała, który tak uwielbiała... tak jak zapach Teddy'ego... i jeśli Teddy też umrze... jak to przeżyje? Malcolm przyglądał się żonie.

— Nie mogłam go dosięgnąć. Był pod lodem — wyszeptowała.

Po chwili znowu jej głos odzyskał siłę. Mówienie Malcolmowi o tych zdarzeniach przypominało wchodzenie pod górę i Marielle wydawało się, że w pokoju coraz bardziej brakuje powietrza.

— Charles zawsze uważał, że jestem za to odpowiedzialna. Twierdził, że to była moja wina, ponieważ nie pilnowałam go. Obserwowałam go, ale rozmawiałam wtedy z kimś... z matką tych dwóch dziewczynek... ona powiedziała, że to nie moja wina, ale przypuszczam, że nie miała racji. Charles też tak myślał. Tamtego dnia zjeżdżał na nartach i kiedy wrócił, próbował mnie zabić... a może i nie... może był po prostu nieprzytomny z bólu... w każdym razie, po tym, jak mnie bił, straciłam również drugie dziecko, z którym byłam w ciąży.

Prawdopodobnie i tak bym je straciła

z powodu lodowatej wody. Wskoczyłam pod lód, żeby wyciągnąć André.

Malcolm pokiwał głową. Wbrew sobie samemu zbladł, słuchając Marielle. Był zahipnotyzowany potwornością tego, co mu powiedziała.

— Charles zawsze uważał, że to ja zabiłam oboje dzieci, że to przeze mnie je straciliśmy. A ja... ja... jej głos załamał się i nie mogła dalej mówić.

Spuściła głowę, a potem popatrzyła na Malcolma. Na jej twarzy widać było udrękę, a w oczach strach.

— Przypuszczam, że nazwałbyś to załamaniem nerwowym. Byłam w szpitalu... w klinice... w sanatorium..., przez ponad dwa lata. Miałam dwadzieścia jeden lat, kiedy to wszystko się zdarzyło. Próbowałam zabić się kilka razy.

Marielle zdecydowała się powiedzieć mu o tym. Miał prawo teraz znać prawdę. Nie mogło być mowy o kolejnych tajemnicach.

— Nie chciałam żyć bez Charlesa i moich dzieci. Zrobiłam wszystko, co mogłam, żeby umrzeć, a lekarze zrobili wszystko, co mogli, żeby mnie uratować. W czasie całego mojego pobytu w szpitalu nie widziałam Charlesa... a właściwie widziałam go raz w pierwszym roku. Przyszedł, żeby mi powiedzieć, że zmarł mój ojciec, kilka miesięcy po śmierci mojego synka. Mówiono, że zabił go wstrząs spowodowany krachem na giełdzie i przypuszczalnie to była prawda... nie powiedzieli mi, że moja matka popełniła samobójstwo sześć miesięcy później. Sądzę, że bez taty i beze mnie, czuła się...

Jej głos znowu się załamał. Mimo że nie dokończyła zdania, Malcolm zrozumiał, co chciała powiedzieć.

— Nie wiedziałam o tym przez następny rok. Po dwóch latach kuracji stan mego zdrowia polepszył się. Lekarze powiedzieli mi, że mogę opuścić klinikę, że muszę wrócić do świata i żyć z tym, co się wydarzyło. Powiedzieli, że to nie była moja wina, że nie byłam odpowiedzialna, a jeśli Charles nie zgadzał się z tym, to sam musi sobie poradzić z tym problemem.

MarieHe znowu głęboko odetchnęła. Patrząc przez okno nieobecny wzrokiem, wydawała się troszkę spokojniejsza.

— Przyszedł do mnie, zanim opuściłam szpital. Powiedział mi, jak bardzo żałuje tego, co zrobił, był wtedy nieprzytomny z bólu. Teraz nie uważa, że to była moja wina. Ja jednak widziałam w jego

oczach, że to nie była prawda. Wciąż wierzył, że to ja zabiłam dzieci. A ja go ciągle kochałam.

Spojrzała szczerze na Malcolma.

— Zawsze go kochałam, ale wiedziałam też, że jeśli z nim zostanę, to zawsze będę się czuła winna. I istniałaby między nami przeszkoda me do pokonania. Nie mogłam do niego wrócić. Potrzebowałam samotności, tak więc opuściłam szpital i wróciłam do Stanów. Wtedy widziałam go po raz ostatni. A potem spotkałam ciebie — westchnęła — i byłeś dla mnie taki dobry. Dałeś mi pracę i zrobiłeś tyle dobrych rzeczy. Zaopiekowałeś się mną i zawsze byłeś dla mnie miły. A potem pobraliśmy się. Tak naprawdę, to nigdy nie chciałam ponownie wychodzić za mąż. Nie uważałam, żeby to było w porządku w stosunku do tej drugiej osoby... miałam tyle na sumieniu. Ale wydawało się, że ciebie to nie obchodziło... a...

Marielle poczuła się nagle winna.

— Ja nie miałam nikogo... i czasami byłam tak przestraszona. A przy tobie czułam się bezpieczna... sądziłam, że i ja mogę być dobra dla ciebie... i może uszczęśliwić cię. Spuściła oczy, myśląc o chwili, kiedy urodziła Teddy’ego. Łzy zaczęły płynąć jej po policzkach. Kiedyś tyle dała temu dziecku.

— Byłam taka szczęśliwa, gdy urodził się Teddy.

— Ja także — powiedział chrapliwym głosem Malcolm. — Żyłem tylko dla niego. Zawsze sądziłem, że twoja przeszłość kryła jakąś małą tajemnicę, Marielle, ale nigdy nie przypuszczałem, że była tak okropna.

Marielle zawstydziała się.

— Wiem — skinęła głową. — Dlatego właśnie uważałam, że powinieneś o tym wiedzieć. Chciałam, żebyś to usłyszał, zanim zdecydowałeś mnie poślubić, ale mnie nie słuchałeś. Malcolm potaknął głową i Marielle opowiadała dalej.

— Po powrocie do Stanów nie widziałam już Charlesa. Nie widziałam go aż do zeszłego piątku. Spotkałam go przypadkowo w Katedrze św. Patryka. Poszłam tam zapalić świece za dusze dzieci i moich rodziców. To była rocznica śmierci naszych dzieci — zmusiła się do wypowiedzenia słów, których nienawidziła — i Charles też tam przyszedł. Powiedział, że przyjechał do Nowego Jorku, by zobaczyć się ze swoim ojcem

— I co mówił w kościele? — Malcolm zapytał, nagle zainteresowany.

— Chciał, żebym do niego wróciła, a ja powiedziałam, że nie mogę.

— Dlaczego?

Malcolm był dociekliwy i Marielle zabołało, że ją o to pytał.

— Ponieważ cię kocham i dlatego, że jesteśmy małżeństwem. Z powodu Teddy’ego.

— Był wściekły? — wydawało się, że zapytał prawie z nadzieją.

— Nie, wtedy nie... oboje byliśmy przygnębieni. To był najgorszy dzień w roku.

— Zadzwoił do ciebie?

— Nie. Spotkałam go niespodziewanie następnego dnia, gdy byłam z Teddym w parku nad stawem. Myślę, że pił albo był pijany jeszcze po poprzedniej nocy. Miał dziki wzrok. Był zaskoczony, gdy dowiedział się, że mam dziecko... chłopca... i bardzo się wściekł.

To było sedno całej sprawy.

— Co powiedział? Czy zranił dziecko? — pytał Malcolm.

Wydawał się przerażony tym, co usłyszał.

— Oczywiście, że nie. Nie sądzę, żeby był zdolny do tego. Zresztą nigdy nie pozwoliłabym mu zranić Teddy’ego. Marielle zabrakło tchu. — Ale był bardzo zły. Groził mi. Powiedział, że nie zasługuję na jeszcze jedną szansę.

Marielle odetchnęła głęboko, zanim powiedziała Malcolmowi resztę.

— I gadał jakieś bzdury o tym, że zabierze Teddy’ego, żeby mnie zmusić do powrotu do niego. Ale, Malcolmie, jestem pewna, że nie mówił poważnie. Niemniej jednak sądziłam, że

musisz o tym wiedzieć. Policja pytała mnie, czy ktoś mi groził albo czy miał powody, by być na mnie złym. Dla dobra Teddy’ego powiedziałam im wszystko.

Malcolm zdziwił się, że Marielle nie chciała chronić Charlesa Delauneya. A przecież, gdy mówiła o nim, widział z jej oczu, że wciąż bardzo jej na nim zależy.

— Powiedziałaś to policji? Wszystko?

— Tak — skinęła powoli głową.

Nie było już jej wstyd z tego powodu. Bolało, ale to nie była jej wina. W końcu zaakceptowała fakty, — A to piękna historia! Wyobrażani sobie, że gazety zwiększą dzięki niej nakład.

— Pan Taylor obiecał mi, że zrobi wszystko, co będzie mógł, żeby utrzymać to w tajemnicy. Ale już widział się z Charlesem.

— Wydaje się, że sporo wiesz o śledztwie.

Z początku Marielle nie odpowiedziała. Po chwili jednak odrzekła:

Chciałam sama ci o tym powiedzieć. Uważałam, że masz prawo o tym wiedzieć.

Malcolm skinął głową i wstał, ciągle wyglądając na poważnie zatroskanego. Potem popatrzył na Marielle. Przez chwilę pomyślała, czy nie jest zły.

— Wygiąda na to, że twój kontakt z Delauneyeni mógł wystawić na niebezpieczeństwo nasze dziecko, Marielle. Czy pomyślałaś o tym?

Znowu winna... i odpowiedzialna..., dlaczego to zawsze była jej wina? Dlaczego jej życie, słabości albo głupota zawsze sprawiały innym ból?

— Pomyślałam. Ale nie planowałam spotkania z nim. Po prostu się zdarzyło.

— Jesteś tego pewna? Jesteś pewna, że Delauney nie śledził cię i nie czekał na ciebie w kościele?

— Kiedy się spotkaliśmy, był tak samo zdziwiony jak ja. A staw po prostu znajduje się w parku, który przylega do domu jego ojca.

Więc nie powinnaś tam iść — surowo powiedział Malcolm. Oskarżał ją. Było teraz jasne, że robił jej wymówki.

— Nie powinnaś robić niczego, co by naraziło mojego syna. — Nie powiedział „ich” dziecka, lecz „mojego” syna. I zważywszy na to, co mi powiedziałaś, jestem zdziwiony, że w ogóle zabrałaś go nad staw, szczególnie w taką pogodę.

To była najbardziej okrutna rzecz, jaką mógł jej powiedzieć. Lata minęły, zanim była w stanie zrobić coś takiego. Zresztą nie pozwoliła zbliżyć się Teddy’emu do wody.

Jak możesz tak mówić?

Była wstrząśnięta. Jego słowa raniły ją, ale Malcolm nie przejmował się tym. Za bardzo się martwił o dziecko.

Zaczął przemierzać pokój, mówiąc jednocześnie do Marielle.

— Jak możesz opowiadać mi tę historię i oczekiwać, że ci przebaczę? Utrzymywałaś kontakt z tym strasznym człowiekiem, który, sama to przyznałaś, próbował cię zabić i prawdopodobnie zabił twoje nie narodzone dziecko. A ty narażasz mojego syna na spotkanie z nim, przyznajesz, że ci groził, że groził, że go zabierze, wszystko jedno z jakiego powodu... i czego ty oczekujesz ode mnie, Marielle? Współczucia, ponieważ zmarły twoje dzieci? Albo współczucia z powodu porwania mojego dziecka? To ty wprowadziłaś tego człowieka do mojego życia, przyprowadziłaś go prosto pod drzwi, wzięłaś mojego syna do parku, gdzie mogli się spotkać, i naraziłaś go na spotkanie z nim. Prowokowałaś tego szaleńca, dopóki nie zabrał Teddy’ego. I czego teraz ode mnie oczekujesz po tym wszystkim..., przebaczenia? Dławił się łzami i wściekłością. Marielle stała przed nim, płacząc bezradnie.

Nie wiemy, czy to on go porwał — szepnęła udręczona.

Zdołała się na wyznanie Malcolmowi prawdy, ale nie przyniosło to żadnej ulgi. Wiedziała teraz, że nigdy nie uzyska przebaczenia.

— Nic nie wiemy dodała.

— Ja wiem, że przez lata miałaś kontakty z ludźmi, przez których może straciłem moje jedyne dziecko... a ty, swoje ostatnie.

Marielle zamknęła oczy, czując, że za chwilę zemdleje.

— Malcolmie, jak możesz tak mówić?

— Bo to jest prawda — ryknął na nią. — Bo Teddy może już nie żyć. Może być pochowany w jakimś płytkim grobie, którego nigdy nie znajdziemy, a jeśli jeszcze żyje, to może umrzeć w każdej chwili. Możliwe, że nigdy więcej nie zobaczysz swojego dziecka. — Malcolm wykrzykiwał te okropne oskarżenia pod jej adresem.

Musisz zrozumieć i uświadomić sobie, że to ty oddałaś Teddy'ego w jego ręce, powtarzam, ty prowokowałaś tego mężczyznę, ty go tu ściągnęłaś... ty, Marielle, to zrobiłaś.

Ból, jaki zadał jej Malcolm swoimi słowami, sprawił, że Marielle nie mogła złapać tchu. Czy mogła mu powiedzieć, że nie ma racji? Może tak właśnie było, może zrobiła to wszystko, co powiedział. Może to znowu była jej wina. Kiedy go słuchała, oparła się mocniej o krzesło i głowa zaczęła ją tak bardzo boleć, że ledwo mogła utrzymać równowagę. Znowu usłyszała te wszystkie głosy, poczuła

znajomy ucisk i, tak jak zwykle, wydało jej się, że szumi pędząca woda pod lodem.

Gdy Malcolm opuścił pokój, nie wiedziała, co się z nią dzieje. Miała wrażenie, że godziny minęły od zakończenia jej rozmowy z Malcolmem. Betty, mała pokojówka, którą porywacze związali i zakneblowali poprzedniej nocy, przyniosła Marielle ubrania z pralni. Pan Patterson odesłał wszystkich z powrotem do pracy, usiłując przywrócić w domu zwykły porządek.

Tylko Edith i Patrick zostali zwolnieni; zabroniono im jednak opuszczenia miasta, ponieważ FBI mogło ich w każdej chwili potrzebować.

— Pani Patterson, dobrze się pani czuje?

Betty pośpieszyła do Marielle, która robiła wrażenie nieprzytomnej. Dziewczyna znalazła się przy niej w momencie gdy zsuwała się z krzesła na podłogę.

Na dźwięk jej głosu Marielle otworzyła oczy. Mimo przeszywającego bólu rozejrzała się wokoło, przypominając sobie szybko, co się wydarzyło przed chwilą i co powiedział Malcolm... to była jej wina..., ona wprowadziła Charlesa między nich... i on wziął Teddy'ego... ale czy to była prawda? Dlaczego miałby to robić? Czy rzeczywiście tak bardzo jej nienawidził? Może tak jak wszyscy?... i czy mieli rację?... Nagle Marielle pożałowała, że nie umarła przed laty, kiedy powinna..., może nawet wtedy pod lodem, razem z dziećmi.

— Pani Patterson...

— Wszystko w porządku... — Marielle powiedziała półgłosem.

Wstała z wysiłkiem. Wygładziła suknię i przyczesła włosy. Dziewczyna patrzyła na nią z przerażeniem: Marielle była blada jak trup; starała się jednak trzymać równowagę, mimo że chwiała się na nogach.

— ...Nie czuję się zbyt dobrze... ale po prostu boli mnie głowa .nie ma się czym przejmować...

Betty zaprowadziła ją do sypialni.

Dziewczyna sama przeszła przez ciężką próbę zeszłej nocy. Policja uspokoiła ją jednak, że to nie stało się z jej winy, że nic nie mogła zrobić, by powstrzymać porywaczy, a gdyby próbowała, prawdopodobnie by ją zabili. Tak więc w przeciwieństwie do Marielle, która obwinała siebie za wszystkie nieszczęścia, które się zdarzyły w jej życiu w ciągu ostatnich dziewięciu lat, była niemal szczęśliwa. Straszliwy ciężar spoczywał na jej barkach.

Czy podać pani jakieś cieplejsze okrycie?

— Nie., nie... dziękuję., poleżę sobie tylko przez chwilę — odpowiedziała Marielle.

Ale gdy tylko położyła się, pokój zawirował. Pomyślała, że zaraz zwymiotuje. Czuła się gorzej, niż gdyby była pijana.

Czy Są jakieś wiadomości? — zapytała.

Na chwilę uniosła głowę, ale Betty potrząsnęła przecząco głową i odeszła od łóżka, by zaciągnąć story. Po jej wyjściu Marielle zamknęła oczy, ale nie mogła zasnąć.

Betty wpadła na dole na Johna Taylora, który zapytał ją, gdzie jest pani Patterson.

Powiedziała mu, że ma ból głowy i odpoczywa.

— Pozwólmy jej odpocząć — dodał.

Chciał tylko się upewnić, że rozmawiała z Malcolmem o Charlesie. Ale w chwili, gdy wszedł do biblioteki, znał odpowiedź. Malcolm wyglądał ponuro, kiedy witał Johna Taylora.

— Moja żona powiedziała mi o Charlesie Delauneyu — stwierdził na wstępie.

John przypuszczał, że dowiedział też o innych wydarzeniach z życia Marielle, ale nie wydawało się, żeby dzięki temu zmiękł.

— To szokująca historia. Myśli pan, że to jest człowiek, którego szukamy?

Widać było, że wariuje na punkcie swojego syna i poruszyłby niebo i ziemię, by go odnaleźć, nie zważając na skandal.

— Możliwe, chociaż nie mamy na to ani świadków, ani dowodów. Ma alibi na ostatnią noc.

Nie jest najlepsze, ale Delauney trzyma się go. Sprawdziliśmy je i jest w porządku. Pił w barze na Trzeciej Alei. Przedtem był z przyjaciółmi w restauracji „21”. Przypuszczam jednak, że nawet gdyby sam nie porwał chłopca, mógł wynająć ludzi, by zrobili to za niego.

Od czasu, gdy usłyszał historię od Marielle, Malcolm zastanawiał się nad taką możliwością.

— Jeśli zrobił to, by się zemścić, nie będzie żadnego żądania o okup. I jak na razie, nie ma — powiedział ponuro.

— To prawda. Ale chłopca nie ma dopiero od niecałego dnia. W ciągu następnych kilku godzin wiele może się zdarzyć.

— Chcę, żebyście aresztowali Delauneya! — ryknął Malcolm. —

Teraz! Rozumie pan?

— Tak, sir, rozumiem — odpowiedział John z napięciem w głosie. — Ale potrzebujemy dowodów, a nie mamy żadnego. Nic, oprócz faktu, że był pijany i groził, co mogło nie mieć żadnego znaczenia. Kiedyś był mężem pańskiej żony.

Malcolm rzucił Taylorowi spojrzenie pełne wściekłości. Nie podobał mu się przebieg rozmowy.

W takim razie wydaje mi się, panie Taylor, że powinien pan iść i poszukać jakichś dowodów, czyż nie tak?

— Czy sugeruje pan, żebym je sfabrykował?

Taylor przyglądał mu się bacznie. Podejrzewał, że pod pozorem siły, znaczenia, inteligencji i uroku, jaki potrafił roztaczać Malcolm, krył się jakiś fałsz.

— Nie sugeruję niczego w tym rodzaju. Mówię tylko, żeby pan je znalazł.

— Jeśli istnieją, to je znajdę.

— Dobrze.

Malcolm podniósł się dając do zrozumienia, że rozmowa się skończyła.

Taylor byłby ubawiony, gdyby okazało się, że Malcolm czuje do niego sympatię. Przez chwilę zastanawiał się, czy jego wrogość do Pattersona nie była spowodowana zazdrością.

Ten człowiek miał wszystko: pieniądze, władzę i żonę, za którą Taylor dałby sobie uciąć rękę. Coś mu mówiło, że dla Malcolma Pattersona właśnie Marielle była jedyną bezwartościową rzeczą.

— Obawiam się, że muszę zadać panu jeszcze kilka pytań — powiedział Taylor.

— Oczywiście.

Malcolm ponownie usiadł. Wydawał się oficjalny i chętny do współpracy. Chciał zrobić wszystko, co w jego mocy, żeby odzyskać syna.

— Czy jest ktoś, kto po wyjściu z więzienia chciałby narobić panu kłopotów? Ktoś, kto groził panu, powiedzmy, w zeszłym roku. Może to było coś głupiego, słowa, które mogły nie wydawać się wtedy ważne, ale teraz, w świetle ostatnich zdarzeń, może przychodzi panu do głowy.

— Nie przypominam sobie niczego. Myślałem o tym przez całą noc, gdy jechałem z Waszyngtonu, ale nie przychodzi mi na myśl nikt, kto chciałby mi zaszkodzić.

— Żadnych drażliwych politycznych powiązań? Niezadowolonych pracowników? Malcolm znowu potrząsnął głową.

— Żadnych kobiet, z którymi mógł być pan związany? To, co mi pan powie, zachowam, w miarę możliwości, w tajemnicy. — John to samo obiecał Marielle. To może być ważne.

Doceniam pańską lojalność — powiedział chłodno Malcolm — ale nie będzie potrzebna w moim wypadku. Nie byłem związany z żadnymi kobietami.

Wyglądał na obrażonego, że taka kwestia w ogóle została poruszona.

Może były żony, które mogą być urażone, że po tych wszystkich latach spędzonych z nimi ma pan dziecko z kimś innym?

— Raczej nie. Moja pierwsza żona wyszła za mąż za światowej sławy pianistę i mieszka w Palm Beach, a druga jest żoną prezesa banku i mieszka w Chicago.

I Malcolm zadał cios poniżej pasa, ale John Taylor nie dał po sobie poznać, co o tym myśli.

— Najwyraźniej, w przeciwieństwie do mojej żony, moje poprzednie małżonki nie są niebezpieczne.

— Może Charles Delauney także nie jest groźny — odparł John, czując, że musi coś powiedzieć w obronie Marielle.

— Nie obchodzi mnie, kto jest winny, inspektorze. Chcę jedynie odzyskać moje dziecko. Zostało jedenaście dni do Bożego Narodzenia.

— Rozumiem, panie Patterson. Wszystkim na tym zależy. I zamierzamy zrobić wszystko, co w naszej mocy, by to się stało.

— Niech pan ponownie porozmawia z Delauneyem.

Taylor nie lubił przyjmować rozkazów od cywilów, ale skinął głową.

Wstał i podziękował Malcolmowi za cierpliwość. Zauważył, że Patterson jest zmęczony i ma zniszczoną twarz, ale jak na człowieka w jego wieku, wyglądał dość zdrowo i, zważywszy na to, co się wydarzyło, zachowywał się zadziwiająco spokojnie.

Zanim Taylor opuścił dom, zapytał jeszcze raz o Marielle. Dowiedział się, że migrena nie ustąpiła.

Marielle słyszała ze swojego pokoju odgłos zamykających się za nim drzwi wejściowych oraz krzyki dziennikarzy, gdy torował sobie między nimi drogę. Chwilę później policja obstawiła kordonem front domu, by utrudnić dziennikarzom dostęp do budynku. Marielle jednak nie obchodził hałas przed domem. Leżała w ciemnościach z przeraźliwym bólem głowy i modliła się za Teddego.

Rozdział VI

Następnego dnia Taylor znowu przyszedł do domu Pattersonów, ale nie miał żadnych wiadomości o Teddym. Porywacze nie odezwali się, nie zadzwonili, nie przysłali żadnego listu ani żądania okupu. Za to dziennikarze odnieśli sukces. Wszystkie gazety były usiane starymi fotografiami Malcolma i Marielle.

Patrick, kierowca, udzielił wywiadu, w którym oznajmił o istnieniu mężczyzny związanego z Marielle. Zamieszczono zdjęcie Patricka i Edith, ubranej w białą suknię Marielle od Madame Grs z Paryża. Zostało zrobione w noc porwania, kiedy obydwójce byli na irlandzkich tańcach świątecznych w Bronksie, wyglądając niesłychanie wytwornie. W popołudniowej gazecie z poprzedniego dnia było zdjęcie wystraszonej i zdeorientowanej Marielle zrobione w momencie, kiedy dziennikarze wciskali się do domu. Było też jej drugie zdjęcie, w koszuli nocnej, zrobione przez okno biblioteki. AJe chociaż Patrick dał do zrozumienia, że może jest jakiś mężczyzna w życiu Marielle, prasa nie wspomniała o Charlesie Delauneyu.

— Przyjemnie się czyta taki kawałek — powiedział zgryźliwie Malcolm unosząc głowę znad śniadania. — Nie bawi mnie czytanie o mojej żonie zadającej się z innymi mężczyznami. Nie widział Marielle od poprzedniego dnia, kiedy zostawił ją z bólem głowy. Wciąż wyglądała mizernie, chociaż mówiła, że czuje się lepiej.

— Powiedziała ci, co się zdarzyło w parku.

Była zdruzgotana tym, co mówił.

— Może należało wtedy wyjaśnić to Patrickowi.

Spojrzała na niego raptownie i przez chwilę prawie straciła panowanie nad sobą. O mało co nie dostała znowu bólu głowy.

— Może twoi szpiedzy powinni udzielać ci bardziej precyzyjnych informacji, Malcolmie.

— Co to ma znaczyć? — popatrzył na nią chłodno.

Dokładnie to, co mówię. Żaden z twoich służących nie był dla mnie miły od dnia, kiedy przybyłam do tego domu, i ty wiesz o tym.

— Może nie umiesz im rozkazywać, Marielle. Albo może wiedzą o czymś, o czym ja nie wiem.

— Jak śmiesz! krzyknęła.

Była mu tak wierna, lojalna, przyzwoita wobec niego. A teraz, z powodu Charlesa, obwiniał ją za wszystko. Zmienił się z dnia na dzień. To było takie niesprawiedliwe.

Marielle wyszła z pokoju ze łzami w oczach i zderzyła się z Johnem Taylorem.

Dzień dobry, pani Patterson.

Na jej twarzy ujrzał napięcie i cierpienie.

John ponownie widział się z Delauneyem i przypomniał mu, żeby nie wyjeżdżał z miasta, chociaż ciągle nie mieli żadnych dowodów przeciwko niemu, a jego alibi było mocne. Jak dotąd, nie było żadnych poszlak dotyczących ludzi, których mógł wynająć do porwania Teddy’ego. Ale FBI z uporem starało się zbudować z tego jakąś całość, zakładając również, że Teddy mógł równie dobrze zostać wywieziony z Nowego Jorku do New Jersey. Charles Delauney był ich jedynym na razie podejrzanym. Ludzie, którzy zapłacili Patrickowi sto dolarów za spędzenie nocy poza domem, zniknęli bez śladu. Betty i panna Griffin nic nie widziały ani nie słyszały, więc nie mogły im pomóc.

— Lepiej się dzisiaj czujesz? — zapytał cicho Taylor.

Marielle kiwnęła głową. Ale jak mogła się czuć lepiej, gdy nie było Teddy’ego?

— Są jakieś wiadomości? — zapytała.

— Jeszcze nie. Me pracujemy nad sprawą i czekamy. Wcześniej czy później otrzymamy żądanie okupu i wtedy będziemy mogli posunąć się naprzód. Chcę dziś znowu porozmawiać z kilkoma z twoich służących, może któryś z nich przypomni sobie coś, o czym zapomniał na początku w całym tym rejtach.

Marielle skinęła głową. To brzmiało rozsądnie. Taylor chciał także pomówić z Malcolmem.

Marielle poszła do pokoju dzieciennego i zdziwiła się, ujrawszy tam swojego męża. Malcolm stał w pokoju Teddy’ego pogrążony w myślach. Dotykał zabawek dziecka i gładził jego poduszkę. Kiedy Marielle zobaczyła go, znowu w jej oczach pojawiły się łzy. Było jej przykro z powodu ostrej wymiany zdań na dole. Oboje byli okropnie zdenerwowani. Widok

pokoju Teddy”ego znowu rozdarł jej serce. Przypomniała sobie, jak głaskała jego ciepły policzek, kiedy leżał tam w czerwonej piżamce, którą uszyła dla niego panna Griffin, z haftem na kołnierzyku. Guwernantka wyhaftowała na nim niebieskie, drobniutkie pociągi. — Trudno w to uwierzyć, żeby dziecko mogło tak się rozpląnąć w powietrzu? — powiedział ponuro Malcolm, a Marielle mu przytaknęła.

Patrzył na nią z rozpaczą, ale wydawał się łagodniejszy niż przed godziną. Tutaj, w tym pokoju, można było być smutnym, ale nie rozgniewanym. Zagłębił się w bujanym fotelu, który stał obok łóżeczka, i patrzył na miejsce, gdzie spał jego synek przed porwaniem.

— Ciągłe myślę o kolejce na dole, która czeka na niego — powiedział.

Miał łzy w oczach. Marielle odwróciła głowę, żeby nie zobaczył, że ona też płacze. Nagle wyciągnął rękę i dotknął jej dłoni.

— Przepraszam za dzisiejszy ranek. Chyba jestem przemęczony. I także za wczoraj... po prostu to wszystko jest takim koszmarem, Marielle. Co my zrobimy?

Po raz pierwszy Marielle widziała męża w stanie całkowitej bezradności i nagle zrobiło jej się go żal. Robił wrażenie człowieka załamanego.

— Będziemy się modlić, żeby wkrótce wrócił — Marielle starała się powiedzieć to spokojnie, ściskając jednocześnie jego rękę.

Kilka minut później Hayerford przyszedł powiadomić Malcolma, że przyszła Brigitte i czeka na niego przed jego gabinetem. Starał

się, jak mógł, aby dobrze wywiązać się ze swoich obowiązków i utrzymywać dom w idealnym porządku. Wyjątkowo pomocna w tym ciężkim okresie okazała się też Brigitte, która głęboko współczuła rodzicom chłopca. Usłyszawszy wiadomość o porwaniu Teddy”ego bardzo długo płakała, ciągle nie mogąc w to uwierzyć.

Marielle odprowadziła Malcolma na dół. Zamieniła z Brigitte kilka słów. Obydwie kobiety płakały, a sekretarka przytuliła mocno matkę dziecka i przez chwilę nie była w stanie nic powiedzieć. Marielle zawsze wiedziała, jak bardzo Brigitte uwielbiała Teddy”ego. Potem dziewczyna weszła razem z Malcolmem do gabinetu, a Marielle udała się do swojej sypialni. Pomyślała, że przynajmniej między nią a Malcolmem zapanował jaki taki pokój.

Było już późne popołudnie, kiedy John Taylor skończył rozmawiać ze służbą i chciał się widzieć z Malcolmem. Nie podobało mu się to, co usłyszał do tej pory, ale nie był tym zdziwiony, ponieważ Marielle uprzedziła go o stosunku personelu do niej. Służący namalowali obraz kobiety zupełnie różniącej się od tej, którą widział w noc porwania. Kobiety słabej, rozpieszczonej, kapryśnej, wystraszonej i zawsze chętnie ukrywającej się przed ludźmi.

Panna Griffin powiedziała, że pani Patterson jest niezrównoważona i niespokojna, a to bardzo źle wpływało na chłopca. Czasami według guwernantki była tak zdenerwowana, że w ogóle nie chciała widzieć synka i musiało upłynąć sporo czasu, zanim oswoiła się z jego istnieniem. Był okres, gdy ledwo się nim interesowała, dopiero ostatnio spędzała z nim więcej czasu w, jak to określiła panna Griffin, „przerwach między bólami głowy”.

Kiedy John rozmawiał z Edith, dziewczyna nazwała Marielle zepsutym dzieciuchem i oznajmiła, że mogłaby powiedzieć jeszcze coś gorszego. Stwierdziła, że Marielle wydawała tyle pieniędzy na ubrania, że aż dziwne było, że nie doprowadziła swojego męża do ruiny. Z opisu Edith wynikało, że Marielle spędzała czas albo drzemiąc, albo odpoczywając, nie zajmowała się w ogóle domem, co było nawet dobre, bo i tak nikt by jej nie słuchał. Edith jasno powiedziała, że wszyscy pracowali dla pana Pattersona i służyli w tym domu na długo, zanim „ona” przybyła. Nawet za utratę pracy obwiniała Marielle, a nie Malcolma.

Gospodyni nic prawie nie powiedziała. Stwierdziła, że ma przyzwyczajęń pani Patterson, Równie jasno jak Edith oznajmiła, że nie interesuje jej osoba pani Patterson. Liczy się tylko pan Patterson.

Jedynie Betty powiedziała kilka miłych słów o Marielle. A Hayerford wydawał się jej współczuć, chociaż nie powiedział dlaczego i nie miał zamiaru nic więcej mówić. Patrick oczywiście w dalszym ciągu snuł opowieść o „chłopaku” Marielle. Taylor poradził mu, żeby zatrzymał to dla siebie, bo sprawa nie była taka prosta, jak mu się zdawało, i mógł bardzo łatwo stać się głównym świadkiem w ewentualnym procesie o zniesławienie. Wydawało się, przynajmniej przez moment, że kierowca przestraszył się śmiertelnie.

Obraz, jaki otrzymał Taylor, przedstawiał kobietę powszechnie nielubianą z powodów, których nie mógł pojąć. Tak jak siebie sama opisała, była wyrzucona poza nawias w swoim własnym domu i wydawało się, że tylko kilka osób, które rzekomo dla niej pracowały, znało lub lubiło ją. Taylor miał uczucie, że odsuwano Marielle od wszystkiego. Żyjąc w takiej izolacji na pewno głęboko cierpiała z powodu swojej samotności.

Zastanawiał się nad tym wchodząc do biblioteki, by porozmawiać z Malcolmem. Gdy Hayerford przyniósł im kawę, Taylor zerknął na Malcolma i sypiąc cukier, zapytał:

— Dlaczego tylu pańskich służących me lubi pańskiej żony?

Zobaczył, że Hayerford go obserwuje, ale stary lokaj nie odezwał się.

Malcolm westchnął i wyjrzał przez okno.

— Wie pan, ona nie jest silna..., jest słaba i ciągle czegoś się boi, i może oni to wyczuwają.

Miała — zdawało się, że się waha — hmm... powiedzmy, psychiczne problemy... w przeszłości... i ciągle cierpi na straszliwe bóle głowy.

— To nie powód, by jej nienawidzić powiedział John.

Miał wrażenie, że wszyscy w tym domu mają tak mało szacunku dla Marielle, jak gdyby się nie liczyła, nie istniała, jak gdyby pracowali tylko dla Malcolma, a nie dla niej, i chcieli, żeby każdy o tym wiedział. I John Taylor nie mógł pozbyć się myśli, że to może Malcolm, traktując ją jak nic znaczącą osobę, przyczynił się do tego. Nikt się z nią nie liczył, nie miała nad nikim kontroli, ani nad dzieckiem, ani nad służbą, a z całą pewnością nie nad swoim fliżem Nawet panna Griffin przyznała, że nigdy nie wykonywała

poleczeń pani Patterson. Przyjmowała rozkazy, jak się wyraziła, od ojca chłopca. Ale kiedy

John zapytał ją, dlaczego tak się działo, nie umiała tego wyjaśnić. Powiedziała tylko, że

Marielle jest słaba i niezdecydowana. Takie wyjaśnienie nie miało jednak sensu dla Taylora.

Kiedy rozmawiał z Marielle, nie wydawała się słaba. Mówiła rozsądnie, była inteligentna, uprzejma i nawet jeśli miewała bóle głowy, to nie znaczyło, że jest chora psychicznie. Ale John nabierał przekonania, że oni wszyscy uważali ją za trochę „stukniętą”, jakby nie można było ufać jej decyzjom i rozsądkowi. Ciągle zastanawiał się, co sprawiło, że tak myśleli.

— Nie sądzę, żeby ktoś nienawidził jej tutaj. To okropne tak mówić powiedział Malcolm, uśmiechając się łagodnie.

Potem spojrzął na Taylora niemaizę ze smutkiem.

— Nie jest silną dziewczyną i miała potworne problemy. Kto wie, czy będzie w stanie znieść taki wstrząs? Ten ostatni cios może ją całkowicie załatwić.

— Czy tak pan myśli? — zapytał Taylor.

John był pewien, że jest bliski rozwiązania zagadki, ale ciągle nie wiedział, jakiej. Brakowało mu jeszcze jednej informacji, ale zostawił to na później.

Czy to chce mi pan powiedzieć? — naciskał Malcolma. — Że jest wariatką?

Oczywiście, że nie — Malcolm wydawał się oburzony określeniem Taylora. — Mówię tylko, że jest krucha.

— Czy to nie to samo? Czy nie chce pan powiedzieć, że mogłaby się załamać nerwowo z powodu porwania Teddy’ego? Czy to się właśnie mówiło w tym domu przez te wszystkie lata, że jest „krucha”, jak to pan określił, i że nie można traktować jej poważnie? Czy oznajmił pan to służbie, czy po prostu się tego domyślił?

— Powiedziałem im, że powinni ze mną rozmawiać i nie kłopotać jej — Malcolm był zirytowany. — Ale nie widzę absolutnie żadnego związku pomiędzy tym a porwaniem mojego syna — warknął do Taylora.

— Czasami cały obraz sytuacji jest bardzo ważny.

Cały obraz jest jasny: ona jest delikatną dziewczyną z potworną przeszłością, o której pan sam wie, a którą ja dopiero przed chwilą poznałem. Dwa lata w szpitalu psychiatrycznym i dziewięć lat wyimaginowanych bólów głowy.

To, co mówił Malcolm, brzmiało bardzo ostro i nie podobało się Taylorowi. Wydawało się, że Patterson próbuje zdyskredytować Marielle. W jakiś sposób musiał dać to do zrozumienia wszystkim, którzy dla nich pracowali. Taylor podejrzewał, że tylko Hayerford inaczej o niej myślał.

— Mówi pan, że wymyślała sobie bóle głowy?

- Mówię, że jest neurotyczką.

Malcolm powiedział więcej, niż chciał, i zdenerwował się na Johna Taylora.

— Wystarczająco chora nerwowo, by razem z Charlesem Delauneyem porwać swoje własne dziecko?

Malcolm był zaskoczony, ale przez długi czas nie odpowiadał. Nigdy o tym nie pomyślałem. Ale przypuszczam, że to

jest możliwe. Może wszystko jest możliwe. Nie wiem. Pytał ją pan o to?

— Pytam pana. Czy uważa pan, że mogłaby to zrobić? Że wciąż jest w nim zakochana?

Taylor zastanawia się, jak daleko posunie się Malcolm w potępianiu swojej własnej ŻOfi.

Odpowiedź, jaką mu dał, nie spodobała się Johnowi.

— Nie mam pojęcia, inspektorze. Pan sam musi to wykryć.

John Taylor przytaknął.

— A pan, panie Patterson, jak bardzo jest pan związany z panną Brigitte Sanders?

To pytanie John zatrzymał na koniec i chciał mieć na nie odpowiedź. Wyraz twarzy Malcolma był taki, jakiego się spodziewał.

— Bardzo przepraszam — powiedział wzburzony Malcolm. — Panna Sanders od sześciu lat jest moją sekretarką i jestem pewien, że pan wie, iż nie mam zwyczaju utrzymywać prywatnych kontaktów z moimi sekretarkami.

Taylor wydawał się ubawiony odpowiedzią.

— Jak przypuszczam, poślubił pan swoją poprzednią sekretarkę.

Malcolm poczerwieniał; nie było mu przyjemnie.

— Panna Sanders ma nieskazitelną reputację — rzekł sucho.

— To z pewnością imponujące — odparł Taylor, nie tracąc panowania nad sobą.

Rozmowa wydała mu się interesująca, a nawet trochę zabawna.

— Ale pan i panna Sanders podróżowaliście razem wielokrotnie, nawet do Europy. I zwróciłem uwagę, że na statkach, którymi pływacie, wasze kabiny znajdowały się zawsze obok siebie.

Taylor sprawdził to dokładnie z mapą pokładową statku w ręce.

— To całkowicie normalne, jeśli oczekuję, że dziewczyna będzie ze mną pracować. Skoro tak starannie przeprowadził pan dochodzenia, jestem pewien, że wie pan również, iż często zabieram także drugą sekretarkę, panią Higgins. Ma prawie sześćdziesiątkę i jestem pewien, że pańskie przypuszczenia niezwykle by jej pochlebily.

Ale to nie starsza kobieta interesowała Johna, tylko Brigitte. Wiedział, że pani Higgins nie podróżowała z Malcolmem od ponad dwóch lat, ale nie powiedział mu tego.

Przepraszam, jeśli moje pytanie wydało się panu niegrzeczne, sir, ale skoro musieliśmy sięgnąć do życia pana żony, równie ważne jest, byśmy znali i pańskie. Rozgniewani kochankowie mogą robić naprawdę brzydkie rzeczy.

— Zapewniam pana, że panna Sanders nie jest ani rozgniewana, ani nie jest moją kochanką — odparł Malcolm, czerwony na twarzy.

Jeszcze przez chwilę rozmawiali o inwestycjach Malcolma w Niemczech, jego interesach w Stanach i ludziach, których mógł do siebie zrazić. Nie natknęli się jednak na nic, co mogłoby być warte uwagi. Pod koniec rozmowy Taylor doszedł jedynie do wniosku, że Teddy został porwany albo dla pieniędzy, albo z zemsty. Jeśli chodziłoby o pieniądze, wkrótce powinni coś usłyszeć. Jeśli zaś o zemstę, to musiał to być Charles. John modlił się tylko, żeby Delauney nie skrzywdził chłopca.

Ponownie poruszyli temat Delauneya. Taylor wielokrotnie powtarzał, że nie ma dowodów przeciwko temu człowiekowi, niczego, co by go łączyło z dzieckiem lub z przestępstwem, oprócz tych głupich słów, jakie powiedział do Marielle. A nie można wsadzić człowieka do więzienia za to, że jest głupi. Charles miał alibi, nie było żadnych dowodów, a motywby były zbyt naciągane.

— Wciąż uważam, że to nasz człowiek — powiedział poważnie Malcolm odprowadzając Johna do drzwi wejściowych.

Inspektor skinął głową.

Niestety, ja też tak myślę. I jeśli to prawda, to miejmy nadzieję, że go dostaniemy.

Malcolm zostawił go przy drzwiach i Taylor przepchnął się przez tłum dziennikarzy na zewnątrz.

Dwie godziny później, gdy Malcolm i Marielle zasiedli w jadalni do kolacji, zadzwonił telefon.

Odebrali go dwaj policjanci podając się za służących. Natychmiast włączono urządzenia do nagrywania rozmów telefonicznych i kiedy Malcolm podszedł do telefonu, rozmowa już była nagrywana.

Ktoś, kto chciał rozmawiać z Malcolmem, mówił z akcentem typowym dla południa Bronksu lub East Jersey.

— Tak, tu Patterson. Kto mówi?

Czterej policjanci i Marielle przysłuchiwali się rozmowie z różnych aparatów telefonicznych.

— Mam tutaj przyjaciela..., małego faceta w czerwonej piżamie.

Marielle zakreśliło się w głowie. Zabrali Teddy'ego dokładnie czterdzieści sześć godzin temu. Trzymając słuchawkę w drżącej dłoni, Marielle płakała.

— Jak on się czuje?

Czekając na odpowiedź, Malcolm zamknął oczy.

— W porządku. Myślę, że dzieciak jest przeziębiony. Potrzebujemy pieniędzy na kupienie małemu koca,

Czy mogę z nim porozmawiać? — zapytał spokojnie Malcolm, ale policjanci, którzy go obserwowali, widzieli, że ręka trzymająca słuchawkę mu drży.

— Nie..., teraz śpi. Najpierw porozmawiajmy o pieniądzach,

— Ile potrzebujecie?

— Och,,, jakiś ładny kocyk kupilibyśmy za, powiedzmy, około dwieście tysięcy dolarów. To było czterokrotnie więcej, tuz zapłacili Lindberghowie, ale życie Teddego było tego warte.

— W nie znaczonych banknotach, panie Przebiegły. W szafce na Grand Central Station.

Zostawisz je tam. Bez glin. Nie znaczone H banknoty, Żadnych wygłupów. Mają być tam tak długo, dopóki ich

nie odbierzemy, I kiedy będziemy gotowi, oddamy ci twojego dzieciaka. Jaką mam pewność że teraz czuje się dobrze?

— Żadnej. Głos rozmówcy był ostry i nieprzyjemny. — Ale gdy mnie wykiwasz, powiesz glinom, zrobisz coś... zabijemy go.

Usłyszawszy to Marielle poczuła, jak wiruje pokój.

Kiedy Malcolm odłożył słuchawkę, był cały spocony. Podczas rozmowy zapisał polecenia i na wszelki wypadek wszystko zostało nagrane.

W niecałe pół godziny później przyjechał do domu Pattersonów John Taylor. Malcolm był blady, a Marielle rozdygotana. Porywacze nie pozwolili im porozmawiać z dzieckiem. Taylor przypomniał, że nie można było stwierdzić, czy to był telefon od porywaczy, czy od jakiegoś dowcipnisa albo kogoś, kto chciał łatwo zarobić pieniądze. Ludzie byli okrutni i czasami chcieli brać udział w tragicznym wydarzeniu. Ale przynajmniej istniała nadzieja, coś, na czym można się było oprzeć. Kiedy Taylor wyszedł z pokoju, Malcolm schował twarz w dionizach i zaszlochał. Pojawiła się nadzieja na odzyskanie Teddego.

Tego samego dnia, przed północą, przygotowano pieniądze. Poprzedniego dnia ludzie z Wywiadu Ministerstwa Skarbu umieścili pół miliona dolarów w oznaczonych banknotach na koncie Malcolma.

Taylor zadzwonił do prezesa banku i poprosił go o wydanie dwustu tysięcy dolarów. Przed drugą rano zostały umieszczone w malej, czarnej torbie ze skóry aligatora, którą włożono do szafki na Grand Central Station. Porywacze powiedzieli, żeby zamieszczono ogłoszenie w „Daily Mirror”, gdy torba będzie na miejscu. FBI wykonało polecenie. Grand Central Station zaroił się od setek policjantów w cywilnych ubraniach, chodzących tam i z powrotem, jedzących hot dogi, czytających gazety, wyglądających jak zwykli ludzie, którzy czekali na tego, kto przyjdzie po okup. Ale po trzech dniach było jasne, że nikt nie miał zamiaru go odebrać. Ktoś zrobił im okrutny kawał.

Gdy w sobotę rozwiązała się jedyna nadzieja, Marielle nie mogła się zmusić do wstania z łóżka. Miała zupełnie szarą twarz, a Malcolm wyglądał jeszcze gorzej. Napięcie dało się im obojgu we znaki i wszystko wydawało się jeszcze bardziej potworne ze względu na to, że zostało tylko sześć dni do Bożego Narodzenia. Perspektywa spędzenia świąt bez Teddego była dla nich czymś przerażającym.

Malcolm patrzył surowym wzrokiem na Marielle znad prawie nie ruszonej kolacji.

— Dlaczego? Dlaczego nie przyszli? — zapytała Marielle. Prześladowała ją rozmowa telefoniczna i groźba zabicia Teddy’ego, gdyby coś poszło źle. A jeśli go zabili? Może zrobili to ze strachu?

— Taylor mówi, że to był kawał, wiesz przecież o tym.

Znowu odnosił się do niej szorstko. Ale on też nie mógł już dłużej znieść napięcia.

— Cały czas uważam, że to zrobił Delauney — dodał.

— W takim razie dlaczego nic nie znaleźli? Dlaczego, na Boga, nie mogą stwierdzić, kto to zrobił? — krzyknęła.

Potem poszła do siebie, nie będąc w stanie dłużej siedzieć na dole. Teraz nawet znajomy widok Johna Taylora nie uspokajał jej.

Następnego ranka Malcolm ubłagał go, żeby ponownie przeszukał dom Delauneya, i Taylor obiecał mu, że to zrobi.

Znaleźli ją w niedzielę po południu, prawie dokładnie w tydzień po porwaniu. Była w suterenie na terenie posiadłości Delauneyów, w piwnicy z winami, ukryta za jakimiś starymi skrzyniami. Jeden z policjantów znalazł coś, co początkowo wziął za szmatę, bo nie wyglądało na nic innego. Kiedy jednak odsunął skrzynię i podniósł do góry kawałek materiału, przyjrzał mu się ze zdziwieniem i nagle zrozumiał, że znalazł coś, czego szukali. To była czerwona dziecinna piżama z małym, niebieskim haftem na kołnierzyku. Policjant pośpieszył na górę i poprosił o rozmowę z inspektorem Taylorem. Pokazał mu, co znalazł. Taylor stał i przyglądał się ubranku przez długą chwilę. Zastanawiał się, gdzie może być dziecko i co Delauney z nim zrobił. Musieli teraz dowiedzieć się wielu rzeczy.

Taylor wrócił do pokoju, gdzie siedział Charles, i powiedział mu, co znaleźli. Charles schował twarz w dłonie, przysięgając, że nie porwał chłopca.

— Mój własny syn umarł wiele lat temu — spojrzał na Johna błagalnie. — Wiem, jak to jest... po co miałbym komuś robić coś takiego?

W głębi serca John miał nadzieję, że Charles nie zrobił tego.

Taylor osobiście założył mu kajdanki. Chwilę później był już w śródmieściu, trzymając ostrożnie w ręku zapieczętowaną kopertę

z czerwoną pizamą w środku. W tym czasie przedstawiono Charlesowi Delauneyowi oskarżenie o porwanie.

John zadzwonił do Malcolma i Marielle. Płakała, usłyszawszy o odnalezieniu pizamy Teddy'ego.

— Ale gdzie on jest? — zapytała.

Tylko to się teraz liczyło.

— Jeszcze nie wiemy. Będziemy przesłuchiwać Delauneya. Ale chcę go sprowadzić do centrum, bo tutaj możemy być ostrzejsi. — Zadzwonię, jak tylko będę coś wiedział dodał. Nareszcie wyjaśniło się, dlaczego nie było żadnego autentycznego żądania okupu. Charles porwał dziecko z zemsty, ze złości albo z chęci zdobycia Marielle i oczywiście nie potrzebował od nich pieniędzy. Pragnął jedynie chłopca. Ale prawdziwą zagadką było, co z nim zrobił po porwaniu? I gdzie teraz był Teddy? I najgorsze ze wszystkiego... czy jeszcze żył?

Marielle była załamana, gdy skończyła rozmawiać z Taylorem. Cały czas zastanawiała się, co Malcolm o tym myśli, ale on nie powiedział do niej ani słowa. Po prostu poszedł na górę i cicho zamknął drzwi od swojej sypialni.

Rozdział VII

Kiedy rozeszła się wiadomość o aresztowaniu Charlesa Delauneya, dziennikarze szaleli i następnego ranka przed domem Pattersonów stało dziesięć razy więcej reporterów niż poprzedniego dnia. Malcolm wychodził wyłącznie pod silną eskortą policji. Reporterzy tropili także Johna Taylora i szefa policji. Chcieli wiedzieć wszystko. To była sensacyjna wiadomość i pragnęli poznać wszystkie szczegóły. Spadkobierca jednej z największych fortun w kraju został aresztowany za porwanie... co więcej, to była zbrodnia namiętności, saga zemsty... oskarżony był niegdyś mężem żony innego potomka bogatej rodziny i uważał, że kobieta ta ponosi odpowiedzialność za śmierć ich dziecka. Mimo wysiłków Johna, cała ta historia wyszła na jaw. Skandal został rozdmuchany przed Bożym Narodzeniem i był nie do opanowania. Charles siedział w Głównym Areszcie Federalnym już pięć dni i wciąż nie było żadnych wiadomości o Teddym. Delauney cały czas przysięgał, że nie ma pojęcia, gdzie jest chłopiec, bo nie on go porwał. To spowodowało, że John Taylor zaczął się obawiać, czy Charles nie zabił dziecka.

Z największym smutkiem powiedział to wszystko Marielle i Malcolmowi w dzień Bożego Narodzenia. Teraz był pewien, że upór Delauneya oznaczał, że popełnił przestępstwo z zemsty i najprawdopodobniej zabił Teddego.

O, mój Boże — zachwiał się Malcolm, gdy usłyszał wiadomość.

Tym razem Marielle była opanowana i położyła rękę na ramieniu męża, jak gdyby chcąc go uspokoić. Od wielu dni przestała cierpieć na migreny i całe jej życie skoncentrowało się wokół czekania na Teddy'ego.

— Nie mogę w to uwierzyć — powiedziała cicho Marielle. — Nie mogę uwierzyć, że nigdy go nie zobaczymy. Nieważne, co zrobił Charles, po prostu nie mogę uwierzyć, że mógłby go zabić.

— Opamiętaj się! Malcolm krzyknął na nią w obecności Johna Taylora. — Kiedy wreszcie zrozumiesz, że ten człowiek zabrał naszego syna, by zemścić się za swoje dziecko? Jego dziecko nie żyje, tak jak teraz moje...

Ze sposobu, w jaki to powiedział, Marielle wyczuła, że ją obwinia. John Taylor również rozumiał tę aluzję, ale nic nie mógł powiedzieć, by jej pomóc. Chciał do niej szepnąć: bądź silna, albo przytulić ją przez chwilę przed wyjściem. Ale nic nie mógł zrobić. Ścisnęła tylko niedostrzegalnie jej dłoń, a potem zostawił ją samą z Malcolmem.

Tego roku Boże Narodzenia w domu Pattersonów jakby nie istniało. Nie było prezentów, składania życzeń, ciepłych myśli czy uczuć. Nie udekorowano domu, a pokój Teddy'ego był jak mały ołtarz, wspomnienie wszystkiego, co stracili. Oboje ciągle tam chodzili, by nie stracić nadziei i otuchy. Marielle nie mogła uwierzyć, że jej synek odszedł i nigdy więcej nie weźmie go w ramiona... to było niemożliwe... Charles po prostu nie mógłby tego zrobić.

Po odejściu Johna Marielle spędziła bezsennie całą noc. W końcu podjęła decyzję.

Następnego ranka, kiedy Malcolm wyszedł, by zająć się interesami, poleciła, żeby przyprawiono samochód i poprosiła jednego z policjantów o podwiezienie do centrum. Z początku wydawał się trochę zdziwiony, ale po skonsultowaniu się z dyżurnym sierżantem zgodził się spełnić prośbę Marielle. Wyprowadzili ją przez wejście dla służby, ubraną w czarną sukienkę i kapelusz oraz stare futro jej matki. Samochód przebrnął przez tłum reporterów tłoczących się przed domem i skierował się do centrum. Marielle, drżąca, siedziała na tylnym siedzeniu pomiędzy dwoma policjantami. Nie wychodziła z domu od czasu porwania i przeciskanie się przez

tłum ludzi i jechanie pod eskortą czterech policjantów na posterunek policji były dla niej okropnie nieprzyjemne. Ale Marielle wiedziała, że musi to zrobić. Bez względu na to, co powiedzą ludzie, musiała go zobaczyć.

Od sześciu dni Charles był trzymany w Głównym Areszcie Federalnym. Formalne oskarżenie o porwanie postawiono mu prawie natychmiast. Taylor wciąż miał nadzieję, że wydobędzie z Delauneya przyznanie się do winy albo przynajmniej dowie się o miejscu pobytu dziecka. Gdyby tylko mogli z niego to wydusić. Ale jak dotąd, niczego nie wyjawiał. -

Kiedy Marielle przybyła na posterunek policji, na schodach przed wejściem stała garstka reporterów. Gdy tylko ją dojrzel, ożywili się, ale policjantom udało się ich rozepchnąć i chwilę później Marielle była w środku, trzęsąca się i bez tchu. Wyjaśniła, z kim chce się widzieć. Policjanci zaczęli szeptać między sobą. To nie był dzień odwiedzin i jej prośba była niezgodna z przepisami, ale Marielle powiedziała, że jest matką porwanego dziecka i musi porozmawiać z Charlesem Delauneyeni.

W końcu jeden z dyżurnych sierżantów wprowadził ją do małego, pustego pokoju. Dziesięć minut później przyprawiono do niej Charlesa. Miał na sobie brudne spodnie, jedną ze swoich koszul i coś, co wyglądało jak buty wojskowe. Miał tygodniowy zarost i spojrzenie podobne do tego, jakie widziała wiele lat temu. Spojrzenie pełne bólu i smutku, które powiedziało jej to, czego chciała się dowiedzieć, zanim jeszcze zadała mu pytania. W chwili, gdy ją zobaczył, zaczął płakać.

Kiedy strażnik zostawił ich samych w pokoju, Charles wziął Marielle w ramiona i przycisnął.

— Nie zrobiłem tego, Marielle... przysięgam... nigdy bym tego nie zrobił.., byłem szalony.., tamtego dnia byłem pijany... nie wiem... po prostu, gdy cię z nim zobaczyłem... przypomniałem sobie o André...

— Wiem... wiem... cicho... musiałam z tobą porozmawiać.

Marielle odsunęła się od niego tak, by mogła go widzieć. Dobrze się stało, że tu przyszła. Musiała usłyszeć od niego, co się właściwie stało. Charles usiadł powoli. Marielle zajęła krzesło naprzeciwko i spojrzała mu w oczy. Jak daleko zaszli i jak wiele bólu było wciąż między nimi...

— Co to było? — zapytała.

Nie wiem. Mówią, że znaleźli jego piżamę w mojej suterenie. Mój Boże, Marielle... powiedz mi, że nie wierzysz, że to prawda....

Skąd się tam wzięła piżama Teddy’ego?

— Nie wiem. Przysięgani na Boga, że nie wiem... jestem głupcem... przed laty byłem okropny dla ciebie... myliłem się... oszalałem... ale resztę mojego życia spędziłem starając się odpokutować za to i nigdy nikogo nie skrzywdziłem... walczyłem za moich przyjaciół, chciałem umrzeć za ich sprawę, ponieważ nie miałem nic do stracenia.., dlaczego miałbym go skrzywdzić? Dlaczego miałbym skrzywdzić ciebie? Wyrządziłem już ci wystarczająco dużo zła i, na Boga... — Charles zaszlochał, a Marielle trzymała jego dłoń wciąż cię kocham. Wiem — szepnęła.

Ona także go ciągle kochała. Bardziej jednak kochała Teddego. Był jej dzieckiem.

— Ale gdzie on jest? — zapytała. Przysięgam, że nie wiem.

W oczach Charlesa malowała się szczerłość i Marielle uwierzyła mu.

— Przysięgani, Marielle, nawet gdyby mieli mnie zabić. Zapewniam cię, że nic nie wiem o porwaniu chłopca. Mani nadzieję, że go znajdziesz. Mimo tych głupstw, które mówiłem w parku, zasługujesz na niego.

Marielle kiwnęła głową.

— Dziękuję — powiedziała.

Jak się w to wszystko wplątali? Jak to się mogło zdarzyć?

Nagle pojawił się strażnik i powiedział, że Marielle musi już iść. Skinęła głową i wstała, a Charles patrzył na nią długo i poważnie, zanim wyszedł z pokoju.

Powiedział jej jedynie: „uwierz mi” i ona przytaknęła. Brzmiało to tak szczerze. Ale jeśli to nie on zabrał chłopca, to w takim razie, kto to zrobił? Marielle nie dowiedziała się niczego, ale przynajmniej upewniła się, że Charles Delauney nie był temu winny.

Po opuszczeniu małego pokoju ujrzała ze zdziwieniem Johna Taylora zbliżającego się do niej. Był z FBI, a nie z policji i nie miał tutaj żadnych interesów. Marielle przypuszczała, że przyszedł zobaczyć się z Charlesem.

John miał bardzo srogą minę, gdy prowadził ją do prywatnego gabinetu.

— Co tutaj robisz? — zapytał.

Wydawało się, że jest na nią zły, prawie tak samo, jak byłby Malcolm, ale Marielle była zadowolona, z tego, co zrobiła. Było warto.

— Musiałam się z nim zobaczyć.

— To był głupi pomysł.

Marielle potrząsnęła głową, bo wiedziała, że to nieprawda. Mówi, że tego nie zrobił. I ja mu wierzę.

Musiała się tego dowiedzieć, zapytać, zobaczyć go.

— A co myślisz, że miał ci powiedzieć? Że go zabił? — John był zły na nią, że przyszła zobaczyć się z Charlesem.

Marielle cofnęła się, gdy to powiedział.

— Nie powie ci przecież prawdy. Ma pętlę na szyi i właśnie teraz zrobi wszystko, co może, żeby się uratować.

Dlaczego miałby mi kłamać?

— A dlaczego miałby powiedzieć ci prawdę? Zbyt wiele mu grozi. Marielle, posłuchaj mnie, trzymaj się z daleka od tego miejsca. Od niego. Jeśli będziemy mogli, odnajdziemy dla ciebie twojego syna, ale ten człowiek nic nie może zrobić. Nie dał ci niczego oprócz bólu., zostaw go....

Nie miał obowiązku tego mówić, ale był pewien, że Marielle została oszukana. Zbyt wiele teraz wiedział o Delauneyu. Burzliwe życie w Hiszpanii, napady szału, jakim ulegał od czasu do czasu, pijaństwo, wściekłość., fakt, że uderzył ją, kiedy... że wciąż ją kochał. John nie był nawet pewien, czy Charles nie jest chory psychicznie. To też należało jeszcze zbadać. Taylor nie chciał, żeby Marielle została ponownie skrzywdzona. Kiedy dziennikarze zwietrzają, że była tutaj, zatriumfują.

— Chodź, zawiozę cię do domu.

Marielle zgodziła się bez oporu.

— A następnym razem, kiedy będziesz chciała zrobić coś podobnego, daj mi znać.

— I co byś powiedział? — uśmiechnęła się do niego, gdy szedł obok niej.

John polecił policjantowi, żeby uruchomił silnik samochodu. Taylor i Marielle musieli tylko rzucić się pędem do niego, uciekając przed pstrykającymi zdjęciami fotografami. Później zamieszczono jedno zdjęcie Marielle wchodzącej do samochodu z Johnem Taylorem tuż za nią.

— Co byś powiedział, gdybym poprosiła cię, żebyś mnie zawiózł tutaj? — zapytała, gdy już siedzieli w samochodzie.

John zmarszczył brwi.

— Powiedziałbym: me.

Nie zgodziłby się pod żadnym warunkiem.

— Dlatego nie zadzwoniłam do ciebie — uśmiechnęła się Marielle.

Czuła ulgę. Wierzyła Charlesowi. Może to jednak nie ona była winna temu wszystkiemu.

John Taylor siedział obserwując Marielle. Uważał ją za wspaniałą kobietę. Bardzo ją lubił. Bardziej nawet, niż powinien.

— Następnym razem, kiedy przyjdzie ci do głowy taki pomysł, zabiorę cię na przejażdżkę i surowo cię pouczę, co wolno ci robić — powiedział, jakby karmił dziecko.

Tego się właśnie obawiałam — odpowiedziała cicho.

Potem już nic więcej nie mówili jadąc do domu położonego w wytwornej dzielnicy willowej. Gdy John obserwował Marielle, zrobiło mu się jej wyraźnie żal. Wiedział, jak rozpaczliwie szukała dziecka. Sam zaczynał już myśleć, że nigdy go nie odnajdą. Zajmując się sprawą Lindberghów też w pewnej chwili stracił nadzieję i, mimo że tak bardzo chciał się mylić, w końcu okazało się, że miał rację.

Gdy zajechali do domu, wbiegli szybko bocznym wejściem przez kuchnię. Marielle podziękowała Johnowi za przywiezienie jej do rezydencji.

Ale następnego ranka Malcolm był mu o wiele mniej wdzięczny. Gazety roiły się od relacji z wizyty Marielle w areszcie i były usiane jej zdjęciami. Na jednym z nich był też John otaczający ją ramieniem, gdy wsiadała do samochodu.

Malcolm był wściekły, gdy wrócił do domu.

— O co tu chodziło, Marielle?

— Zastaniał mnie przed dziennikarzami — powiedziała cicho.

John miał rację. Dziennikarze odnieśli sukces.

Chyba to mu się podobało. Czy to był jego pomysł, żeby cię zabrać do Delauneya?

— Nie, mój. W areszcie wpadłam na Taylora. I Malcolmie... przykro mi. Po prostu musiałam się z nim zobaczyć... chciałam usłyszeć, co powie.

— I czy powiedział ci, jak zabił twojego syna? Powiedział to? A może płakał nad swoim własnym synem? wściekle krzyczał Malcolm.

— Malcolmie, proszę...

— Prosisz o co?... twój kochanek..., twój były mąż, czy jakkolwiek go nazwiesz, zabiera mojego syna i ty chcesz, żebym go żałował? Czy to właśnie zrobiłaś? Poszłaś, by mu powiedzieć, jak bardzo jest ci go żal? Wiesz, kogo mi jest żal? Teddego... naszego chłopczyka, który prawdopodobnie nie żyje, może jest skopany, zasztyletowany czy zraniony...

Marielle zaczęła krzyczeć. Zatkła sobie dłońmi uszy i nie mogła już dłużej znieść tego, co mówił.

— Przestań! Przestań! Przestań!

Wybiegła z krzykiem zjadałni i pobiegła do swojego pokoju. To było dla niej zbyt dużo. Zbyt wiele się działo. I wydawało się, że wszyscy ją obwiniają. To była jej wina, że знаła Charlesa, że była jego żoną, że nie była w stanie uratować własnego dziecka. Winna też była w oczach Charlesa.

Tego popołudnia wrócił John Taylor, by się zobaczyć z Marielle. Był poprawny i na tyle uprzejmy, że nie wspominał o wrzawie w gazetach. Nie przyniósł jednak żadnych nowych wiadomości. Na wszelki wypadek ludzie z FBI zamierzali ponownie przeszukać dom Charlesa.

Kiedy to zrobili, tym razem znaleźli jedną z zabawek Teddy’ego, małego pluszowego misia, ukrytego w sypialni Charlesa. Nie było już żadnych wątpliwości. I tym razem Marielle uwierzyła im.

Rozdział VIII

W połowie stycznia przygotowania do procesu były w toku, a wciąż nie było żadnych wiadomości o Teddym. Minęło trzy i pół tygodnia od jego porwania. Malcolm w tym czasie udał się do Waszyngtonu na kilka dni, by wziąć udział w tajnej sesji Komisji Parlamentu i Senatu do Spraw Wojskowych oraz aby spotkać się z Hughem Wilsonem, ambasadorem Stanów Zjednoczonych w Niemczech, który na krótko przyjechał do kraju.

Marielle została sama w Nowym Jorku, w domu otoczonym przez strażników. Od tygodnia nie widziała Johna Taylora.

Pewnego popołudnia przeglądała gazety, starając się nie myśleć o Teddym i trzymać się z daleka od jego pokoju. Nie mogła dłużej znieść wiadomości radiowych, albo puszczano relacje z jakichś przerażających procesów, albo słyszała ulubioną audycję Teddy’ego, na przykład „Samotnego Komandosa”, co doprowadzało ją do płaczu i jeszcze większego przygnębienia. Zaczęła nienawidzić widoku Shirley Tempie, ponieważ ta mała aktorka przypominała jej Teddy’ego. W końcu odesłała pannę Griffin na krótkie wakacje do jej siostry w New Jersey, bo ona też dostawała hysterii. Marielle czuła zresztą ulgę, gdy szła na górę i nie widziała guwernantki. Teraz mogła być sama w pokoju synka z jego ubrankami, zabaw-

karni, z małymi przedmiotami, jak na przykład szczotka do włosów, których używał. Czasami po prostu stała tam godzinami i dctykała ich, siadała w jego ulubionym fotelu albo kładła się na łóżku, starając się nie myśleć o ostatniej nocy, jaką spędził w tym pokoju.

Tamtego dnia, gdy odłożyła ostatnią gazetę, w bibliotece zjawił się Hayerford. Miał łagodne i miłe spojrzenie. Było mu bardzo żal Marielle, chociaż nigdy by się do tego nie przyznał.

— Ktoś chce się z panią zobaczyć. Jakaś panna Ritter. Mówi, że była umówiona.

— Nie znam nikogo o tym nazwisku.

— Ależ ma pani — powiedziała nieznajoma.

Na dźwięk słów Marieie odwróciła się i zobaczyła młodą kobietę wchodzącą do biblioteki. Mała, rudowłosa, była w wieku Marielle. Wyglądała jak ktoś znajomy, ale Marielle nie mogła sobie przypomnieć, gdzie ją widziała. Zaczęła się w duchu modlić, aby to był ktoś, kto mógłby jej grozić albo żądać czegoś; ktoś, kto zaprowadzi ją do Teddego. Coraz mniej miała nadziei, bo pieniądze przeznaczone na okup nigdy nie zostały zabrane i ciągle znajdowały się w szafce na Grand Central Station.

— Kim pani jest? zapytała zdziwiona Marielle.

Hayerford stał obok, gotów jej bronić. I nagle przypomniała sobie. To była ta reporterka, która wpełzła się do domu. Dziewczyna wyglądała teraz na przestraszoną i zerknęła na lokaja.

— Mogę porozmawiać z panią na osobności?

— Nie... przykro mi... nie może pani.

Powiedziała to ze stanowczością i odwagą, której w rzeczywistości jej brakowało.

Dziewczyna robiła wrażenie bardzo śmiałej i pewnej siebie, więc Marielle zaczęła się mieć na baczności.

— Proszę, to jest ważne... — błagała młoda kobieta.

Miała na sobie dziwaczny strój, tak jak za pierwszym razem, kiedy się tu pojawiła.

— Nie sądzę. W jaki sposób się pani tu dostała?

— Umówiliśmy się na dzisiejsze popołudnie.

Dziennikarka starała się nadrabiać bezczelnością, ale Marielle nie była taka głupia. Od ponad miesiąca nie umówiła się z nikim na żadne spotkanie, nie licząc prowadzących śledztwo i policjantów.

Przykro mi, panno...

— Ritter. Beatrice Ritter uśmiechnęła się dziewczyna, starając się znaleźć jakiś punkt zaczepienia w rozmowie z Marielle, coś, co mogłoby na tyle zainteresować matkę chłopca, by poprosiła ją o pozostanie. Ale Marielle wiedziała, co robi.

— .. będzie musiała pani opuścić ten dom...

Przez moment dziewczyna wyglądała na gorzko rozczarowaną, a potem kiwnęła głową.

— Rozumiem. Chciałam tylko porozmawiać z panią o Charlesie.

Gdy wymówiła jego imię, Marielle zdawało się, jakby przez pokój przepłynął prąd elektryczny. Popatrzyła na reporterkę.

— Dlaczego?

— Bo on pani potrzebuje.

To wszystko było zbyt skomplikowane, by dyskutować o tym z nieznajomą.

— Madam?.

Hayerford popatrzył na Marielle pytająco. Nie wiedziała dlaczego, ale zdecydowała się pozwolić dziewczynie zostać na chwileczkę. Skinęła głową Hayerfordowi i lokaj wyszedł z pokoju. Zawiadomił jednak dwóch policjantów i za chwilę Marielle zobaczyła ich, jak stali przy drzwiach.

— Nie rozumiem, po co pani tutaj przysła. Czy to Charles przysłał panią do mnie?

Od czasu jej wizyty w więzieniu nie miała od niego żadnych wiadomości. Nie odezwał się też po tym, jak znaleźli u niego misia, co ostatecznie przekonało Marielle, że jest winny.

Ale Bea Ritter chciała być z nią szczerą i szybko wyjaśnić cel swojej wizyty, zanim Marielle ją wyprosi. Charles uprzedzał ją, że Marielle nie będzie chciała z nią rozmawiać.

Jestem z Agencji Prasowej. Nie sądzę, żeby Charles porwał dziecko. Chcę zorientować się, czy mogę dowiedzieć się, kto to zrobił. Chcę wiedzieć, czy pani mi pomoże.

Ujęła to tak jasno i zwięźle, jak tylko mogła.

— Obawiam się, że nie zgadzam się z panią, panno... Ritter — Marielle z trudem przypomniała sobie jej nazwisko. — Ja również nie uważam, żeby on to zrobił, ale istnieje jakieś dziwne powiązanie; znaleziono u niego dwie rzeczy mojego syna: piżamę, którą miał na sobie, gdy został porwany, oraz jego ulubionego pluszowego misia. I nie ma innego podejrzanego.

Marielle nie miała już wątpliwości co do winy Charlesa.

! — Może prawdziwi porywacze boją się albo mają powody, by się nie ujawniać. Musi być jakiś powód.

Bea była przekonana o niewinności Charlesa. Spędziła z nim wiele godzin i nie mogła uwierzyć, że jest zdolny do popełnienia zbrodni. Ale Marielle nie wierzyła już dłużej w jego niewinność. Wstała spokojnie, czekając, aż dziewczyna wyjdzie.

— Obawiam się, że nie mogę pani pomóc.

Zbyt wielki ból sprawiało jej myślenie o tym. Nie chciała słuchać tej kobiety występującej w obronie Charlesa. Wszystko, czego chciała, to odzyskać swojego syna.

— Czy sądzi pani, że jest zdolny do czegoś takiego? zapytała Bea.

Musiała znać odpowiedź. Chciała wiedzieć, czy Marielle mu wierzy. Ale Marielle obawiała się tego, co reporterka mogłaby napisać w gazecie.

Naprawdę uważam, że jest zdolny do tego. Po prostu nie ma żadnej innej odpowiedzi. Zresztą groził, że to zrobi.

Ona w końcu się do tego przekonała, nieważne, że ta młoda kobieta miała inne zdanie. Po tych wszystkich latach serce Marielle wreszcie uodporniło się na Charlesa Delauneya.

Był wtedy pijany — powiedziała Bea Ritter.

Było jasne, że rozmawiała z Charlesem. Jej uporczywość zirytowała Marielle. Dziewczyna była bystra, uparta i zdecydowana.

Z fryzurą na pazia, w tanim granatowym płaszczu, sukience i śmiesznym kapeluszu z czerwonym kwiatkiem, miała w sobie coś interesującego.

— To, że jest się pijanym, nie może stanowić wytłumaczenia. Przykro mi...

Marielle podeszła do drzwi, ale Bea Ritter nie ruszyła się z miejsca.

— Pani Patterson, on panią kocha...

Słyszając te słowa, Marielle zatrzymała się i odwróciła się, by gniewnie spojrzeć na reporterkę.

— Czy on to pani powiedział?

To jest przecież oczywiste.

To nie było dla mnie takie oczywiste przez te wszystkie lata i nie chcę tego słuchać.

W końcu wściekła się na niego i czuła się moralnie zraniona

tym, co zrobił. Ale Bea Ritter nie chciała podzielić punktu widzenia Marielle.

— On jest niewinny — powiedziała.

Była tak zdecydowana, tak tego pewna, że, słuchając jej, Marielle prawie zaczęła w to wierzyć. Ale nie chciała, by wspomnienia o Charlesie znowu nie dawały jej spokoju. On zabrał przecież jej dziecko!

— Jak śnie pani mówić, że jest niewinny! Jeśli tak jest, to gdzie jest moje dziecko?

On nie wie. Przysięga odpowiedziała Bea nie spuszczać wzroku z Marielle. — Gdyby wiedział, powiedziałby nam o tym.

— Nawet go pani nie ma.

Ale Bea знаła go lepiej, niż sądziła Marielle. Przekupiła policjantów i spędziła z nim wiele godzin w więzieniu. Z początku miała z nim zrobić tylko wywiad, ale z jakichś dziwnych powodów zaangażowała się, uwierzyła mu, nabrała pewności, że mówi prawdę. Obiecała sobie, że zrobi wszystko, by mu pomóc. Rzeczywiście, na prośbę Charlesa, poszła do Toma Armoura i błagała go, by zgodził się bronić Delauneya. Charles i Tom byli znajomymi z dawnych lat. Do tej pory jednak Armour nie przyjmował listów Charlesa i jego telefonów.

Dopiero dzięki Bei sprawy przyjęły nowy obrót. To ona błagała Toma w imieniu Charlesa, ona przekonała młodego prawnika zajmującego się sprawami karnymi, że minio niepodważalnych, zdałoby się, faktów świadczących przeciwko niemu, Delauney jest niewinny. I przypomniała Tomowi, że jeśli nie weźmie tej sprawy i Charles przegra, na śmierć zostanie skazany... niewinny człowiek. Twierdziła, że podjęcie się przez Toma obrony może nadać inny obrót sprawie. W końcu udało się jej przekonać go.

— Czy pomoże mi pani? — spytała błagalnie.

Marielle nie chciała jej słuchać, podobnie jak przedtem Tom Armour. Jednak jej uległ, bo Bea Ritter była niewiarygodnie przekonywająca.

— Niech pani znajdzie mojego syna, a wtedy pani uwierzę — powiedziała chłodno Marielle.

— Spróbuję — obiecała Bea Ritter, wstając w końcu. — Czy mogę do pani zadzwonić, jeśli czegoś się dowiem?

Marielle zawahała się, a potem, wbrew samej sobie, skinęła głową.

— Dziękuję — powiedziała Bea.

Stała przez chwilę, patrząc na Marielle, jak gdyby zastanawiała się nad wszystkim, co usłyszała. Potem podziękowała jej ponownie i wyszła.

Siedziała przy biurku i pogrążona w smutku myślała o dziewczynie, gdy nagle przyjechał John Taylor z prokuratorem generalnym.

William Palmer był wysokim, szczupłym, budzącym przerażenie człowiekiem. Wydawał się całkowicie przekonany, iż Charles Delauney porwał dziecko, a co więcej, był pewien, że je zabił. Marielle wzdrygnęła się usłyszawszy jego opinię. John cierpiał, obserwując jej zachowanie. Postawa prokuratora była krańcowo różna od próśb panny Ritter o pomoc dla Charlesa.

Bill Palmer poinformował Marielle, że rozprawę wyznaczono na marzec. Wyjaśnił jej, że oczekują wyroku uznającego Charlesa za winnego i że ma nadzieję, iż ona i jej mąż będą współpracować z oskarżeniem.

— Co to oznacza, panie Palmer?

— To oznacza, że spodziewam się, iż będzie pani na procesie, swoją obecnością wzruszając ławę przysięgłych. Chcemy, żeby wiedzieli, co znaczy dla pani utrata dziecka, i uznali pana Delauneya za winnego. I jeśli będziemy mieć szczęście i udowodnimy albo nawet tylko zasugerujemy, że przekroczył granicę stanu razem z chłopcem, wtedy dostaniemy dla niego karę śmierci, nic łagodniejszego, pani Patterson!

Sposób, w jaki to powiedział, sprawił, że Marielle zadygotała. Odniosła wrażenie, że prokurator ma zamiar doprowadzić do skazania Charlesa opierając się bardziej na uczuciach sędziów niż na dowodach. Oburzyło ją, że będzie „wystawiona na pokaz” podczas procesu. Taylorowi również się to nie podobało, ale był w stanie to zrozumieć. William Palmer był bardzo poważanym prokuratorem, ale nie miał zbyt wielu ludzkich odruchów.

— Oczywiście, jeśli odnajdziemy do tego czasu pani syna, jego także chciałbym widzieć w sądzie, ale tylko na krótko.

Marielle usiadła. Pomyślała, że chciałaby, żeby tak się stało. Gdyby tylko odnaleźli Teddego i gdyby mógłby być tutaj.

— Czy coś jeszcze? — zapytała niegrzecznie, bo to, co mówił, wydawało się jej okropne.

Prokurator chyba nie zrozumiał jej aluzji. Wstał jednak, zaniierzając wyjść.

— Odezwę się jeszcze do pani przed procesem — powiedział.

Poprawił okulary i popatrzył na Marielle, jakby oceniając, jakim będzie świadkiem. Po chwili podniósł swoją teczkę.

— Chciałbym zobaczyć się z pani mężem, kiedy wróci z Waszyngtonu. Czy mogłaby pani mu to przekazać?

— Oczywiście.

Prokurator wyszedł. Taylor zostali usiadł z Marielle na kanapie. Marielle westchnęła. To był bardzo wyczerpujący miesiąc, okropne cztery tygodnie, a oni wciąż nie mieli pojęcia, co się działo z Teddym. Nie było żadnych telefonów, wiadomości, tylko kilka nędznych poszlak i garść doniesień o pojawieniu się dziwnych osób od New Hainpshire aż po New Jersey.

Co za uroczy facet — powiedziała Marielle mając na myśli prokuratora.

Taylor zaśmiał się, zapalił papierosa i obserwował ją. Kiedy zapominała o przygniatających ją problemach, potrafiła nawet żartować.

— Jest lepszy w sądzie niż w salonie.

— Na szczęście dla niego.

Marielle popatrzyła pytająco na Johna. Nieoczekiwanie zostali przyjaciółmi. czasami czuła, jakby tylko on był jej sprzymierzeńcem.

— Wyobrażam sobie, że proces byłby naprawdę okropny powiedziała.

— Będzie ciężki. I wyciągną rzeczy, które ci się nie spodobają... przynajmniej obrona. Może okres, który spędziłaś w szpitalu albo coś podobnego. Muszą zrobić wszystko, żeby cię zdyskredytować w oczach sędziów przysięgłych.

— Dlaczego? Przecież nie oskarżam Charlesa.

Chociaż teraz była prawie pewna, że to on porwał Teddy'ego, miewała jednak od czasu do czasu wątpliwości co do jego winy; sprawiła to wizyta reporterki, o której opowiedziała Johnowi.

— Trzymaj się od tego z daleka. Oni tylko cię skrzywdzą. Do czegokolwiek dorwą się dziennikarze, przeinaczą to i zadadzą ci cios w plecy.

Marielle zgadzała się z tym. Ale jeśli ta dziewczyna w zabawnym kapeluszu miała rację?

Była tak bystra, energiczna i mówiła z takim przekonaniem.

— Czasami nie wiem, co o tym myśleć — przyznała Johnowi z przygnębieniem, I czy proces ma jeszcze jakieś znaczenie? Nie ma Teddy'ego. Cała reszta jest tak mało ważna.

Gdy to mówiła, jej oczy były ogromne i smutne. W ciągu jednego, krótkiego życia straciła troje dzieci.

— To nie jest mało ważne dla Charlesa. Tu chodzi o jego życie. Będzie chwycił się wszystkiego, co mogłoby go ocalić.

— Kto jest jego obrońcą?

— Wybrał dobrego. Nazywa się Tom Armour. Bystry, młody, może brutalny w sądzie, ale jeśli ktoś może uratować Delauneya, to tylko on.

— Nie wiem, czy jestem z tego zadowolona, czy nie. Już sama nie wiem, co myśleć. Malcolm mówi, że to Charles porwał Teddy'ego. I kiedy znaleźli misia...

W oczach jej pojawiły się łzy. Marielle wytarła je ręką.

— Ale nie wiem..., kiedy poszłam zobaczyć się z Charlesem, uwierzyłam mu, gdy powiedział, że tego nie zrobił. Ale jeśli nie on, to kto? I gdzie jest Teddy?

Na to pytanie nikt nie mógł odpowiedzieć. Obserwując Marielle, John poczuł się nią tak zafascynowany, że z trudem rozumiał jej pytania. Żadna kobieta nie robiła na nim takiego wrażenia, nawet żona, nie mówiąc o kobietach, z którymi zwykle miał do czynienia podczas śledztw. Ale w Marielle było coś, co doprowadzało go do szaleństwa, jakaś zwiewność i kruchość. Kiedy stał tak obok, pragnął jedynie wyciągnąć rękę i dotknąć jej.

— Chciałbym znać odpowiedź — powiedział smutno.

Siedzieli razem na kanapie; John patrzył z czułością na Marielle. Ściemniało się na dworze. Znowu nadchodziła kolejna zimna noc, a Marielle była jak zwykle sama. Malcolm wyjechał i pomimo że wszędzie roilo się od policjantów, dom wydawał się pusty i opuszczony. John miał ochotę zaprosić Marielle gdzieś na kolację, do miejsca pełnego hałasu, śmiechu, dymu Papierosowego i muzyki. Chciał zabrać ją stąd, od mężczyzn, którzy ją bili i złamali serce oraz od tych wszystkich, którzy ją ignorowali. Teraz wiedział

więcej, niż sobie życzył, o Malcolmie Pattersonie i upewnił się co do jednego: Marielle nigdy od nikogo nie otrzymywała tyle, ile na to zasługiwała. I John Taylor chciał to zmienić.

— Chciałbym uwolnić cię od tych wszystkich problemów, Marielle.

Był agentem FBI i nie powinien tak mówić, ale jego słowa naprawdę wzruszyły Marielle.

— Jesteś miły. Sądzę, że ja też bym tego chciała.... Zwykle uważałam, że nieprzyjemne rzeczy zdarzają się z jakiegoś powodu. Ale nie jestem pewna, czy ciągle tak uważam, Zbyt wielu nieszczęść doznałam.

Trudno było uwierzyć, że w tak okropnych okolicznościach ta kobieta straciła troje dzieci.

— Masz dzieci? — zapytała.

Tak niewiele o nim wiedziała, choć od miesiąca spotykała go codziennie i od razu polubiła.

— Dwoje. Dziewczynka ma czternaście lat, a chłopak jedenaście.

Nagle John pożałował, że to powiedział, ale Marielle kiwnęła spokojnie głową.

— Andrć też miałby jedenaście... a dziewczynka miałaby osiem... dziecko, które zmarło, zanim zdążyło odetchnąć, bez imienia... po prostu dziewczynka Delauney.

— Jennifer i Matthew wtrącił John, by odciągnąć Marielle od wspomnień.

— Czy są podobne do ciebie? — spytała z uśmiechem, czerpiąc przyjemność z tej rozmowy o czymś zwyczajnym, a nie o porwaniu czy morderstwie.

— Nie wiem. Ludzie mówią, że chłopak jest podobny. Trudno powiedzieć. A ty? Co lubisz robić, kiedy twoje życie toczy się normalnie?

Marielle uśmiechnęła się.

— Lubię pływać, chodzić na spacer, jeździć konno..., lubię muzykę... malowałam wiele lat temu, ale teraz nie...

Nie malowała od czasu, gdy zaczęto ją leczyć w szpitalu, ale nie powiedziała tego.

Lubię te wszystkie niemądre zabawy z Teddym.

W końcu zawsze wracała do tematu chłopca, tylko o tym mogła myśleć.

— Byliśmy na filmie „Królewna Śnieżka” w dniu... w dniu,

— Wiem — cicho powiedział Taylor.

Pamiętał. Marielle smutnie pokiwała głową. John położył rękę na jej dłoni, a Marielle spojrzała na niego zastanawiając się, dlaczego tak się o nią troszczy, dlaczego jest tak miły. Była mu wdzięczna za to, że był przy niej. Pomyślała, że zawsze jest w pobliżu, kiedy go potrzebuje.

— Marielle... — wymówił cicho jej imię. Bez słowa pochylił się nad nią i pocałował.

Gdy wziął ją w ramiona i przytulił, Marielle miała wrażenie, jakby całe jej ciało stopniało w tym uścisku. Myślała teraz jedynie jak bardzo jest silny, namiętny i czuły. Gdy odsunął się od niej, nie wiedziała, co powiedzieć. Patrzyli na siebie zdziwieni, ale z twarzy Marielle można było wyczytać, że jest szczęśliwa.

— Nie jestem pewna, co mam teraz powiedzieć..., oprócz tego, jak wiele dla mnie znaczysz... nie jestem pewna, czy przeżyłabym to wszystko, gdyby nie ty.

— Chcę być tutaj dla ciebie... — powiedział John.

Chciał jej dać coś więcej, ale nie wiedział, jak to wyrazić. Odsunął się powoli i znowu usiadł na kanapie. Zastanawiał się nad tym, co zrobił i dlaczego. Wiedział jedynie, że musiał to zrobić. Nigdy nie mógłby jej dać tego, co miała, Mógł jej ofiarować jedyną rzecz, której nie posiadała ani teraz, ani dawniej: miłość. I John był pewien, że Malcolm Patterson me zasługuje na Marielle.

Marielle w milczeniu przyglądała się Johnowi. Od dłuższego czasu nie była tak spokojna, Dotknęła jego dłoni i pocałowała ją.

— Kochasz swoją żonę?

Marielle chciała to wiedzieć, bardziej z ciekawości niż z jakiegoś innego powodu. Chciała go lepiej poznać. Wiedziała, że odpowie jej szczerze. Zawahał się, a potem potaknął głową.

— Ma szczęście — powiedziała Marielle.

John jednak nie chciał rozmawiać z nią o swojej żonie.

— Od tej nocy, kiedy cię poznałem, nie jestem w stanie myśleć o nikim innym, tylko o tobie. Tamtej nocy pragnąłem jedynie wziąć cię w ramiona.

Wymienili głębokie spojrzenia; każde z nich wiedziało, co czuje

drugie. Nie potrzebowali nic mówić. Jedyne, czego potrzebowali, to siebie samych. I oboje wiedzieli, że John mógł stracić pracę... i żonę... ale teraz nie dbał o to. Pragnął być z Marielle, opiekować się nią i chronić tak, jak nikt do tej pory. Marielle była nim także zafascynowana, ale nie miała pojęcia, jak mogliby rozwiązać sytuację. Nie byli wolni, niezależnie od tego, czy ich związki były udane i szczęśliwe. I bez względu na to, jak bardzo Malcolm był teraz na nią zły, nie mogła go zostawić po stracie Teddy'ego.

— I co z nami będzie? zapytała cicho.

— A co chcesz, żeby było, Marielle? — John zadał pytanie niskim i łagodnym głosem.

— Nie jestem pewna.

Była nieszczęśliwa. Nie chciała nikogo zranić, ani Johna, ani jego żony, ani nawet Malcolma. John dotknął jej miękkich włosów w kolorze cynamonu. Naprawdę był gotów zostawić dla niej Debbie. Wiedział jednak, że jeśliby powiedział to Marielle, przestraszyłaby się i poczuła winna. Nie chciał obiecywać czegoś, czego me mógł dotrzymać, ale tak bardzo jej pragnął. Być z nią, pomagać jej, trzymać w ramionach, dać jej wszystko, czego przedtem me miała... Pragnął jej całej... jej duszy... życia... i jej ciała.

— Nie miałaś zbyt wiele szczęścia w życiu, moja przyjaciółko — powiedział, uśmiechając się smutno i patrząc na nią z taką łagodnością, z jaką nieczęsto się spotykała.

— Myślę, że można tak powiedzieć... Teddy był jednym z nielicznych szczęśliwych wydarzeń w moim życiu... i teraz ty... może to wszystko, co można dostać... może wszystko, co dobre, trwa kilka lat, kilka dni... chwilę...

Przez dwa lata miała André... Charlesa przez trzy... Teddy'ego — przez cztery... może to było wszystko... Może nic nie trwa wiecznie.

— Nie prosisz o zbyt wiele.

— Nie miałam wyboru.

Spojrzała mu prosto w oczy, a John pochylił się i pocałował ją znowu. Tym razem zabrakło jej tchu, a on obawiał się, że nie będzie mógł się już dłużej pohamować.

— Chcę, żebyś była szczęśliwa... — wyszeptał żarliwie. Marielle spojrzała jednak smutno na niego. Nawet jeśli dał jej

tyle radości w ciągu tych kilku cennych chwil, nie mogła oczekiwać „suzczego więcej

Chciała, żeby o tym wiedział Teraz pragnęła

jedynie odnaleźć Teddego.

— To był taki okropny okres..., powiedziała cicho.

— Wiem.

John wziął jej dłoń w swoją. Pragnął rozwiązać wszystkie jej problemy. Może za jakiś czas..., zadrżał na samą myśl, co się z nią stanie, jeśli nigdy nie odnajdą chłopca albo jeśli znajdą tylko jego ciało.

— Musisz być bardzo silna, Marielle — powiedział, chociaż zdawał sobie sprawę, że nią była. — Jestem tutaj, by ci pomóc.

Nagle przyszło mu coś do głowy. Pomyślał, że Marielle tak mało od niego żądała.

Dlaczego tak mało od wszystkich żadasz? Dlaczego masz w sobie tyle skromności?

W tym momencie rozwiązał zagadkę, która go dręczyła. To dlatego wszyscy jej nienawidzili. Bo niczego od nich nie oczekiwała, bo dawała bez proszenia o cokolwiek w zamian. Tego właśnie im wszystkim brakowało. Była zbyt dobra, miła, czysta, zbyt chętna, aby znosić ból, jaki jej zadawali.

— Nie bądź taka dobra..., nawet dla mnie, Marielle... nie bądź... Ponownie ją pocałował. Tym razem i Marielle oddała mu

mocny pocałunek. W końcu odsunęła się od niego ze słabym uśmiechem, który sprawił, że serce Johna mocniej zabiło, gdy na nią spojrział. Ta delikatna, subtelna kobieta emanowała z siebie prawdziwą namiętność, doprowadzając tym Johna do szaleństwa.

— Jeśli się nie opamiętamy, sprowadzimy na siebie poważne kłopoty — wyszeptała.

— Nie jestem pewien, czy chcę się opamiętać — odpowiedział chrapliwym głosem.

Marielle była pewna, że tego chciała, mimo że od trzech lat nie kochała się z mężczyzną, a mocne, umięśnione ciało Johna, które czuła przez koszulę, było bardzo atrakcyjne. Nie mogli jednak narażać się teraz na tego rodzaju komplikacje i oboje o tym wiedzieli.

— Kiedy to wszystko się skończy, będziemy musieli poważnie porozniawlać, pani Patterson

Nie wiem, co się zdarzy, ale wiem, że

potem nie pozwolę pani tak łatwo umknąć.

Nigdy przedtem nie był zdolny do tego rodzaju uczuc, nawet

w stosunku do swojej żony, i teraz nie zamierzał się tego wyrzec.

W chwili, gdy poznał Marielle, wiedział już, że jego życie będzie musiało się zmienić. Ale zdawał też sobie sprawę, że jego pierwszym obowiązkiem wobec niej było odnalezienie jej syna. Jeśli mu się to nie uda, powinien przynajmniej pomóc jej przebrnąć przez proces i doprowadzić do skazania Charlesa Delauneya.

— Chciałbyś coś zjeść przed wyjściem? — zaproponowała Marielle, ale John potrząsnął głową.

— Muszę wracać do biura — odpowiedział z zalem. Nie mógł znieść myśli, że musi ją zostawić. Rzadko wracał do

domu przed dziesiątą wieczorem. Powiedział Marielle, że kocha swoją żonę, i tak było..., kochał..., kiedyś... Ale w rzeczywistości bardziej kochał swoje dzieciaki i tylko one oraz religia sprawiały, że jego małżeństwo z Debbie jeszcze się trzymało.

— Zadzwoń jutro do ciebie — szepnął do Marielle. Zastanawiał się, czy ona żałuje tego, co zrobili i co sobie

powiedzieli, czy jest zażenowana. Ale gdy Marielle wstała z kanapy, w jej oczach widać było zadowolenie. Spojrzała dziwnie na Johna.

Wiem, że powinnam czuć się winna, ale tak nie jest. Jestem po prostu spokojna.

Jak gdyby zdarzyło się coś niezwykłego. Coś dobrego. Słusznego. Coś, czego oboje potrzebowali i pragnęli. John też to czuł. Ale czy kiedykolwiek będą mogli być razem? Wciąż było zbyt wcześnie, by znać odpowiedź na to pytanie.

Dobranoc, pani Patterson — powiedział cicho.

Zanim wyszedł z pokoju i znalazł się wśród policjantów wyznaczonych do strzeżenia dniem i nocą domu Pattersonów, pocałował ją delikatnie.

Dobranoc, Marielle szepnął.

Uśmiechnęła się i odprowadziła go do drzwi wejściowych. Kilka minut później poszła cicho na górę do sypialni. Śmiała się po raz pierwszy od miesiąca. Tak cudownie było czuć się kochaną i pożądaną, nawet jeśli trwało to tylko chwilę.

Rozdział IX

Podczas przygotowań do procesu prokurator Bill Pabner stał się częstym gościem w domu Pattersonów, spędzając długie godziny na poufnych rozmowach z Malcohnem. Rozpytywał

też służbę oraz Edith i Patricka, którzy zostali wydaleny, Wreszcie na początku marca przeprowadził kolejną rozmowę z Marielle, tym razem na osobności, bez towarzystwa Johna Taylora czy jej męża.

Chcę, żeby była pani pewna, pani Patterson, przed wejściem na trybunę dla świadków w sądzie, że jest całkowicie przekonana co do przebiegu zdarzeń tamtej grudniowej nocy. Czy rozumie mnie pani?

Oczywiście, że go rozumiała. Był jedną z tych osób, które umieją wyważyć każde wypowiedane słowo, ale trudno je nazwać sympatycznymi. Miał przygładzone włosy i bladą twarz, Był prawdopodobnie w wieku Johna Taylora, po czterdziest Lubił garnitury w prążki i ciemne krawaty, nosił okulary w rogowej Oprawie. Rzucalo się w oczy, że był pod dużym wrażeniem osobowości Malcolma,

— Rozumiem — odrzekła cicho Marjelle.

Ale wciąż było tak niewiele do Powiedzenia, Tamtej nocy Usłyszała hałas i o północy poszła na górę, żeby zobaczyć, jak się zuje Teddy i ucałować go. Wyjaśniała już to setki razy, ale prawnik wcale się tym nie interesował. On chciał tylko doprowadzić do skazania Delauneya. Nienawidził takich mężczyzn jak Charles, socjalistów ukrywających się w przebraniu bogaczy. Takim był właśnie w oczach Palmera: zepsutym playboyem, który myślał, że może robić wszystko, co chce.

— Znalazłam Betty i pannę Griffin związane i zakneblowane. Parnia Griffin miała głowę omotaną powłóczką na poduszkę i znajdowała się pod wpływem chloroformu. Teddy”ego nie było... to było wszystko... zniknął.

Od tego czasu nic się nie wydarzyło, oprócz fałszywego alarmu o okup. Pozostawiony na Grand Central Station, nigdy nie został odebrany, co przekonało policję i FBI, że prawdopodobnie ktoś okrutnie zażartował z Pattersonów.

— Czy piżama znaleziona w domu Delauneya należała do pani syna?

Marielle poczuła się tak, jakby już znajdowała się na trybunie dla świadków. Palmet chodził po pokoju i obserwował ją.

— Chyba tak — odpowiedziała cicho.

— Nie jest pani pewna.

Zatrzymał się i popatrzył na nią, prawie z wściekłością.

— Jestem, ale...

— Ale co, pani Patterson?

Malcolm ostrzegł go, że Marielle nigdy nie była pewna tego, co mówiła, przekonana o czymś ani też wystarczająco odważna, by walczyć o swoje, albo mieć własne zdanie na jakiś temat.

— Nie wiem, jak się tam dostała — wyjaśniła.

Malcolm, nielojalny wobec Marielle, powiedział też Palmerowi, że jego żona jest tak chwiejna emocjonalnie, że nie można jej ufać.

— Delauney zostawił ją tam, oczywiście. Któż inny mógłby dostarczyć to do jego domu razem z misiem? Czy nie wierzy pani, że Charles Delauney porwał pani syna?

Zaległa cisza i Marielle przemyślała jeszcze raz tę kwestię. W przeciągu dwóch i pół miesiąca zadawała sobie to pytanie tysiące razy. Uważała, że to zrobił, były na to dowody, a jednak, czasami, nie była pewna. Podobno wciąż utrzymywał, iż tego nie zrobił. Ale dowody... dowody... piżama... pluszowy miś...

— Tak, myślę, że tak — powiedziała smutno.

Ale nie jest pani pewna? — prokurator wymówił z naciskiem

słowa, jak gdyby sprawiały mu ból. Czy jest ktoś, kto według pani mógłby porwać pani syna? Marielle Potrząsnęła głową. Słuchając Palmera, czuła, że cała drży.

— Nie wiem. Nie sądzę, w przeciwnym razie byśmy go znaleźli — odpowiedziała William Palmer był zaskoczony.

— Czy pragnie pani sprawiedliwości, pani Patterson? Czy chce pani, aby człowiek, który zabrał pani syna, został ukarany? Tego chce pani mąż, a pani?

Zabrzmiało to tak, jakby jej zarzucał, że zachowuje się me po amerykańsku. Ale Marielle naprawdę nie pragnęła jego śmierci.

Chcę jedynie, by mój syn wrócił do domu.

— Czy dopuszcza pani możliwość, że Delauney go zabił?

Marielle zamknęła oczy i skinęła głową. Potem otworzyła je zastanawiając się, jak przeżyje ten proces. Poprzednie dwa i pół miesiąca były koszmarem. Gazety polowały na nich dniem i nocą i prawie każdego dnia zamieszczano na pierwszych stronach fotografie jej i Malcolma, Teddy’ego czy Charlesa. Nie mogła już nawet słuchać radia, by nie słyszeć Opowieści o samej sobie, o Charlesie, Malcolmie. Wiele z nich było wymyślonych, po to, by wywołać skandal i wzbudzić sensację. Rzekomo widywano Marielle samą na przyjęciach, Malcolm rozwodził się z nią, Charles uciekł z więzienia, ktoś widział Teddy’ego To były nie kończące się, całkowicie nieprawdziwe i oburzające doniesienia. A William Palmer był częścią tego koszmaru.

— Zdaje pani sobie sprawę, że ten człowiek może zabił synka, a jednak nie jest pani w pełni przekonana o jego winie. Zgadza się?

— Tak — w końcu wydusiła to z siebie. — Tak, zgadza się...

. Nie... — po chwili zmieniła zdanie. — Myślę, że to zrobił.

Palmet był naprawdę bardzo zirytowany. Mariefle wstała i przeszła na drugi koniec pokoju, walcząc z własnymi uczuciami.

— Nie mam całkowitej pewności że to Charles Delauney porwał i może nawet zabił mojego syna. Ale uważam, że jest to możliwe, bo znaleziono u niego Pizamę i misia Teddego. Na ustach Palmera pojawił się lodowaty uśmiech.

— Jestem tu, żeby to udowodnić prawdę? Dlaczego nie zaufam pani i nie pozwoli się przekonać? Jak pani wie, pani mąż wierzy w winę pana Delauneya.

Próbował uspokoić Marielle, ale ona już wiedziała, co sądził Malcolm i dlaczego. On także uważał, że winę ponosi ona, co nie było przecież prawdą.

On nie zna go tak dobrze, jak ja.

Przypuszczam, że nie. Ale pan Delauney bił panią, kiedy była pani w ciąży, prawda?

Nie odpowiedziała od razu. Wyrzała przez okno na ogród, marząc o tym, żeby ujrzeć w nim swojego syna.

Niezupełnie tak było. Nie jestem pewna, czy tak bym to nazwała. Uderzył mnie... ale ogarnęła go wtedy wściekłość i żal...

— A czy w rezultacie nie zabił pani nie narodzonego dziecka?

— Nie wiem. Ale nie będzie sądzony za zamordowanie mojej córeczki.

— Nie, ale może za zamordowanie pani syna. I jeśli raz to zrobił, może mógł to zrobić ponownie.

— To śmieszne. Te dwie sprawy nie mają ze sobą nic wspólnego.

— Czy pani go broni, pani Patterson? Będzie go pani bronić na procesie?

Chciał to wiedzieć. Musiał znać jej poglądy, zanim zaszkodzi jego sprawie. Był bardzo zaniepokojony jej stanowiskiem.

— To nie moja sprawa, panie Palmet. Nie mam zamiaru nikogo bronić. Zależy mi jedynie na moim synu.

— A mnie zależy na sprawiedliwości.

Więc sprawiedliwości stanie się zadość — stwierdziła Marielle.

Długo przyglądała się prokuratorowi. Kiedy wychodził, był poważny i niezadowolony. Patterson miał rację. Reakcji Marielle nie dało się przewidzieć, nie można było na niej polegać, była zbyt emocjonalna. Zaczynał się zastanawiać, czy jednak szofer nie miał racji. Może ona wciąż była zakochana w Charlesie Delauneyu. Może mieli romans i nie tylko patrzyli sobie w oczy? Jego ludzie nie odkryli co prawda nic kompromitującego panią Patterson. Najgorsza rzecz, jaką można było o niej powiedzieć, to zbyt duża rozrzutność, wydawała zbyt wiele pieniędzy na stroje, ale Patterson wcale się temu nie sprzeciwiał. Po południu, kiedy Palmer opuścił dom, kilka minut później przyszedł John Taylor. Odwiedzanie Marielle stało się jego codziennym zajęciem.

Rozmawiał z nią, czasami po prostu siedzieli w ciszy popijając kawę. Lubił przebywać blisko niej. Niekiedy spędzał w jej domu parę godzin, udając, że pilnuje swoich ludzi, po to tylko, by znaleźć się w jej pobliżu, gdy zejdzie na dół. Był w radosnym beztroskim nastroju. Śmiali się, zerkali na siebie, Marielle przyniosła mu kanapkę, a John sięgając po nią dotykał ręki Marielle. Uwielbiał jej zapach, jej delikatną skórę. Jeśli miał szczęście i nikogo nie było w pobliżu, udawało mu się nawet ją pocałować. Umierał z chęci zabrania jej do restauracji, pójdź na wiosenny spacer czy po prostu wyjścia do kina i jedzenia prażonej kukurydzy. Ale to były tylko marzenia. Kiedy Marielle otwierała drzwi, za którymi roił się tłum dziennikarzy, stawała się natychmiast żerem w basenie pełnym rekinów, musieli zostawać w domu, prawie ukrywać się, i wtedy dopiero mogli porozmawiać. Taylor dziwił się, że tak rzadko widywał Malcolma w czasie swojej bytności w domu Pattersonów. Tego mężczyzny nigdy tam nie było, co sprawiało raczej przyjemność agentowi specjalnemu FBI.

— Jak leci? — szepnął, zdejmując płaszcz.

Wchodząc tu widział Billa Palmeta odjeżdżającego taksówką.

— Palmet dobrze cię traktował?

— Myślę, że jest rozczarowany, ponieważ nie chcę, by Charles został stracony na krześle elektrycznym, albo że przynajmniej nie jestem wystarczająco entuzjastycznie do tego nastawiona.

— Mnie też to martwi — powiedział John, dotykając jej ramienia, gdy wchodzili do biblioteki. — Co mam powiedzieć żeby cię przekonać?

— Pokaż mi dowód..., pokaż mi moje dziecko...

— Chciałbym to zrobić. Naprawdę jesteś przekonana że jest niewinny?

Nie — przyznała Marielle. — Problem w tym, że nie jestem także stuprocentowo pewna, że jest winny. Myślę, że to zrobił, ale to mi nie wystarcza.

Czasami cierpiała z tego powodu i była zadowolona, że nie zasiada w ławie przysięgłych.

Wiesz dobrze, że kiedy znaleźliśmy piżamę, ta kwestia została rozstrzygnięta.

John jednak wiedział, że Marielle nie chciała uwierzyć w śmierć

dziecka. Do tej pory nie znaleźli go, a więc istniała szansa, że żyje. Może nie mogła pozwolić sobie na zaakceptowanie prawdy. Czasami John zastanawiał się, czy kiedykolwiek znajdą chłopca. W sprawie Lindberghów, gdy znalazł ciało ich dziecka, jakże ciężko mu było zawiadomić o tym jego rodziców i pogodzić się z myślą, co musieli przeżywać. Miał własne dzieci, więc trudno mu było to sobie wyobrazić. I może teraz Marielle też będzie musiała stawić czoło podobnej sytuacji. John miał tylko nadzieję, że jeśli była to prawda, to Teddy zmarł szybko i bezboleśnie.

— Proces będzie okropny, prawda, Johnie? — zapytała go Marielle popijając kawę, którą przyniósł im Hayerford.

Nawet stary lokaj polubił Johna, bo był miły dla Marielle i swoją obecnością dodawał otuchy. Kiedy był w pobliżu, wszyscy czuli się bezpieczniej. I tylko para policjantów podejrzewała, że zainteresowanie Taylora Marielle było czymś więcej niż służbowym obowiązkiem. Byli jednak wystarczająco sprytni, żeby tego nie komentować. Jak dotąd, tajemnica Johna i Marielle była bezpieczna, ale ich uczucie zdawało się rosnąć każdego dnia. Wciąż starali się

żyć z dnia na dzień, koncentrując się na poszukiwaniach Teddy’ego i przygotowaniach do procesu, choć wiedzieli, że przyjdzie moment, kiedy będą musieli stanąć twarzą w twarz i zastanowić się nad swoją przyszłością. Ale na razie żadne z nich nie musiało podejmować żadnych decyzji. Zamiast tego, w dalszym ciągu skupiali swoją uwagę na przyszłym procesie. — Jeśli mam być z tobą szczerzy, to sądzę, że nie będzie to łatwy okres. Myślę, że zamierzają wydobyć na jaw sporo spraw, co może okazać się bardzo bolesne — powiedział cicho John znad kawy.

— Nie mogę się doczekać — odrzekła z ironicznie Marielle. Wiedziała, co John miał na myśli. Zdawała sobie także sprawę z tego, że Malcolm, od czasu aresztowania Charlesa Delauneya, traktował ją jak kryminalistkę. Tak jakby uważał, że była w zмовie z Charlesem albo w jakiś sposób sprowokowała go do porwania Teddy’ego. Nie potrafiła przekroczyć bariery, która ich rozdzieliła. Malcolm rzucił ją na łaskę fal w morzu samotności i strachu.

— A przy okazji, miałaś jakieś nowe wiadomości od panny Ritter.

Bea Ritter była rudowłosą, natchnioną dziewczyną, która broniła sprawy Charlesa, doprowadając tym wszystkich do szaleństwa.

Zorganizowała kampanię w gazetach w jego obronie. Co kilka dni dzwoniła do Johna Taylora, do adwokata Charlesa, do prowadzących śledztwo i prokuratora. Marielle wiedziała, że Bea dzwoniła też do niej kilka razy, ale nie odpowiadała na jej telefony. Nie miała jej już nic więcej do powiedzenia, a rozmowy z dziennikarką doprowadzały ją do jeszcze silniejszego zdenerwowania

— Zdaje się, że wczoraj dzwoniła — odpowiedziała Marielle.

Potem nagle spojrzała z zaciekawieniem na Johna.

— Czy ona jest w nim zakochana? zapytała.

Bea była właściwie bardzo ładną dziewczyną w wieku Marielle.

Jednak jej energia i duch walki starczyłyby dla dziesięciu mężczyzn.

Prawdę powiedziawszy, sam się nad tym zastanawiałem. Ale wiesz, jest wiele zwariowanych babek, które szaleją na punkcie takich facetów jak on. Facetów oskarżonych o naprawdę poważne przestępstwo. Obsesyjnie bronią ich niewinności. Może być jedną z nich albo po prostu kolejną wścibską reporterką.

— Z pewnością zależy jej na nim. Za każdym razem kiedy z nią rozmawiałam, bardzo chciała przekonać mnie o jego niewinności.

Wiem John potrząsnął głową, kończąc pić kawę. — Mógł i tak zrobić coś gorszego.

Potrzebuje wszelkiej pomocy i trochę pozytywnej prasy mu nie zaszkodzi. Mam tylko nadzieję, że nie zaszkodzi to nam, Marielle.

Wstając, spojrzął na nią poważnie.

— Uważaj, żebyś nieświadomie nie współpracowała z obroną. Nieważne, w co wierzysz, a w co nie, po prostu nie możesz im pomagać.

Marielle chciała zapytać Johna, dlaczego nie wolno jej tego robić, chociaż znała już odpowiedź. Oni chcieli dotrzeć do prawdy.

Niedługo potem John wyszedł i Marielle znowu została sama. Poszła na górę do pokoju Teddego. Chciała dotknąć jego rzeczy, złożyć ubrania i poprzestawiać jego pluszowe misie. Nigdy nie mogła trzymać się z daleka od tego pokoju. Natomiast biedny Malcolm nie mógł już znieść przebywania na górze.

Następnego dnia, zaraz po południu, przyszedł Thomas Armour, adwokat Charlesa. Wcześniej zadzwonił do Marielle i poprosił ją o spotkanie. Marielle natychmiast skontaktowała się z Johnem

i zapytała go, czy może spełnić prośbę prawnika. Taylor odpowiedział jej szczerze, iż uważa to za niemądre, ale nie było to niezgodne z prawem. Jednak Marielle pragnęła poznać adwokata Charlesa i dowiedzieć się, z kim będzie miała do czynienia podczas procesu.

Malcolm wyjechał na kilka dni do Bostonu, więc Marielle była sama, kiedy spotkała się z Thomasem Armour'em. Miała na sobie czarną suknię. Od czasu porwania Teddy'ego ubierała się na czarno, tak jakby już nosiła żałobę. Prawnik był ubrany w ciemnoniebieski garnitur. Miał ciemnoblond włosy, które musiały być jeszcze jaśniejsze w dzieciństwie, i brązowe oczy, które wyglądały na bardzo łagodne. Ale kiedy odezwał się do Marielle, jego głos wcale taki nie był. Zadawał jej pytania uprzejmie i stanowczo, unikając jednak agresywnego tonu. Wydawało się, że czekając na odpowiedzi, przewierca Marielle swoim spojrzeniem. Hayerford wprowadził go do biblioteki. Po przywitaniu się z Marielle, adwokat popatrzył jej prosto w oczy i oświadczył bez ogródek:

— Przed rozpoczęciem procesu chciałbym mieć jakieś pojęcie o tym, co zamierza pani powiedzieć o moim kliencie.

Początkowo nie chciał podjąć się tej sprawy i uważał Charlesa za zepsutego dzieciucha. Ale z czasem polubił go i teraz, gdy już zgodził się go bronić, musiał być lojalny wobec Charlesa Delauneya.

Co dokładnie ma pan na myśli, panie Armour?

Marielle dowiedziała się z gazet, że studiował na uniwersytecie im. J. Haryarda w Cambridge, i, mając teraz około czterdziestu lat, był najmłodszym partnerem w bardzo ważnej firmie. Charles wynajął najlepszego prawnika i miał do tego całkowite prawo. Ale oprócz tego, że Tom Armour cieszył się doskonałą reputacją, promienio"ał z niego jakiś spokój i urok. Był przystojny, ale Marielle nie zwróciła na to uwagi. Większe wrażenie zrobiło na niej jego inteligentne i zdecydowane spojrzenie.

— Pan Delauney powiedział mi trochę o tym, co się wydarzyło... kilka lat temu. Sądzę, że oboje wiemy, o czym mówię.

Miał na myśli czas, kiedy zmarł André. Marielle doceniła fakt, że nie powiedział tego wprost.

— Przyznaje, że postąpił wtedy nagannie i że jego zachowanie może być teraz źle zinterpretowane. Jest pani jedyną osobą, która może zeznać, co dokładnie zrobił i dlaczego. Co się właściwie wtedy stało?

— Sądzę, że stracił panowanie nad sobą z bólu. Tak samo jak ja. Oboje popełniliśmy głupstwa. To było dawno temu.

Marielle posmutniała, myśląc o tym. Tom obserwował ją. Była . piękną kobietą, ale nigdy nie widział tak smutnych oczu. Zaintrygowała go. Od początku zauważył, że Charles Delauney wciąż był zakochany w Marielle. Zastanawiał się tylko, w jakim stopniu jego uczucie było odwzajemnione. Delauney upierał się, że nie mieli ze sobą bliższych kontaktów przed porwaniem. Powiedział, że właściwie tylko z powodu Malcolma Marielle nie chciała go widzieć.

To zrobiło na Tomie wrażenie, ale potrzebował czegoś więcej, by się naprawdę zadziwić.

— Czy uważa pani mojego klienta za niebezpiecznego czło wieka?

To było trudne pytanie i Marielle zastanawiała się nad od powiedzią przez jakiś czas.

Nie. Myślę, że brak mu rozsądku. Jest porywczy. Czasami nawet całkiem głupi — uśmiechnęła się, ale Tom Armour nie odwzajemnił uśmiechu. — Ale nie sądzą, żeby był niebezpieczny. Uważa pani, że porwał Teddego?

Marielle zahała się. Chciała odpowiedzieć zgodnie z prawdą

Marielle zahała się. Chciała odpowiedzieć zgodnie z prawdą

— Nie wiem.

Spojrzała mu prosto w oczy i spodobało jej się to, co w nich zobaczyła. Wyglądał na uczciwego człowieka, kogos, komu można ufać. I gdyby spotkała go w innych okolicznościach, z pewnością polubiłaby go. Pomyslała, że Charles ma wiele szczęścia mając Toma za obrońcę.

— Nie wiem powtórzyła — Sądzę, że to zrobił. Znalaziono dowody rzeczowe w jego domu. Ale kiedy myślę o nim, jaki był, gdy go znałam..., nie wyobrażam sobie, jak mógłby to zrobić.

— Uważa pani, że jeśliby zabrał pani dziecko, to by je skrzywdził?

Marielle zastanowiła się nad tym i spojrzała na Toma.

— Jakos, jakos nie mogę w to sama uwierzyć.

Bo jeśliby uwierzyła, zniszczyłoby to ją.

— Jak pani sądzi, dlaczego mógł zabrać Teddego? Żeby zemścić się za dziecko, które straciliście? Bo był zły, że nie chciała go pani widzieć... bo ciągle panią kocha?

— Nie wiem.

Marielle tak bardzo chciała by znać odpowiedź.

— Uważa pani, że ktoś mógł go w to zrobić?

Tak właśnie twierdził Charles od samego początku. I Tom Armour w końcu doszedł do przekonania, że to jest prawda.

— Możliwe. Ale kto? I skąd Charles miał u siebie w domu piżamę i misia Teddego, skoro twierdzi, że go nie porwał?

o tym samym pomyślał też jego adwokat i nie mógł odpowiedzieć na to pytanie. Chyba że ludzie, którzy naprawdę porwali chłopca, rzeczywiście zrobili Charlesa, ale to było trudne przedsięwzięcie. Skąd by go znali? To był najsłabszy punkt obrony. Ale najmocniejszym był fakt, że sama matka dziecka nie była całkowicie przekonana o winie Charlesa Delauneya. Armour miał uczucie, że Marielle może miienić zdanie, co mogło być niebezpieczne dla jego klienta.

Tom zadał jej jeszcze kilka pytań, coś zanotował i, zamykając teczkę, podziękował za czas, jaki mu poświęciła. Gdy Marielle wstała, popatrzyła na niego i postanowiła być z nim szczerą.

Powiedziano mi dzisiaj, że nie powinnam z panem rozmawiać. Postąpiłam „niemądrze, ale zgodnie z prawem” — zacytowała słowa Johna.

Wiedziała, że prokurator i Malcolm byliby na nią wściekli.

Więc dlaczego to pani zrobiła?

Tom był zafascynowany nie tyle wyglądem Marielle, ile jej opanowaniem i wewnętrznym spokojem. Nie wyglądała na kobietę, która kiedyś przebywała w szpitalu psychiatrycznym i przeżywała załamanie nerwowe. Może po prostu, jak to wyjaśnił Charles, poddała się wtedy i chciała umrzeć. Ale teraz zdecydowanie wróciła do rzeczywistości. Pozornie chłodna, w gruncie rzeczy była niezwykle inteligentna, bystra i pełna życia. Tom poczuł do niej sympatię.

Panie Armour, ja pragnę jedynie prawdy. To wszystko, czego chcę. Nawet bardziej niż sprawiedliwości. Jeśli Teddy nie żyje, chcę to wiedzieć... tak, chcę wiedzieć, kto go zabił i dlaczego... ale jeśli żyje, to chcę, żeby go odnaleziono... Po prostu chcę wiedzieć, gdzie jest, i sprowadzić go do domu.

Tom Armour skinął głową. On to rozumiał. I z pewnych powodów, sobie tylko znanych, także pragnął odnaleźć chłopca.

— Mam nadzieję, że dowiemy się wszystkiego, pani Patterson... dla dobra chłopca i pani... i pana Delauneya.

— Dziękuję — powiedziała Marielle.

Hayerford odprowadził Toma do drzwi wejściowych, a Marielle obserwowała go, jak schodził po schodach przed domem. Wyglądał na człowieka, który panował nad wszystkim, czego się dotknął. Marielle zazdrościła mu jego pewności siebie. Ale w jego zachowaniu wyczuła coś jeszcze. Ciepło, siłę i czułość. I kiedy wróciła do biblioteki, ponownie uświadomiła sobie, jakie szczęście miał Charles, że bronił go Tom Armour.

Rozdział X

Proces rozpoczął się w marcu, pewnego ponurego i wietrznego popołudnia. Wiał ostry wiatr i padał deszcz. Ziąb przenikał kości. Wtedy właśnie sędziowie, publiczność i dziennikarze weszli do sali sądowej. Działo się to w tym samym tygodniu, kiedy Hitler najechał Pragę i ogłosił światu, że Czechosłowacja należy teraz do niego. Jednak nawet Malcolm był o wiele mniej niż zwykle przejęty wiadomościami ze świata. Wszyscy byli w stanie myśleć jedynie o sprawie przeciwko Charlesowi Delaunayowi.

Rozprawa toczyła się w Federalnym Sądzie Okręgowym. Punktualnie o pierwszej przybyli Malcolm i Marielle w swojej limuzynie marki Pierce-Arrow, pod eskortą dwóch policjantów i czterech ludzi z FBI, wśród których znajdował się również John Taylor. Był zadowolony, że mógł być przy niej, by dodawać jej sił. Marielle wiedziała, że jest blisko, i dzięki temu czuła się pewniej. Malcolm, od czasu kiedy wyjechali z domu do sądu, nie odezwał się do niej ani słowem. W ciągu ostatnich miesięcy jego zachowanie doprowadzało Marielle do rozpacz. Kiedy wysiedli z samochodu, twarz jej była tak szara jak jej sukienka. Malcolm zachowywał milczenie, gdy wchodzili po schodach do budynku sądu. Marielle miała na sobie jasnoszary płaszcz i pasujący do niego kapelusz, którego o mało co nie zdmuchnął jej z głowy wiatr. Dziennikarze rzucili się w kierunku Pattersonów i ludzie z FBI musieli prawie mocować się z nimi, żeby zrobić przejście dla Marielle i Malcolma. Gdy weszli do środka, Marielle ponownie uświadomiła sobie, jakie to wszystko będzie dla niej bolesne i jak bezsensowne. W końcu przecież nie zwrócą jej Teddego. Więc jaki to miało sens? Nie było go, a po trzech miesiącach nadzieja, że powróci żywy, rozwiązała się całkowicie. Na tym właśnie opierało się oskarżenie.

Pattersonowie zajęli miejsca w pierwszym rzędzie, tuż za prokuratorem. John Taylor usiadł obok Marielle, a jeden z jego zastępców obok Malcolma. Za nimi siedziało jeszcze dwóch ludzi z FBI, a po bokach i z przodu po dwóch nie uniundurowanych policjantów.

Pattersonowie byli więc pod większą niż trzeba ochroną. Kiedy weszli do sali sądowej, Brigitte już czekała tam na nich. Spojrzała ciepło na Marielle i skinęła uprzejmie głową Malcolmowi. Kilka minut później pojawił się przedstawiciel sądu i zażądał, żeby wszyscy wstali. Wszedł sędzia w czarnej todze i rozejrzał się po sali. Był wysokim mężczyzną o nieregularnych rysach twarzy i, podobnie jak Malcolm, siwych włosach. Obydwaj znali się kiedys. Uważano go za surowego sędziego: Malcolm nie miał żadnych zastrzeżeń, kiedy wyznaczono go do tej sprawy.

Sędzia Abraham Morrison zajął miejsce i popatrzył gniewnie na wszystkich, którzy znajdowali się w sali sądowej. Zapadła długa cisza. Niektórzy zaczęli się kręcić, szczególnie dziennikarze, którym wydawało się, że przygląda im się badawczo.

— Nazywam się Abraham Morrison — powiedział donośnym głosem. — Nie mam zamiaru tolerować żadnych bredni w tej sali. Jeśli ktoś się będzie źle zachowywał, to wyrzucę go stąd tak szybko, że zakręci się mu w głowie. Jeśli obrazicie sąd, wsadzę was za kratki. Jeśli wyrwie się któryś z dziennikarzy, na dobre się was stąd wywali. Zaskarżę was za jakiegokolwiek usiłowanie wymuszenia czegoś na którymś z sędziów przysięgłych, bezprawne wywieranie presji na niego czy nawet rozmawianie z nim. Czy jest to jasne dla wszystkich w tej sali? Rozległ się szmer głosów i wszyscy potaknęli.

— Jesteśmy tutaj z powodu poważnej sprawy. Przepiętstwo zagrożone karą śmierci. Chodzi tu o życie człowieka. Dziecko może już je straciło. Takie sprawy zawsze traktuję poważnie. Sędzia popatrzył prosto na dziennikarzy.

A jeśli wy będziecie usiłowali wywierać presję na kogoś, kto się tutaj znajduje, wszystko jedno, czy to będą sędziowie przysięgli, oskarżony czy świadkowie — spojrzał znacząco na Pattersonów. — to znajdziecie się za tymi drzwiami szybciej, niż przedstawiciel sądu będzie w stanie was wyrzucić. Czy wszyscy rozumieją, jakie panują tutaj zasady?

Zapadła długa cisza. Każdy bał się cokolwiek powiedzieć.

— Rozumiecie? ponownie zagrzmiął sędzia.

Teraz wszyscy odpowiedzieli chórem: „Tak, wysoki sędzie”.

— Dobrze. W takim razie możemy zacząć. Nie będę tolerował cyrku w moim sądzie. Ustalmy to jasno i wyraźnie na początku.

Większość osób skinęła głowami. Sędzia nałożył okulary i uważnie przeczytał notatki, jakie miał przed sobą.

Marielle spojrzała na stół, przy którym siedziała obrona. Zauważyła, że Charles schudł i wyglądał bardzo blado. Wydawało się, że od ostatniego razu, kiedy go widziała, jeszcze bardziej posiwiały mu włosy na skroniach. Miał na sobie ciemnoniebieski garnitur, białą koszulę i ciemny krawat. Był to strój bardzo konwencjonalny i spokojny, jednak to nie jego wygląd miał być tutaj oceniany. Tom Armour także prezentował się poprawnie w prążkowanym garniturze z kamizelką. Wydał jej się nagle młodszy niż wtedy, gdy widziała go we własnym domu. Marielle nigdy nie wspomniała Malcolmowi o ich spotkaniu.

Sędzia Morrison spojrzał ponownie na salę i ogarnął wszystkich wzrokiem.

Sądzę, że wszyscy znamy powód, dla którego zebraliśmy się tu dzisiaj. To jest sprawa o porwanie. Porwanie Teodora Whitmana Pattersona, czteroletniego chłopca. Jego rodzice są tu dzisiaj z nami.

Machnął niewyraźnie ręką w kierunku Marielle i Malcolma, jakby chciał ich przedstawić.

Marielle poczuła, jak jej bije serce. Trudno było uwierzyć, że po trzech miesiącach ciągłego opisywania ich w gazetach ktoś mógłby nie wiedzieć, kim są. Sędzia wymagał szacunku i przyzwoitego zachowania, ale lubił jednocześnie nawiązywać osobisty kontakt z osobami występującymi w sprawach, jakie prowadził.

— Oskarżonym jest Charles Delauney. Według prawa, panie i panowie, i zwracam się tutaj zwłaszcza do przyszłych sędziów przysięgłych, pan Delauney pozostaje niewinny, dopóki mu się winy nie udowodni. Zadanie to spoczywa na oskarżeniu. Oskarżyciel, pan William Palmer — sędzia wskazał ręką — musi przekonać was, że bez żadnej wątpliwości pan Delauney jest winny. Wtedy do pana Armoura — pokazał ręką Tomowi — należy przekonanie was, że nie jest winny. Jeśli pan Palmer nie uzasadni przekonująco jego winy, jeśli nie będziecie przekonani, jeśli nie uwierzycie bez zastrzeżeń w to, że pan Delauney porwał dziecko, wtedy waszym obowiązkiem jest go uniewinnić. Musicie bardzo uważnie słuchać i poważnie potraktować swoją odpowiedzialną rolę. Zamierzam odizolować sędziów przysięgłych: na czas trwania tego procesu zostaniecie ulokowani w hotelu, na koszt państwa. Nie będziecie

mogli rozmawiać z nikim oprócz pozostałych członków ławy. Nie wolno wam będzie dzwonić do dzieci, gawędzić z mężem czy żoną, odwiedzać przyjaciół, wychodzić do kina. Będziecie musieli przebywać w hotelu wyłącznie w towarzystwie pozostałych sędziów, dopóki nie spełnicie swojego obowiązku z całą powagą i bez uprzedzeń. Dziennikarze nie ułatwią wam tego zadania; gazety, radio będą usiłowały wywierać na was presję, naświetlając sprawę w tak zagmatwany sposób, że byłoby trudno się w tym połapać. Ale wy musicie zrobić wszystko, by do czasu zakończenia procesu trzymać się od tego z dala. Jeśli jest tutaj wśród was ktoś, dla kogo odizolowanie od świata przez następne kilka miesięcy byłoby nadmierną niewygodą czy to z powodów zdrowotnych, czy obowiązków rodzinnych, proszę, by się odezwał, kiedy zostanie odczytane jego nazwisko. Będziemy potrzebować dwunastu sędziów przysięgłych i dwóch sędziów rezerwowych. Panie i panowie, dziękujemy wam za waszą pomoc.

Abraham Morrison odwrócił się do zastępcy szeryfa i polecił mu odczytanie nazwisk proponowanych sędziów przysięgłych.

Pierwsza kobieta była tak wystraszona, że prawie potknęła się idąc na miejsce, gdzie mieli zasiąść przysięgli. Oberwując ją, można było zobaczyć, jak cała drży.

Drugim sędzią przysięgłym miała zostać starsza czarna kobieta, która była tak stara i sparaliżowana, że z wielkim trudem dotarła na swoje miejsce. Potem wystąpiło dwóch mężczyzn, obydwaj w średnim wieku, a po nich mężczyzna około czterdziestki z jedną nogą, Chinka z niewiarygodnie długimi włosami zawiązanymi w warkoczyki, przystojny, młody czarny mężczyzna, dwie ładne dziewczyny, kobieta w średnim wieku, która cały czas patrzyła się na Malcolma i Marielle, jeszcze dwóch mężczyzn oraz dwie kobiety o niepozornym wyglądzie jako sędziowie rezerwowi.

Kiedy wszyscy oni usiedli, sędzia Morrison przedstawił ludziom znajdującym się w sali oskarżyciela z ramienia rządu Stanów Zjednoczonych, Williama Palmera. Palmer odwrócił się, rozejrzał się po sali, a potem popatrzył na sędziów przysięgłych i uśmiechnął się do nich. — Dzień dobry, nazywam się William Palmer. W tej sprawie jestem oskarżycielem z ramienia rządu Stanów Zjednoczonych, reprezentuję tutaj naród, czyli was, i będę potrzebował waszej pomocy, by skazać tego człowieka wskazał ręką Charlesa który, jak sądzimy, dwanaście dni przed Bożym Narodzeniem porwał czteroletniego chłopca, Teddy'ego Pattersona.

Palmer wymówił z naciskiem datę, tak jakby w jakiś sposób pogarszała sprawę. Pogarszała, ale tylko dla rodziców chłopca.

Jeśli ktoś z was ma tego człowieka albo mnie, albo obrońcę oskarżonego, pana Armoura, sędziego czy kogokolwiek związanego z nami, niech się teraz odezwie. W przeciwnym razie jego obecność zaszkodzi sprawie i on sam zostanie zwolniony. Po prostu proszę powiedzieć o tym sędziemu, kiedy was wezwie i zapyta o wasze nazwisko i zawód.

Palmer usiadł.

Wstał Tom Armour i przedstawił się. Marielle natychmiast zauważyła, że adwokat bardziej ujmująco odniósł się do sędziów przysięgłych niż Palmer. Nie onieśmiał ich tak jak prokurator. W przeciwieństwie do drażniącego sposobu zachowania oskarżyciela, Armour był łagodny. Wyjaśnił, że proces przeciwko panu Delauneyowi toczy się wskutek nieszczęśliwego zbiegu okoliczności. Stwierdził, że istnieją dwa przedmioty łączące jego klienta z tą sprawą, ale nie ma żadnego dowodu na to, że to on porwał dziecko lub miał z tym coś wspólnego. Gdy przemawiał, Marielle zobaczyła, jak kilku przysięgłych kiwało głowami. Potem adwokat podziękował im za ich pomoc, uśmiechając się do nich tak ciepło, że dwie dziewczyny zachichotały, i usiadł. Sędzia spojrzał na dziewczyny, zmarszczył brwi i warknął do nich:

— Czy mogę przypomnieć wam, moje panie, że to nie jest spotkanie towarzyskie ani zabawa? A więc sędzia popatrzył na

pozostałych sędziów przysięgłych czy ktoś z obecnych tutaj ma jakieś problemy zdrowotne, które uniemożliwiłyby odizolowanie w hotelu?

Starsza czarna kobieta podniosła rękę i Morrison spojrział na nią z ciepłym uśmiechem.

Tak? Pani nazwisko, madam?

Ruby Freeman.

— Tak, pani Freeman?

— Chodzi o moje nogi. Mam potworny artretyzm. Bolał mnie przez cały czas kobieta popatrzyła smutno na sędziego.

Rozumiem Abraham Morrison skinął głową ze współczuciem.

— Czasami nie mogę się w ogóle poruszać. I moja córka... ona opiekuje się mną.... Pilnuję jej dziecka, kiedy ona pracuje mówiąc to, kobieta zaczęła płakać. — Jeśli nie wrócę do niej do domu... nie będzie mogła pójść do pracy... nie będziemy mieli co jeść... jej mąż zabił się w fabryce...

Opowieść pełna rozpaczy wydawała się nie mieć końca.

— Rozumiemy to. Może jednak pani córka mogłaby znaleźć kogoś do pomocy na ten krótki okres. Czy uważa pani, pani Freeman, że ból uniemożliwi pani sprawiedliwą ocenę faktów podczas procesu?

Tak sędzę, wysoki sędzie. Ktoś, kto nie ma artretyzmu, nie wie, jakie to straszne cierpienie. Mam osiemdziesiąt dwa lata i od dwudziestu lat mam tę chorobę, która prawie mnie zabija.

— Przykro jest mi to słyszeć. Możemy więc panią zwolnić. Dziękuję, że zechciała pani przyjść tu dzisiaj — powiedział sędzia uprzejmie.

Gdy dalej wyczytywał nazwiska, nikt już nie podniósł ręki. Ale kobieta, która była pierwsza na liście, tak się zdenerwowała, że również poprosiła, aby ją zwolniono. Powiedziała, że ma kamień żółciowy, jej angielski nie jest zbyt dobry, a poza tym ma chorego męża, który jej potrzebuje. Ona i jej mąż byli obywatelami amerykańskimi, ale pochodzili z Niemiec. I zanim mogła jeszcze coś

dodać, sędzia Morrison zwolnił ją. Skreślono również Chinę z warkoczycami, bo wcale nie mówiła po angielsku. Dwie dziewczyny prawie cały czas chichotały i sędzia ponownie je upomniał. Potem wstał Bill Palmer i zaczął zadawać pytania sędziom przysięgłym, po nim Tom wysuwał swoje przeciwko nim zastrzeżenia, tak że bardzo szybko kandydaci zaczęli odpadać.

Zostało dwóch mężczyzn w średnim wieku, którzy byli biznesmenami. Obaj byli żonaci i mieli wnuki w wieku Teddy'ego. Mężczyzna z jedną nogą powiedział, że ma czterdzieści dwa lata, stracił nogę w czasie pierwszej wojny światowej i teraz pracuje w zakładzie ubezpieczeniowym. Młody czarny mężczyzna zaś pracuje w dzień w urzędzie pocztowym, a w nocy gra na puzonie w restauracji „Mały Raj”. Powiedział, że nie ma czasu, by się ożenić, co rozśmieszyło wszystkich. Zwolniono dwie dziewczyny, gdyż sędzia stwierdził, że zachowują się nieodpowiednio. Obie miały po dwadzieścia dwa lata, nie były mężatkami i wydawało im się, że biorą udział w zabawie. Ich usunięcie posłużyło jako ostrzeżenie dla innych. Kobieta w średnim wieku, która ciągle przypatrywała się Malcolmowi i Marielle, była sekretarką i nigdy nie wyszła za mąż. Mieszkała w dzielnicy Queens. Trudno było wyczytać z jej twarzy, czy współczuje Charlesowi, czy też odczuwa do niego niechęć. Rzucało się natomiast w oczy, że bacznie przypatruje się Pattersonom. Sędzia musiał jej nawet przypomnieć, żeby zwracała większą uwagę na postępowanie sądowe. W końcu obrona wystąpiła z wnioskiem o skreślenie jej z listy, podobnie jak dwu następnych po niej mężczyzn.

Zarówno obrona, jak i oskarżenie zatrzymały natomiast dwie kobiety, które miały być sędziami rezerwowymi. W rezultacie zostało wolnych osiem miejsc w ławie przysięgłych i ich zapelnienie zajęło kolejne cztery dni. W końcu wybrano bardzo ciekawy skład ławy przysięgłych.

Pozostali w niej dwaj panowie w średnim wieku, którzy mieli małe wnuki. Marielle była jednak pewna, że Tom chętnie by się ich pozbył, gdyż mogli być zbyt pozytywnie nastawieni do strony oskarżającej.

Zastępcy prokuratora generalnego zaczęli wykazywać większe zainteresowanie procesem. Gdyby dotyczył on innej sprawy, mógłby zapewne wzbudzić żywszą reakcję Marielle.

Zatrzymano również weterana z jedną nogą i młodego Czarnego muzyka Ostatni mężczyzna zasiadający w ławie przysięgłych był z pochodzenia Chinczykiem i wykładał ekonomię na Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku. Resztę sędziów przysięgłych, łącznie z rezerwowymi, stanowiły kobiety.

Najmłodsza z nich była starsza od Marielle. Miała troje dzieci, ale wszystkie z nich były dużo starsze od Teddy'ego. Była również kobieta, która przez trzydzieści lat była zakonnicą i ostatnio zerwała śluby zakonne, by powrócić do domu i opiekować się umierającą matką. Po śmierci matki zdecydowała się nie wracać do zakonu, ale nie wyszła za mąż. W ławie przysięgłych zasiadły też dwie przyjaciółki, które przypadkowo znalazły się na tym samym procesie. Uczyły w tej samej szkole i obydwie nie wyszły Jeszcze za mąż. Były również trzy kobiety, wyglądające na osoby uczciwe i nieskomplikowane; mężatki, bezdzietne, które były albo sekretarkami, albo pracownicami w wielkich przedsiębiorstwach. Jedna z nich pracowała przez krótki okres dla adwokata, ale przyznała się, że nie jest specjalistką w dziedzinie prawa, więc prawnicy nie zgłaszali wobec niej żadnych zastrzeżeń. Praktycznie biorąc, ława przysięgłych składała się z rówieśników Charlesa, przypuszczalnie zwyczajnych, porządných i uczciwych ludzi.

Był piątek przed południem. Sędzia polecił przysięgłym, by udali się do swoich domów, uporządkowali sprawy i nacieszyli się ostatnim weekendem spędzonym z rodziną, bo od poniedziałku zostaną odizolowani. Zabronił im po weekendzie czytać sprawozdania w gazetach o sprawie i słuchać radia.

Potem sędzia ogłosił przerwę w rozprawie do poniedziałku rano. Marielle zdziwiła się, jak bardzo wyczerpało ją te pięć dni,

wypełnionych jedynie wyborem sędziów przysięgłych. Wydawało się, że wysłuchiwanie ludzkich opowieści i czekanie na decyzje prawników o usunięciu czy pozostawieniu któregoś z przysięgłych miało konca. Gdy Malcolm i Marielle podniesli się z miejsc, Charles został wyprowadzony z sali, by spędzić kolejny weekend w więzieniu. Tom Armour przeszedł obok Marielle jak gdyby jej nie zauważył.

Ludzie z FBI zawieźli Pattersonów do domu. Tego popołudnia przybył Bill Palmer, by spotkać się z Malcolmem. Długo rozmawiali ze sobą w bibliotece, ale nie zaprosili do rozmowy Marielle. Ona

zaś piła kawę w salonie w towarzystwie Johna Taylora. Nie miał dla niej żadnych nowych wiadomości, ale przynajmniej odczuwała ulgę, mogąc porozmawiać z kimś sympatycznym po tym całym ciężkim tygodniu. W ciągu ostatnich pięciu dni, za każdym razem, kiedy Marielle wychodziła z sali sądowej, Bea Ritter rzucała się na nią i błagała o spotkanie. Tego popołudnia też do niej zadzwoniła, ale Marielle nie odpowiedziała na telefon. Była zbyt wyczerpana, by się z nią kontaktować i szychać jej próśb w imieniu Charlesa. Nie chciała jej pomóc.

— Niezła z niej dziewczyna — zauważył Taylor. — Musi szaleć za nim.

— Charles potrafi tak oddziaływać na niektóre osoby — uśmiechnęła się Marielle.

Nie miała żadnych tajemnic przed Taylorem.

— Tak jak kiedyś na mnie dodała. — Wtedy miałam jednak osiemnaście lat.

— A teraz?

John Taylor wyglądał na zmartwionego, ale bynajmniej nie sprawą. Marielle uśmiechnęła się.

— Teraz jestem mądrzejsza.

Nie znaczyło to, że pragnęła dla Charlesa kary śmierci, jeśli na nią nie zasługiwał. Wciąż trudno było się jej z tym pogodzić. Ludzie z FBI nie potrafili nucić żadnego nowego światła na tę sprawę. Na początku tygodnia widziano w Connecticut chłopca podobnego do Teddy'ego, ale, podobnie jak w innych przypadkach, po sprawdzeniu informacja okazała się nieprawdziwa.

— Wyglądasz na zmęczoną — powiedział cicho Taylor.

Marielle naląła mu drugą filiżankę kawy.

— To był ciężki tydzień.

— Na pewno nie tak ciężki, jak te, które przyjdą.

John wiedział, co ją czekało, znał ludzi biorących udział w procesie. Prokurator był pozbawionym skrupułów sukinsynem i chciał za wszelką cenę wygrać tę sprawę. Palmer zdawał sobie sprawę, że cały świat, łącznie z prezydentem Rooseveltem, obserwuje go i, bez względu na koszty, nie miał zamiaru pozwolić wygrać obrońcy. Armour był także twardy, ale jego zasady gry były bardziej czyste. Szedł prosto do celu; po drodze jednak mógł kogoś zniszczyć. John zdawał sobie sprawę, że te wszystkie okoliczności, które mieli zamiar wydobyć na światło dzienne, nie będą wcale przyjemne dla Marielle.

— Jesteś przygotowana na to?

Martwił się o nią. Pozornie silna, Marielle była też krucha. John nie mógł mieć myśli, że to wszystko ją czeka. Przypomniawszy sobie, jak bardzo przeżyła śmierć Andrc. Ale Marielle trzymała się całkiem dobrze jak na osobę, która od trzech miesięcy nie widziała swojego dziecka.

— Cokolwiek się stanie — John próbował ją teraz ostrzec — nie pozwól im cię przestraszyć... nie pozwól, by wmówili w ciebie, że to twoja wina.

Zdawał sobie sprawę; że od lat poczucie winy nie dawało jej

— Wiesz, że to nieprawda dodał, starając się ją uspokoić. Chciałabym, żeby Malcolm tak uważał. Wciąż obwiia mnie

za to, co się stało. Za wciągnięcie Charlesa do naszego życia, na skutek czego straciliśmy Teddy'ego.

— Przecież nie chciałaś tego, tak samo jak on. Jakim głupcem jest Malcolm. John nie lubił go. Chwilę później spotkał go w holu, idącego majestatycznie z Billem Palmerem. John rozmawiał z jednym ze swoich ludzi; Malcolm pstryknął na niego palcami, co nie mogło spodobać się Taylorowi.

Prokurator będzie potrzebował pańskiej pomocy, panie Taylor — powiedział Malcolm.

Miał bardzo mało szacunku dla agenta FBI. Uważał, że John niezbyt skutecznie szukał jego syna.

— Potrzebujemy kilku informacji — dodał.

— O Delauneyu? — zapytał John.

Palmer skinął głową.

— Może pójdziemy gdzieś porozmawiać? — zaproponował prawnik.

Taylorowi nie spodobało się to, co usłyszał. Palmer i Malcolm planowali bowiem paskudną nagonkę na Charlesa i Marielle, wyciąganie spraw dotyczących przeszłości, które nie miały nic wspólnego z Teddym. Taylor się temu sprzeciwił. Prokurator chciał, żeby John pomógł mu odkopać przykre i bolesne fakty z przeszłości ich obojga.

— Co to wszystko ma wspólnego ze sprawą? zapytał Taylor.

— O rany, człowieku, to kwestia charakteru. Nie czepiaj się mnie teraz. Mówimy o wygraniu

— zachnął się Palmer.

— Wygraniu czego? Mówimy o skazaniu niewinnego człowieka czy o faktycznym przydybaniu faceta, który to zrobił? Jeśli Delauney jest winny, nie potrzebujesz tego gówna, Palmer.

— Jeśli ty nie znajdziesz tych materiałów dla mnie, zrobi to za ciebie ktoś inny.

— Czy o to teraz chodzi? O wsadzenie go za wszelką cenę? A co z nią? Co masz zamiar jej zrobić?

Palmer miał zamiar wrócić do sprawy śmierci André w Genewie i pobytu Marielle w sanatorium. Taylor wiedział tak samo jak prokurator, że jeśli Charles jest winny, to takie informacje nie miały żadnego znaczenia.

— Ja nie zajmuję się panią Patterson, Taylor. Jej własny mąż tego chce. Posłuchaj, jeśli nie będzie nam to potrzebne, nie posuniemy się tak daleko.

— Jak to miło — powiedział Taylor drwiąco.

Pomyślał sobie, że zdecydowanie bardziej podoba mu się metoda działania Toma Armoura, który nie był draniem jak Palmer. John nie mógł uwierzyć, że Patterson chciał tak po prostu poświęcić Marielle, żeby przydybać Delauneya. Ale to Malcolm był przekonany, że Charles porwał i zabił Teddy’ego i chciał zrobić wszystko, by doprowadzić do skazania go. Taylor pomyślał sobie, że nie trudno go nawet za to winić.

John zaczął wykręcać numer telefoniczny. Jeśli sam zdobędzie jakieś informacje, będzie mógł przewidzieć następny krok Palmera i ostrzec Marielle. Nie wiedział jednak, że był na tropie wielkiej afery oraz że Malcolm również odbył parę istotnych rozmów telefonicznych.

Weekend minął zbyt szybko jak dla Marielle. W poniedziałek rano wszyscy byli z powrotem w sądzie i proces rozpoczął się już na serio.

Rozdział XI

W następnym tygodniu przemówienia oskarżyciela i obrońcy otwierające rozprawę wydawały się bardziej oschłe w porównaniu z ich poprzednimi, bardziej przyjacielskimi przemowami skierowanymi do sędziów przysięgłych. Ale kilka nieprzyjemnych spraw, jakie poruszyli obaj prawnicy, rozbudziło zainteresowanie publiczności.

W swojej mowie oskarżyciel zapewnił sędziów przysięgłych i wszystkich zebranych w sali sądowej, że mają bez wątpienia do czynienia z porywaczem, a może nawet zabójcą dziecka Z człowiekiem, który w przeszłości bił kobiety, zabijał ludzi bez mrugnięcia okiem, jest oszustem, komunistą i stanowi zagrożenie dla wszystkich Amerykanów. Palmer powiedział, że mały Teddy Patterson został wydarty z rodzinnego domu w środku nocy, w ciemnościach, a ludzie, którzy czuwali nad nim, zostali odurzeni chloroformem, związani i zakneblowani i równie dobrze też mogli zostać zamordowani. Dodał, że dziecko zniknęło bez śladu i nigdy go więcej nie widziano. Prawdopodobnie nie żyje, może jest pochowane gdzieś w rowie na polu. Dla tych, którzy go kochali, odszedł na zawsze.

Słuchając mowy prokuratora, Marielle trzymała się kurczowo

krzesła. Wydawało jej się, że Palmer od wielu już godzin opowiada monotonnym głosem, jakim to diabelskim człowiekiem był zawsze Charles, jaki słodki mógłby być Teddy i jak wielką stratą dla wszystkich jest niewinna śmierć tego dziecka. Jeśli to była prawda, jeśli Teddy miał nigdy nie wrócić, to Marielle musiałaby przyznać rację prokuratorowi. Ale wciąż tak trudno było uwierzyć, że już nigdy nie zobaczy synka.

Przemówienie Toma Armoura w niewielkim tylko stopniu rozpraszało wątpiwości co do winy Charlesa. Obrońca utrzymywał, że Charles Delauney jest porządnym, uczciwym, w pewien sposób ciężko doświadczonym przez życie człowiekiem, który dziewięć lat temu stracił własnego syna i nie narodzoną jeszcze córeczkę, całą rodzinę. Charles, znając ogromny ból po stracie bliskiej osoby, nigdy by nie skrzywdził żadnego dziecka ani nie odebrał go rodzicom. Walczył uczciwie w czasie pierwszej wojnie światowej, a potem w Hiszpanii. Nie

był komunistą. Po prostu wierzył w wolność. Wykształcony, inteligentny, porządny człowiek, którego marzenia młodości rozwiały się. Oczywiście, trzeba to było przyznać, zachowywał się lub mówił coś czasami nierozważnie, ale nie był człowiekiem, który mógłby porwać czyjegoś syna. I obrona miała zamiar dowieść, że nie porwał Teddy'ego Pattersona. Ponadto, przypomniał wszystkim Tom Armour, pan Delauney jest sądzony za porwanie, a nie za morderstwo. I jeśli sędziowie przysięgli zapoznają się uważnie z dowodami, z pewnością uniewinnią go.

Mówiąc to, Tom Armour przechadzał się wolno przed ławą przysięgłych, patrząc każdemu kolejno w oczy, zwracając się do nich bezpośrednio tonem nie protekcyjnym, ale tak jakby rozmawiał z równymi sobie, z przyjaciółmi. Upewniał się, czy go rozumieją i wierzą mu. Obserwowanie go było fascynujące, bo robił to wszystko po mistrzowsku.

Tom wyjaśnił także sędziom przysięgłym, że najpierw oskarżyciel przedstawi sprawę od początku do końca, a Tom oczywiście weźmie jego świadków w krzyżowy ogień pytań, ale z obroną poczeka, dopóki oskarżenie nie zaprezentuje ostatniego świadka. Tom przypomniał, że do oskarżenia należało udowodnienie poza wszelkimi wątpliwościami, że Charles Delauney porwał chłopca Pattersonów. Jeśli oskarżenie nie przekona sędziów przysięgłych o jego winie, wówczas, bez względu na to, czy lubią Charlesa, czy nie, muszą go uniewinnić. Ale młody adwokat zapewnił ich, że przed zakończeniem rozprawy zrozumieją, iż Delauney został niesłusznie oskarżony.

Po skończeniu przemówień zapanowała długa cisza. Sędzia Morrison polecił oskarżycielowi, by wezwał swojego pierwszego świadka.

Marielle była zaskoczona, gdy usłyszała swoje imię. Nie miała pojęcia, że prokurator zamierzał powołać ją jako pierwszą. Przechodząc obok Johna, uniosła brew. Próbował uspokoić ją spojrzeniem, ale sam zaniepokoił się, co zanierza Palmer. Po rozmowach telefonicznych, jakie przeprowadził, wiedział już sporo o wszystkim, co wydarzyło się w przeszłości. Ale nie miał pojęcia, do czego dokopali się Palmer i Malcolm bez jego udziału, a co mogłoby obronie zaszkodzić.

Marielle weszła na trybunę dla świadków i starannie wygładziła prostą, Czarną sukienkę, którą miała na sobie. Nerwowo założyła nogę na nogę. Rozejrzała się po sali sądowej i znowu wyprostowała nogi. W tym czasie Bill Palmer stąpał dumnie po sali i obserwował Marielle. Przyglądał jej się w taki sposób, jakby było w niej coś dziwnego, jakby ją podejrzewał. Kilka razy spoglądał to na nią, to na oskarżonego, jak gdyby czegoś nie pojmował. Wydawało się, że starał się dać sędziom przysięgłym do zrozumienia, że istnieje jakaś podejrzana więź między nimi. Jego zachowanie denerwowało Marielle. Zerknęła na sędziego, potem na Malcolma, który odwrócił wzrok, a potem na Johna, który był bardzo poważny. Czekala na pierwsze pytanie Palmera.

— Proszę podać swoje nazwisko.

Marielle Patterson.

Proszę o pełne nazwisko.

— Marielle Johnson Patterson. Marielle Anne Johnson Patterson uśmiechnęła się, ale Palmer nie odwzajemnił uśmiechu.

— Czy to wszystko?

— Tak.

Dwie kobiety z ławy przysięgłych uśmiechnęły się i Marielle poczuła się trochę lepiej. Ale jej ręce cały czas drżały potwornie, gdy trzymała je na kolanach. Jednak nikt tego nie zauważył. rozumiała.

— Czy powiedziałaaby nam pani łaskawie to nazwisko?

Palmer wykrzyczał te słowa, jak gdyby chcąc ją przestraszyć. Nie mogła spojrzeć Malcolmowi w oczy.

— Delauney — powiedziała cicho.

— Czy może pani powtórzyć trochę głośniejsze, tak by usłyszeli panią sędziowie przysięgli. Marielle zaczerwieniła się i powiedziała głośno, żeby wszyscy ją usłyszeli:

— Delauney.

Charles obserwował ją ze współczuciem. Nagle zrobiło mu się jej żal. Bardziej nawet niż Johnowi Taylorowi, bo podejrzewał, co teraz nastąpi. Palmer był sprytniejszy, niż przypuszczali. Miał zamiar już na samym początku zdyskredytować Marielle w oczach sędziów, tak by wszystko, co powie później, nie było nic warte. Oskarżyciel nie miał zamiaru ryzykować, że Marielle publicznie poda w wątpliwość winę Charlesa i osłabi jego linię oskarżenia w obecności sędziów przysięgłych.

— Czy jest pani spokrewniona w jakiś sposób z oskarżonym?

— Wyszłam za niego za mąż.

— Kiedy to było?

— W 1926 roku, w Paryżu. Miałam osiemnaście lat.

— Jaki wyglądał wasz ślub?

Palmer starał się być dla niej miły. Nawet uśmiechnął się. Ale Marielle wiedziała teraz, że zamierzał ją zniszczyć.

— Czy to było duże wesele? Male?

— Uciekliśmy.

— Ach, tak...

Wyglądał na zaniepokojonego, jakby Marielle zrobiła wtedy coś nierozsądnego, i teraz było mu przykro.

— Jak długo była pani mężatką?

— Dokładnie pięć lat. Do 1931 roku.

— Jak skończyło się małżeństwo? Rozwodem?

— Tak.

Kilka kropelek potu pokryło jej czoło i Marielle modliła się, żeby nie zemdleć lub wymiotować.

— Czy byłaby pani łaskawa nam powiedzieć dlaczego, pani Delauney... przepraszam, Patterson...

Udawał, że nazwisko Charlesa wymknęło mu się przypadkowo, ale Marielle wiedziała, że celowo je powiedział. Chciał podkreślić, że była żoną Charlesa. Nie, nie była łaskawa powiedzieć mu dlaczego, ale nie miała innego wyboru.

— Byłaby pani łaskawa powiedzieć nam, jaki był powód rozwodu?

— Ja... my... straciliśmy syna. I żadne z nas nigdy nie otrząsnęło się z tego szoku.

Powiedziała to bardzo cicho i spokojnie. Zarówno John Taylor, jak i Charles, byli z niej dumni. Obydwaj czuli, jak pękają im serca, gdy patrzyli na nią, ale Marielle nie wiedziała o tym.

— Przypuszczam, że mógłby pan powiedzieć, że to zniszczyło nasze małżeństwo — dodała.

— Czy to jest jedyny powód, dla którego rozwiodła się pani z panem Delauneyem?

— Tak. Przedtem byliśmy bardzo szczęśliwi.

— Rozumiem — Palmer skinął współczująco głową i Marielle zaczęła go nienawidzić. — A gdzie przebywała pani po rozwodzie?

Marielle nie zrozumiała pytania. Zrozumiał je jednak John.

— W Szwajcarii.

— Czy była tam pani z jakiegoś szczególnego powodu?

Teraz już wiedziała. Próbował całkowicie ją zdyskredytować. Ale nie był w stanie. Jeśli utrata trójki dzieci nie zabiła jej jeszcze, to wiedziała, że z wszystkim da sobie radę. Z tym człowiekiem, tym sądem, całym procesem. Podniosła głowę do góry i popatrzyła na oskarżyciela.

— Tak, byłam tam w szpitalu.

— Czy była pani chora?

Marielle nie zamierzała powiedzieć mu więcej, niż musiała. Tak samo jak on, wiedziała, czego od niej chce i z jakiego powodu to robi.

— Po śmierci naszego syna miałam załamanie nerwowe.

— Czy był ku temu jakiś szczególny powód? Czy jego śmierć była niezwykłym zaskoczeniem? Długa i straszna choroba?

— Czy nosiła pani kiedyś inne nazwisko, pani Patterson?

Marielle wiedziała już, o co mu chodziło.

— Tak.

Dlaczego on to robił? Jakie to miało znaczenie? Marielle nie. Gdy go słuchała, w jej oczach pojawiły się łzy, ale nie rozplakała się. Wytarła je i przemówiła drżącym głosem. Wszyscy czekali na jej odpowiedź.

— Utopił się.

Tylko tyle. To było wszystko, co miała do powiedzenia. To właśnie napisano w dokumencie zgonu. André Charles Delauney, lat dwa i pięć miesięcy, utopił się.

— Czy była pani odpowiedzialna za ten..., wypadek...

Palmer zaakcentował ostatnie słowo, jak gdyby Marielle to zaplanowała. Charles szeptał coś z wściekłością Tomowi, który zerwał się nagle na równe nogi.

— Sprzeciw, wysoki sędzie. Oskarżyciel sugeruje świadkowi odpowiedź i daje do zrozumienia, że śmierć dziecka to była jego wina. Nie jesteśmy tu po to, by o tym decydować. To nie pani Patterson, tylko mój klient jest tutaj sądzony.

Sędzia Morrison spojrzał na obu mężczyzn, zdziwiony uprzejmością Toma Armoura dla Marielle.

— Sprzeciw podtrzymany. Trochę mniej zapału, panie Palmer.

— Przepraszam, wysoki sędzie. Inaczej sformułuję pytanie. Czy czuła się pani odpowiedzialna za śmierć dziecka?

Pytanie było jeszcze gorsze od poprzedniego, bo teraz nikt się nie dowie, czy rzeczywiście Marielle była winna śmierci dziecka, czy nie, i nie można było już tego zmienić.

— Tak.

— I dlatego miała pani załamanie nerwowe?

— Sądzę, że tak.

— Była tam pani w szpitalu psychiatrycznym?

— Tak.

Jej głos stawał się coraz słabszy. Charlesowi i Johnowi Taylorowi robiło się od tego wszystkiego niedobrze. Malcolm Patterson patrzył przed siebie z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

— Ścisłe mówiąc, była pani psychicznie chora, zgadza się? Możliwe. Byłam bardzo rozstrojona.

— Czy długo to trwało?

— Tak.

— Ile czasu przebywała pani w szpitalu?

— Dwa lata.

— Może trochę więcej niż dwa lata?

— Troszeczkę przytaknęła Marielle, ale Tom Armour znowu się poderwał.

— Czy mogę ponownie przypomnieć sądowi, że to nie pani Patterson jest tutaj sądzona?

— Sprzeciw podtrzymany — odezwał się sędzia. — Panie Palmer, do czego pan zmierza?

Jeśli w ten sposób będziemy przesłuchiwać każdego świadka, to proces zajmie nam sześć miesięcy.

— Jeśli przez moment wysoki sąd mnie wysłucha, to zaraz wszystko się wyjaśni.

— W porządku, tylko proszę się pośpieszyć — zgodził się sędzia Morrison.

— Tak jest. Pam Patterson — Palmer znowu odwrócił się do Marielle. — Była pani w szpitalu psychiatrycznym przez trochę więcej niż dwa lata, zgadza się?

— Tak.

Palmer skinął głową i po raz pierwszy był z niej prawie zadowolony.

— Czy kiedykolwiek w tym okresie próbowała pani popełnić samobójstwo?

Marielle poczuła, że jest jej niedobrze.

— Tak.

— Więcej niż raz?

— Tak.

— Ile razy?

Marielle zastanawiała się przez moment i nieświadomie spojrzała na lewy nadgarstek. Dzięki niezwykle artystycznej operacji plastycznej nie widać już było blizn.

— Siedem czy osiem.

Tym razem Marielle spuściła oczy, bo nie była z tego dumna. A przecież mogła powiedzieć Palmerowi, że nie pamięta.

Dlatego że czuła się pani odpowiedzialna za śmierć pani dziecka?

— Tak — prawie krzyknęła.

— A pan Delauney, gdzie był w tym czasie?

— Nie wiem. Nie widziałam go przez kilka lat.

— Czy tak samo szalał po stracie dziecka jak pani?

Tom Armour znowu zakwestionował pytanie, ale nawet on nie mógł uratować Marielle.

— Oskarżyciel prosi świadka, żeby zgadł stan umysłu mojego klienta. Dlaczego nie zostawić tego na później? — zapytał.

— Sprzeciw podtrzymany. Panie Palmer, proszę uważać.

Sędzia Morrison zaczynał się denerwować i Palmer ponownie go przeprosił. Widać było jednak, że nie jest mu przykro.

— Czy pan Delauney był z panią w czasie, gdy utopiło się pani dziecko?

— Nie. Byłam sama.

Charles jeździł przecież na nartach.

— I czy obwinał panią za śmierć dziecka?

— Sprzeciw — krzyknął Tom. — Oskarżyciel znowu zgaduje stan umysłu mojego klienta.

— Sprzeciw oddalony, panie Armour — sędzia powiedział z naciskiem. — To może być ważne.

— Powtarzam, pani Patterson — tym razem Palmer poprawnie wymówił jej nazwisko. — Czy oskarżony obwinał panią za śmierć syna?

— Chyba tak... oboje byliśmy tak bardzo nieszczęśliwi.

— Czy był zły na panią?

— Tak.

— Jak bardzo? Uderzył panią? Pobił?

Marielle zawahała się.

Ja..

— Pani Patterson, zeznaje pani pod przysięgą. Proszę odpowiedzieć na pytanie. Czy bił panią?

— Chyba mnie spoliczkował.

Wysoki sędzie — powiedział William Palmer, podając sędziemu telegram, który potem przekazał do sprawdzenia Tomowi Armourowi. — To jest telegram od administratora szpitalu Sainte Vierge w Genewie, który stwierdza, że zgodnie z rejestrem szpitalnytn, pani Marielle Delauney była „bita” przez swojego męża w tymże szpitalu, tuż po śmierci dziecka. Używa

słowa „battue”, co tłumaczy się na angielski jako „bita”. Odniosła rozległe obrażenia i w nocy poroniła.

Wszyscy znajdujący się w sali sądowej wstrzymali oddech. Wtedy Palmer odwrócił się do Marielle, która przez ten czas zbladła.

— Mogłaby pani powiedzieć, pani Patterson, czy ta relacja jest zgodna z prawdą?

— Tak.

Marielle nie była w stanie nic więcej powiedzieć. Ledwo mogła teraz mówić.

— Czy Pan Delauney bił panią w innych okolicznościach?

— Nie.

— I czy kiedykolwiek cierpiała pani na chorobę psychiczną przed śmiercią pani syna?

— Nie.

— Czy powiedziała pani, że teraz całkowicie wyzdrowiała?

— Tak.

Palmer przerwał na chwilę wypytywanie Marielle. Po przejrzeniu kilku notatek, dalej zadawał pytania.

— Pani Patterson, czy cierpi pani na poważne bóle głowy?

— Tak.

— Kiedy się rozpoczęły?

— W... po... podczas mojego pobytu w Szwajcarii.

— I miewa je pani od tego czasu?

— Tak.

— Ostatnio też?

— Tak.

— Kiedy dokładnie?

Gdyby była w stanie, Marielle uśmiechnęłaby się w tym momencie.

— W tym tygodniu.

— Jak często miała je pani w przeciągu ostatniego miesiąca?

— Może cztery albo pięć razy w tygodniu.

— Aż tyle? — Palmer popatrzył na nią ze współczuciem. — I przed porwaniem pani syna?

Również tak często?

— Dwa, trzy razy na tydzień.

— Czy zdarzają się pani nawroty do przeszłości, pani Patterson? Czy w wyniku tych tragicznych przeżyć czuje się pani wyjątkowo nieśmiała lub odsunięta, może boi się pani czasami ludzi? Boi się pani odpowiedzialności, poczucia winy?

Tom Armour znowu wstał, usiłując przeszkodzić tej masakrze świadka.

— Mój kolega nie jest psychiatrą. Jeśli uważa, że świadek go potrzebuje, powinien wezwać biegłego.

— Wysoki sędzie — powiedział Bill Palmer i ponownie zbliżył I

— Czy groził pani w jakiś sposób?

— Tak, ale nie wiem, czy mówił poważnie.

się do sędziego, a potem zamachał Tomowi kolejnym papierkiem.

To jest telegram od lekarza pani Patterson z kliniki doktora Verbeuf w Villars,

potwierdzający, że rzeczywiście przebywała tam w odosobnieniu.

— Sprzeciw! — Tom był teraz wściekły, mimo że Marielle nie była jego klientką. — Pani Patterson nie była w więzieniu.

Sprzeciw podtrzymany. Panie Palmer, proszę uważać na to, co pan mówi.

— Przepraszam, wysoki sędzie. Pani Patterson spędziła tam dwa lata i dwa miesiące z powodu załamania nerwowego i poważnej depresji; Najwyraźniej usiłowała kilkakrotnie popełnić samobójstwo i cierpiała na poważne migreny. Taka była oficjalna diagnoza. Doktor Verbeuf dodaje ponadto, że wie, iż pani Patterson w dalszym ciągu cierpi na bóle głowy i że

w okresach wielkiego napięcia, takiego jak obecne, jej zdrowie psychiczne pozostawia wiele do życzenia.

Zupełnie nieświadomie, pocziwy lekarz dobił Marielle. Bez względu na to, co teraz powie, wszyscy będą uważali ją za niewiarygodnego świadka. Ale Palmer jeszcze nie skończył. Gdy telegram od doktora Verbeuf został przyjęty jako dowód rzeczowy B, oskarżyciel dalej wypytywał Marielle.

— Czy miała pani romans z oskarżonym po waszym rozwodzie?

— Nie.

— Czy widziała go pani w przeciągu ostatnich kilku miesięcy albo, dokładniej, przed porwaniem pani syna?

— Tak. W rocznicę śmierci mojego pierwszego syna spotkałam go przypadkiem w kościele. I następnego dnia w parku.

— Czy podczas któregoś z tych spotkań był z panią pani syn?

— Tak, podczas drugiego.

— I jaka była reakcja pana Delauneya? Był zadowolony ze spotkania z nim?

— Nie — Marielle spuściła wzrok, tak by nie musiała patrzeć

Charlesa. — Był zdenerwowany

— Czy powiedziała pani, że był zły?

Marielle zawahała się, a potem skinęła głową.

— Tak.

— Kiedy porwano pani syna, pani Patterson?

Palmerowi chodziło wyłącznie o pokazanie, że jest Wyjątkowo głupia.

— Następnego dnia.

— Czy myśli pani, że istnieje związek między groźbami pana Delauneya a zniknięciem pani syna?

— Nie wiem.

Palmer zmienił nagle taktykę.

— Czy całowała się pani z panem Delauneyem od czasu, gdy się z nitu rozwiodła?

Marielle zawahała się przez chwilę, po czym kiwnęła głową.

— Proszę odpowiedzieć na pytanie — powiedział Palmer.

— Tak.

— Kiedy to było?

— Gdy spotkałam go w kościele. Nie widziałam go od prawie siedmiu lat i pocałował mnie.

— Czy to było tylko muśnięcie w policzek, czy pocałunek w usta, tak jak na filmach?

Publiczność zachichotała, ale Marielle nawet nie uśmiechnęła się. A John Taylor wiedział, że Palmer rozmawiał z szoferem Pattersonów i wysłuchał jego idiotycznych opowieści o facecie Marielle.

— To był pocałunek w usta.

— Czy odwiedzała pani Charlesa Delauneya w więzieniu?

— Tak. Raz.

— Pani Patterson, czy wciąż jest pani zakochana w panu Delauneyu?

Od tego momentu wszystko, co by o nim powiedziała, byłoby bezużyteczne

Marielle zastanawiała się przez chwilę, a potem potrząsnęła głową.

— Nie sędzę.

— Czy uważa pani, że porwał pani dziecko?

— Nie wiem. Może. Nie jestem pewna.

— I w żaden sposób nie czuje się pani odpowiedzialna za to porwanie?

— Nie jestem pewna... — powtórzyła chrapliwym głosem.

Wszyscy w sali przypomnieli sobie o tym, co powiedział lekarz

ze Szwajcarii. Że będąc w stresie Marielle mogła mieć poważnie zachwianą równowagę psychiczną. Palmetowi udało się zrobić z nią dokładnie to, czego chciał. Całkowicie ją zdyskredytował w oczach sędziów przysięgłych. Marielle wydawała się zmieszana, niepewna co do winy Delauneya czy nawet swojej własnej. Była dla nich kobietą, która kilka razy próbowała popełnić samobójstwo, cierpiała na migreny i prawdopodobnie ponosiła odpowiedzialność za utopienie się jej własnego dziecka. Palmer zdawał sobie sprawę, że jeśli obrona chciałaby teraz posłużyć się nią na korzyść Charlesa, Marielle nie mogłaby im pomóc. To było dokładnie to, co sobie zaplanował: sponiewierał ją. John Taylor doskonale wiedział, kto mu w tym pomógł. Malcolm. Sam Taylor miał wyrzuty sumienia, po odbyciu rozmów telefonicznych z różnymi osobami, ale to nic mogło Marielle zaszkodzić.

— Dziękuję pani, pani Patterson — powiedział chłodno Bill Palmer i odwrócił się do Toma Armoura. — Świadek jest do pana dyspozycji.

— Obrona chciałaby powołać panią Patterson na świadka w innym czasie, wysoki sędzie. Tom chciał dać wszystkim czas na ochłonięcie. Szczególnie potrzebowała tego Marielle, która schodząc z trybuny dla świadków wyglądała jak trup. Sędzia ogłosił przerwę do godziny drugiej

Kiedy Marielle opuszczała salę sądową z Malcolmem i towarzyszącymi im ludźmi z FBI, rzucił się na nią tłum dziennikarzy. Charles próbował uchwycić jej spojrzenie, ale za dużo źle się czuła, by spojrzeć na niego. Dziennikarze szarpali ją za ubranie i wykrzykiwali pytania, podczas gdy Marielle usiłowała im się wymknąć.

— Powiedz nam o szpitalu... samobójstwach... twoim chłopczyku... Powiedz nam wszystko... dalej, Marielle, pomóż nam.

Ich głosy wciąż dźwięczały jej w uszach, kiedy już jechała do domu. John Taylor wyglądał z kamienną twarzą przez okno samochodu. Tylko Malcolm odważył się przemówić do niej szeptem. Marielle była zaskoczona tym, co powiedział.

— To było odrażające.

Spojrzała na niego, niepewna, co dokładnie ma na myśli.

Z pewnością chodziło mu o sposób, w jaki potraktował ją Palmet, ale z wyrazu twarzy Malcolma Marielle domyśliła się, że mówił o tym, czego dowiedział się o niej. Nie powiedział nic więcej.

Marielle miała łzy w oczach. Kiedy już była z nim sam na sam w bibliotece, zapytała go, co miał na myśli.

Malcolm spojrzał na nią znowu z pogardą.

— Jak mogłaś, Marielle?

— Jak mogłam, co? Powiedzieć mu prawdę? Jaki miałam wybór? On i tak o wszystkim wiedział. Słyszałeś, co napisali obaj lekarze.

— Mój Boże... samobójstwa..., migreny..., dwa lata w szpitalu psychiatrycznym

- Powiedziałam ci o tym w grudniu.

Marielle miała rację. Wyjaśniła mu wszystko zaraz po porwaniu Teddy'ego, a właściwie następnego ranka.

— Wtedy nie wydawało mi się to tak okropne.

Wydawał się autentycznie zdumiony. Nagle Marielle poczuła się zakłopotana. Patrzyła na człowieka, o którym myślała, że go zna.

Pobiegła na górę do swojego pokoju i zamknęła drzwi. Kilka minut później zauważyła wsuniętą pod drzwi kartkę papieru. Było na niej napisane: zadzwoń do swojego lekarza. Marielle pomyślała z początku, że ktoś zrobił jej złośliwy żart, ale potem rozpoznała pismo Johna Taylora. Zastanowiła się, dlaczego chciał, żeby zadzwoniła do lekarza. I nagle się domyśliła, coś przeczuwając w głębi duszy.

Pobiegła po książkę telefoniczną, podniosła słuchawkę i poprosiła telefonistkę o połączenie jej ze wskazanym numerem. W Viflars w Szwajcarii była dziewiąta wieczorem, ale Marielle

wiedziała, że zastanie lekarza w szpitalu, bo tam mieszkał. Natura]- nie odebrał telefon i zdziwił się, gdy usłyszał jej głos.

— Co tam słyhać? — zapytał.

Marielle powiedziała mu o porwaniu synka, choć przypuszczała, że już o tym wiedział.

Lekarz wyjaśnił jej, że wiele osób zwracało się do niego z PYtaniami dotyczącymi jej osoby. Marielle wiedząc, że byłoby mu przykro, gdyby się dowiedział, jak zinterpretowano jego wypowiedzi i do czego one posłużyły w sądzie, nie powiedziała ani słowa na ten temat. Temu człowiekowi zawdzięczała życie i zdrowie.

— Dobrze się pani czuje? zapytał z troską.

— Tak sędę.

— Les migraines?

Było lepiej, ale teraz znowu powróciły. To dlatego, że nie ma Teddy”ego... i Malcolm... mój mąż..., musiałam mu powiedzieć

o Charlesie i Andr... i o clinique. Zanim się pobraliśmy, nie chciał słyszeć o mojej przeszłości.

— Ależ znał ją doskonale — powiedział doktor Verbeuf, zdziwiony, że Marielle nie wiedziała o tym. — Zadzwoił do mnie przed państwa ślubem w... och... kiedy to było?... w 1932 roku? Tak, wtedy. W tym samym roku, kiedy opuściła pani klinikę. Wyjechała pani w lutym, więc musiał zadzwonić w październiku.

Trzy miesiące później, w styczniu następnego roku, pobrali się.

— Dzwonił do pana? — Marielle zdziwiła się. — Ale po co?

— Chciał wiedzieć, czy jest coś, w czym mógłby pani pomóc... coś, co by zapobiegło migrenom... by uszczęśliwić panią..., powiedziałem mu, że powinna mieć pani dużo dzieci.

Lekarz zasmucił się myśląc o tragedii, która ją znowu spotkała. Była taką miłą dziewczyną, a nie miała zbyt wiele szczęścia w życiu.

— Czy wiadomo coś o dziecku?

— Jeszcze nie.

— Proszę dać mi znać, gdy będą jakieś wiadomości.

— Oczywiście.

Marielle była ciekawa, czy lekarz wiedział, jak wykorzystano jego telegram. Zastanowiła się też, czym się kierował Malcolm, który znał całą prawdę o niej od lat, a jednak udawał, że jest zaskoczony, gdy powiedziała mu o Charlesie i o swoim pobycie w szpitalu, i nawet pozwolił Billowi Palmerowi wykorzystać te informacje.

Marielle jednak nie miała czasu, by zapytać o to Malcolma, bo przed drugą pojechali w pośpiechu z powrotem do sądu. Tego popołudnia nie odezwała się ani słowem do Johna. Była zatopiona we własnych myślach i nurtowało ją zbyt wiele pytań.

Po południu oskarżyciel wywołał Patricka Reilly”ego na miejsce dla świadków. Szofer opisał zaobserwowaną scenę w Katedrze św. Patryka. Zeznał też, że w parku tamtego popołudnia Delauney chwycił Marielle za ramiona i potrząsał nią ze wściekłością.

Marielle miała wrażenie, że upłynęła cała wieczność, zanim mogła porozmawiać z Malcolmem. Pod wieczór ponownie wrócili w milczeniu do domu. Kiedy w końcu znaleźli się sami, Marielle odszukała męża w jego garderobie. Ubierał się na kolację w klubie.

Powiedział jej, że musi wyjść wieczorem z domu i na chwilę zapomnieć o całym procesie.

— Okłamałeś mnie.

— W jakiej sprawie? — Malcolm odwrócił się do niej z wyraźną obojętnością.

— Po zniknięciu Teddy”ego pozwoliłeś mi opowiedzieć sobie cab historię. A ty ją znałeś.

Wiedzałeś o wszystkim... o Andrć... o Charlesie... o klinice. Dlaczego mi tego nie powiedziałeś?

— Czy naprawdę sądziłaś, że ożeniłbym się z tobą, gdybym niczego o tobie nie wiedział?

Malcolm popatrzył na Marielle z drwiną. Jeśli o niego chodziło, to uważał, że zrobiła dzisiaj z siebie idiotkę, gdy składała zeznania... z siebie i z niego... całować się z Charlesem Delauneyem w kościele.

To było odrażające.

Okłamałeś mnie.

— A ty wystawiłaś na niebezpieczeństwo mojego syna. Sprowadziłaś tego drania do naszego życia. Z twojego powodu zabrał Teddego.

Wyglądało na to, że Malcolm nie przejmował się tym, co powiedziano w sądzie o jej stanie nerwów. Uważał, że przez nią stracił wszystko, na czym mu zależało.

— Poza tym, nic ci do tego, co wiedziałem o tobie. To moja sprawa — dodał.

— Jak mogłeś powiedzieć Billowi Palmerowi?

— Bo jeśliby cię nie zdyskredytował w oczach sędziów, mogłabyś popierać tego głupca, za którego wyszłaś za męża..., tego sukinsyna... tego zabójcę... ale ty, z twoim miękkim sercem, ty wciąż me jesteś pewna, czy on jest winny.

— Więc dlatego to zrobiłaś? Żeby nie mogła mu pomóc?

Marielle nie rozumiała już tego człowieka i zastanawiała się, czy kiedykolwiek tak naprawdę go знаła.

— Jeśli pójdzie na krzesło elektryczne za to, że umarł Teddy, to i tak to będzie za duża łaska jak dla niego.

— Więc o to chodzi? To ma być rozgrywka między wami dwoma? On zabiera Teddego, więc ty go zabijasz? Co wam się wszystkim stało?

Kiedy patrzyła na Malcolma, Marielle zrobiło się nagle niedobrze.

— Wyjdź z mojego pokoju, Marielle. Nie mam ci dziś nic więcej do powiedzenia.

Marielle przyjrzała mu się z niedowierzaniem. Rozmyślnie zrujnował jej życie tylko po to, by zniszczyć Charlesa.

— Nie wiem, kim ty naprawdę jesteś — powiedziała.

— To już nie ma znaczenia.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — krzyknęła do niego Marielle, która miała za sobą wyczerpujący dzień i nie mogła już dłużej znieść napięcia.

— Sądzę, że mnie rozumiesz.

— To koniec, tak?

A czy w ogóle coś kiedykolwiek istniało między nimi. Czy coś ich kiedyś łączyło oprócz miłości do Teddy'ego?

— To się skończyło w dniu, kiedy Delauney zabrał stąd mojego syna. Teraz możesz wrócić do niego i oboje możecie płakać nad tym, co zrobiliście. Powiem ci jedno. Nigdy ci tego nie wybaczę.

Marielle wiedziała, że mówi poważnie.

— Czy chcesz, żebym natychmiast opuściła dom, Malcolmie?

Była na to gotowa. Gdyby chciał, spędziłaby tę noc w hotelu.

— Czy tak bardzo zależy ci na jeszcze jednym skandalu? Mogłabyś mieć przynajmniej trochę przyzwoitości i poczekać do zakończenia procesu.

Marielle skinęła głową. Chwilę później poszła do swojego pokoju. Teraz nic nie mogło jej zdziwić. Wyszła za męża za obcego człowieka, mężczyznę, który nienawidził jej za utratę ich syna. Kolejnego. Życie zawsze było dla niej okrutne. I cokolwiek się teraz zdarzy, bez względu na to, czy odnajdą Teddego, Marielle wiedziała, że jej małżeństwo z Malcolmem było skończone.

Rozdział XII

Następnego ranka Marielle zjadła śniadanie w swoim pokoju. Wypiła kawę i zdołała przetknąć tylko jeden kawałek tostu. Przejrzała pobieżnie poranne gazety pełne relacji z wczorajszego koszmarnego dnia i opisów, jak poniżył ją i sponiewierał William Palmer. W pierwszym artykule, który przeczytała, podano, że przez lata była pacjentką szpitala psychiatrycznego i że, wrzeszczącą, siłą trzeba było ściągać ją z trybuny dla świadków w sądzie. To, co pisali o niej dziennikarze, było takie niesprawiedliwe i Marielle wciąż nie mogła uwierzyć, że to Malcolm im w tym pomógł. Potem odwróciła gazetę na ostatnią stronę i zobaczyła artykuł napisany przez Beę Ritter. Marielle nie zamierzała z początku go czytać, ale gdy zerknęła na dół strony, zatrzymała wzrok i zaczęła od początku. W miarę czytania w jej oczach pojawiły się łzy.

„Arystokratyczna, elegancka i dystyngowana Marielle Patterson zajęła wczoraj miejsce na trybunie dla świadków. Ani na moment nie straciła godności i spokoju w czasie, gdy godzinami oskarżenie niszczyło ją i usiłowało całkowicie zdyskredytować. Usiłowało, ale nie odniosło sukcesu, ku podziwowi wszystkich, którzy obserwowali tę kobietę. Wytrzymała ból związany ze szczegółowym opowiadaniem tragicznego wypadku, który zdarzył się prawie dziesięć lat temu. Wszystkim na sali zaparło dech w piersiach. Potem Marielle Patterson wyjaśniła powody jej późniejszego rozwodu z Charlesem Delauneyem. Jej relacja z pobytu w sanatorium w Szwajcarii została wysłuchana przez oskarżenie nie ze współczuciem i sympatią, lecz z kpiną. Oskarżyciel posłużył się tym, by zdyskredytować ją jako świadka w oczach sędziów przysięgłych...”

Artykuł ciągnął się jeszcze przez pół strony i kończył się tymi słowami

Jedna rzecz jest pewna po tym, jak zobaczyliśmy matkę ofiary w sądzie: Marielle Patterson jest w każdym calu damą. Opuściła salę sądową z głową wysoko podniesioną, choć jej serce, jak wie o tym każda matka, było złamane. Na dole był podpis Bei Ritter

Po przeczytaniu artykułu Marielle otarła łzy serwetką. Potem wstała i włożyła kapelusz. To, co napisała Bea Ritter, było pochlebne dla niej, ale nie zmieniało faktu, że własny mąż i oskarżyciel postanowili sobie całkowicie ją zniszczyć, by nie mogła pomóc Charlesowi Delauneyowi. Nie miała zamiaru mu pomagać, ale jej niezdecydowanie i brak pewności co do winy Charlesa stało się źródłem ich niepokoju i obaw

Kiedy zeszła na dół, John Taylor i jego ludzie już na nią czekali w samochodzie. Miała na sobie inną, ale również czarną sukienkę, czarny kapelusz i czarny płaszcz z bobrów. W czasie jazdy do centrum nie odezwała się słowem ani do Malcolma, ani do Johna. Malcolm przez całą drogę gapił się przez okno. Nawet John milczał przez całą drogę. Kiedy wsiadali do samochodu, dotknął na krótko jej dłoni, chcąc jej dodać otuchy, wiedział bowiem, że na sali sądowej nie odważy się ujawnić swoich uczuć i będzie musiał trzymać się na dystans.

Sędzia Morrison ponownie przypomniał wszystkim, że mają zachowywać się godnie. Patrząc znacząco na dziennikarzy powiedział, że nieodpowiedzialnością jest opisywanie rzeczy, które w rzeczywistości się nie zdarzyły. Zdenerwował go artykuł opisujący rzekome wynoszenie nieprzytomnej Marielle z sali sądowej.

Dalej trwała rzeź dnia poprzedniego. Widocznie Billowi Palmerowi nie wystarczało to, co powiedziała Marielle, i potrzebował zeznań innych świadków, by móc ją całkowicie zdyskredytować. Na koniec, nie zważając na uczucia matki dziecka, miał zamiar powołać Malcolma, który nigdy ani przez chwilę nie wątpił w winę Delauneya. Zeznawał Patrick Reilly, Edith, a nawet panna Griffin. Z pomocą Billa Palmera cała trójka namalowała portret Marielle jako kobiety nerwowej, histerycznej i chwiejnej, która nie była w stanie zajmować się swoim własnym domem, opiekować się dzieckiem czy być naprawdę użyteczną dla męża.

— Czy nazwałaby pani panią Patterson odpowiedzialną osobą? — Bill Palmer zadał pytanie guwernantce.

Wydawało się, że Tom Armour już po raz setny poderwał się L. na równe nogi i zaprotestował.

— Ta kobieta nie jest świadkiem, który może o tym decydować. A tutaj nie sądzi się kompetencji pani Patterson. Jeśli chce pan tego rodzaju zeznania, proszę wezwać psychiatrę, a nie, na Boga, pokojówkę!

— Pozwę pana do sądu za obrazę, jeśli nie będzie się pan liczył ze słowami, panie Armour!

— ryknął sędzia.

Przepraszam.

— Sprzeciw oddalony.

Dalej trwało torturowanie Marielle. Nikt jej nie bronił. John Taylor i Charles Delauney wiedzieli, że to wszystko była nieprawda, ale nic nie mogli powiedzieć w jej obronie, byli bezsilni. Jej własny mąż odwrócił się od niej.

— Czy pani Patterson była dobrą matką? — kończąc przesłuchanie Bill Palmer zapytał pannę Griffin.

Kobieta zawahała się tylko przez chwilę, ale to wystarczyło, by głęboko zranić Marielle.

— Niezupełnie.

Wszyscy wstrzymali oddech, a Marielle była bliska omdlenia. Wydawało się, że zaraz osunie się z krzesła. John Taylor błyskawicznie ją podtrzymał, zanim dziennikarze mogli cokolwiek zauważyć.

— Czy mogłaby nam pani powiedzieć, dlaczego?

— Jest zbyt chorowita i nerwowa. Dzieci potrzebują wokół siebie spokoju, ludzi silnych.

Takich jak pan Patterson.

Panna Griffin wydawała się dumna z siebie. Marielle ponownie się zastanowiła, co takiego zrobiła, żeby zasłużyć na nienawiść tych ludzi.

Thomas Armour wstał, z wyrazem znużenia na twarzy.

— Wysoki sędzie. To nie jest proces o opiekę nad dzieckiem. Nie rozpatruje się tutaj zdolności pani Patterson jako matki. To jest sprawa o porwanie dotycząca mojego klienta, a ci ludzie nawet go nie znają.

Tak samo zresztą prawie nie znali Marielle, ale Palmer chciał uzyskać pewność, że, zanim podejmie kolejny krok, zdyskredytuje ją całkowicie w oczach sędziów przysięgłych. Nie mogą oni mieć najmniejszych wątpliwości, w razie powołania jej przez obronę, co do braku jej wiarygodności jako świadka. Kto uwierzyłby kobiecie, która przez lata całe przebywała w szpitalu psychiatrycznym i nawet jej własna służba nie uważała jej za dobrą matkę. Palmer doskonale wykonywał swoją robotę. A popołudniu osiągnął szczyt, powołując na świadka Malcolma Pattersona.

Czy znał pan historię pańskiej żony, panie Patterson?

Nie.

Malcolm patrzył prosto w oczy Williamowi Painierowi, starannie omijając wzrokiem Marielle.

Nie miał pan pojęcia, że była w szpitalu psychiatrycznym,

zgadza się?

Tak. W przeciwnym razie nie poślubiłbym jej.

To, że kłamała, było jasne. Marielle tego tylko nie mogła zrozumieć, dlaczego tak mu na tym zależało, aby ją zniszczyć. Siedziała wyprostowana i patrzyła w jakiś punkt na ścianie, ponad nim. Wspominała szczęśliwe chwile... z małym Teddym. Teraz czuła się zbyt bezradna, by bronić siebie lub ujawnić oszustwo Malcolma. I do tego właśnie zmierzał Bill Palmer.

— Czy wiedział pan, że pańska żona była kiedyś żoną Charlesa Delauneya?

— Nie. Nigdy mi o tym nie powiedziała. Wiedziałem tylko, że w młodości miała krótki romans w Paryżu, ale nic poza tym. Ukryła przede mną to małżeństwo.

William Palmer skinął głową, z udawanym współczuciem dla mężczyzny tak perfidnie oszukanego przez tę kobietę.

— Czy wie pan coś o panu Delauneyu?

— Znam jego reputację. Ojciec wygnał go z kraju na wiele lat.

— Sprzeciw! — krzyknął Tom podrywając się z krzesła. — Musielibyśmy powołać na świadka pana Delauneya seniora, by nam to powiedział. Nie ma żadnego dowodu na to, że rodzina mojego klienta kiedykolwiek życzyła sobie, by opuścił on kraj. Wręcz przeciwnie. Chcieli, by wrócił do domu.

— Sprzeciw podtrzymany. To pogłoska. Może pan kontynuować, panie Palmer.

— Czy spotkał pan kiedyś pana Delauneya?

— Nie, aż do czasu procesu.

— Czy kiedykolwiek zadzwonił do pana, groził, niepokoił pana czy kogoś z pana najbliższej rodziny?

— Sprzeciw!

— Oddalony!

Malcolm kontynuował.

— Groził mojej żonie i dziecku. Zapowiedział jej, że porwie naszego synka, jeśli ona nie wróci do niego.

— Kiedy to było?

Malcolm pochylił głowę, zanim odpowiedział. Po chwili spojrzał prosto na salę.

— Na dzień przed porwaniem mojego syna.

— Czy od tego dnia widział pan dziecko?

Malcolm potrząsnął głową. Nie był w stanie mówić.

— Czy może pan powiedzieć to na głos, by można było zaprotokołować? — Paitner zwrócił się do niego z łagodnością, z jaką powinien był odnosić się do Marielle. Traktował ją jednak zupełnie inaczej.

— Przepraszam..., nie..., me widziałem...

— Jak dawno to było?

— Prawie trzy miesiące temu. Zabrano mojego chłopczyka jedenastego grudnia..., zaraz po jego czwartych urodzinach.

— Czy od tego czasu były jakieś telefony czy żądanie okupu?

— Tylko raz ktoś zadzwonił, ale to był żart. Nigdy nie odebrano pieniędzy.

Aluzja była oczywista. Delauney me zażądał okupu, ponieważ zależało mu tylko na zemście, a nie na pieniądzech.

— Czy wierzy pan, że pański syn wciąż żyje?

Malcolm potrząsnął głową w ponurym milczeniu, ale za chwilę zmusił się do odpowiedzi na pytanie.

— Nie, nie wierzę. Myślę, że jeśliby żył, to już by był razem z nami. FBI przeszukało każdy stan w kraju. Gdyby żył, to by go znaleźli.

— Czy uważa pan, że pan Delauney jest porywaczem?

Sądzę, że wynajął ludzi, by porwali Teddy'ego, a potem prawdopodobnie sam go zabił. Na jakiej podstawie pan tak twierdzi?

— Znaleźli piżamę... piżamę Teddego w jego domu... i misia, którego chłopiec tak kochał..., gdy go porwano, miał na sobie tę samą piżamę.

Wbrew sobie Malcolm zaczął płakać. Wszyscy na sali sądowej poczuli nagle litość dla nieszczęśliwego ojca. Oskarżyciel czekał uprzejmie, aż Malcolm odzyska spokój. Brigitte przyłożyła do oczu koronkową chusteczkę.

Czy uważa pan, że pańska żona jest wciąż zakochana w Charlesie Delauneyu?

Palmer chciał powiedzieć „jest związana z nim”, ale jego ludziom nie udało się odkryć absolutnie niczego, co by potwierdzało fakt, że była kochanką Charlesa. Zdecydował się więc rozgrywać to ostrożnie i nie przytaczać faktów, które łatwo mogłyby zostać obalone.

Tak. Dowiedziałem się od mojego kierowcy, że dwa dni przed porwaniem spotkali się w kościele i ona kilkakrotnie go pocałowała. Przypuszczam, że zawsze, nawet podczas naszego małżeństwa, była w nim zakochana. Może dlatego ciągle chorowała.

Zrobili z niej inwalidkę. Z Marielle, młodej kobiety, którą ciężko doświadczyło życie i cierpiała na bóle głowy, z kobiety, która przeżyła tragedię, a jednak udało jej się przeżyć.

— Czy myśli pan, że z winy pańskiej żony porwano syna?

Palmer zadał to pytanie, jakby oczekiwał wyroku. Malcolm odczekał z odpowiedzią wystarczająco długo, by wszyscy pomyśleli, że naprawdę tak jest.

— Sądzę, że to jej wina, iż Charles Delauney porwał go. Sama jest winna temu, że uważał ją za odpowiedzialną za śmierć ich własnego syna i chciał się zemścić na moim dziecku. Jest winna wciągnięcia tego mężczyzny do naszego życia.

Malcolm popatrzył smutno na salę i na Marielle, ale ona nie spojrzała na niego.

— Panie Patterson, mimo że uważa pan panią Patterson za odpowiedzialną w pewnym stopniu za tę... tragedię, czy mógłby pan wyobrazić sobie mszczącego się na niej w ten sposób?

Karzącego ją albo krzywdzącego kogoś, kogo pan kocha? Krzywdzącego ją?

— Czy mściłby się pan kiedykolwiek na niej czy na innej osobie? — powtórzył William Palmer.

Malcolm odpowiedział krótko, jakby na jego miejscu siedział sam Bóg. Jego głos zadźwięczał w sali.

Nigdy.

— Dziękuję panu, panie Patterson. Palmer odwrócił się do Toma. — Świadek do pańskiej dyspozycji, panie Armour.

Tom wstał. Przez chwilę, która wydawało się, że trwa wiecznie, nie powiedział ani słowa. Potem zaczął powoli przechadzać się po sali. Przeszedł przed sędziami przysięgłymi, uśmiechając się do niektórych, jak gdyby chciał, aby się rozluźnili. W końcu podszedł do miejsca, gdzie siedział Malcolm. Już się nie uśmiechał.

— Dzień dobry, panie Patterson.

— Dzień dobry, panie Amour.

Malcolm wyglądał niezwykle poważnie. Wszystkim, którzy obserwowali Toma Armoura, wydawało się, że jest on wyjątkowo zrelaksowany. To była metoda budząca ogólne zaciekawienie.

— Czy nazwałby pan... zdawało się, że wydłuża każde słowo swoje małżeństwo z panią Patterson szczęśliwym?

Tak bym je nazwał.

— Pomimo jej choroby... niesolidności..., jej częstych bólów głowy?

Przez moment Malcolm nie był pewien, co powiedzieć, ale szybko odzyskał energię.

— Z pewnością nie ułatwiały nam życia, ale sądzę, że byliśmy szczęśliwi.

— Bardzo szczęśliwi?

— Bardzo.

Malcolm był zirygowany. Nie wiedział, dokąd zmierza obrońca.

— Czy wcześniej był pan żonaty?

Malcolm zamruczał i wyraźnie wysunął brodę.

Tak. Dwa razy. Wszyscy o tym dobrze wiedzą. Czy pani Patterson wie o tym?

— Oczywiście.

— Czy według pana pańskie poprzednie małżeństwa zaszkodziły w jakiś sposób obecnemu?

— Oczywiście, że nie.

— Czy przeszkadzałoby panu, gdyby pan wiedział, że pani Patterson była już raz mężatką?

Tym razem Malcolm zawahał się.

— Prawdopodobnie nie. Ale wolałbym, żeby była ze mną szczerą.

— Oczywiście — Tom ochoczo się z nim zgodził. — Panie Patterson, czy ma pan jakieś inne dzieci oprócz Teddy’ego?

— Nie. Theodore jest... był... moim jedynym dzieckiem.

— Mówi pan... był... nie wierzy pan, że może jeszcze żyje?

Tom wyglądał na zdziwionego, jak gdyby stwierdzenie Malcolma zaskoczyło go.

— Nie... już nie wierzę, że żyje. Sądzę, że pan Delauney go zabił.

Malcolm chciał rozdrażnić Toma, ale to mu się nie udało.

— Rozumiem. Jeśli nie żyje... wszyscy tutaj zebrani mamy nadzieję, że tak nie jest... ale jeśli to prawda... to jak by pan opisał to wydarzenie w pańskim życiu?

— Przepraszam... nie rozumiem.

Tom Annour przysunął się bliżej do niego i popatrzył mu prosto w oczy.

— Jeśliby się okazało, że pana syn nie żyje, panie Patterson, to co by pan czuł? Co by pan zrobił? — bezlitośnie pytał Tom Armour.

Malcolm spojrział na adwokata i odpowiedział bez wahania:

— To by mnie wykończyło... moje życie nigdy nie byłoby już takie samo.

— Panie Patterson, czy to oznacza, że wiadomość o śmierci dziecka zniszczyłaby pana?

Malcolm zwiesił głowę i skinął, zanim ponownie popatrzył na Toma.

— Oczywiście... był moim jedynym synem...

Tom kiwnął głową, a potem przysunął się jeszcze bardziej do Malcolma.

— To by pana zniszczyło, prawda?... W takim razie, dlaczego jest pan tak wstrząśnięty, że śmierć poprzedniego dziecka pani Patterson doprowadziła ją niemal do śmierci? Czy według pana byłaby między tymi dwoma wypadkami jakaś różnica?

— Nie, ja...

Malcolm poczuł się przez chwilę nieswojo. John Taylor zacisnął usta. Marielle zmuszała się, by nie słuchać tego, co mówi Malcolm.

— Wyobrażam sobie, jak trudne to musiało być dla niej — dodał Malcolm.

— Miała wtedy dwadzieścia jeden lat..., była w piątym miesiącu ciąży... jej synek umiera... jej ojciec umiera kilka miesięcy później... sześć miesięcy potem jej własna matka popełnia samobójstwo... ówczesny mąż pani Patterson, zrozpaczony po śmierci dziecka, uderza ją. Co by pan zrobił na jej miejscu, panie Patterson? Jak by się pan czuł? Jak by to pan zniósł? Ja... ja...

Malcolm nie był w stanie odpowiedzieć. Sędziowie przysięgli zainteresowali się tym, co mówił Tom.

— Czy pani Patterson jest dzisiaj na sali?

— Tak... oczywiście...

— Czy może mi pan ją wskazać?

— Wysoki sędzie — poderwał się William Palmer, gotów do zakwestionowania pytania. — Czy ta szarada jest potrzebna?

— Proszę o cierpliwość, panie Palmer — odpowiedział sędzia. — Panie Armour, proszę kontynuować, ale niech pan kończy z tymi niedorzecznościami. Musimy jeszcze wysłuchać wielu zeznań, a nasi szanowni sędziowie przysięgli nie chcą pozostać na zawsze w hotelu na koszt podatników.

Na sali rozległ się chichot i Tom Armour uśmiechnął się. W porównaniu z tym, jak się wcześniej zachowywał, nagle wydał się zaskakująco niefrasobliwy. Ale to były tylko pozory. Potrafił znakomicie kontrolować napięcie.

— Panie Patterson, może pan łaskawie wskazać nam pańską żonę?

Malcolm spełnił jego prośbę i Tom kontynuował,

— Jest dzisiaj tutaj, choć wczorajszy dzień z pewnością nie był dla niej łatwy, gdy musiała opowiadać nam o śmierci jej dzieci, porwaniu syna, pobycie w klinice w Szwajcarii... czy o jej małżeństwie z panem Delauneyem... Ale przyszła tu dziś. Według mnie wygląda na osobę zdrową na umyśle i panującą nad swoimi reakcjami.

Marielle siedziała spokojnie obok Johna Taylora. Malcolm był wściekły, ale próbował ukryć to przed wszystkimi.

— Czy zgodzi się pan ze mną, sir? — mówił dalej Tom. - Moim zdaniem i, jak sądzę, zdaniem wszystkich osób znajdujących się tu dzisiaj, wygląda całkiem normalnie. Czy powiedziałby pan, że, mimo wszystko, dobrze znosi napięcie?

— Tak sądzę Malcolm przyznał bez przekonania.

— Czy według pana jej wcześniejsze problemy ze zdrowiem należą do przeszłości?

— Nie wiem warknął Malcolm. Nie jestem lekarzem.

— Jak długo jesteście państwo małżeństwem?

— Ponad sześć lat.

Czy w tym czasie pani Patterson była w szpitalu ze względu na problemy natury psychicznej?

— Nie.

— Czy według pana zrobiła kiedyś coś, co wystawiłoby na niebezpieczeństwo państwa dziecko?

— Tak — Malcolm prawie krzyknął na Toma. Tym razem obrońca wyglądał na zaskoczonego i zdziwionego.

Co zrobiła, by wystawić na niebezpieczeństwo pana dziecko?

— Zadawała się z Charlesem Delauneyem. Nawet wzięła Teddego do parku i naraziła go na spotkanie z tym człowiekiem! A potem on zabrał Teddego! — Malcolm krzychał i potrząsał ręką.

Tom uspokoił się.

— Pani Patterson twierdzi, że nie planowała tego i przypadkiem spotkała pana Delauneya.

— Nie wierzę jej.

— Czy kiedyś przedtem okłamała pana?

— Tak. Nie powiedziała o zaburzeniach psychicznych i małżeństwie z Delauneyem.

Tom wiedział, że to było kłamstwo, ale zdecydował się nie zaprzeczać temu w tym momencie.

— Jeśli to jest prawda, panie Patterson, to czy okłamała pana przy jakiejś innej okazji?

— Nie wiem.

W porządku. W takim razie, czy oprócz tego spotkania w parku na dzień przed porwaniem Teddy'ego, jeszcze kiedyś naraziła dziecko na niebezpieczeństwo? Zabrała je tam, gdzie coś mogło mu grozić... pozostawiła bez opieki... na przykład samo w wannie?

— Nie wiem.

— Nie może pan sobie tego przypomnieć?

— Oczywiście, że nie!

Malcolm powoli zapominał się i Johnowi Taylorowi bardzo to się podobało.

— Czy uważa pan, że pańska żona była panu wierna?

— Nie wiem.

— Czy miał pan kiedyś powód, by podejrzewać ją o niewierność? Niezupełnie. — Malcolm wzruszył ramionami tak, jakby go ta sprawa nie obchodziła.

— Pan dużo podróżuje, prawda?

— Muszę. W interesach.

— Oczywiście. A co robi pani Patterson, kiedy pan jest w podróży?

Zostaje w domu. W oczach Malcolma pojawiły się złośliwe płomyki. — Z bólem głowy. Kilka osób w sali zaśmiało się, ale sędziowie przysięgli mieli poważne miny. Starali się uważnie słuchać wszystkiego, co mówił Malcolm.

— Czy podróżuje z panem, panie Patterson?

— Rzadko.

— Dlaczego? Czy woli pan nie mieć jej przy sobie?

Nie. Po prostu zawsze wolała zostawać w domu z naszym synem.

— Rozumiem.

Obraz Marielle jako złej matki powoli rozmazywał się w rękach Toma. John Taylor, mimo że jako agent FBI był stroną oskarżającą, uspokoił się. Ze względu na Marielle.

— A pan, sir, podróżuje samotnie?

— Oczywiście.

— Nie bierze pan z sobą nikogo?

— Oczywiście, że nie.

Malcolm był bardzo zdenerwowany bezczelnością obrońcy.

— Nawet sekretarki?

— Oczywiście, że zabieram sekretarkę. Nie mogę sam wykonywać całej pracy.

— Rozumiem. Czy zabiera pan ciągle tę samą sekretarkę, czy to są różne osoby?

— Czasami zabieram obie moje sekretarki.

— A jeśli jedzie pan tylko z jedną, to którą pan woli?

— Często towarzyszy mi panna Sanders. Od wielu lat pracuje dla mnie.

Powiedział to w taki sposób, jakby miała co najmniej ze sto lat, ale Tom Armour dobrze się przygotował i doskonale znał fakty.

— Od jak dawna pracuje dla pana, sir?

— Od sześciu i pół roku.

— Czy jest pan z nią związany, panie Patterson?

— Oczywiście, że nie! zaryczał Malcolm. — Nigdy nie wiąże się z moimi sekretarkami!

— A kto był pana ostatnią sekretarką przed panną Sanders? Malcolm już wiedział o tym, że go wykończono.

Moja żona — odpowiedział.

— Pani Patterson była pana sekretarką?

Tom Armour wytrzeszczył oczy ze zdziwienia, jakby nie wiedział o tym. Sędzia wyglądał na rozbawionego pytaniem.

— Tylko przez kilka miesięcy przed naszym ślubem.

— Czy w ten sposób pan ją poznał?

— Tak, chociaż trochę znałem jej ojca.

— Czy zna pan również ojca panny Sanders, panie Patterson? Prawie go nie znam powiedział Malcolm, patrząc lekceważąco na Toma. — Jest piekarzem we Frankfurcie.

— Rozumiem. A gdzie mieszka panna Sanders?

— Nie mam pojęcia.

Teraz nawet Marielle przejawiała cię zainteresowania.

— Nigdy nie był pan u niej w domu?

— Może kilka razy... na spotkaniach...

— I nie pamięta pan, gdzie mieszka?

— Dobrze, już dobrze. Pamiętam. Mieszka na rogu Pięćdziesiątej Czwartej i Park Avenue.

— Wygiąda na to, że w bardzo dobrej dzielnicy. Czy jej mieszkanie też jest ładne?.

Tak, bardzo.

— Jest duże?

— Dostyc.

— Czy składa się z ośmiu pokoi: jadalni, pańskiego gabinetu, dwóch sypialni, dwóch garderób, dwóch łazienek, ogromnego salonu i tarasu?

— Możliwe. Nie wiem — odpowiedział Malcolm, czerwieniąc się lekko ku zdziwieniu Marielle.

— Czy płaci pan czynsz za mieszkanie panny Sanders, panie Patterson?

Marielle patrzyła na Malcolma z niedowierzaniem. Jaka była głupia, że nigdy nic nie podejrzewała. Brigitte zawsze była dla niej tak uprzejma, miła, hojna dla Teddego. Teraz w końcu Marielle zrozumiała, dlaczego. W głębi duszy poczuła złość. Brigitte i Malcolm traktowali ją jak idiotkę i rzeczywiście nią była.

— Nie płacę za mieszkanie panny Sanders — odpowiedział surowo Malcolm.

— Ile zarabia panna Sanders?

— Czterdzieści dolarów tygodniowo.

— To rozsądna stawka. Ale nie wystarczająca, aby płacić za mieszkanie, za które trzeba zapłacić sześćset dolarów miesięcznie. Według pana, jak panna Sanders to robi, panie Patterson?

— To nie moja sprawa.

— Wspomniał pan, że jej ojciec jest piekarzem.

— Wysoki sędzie — William Palmer podniósł się i udawał znużonego przesłuchaniem. — Dokąd to wszystko mńerza?

— To wszystko zmierza — powiedział Tom Armour poważnie — do wykazania, że mimo słabej pamięci pana Pattersona, jego rachunki z banku, czeki i rejestry świadczą o tym, że to on płaci za mieszkanie panny Sanders.

Ludzie Toma zrobili dla niego kawał dobrej roboty.

— A nawet jeśli to prawda, to co z tego? — zapytał Palmer.

— Seamus O'Flannerty, tamtejszy odźwierny, zostanie powołany na świadka, by powiedzieć nam, iż pan Patterson codziennie wieczorem po pracy przychodzi do tego mieszkania i często spędza tam noc. Kiedy podróżuje z sekretarką, często dzielą ze sobą tę samą sypialnię. Panna Sanders przychodzi do biura w płaszczu z norek. Na Boże Narodzenie, dwa tygodnie po porwaniu dziecka, pan Patterson ofiarował Brigitte Sanders diamentowy naszyjnik od Cartiera. Jest dla mnie jasne, wysoki sędzie, że pan Patterson kłamał.

— Sprzeciw oddalony, panie Palmer — powiedział spokojnie sędzia zbyt świadomy tego, kim jest Malcolm. — Chciałbym

ponownie przypomnieć panu, panie Patterson, że zeznaje pan pod przysięgą. Może pan Armour zechciałby powtórzyć pytanie.

— Naturalnie, wysoki sędzie.

Tom był zadowolony, że zmusi Malcolma do odpowiedzi.

— Panie Pattersona, proszę odpowiedzieć na moje pytanie: ma pan, czy też nie, romans z Brigitte Sanders?

Przez chwilę wydawało się, że na sali zapadła kompletna cisza. Ale zanim Malcolm mógł odpowiedzieć, oskarżyciel znowu się poderwał.

To jest nieistotne dla sprawy, wysoki sędzie.

Nie sędzę — stwierdził chłodno Tom Armour. Oskarżenie całkowicie zdyskredytowało panią Patterson jako świadka i utrzymuje, że miała romans z moim klientem, co nie należy do sprawy. Mój klient ostatnie osiemnaście lat spędził za granicą, a jednak oskarżenie zakłada, że jako porzucony kochanek czy zraniony były mąż, pan Deiauney mógł szukać zemsty. Jeśli rzeczywiście pan Patterson ma od dawna romans z panną Sanders, to równie prawdopodobne jest, że to ona mogła szukać zemsty.

— Zemsty z powodu diamentowego naszyjnika? — zapytał Palmer.

Tym razem cała sala ryknęła śmiechem.

— Proszę odpowiedzieć na pytanie, panie Patterson — powiedział sędzia z ubolewaniem. — Czy ma pan romans z panną Sanders?

Być może — cicho odparł Malcolm.

— Czy może pan powiedzieć to trochę głośniej? uprzejmie poprosił go Tom.

— Tak, tak..., mam... ale ona nie porwała mojego syna.

Brigitte zbladła, a Marielle utkwiała w niej wzrok.

— Skąd pan to wie? Tom Armour zapytał Malcolma.

Nie zrobiłaby takiej rzeczy — Malcolm wydawał się obrażony.

— Tak samo jak nie zrobiłby tego mój klient. Czy ma pan zamiar poślubić pannę Sanders? Oczywiście, że nie.

Tom uniósł brwi.

— Czy wszystkim swoim sekretarkom daje pan płaszcz z nerek i diamentowe naszyjniki?

— Naturalnie, że nie.

— Czy panna Sanders chciałaby wyjść za pana za mąż?

— Nie mam pojęcia. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

Dziękuję panu, panie Patterson. Nie mam więcej pytań. Bill Palmer chciał jednak jeszcze o coś zapytać Malcolma.

— Panie Patterson, czy panna Sanders kiedykolwiek groziła panu lub odgrażała się, że skrzywdzi pańskiego synka lub go porwie?

— Naturalnie, że nie Malcolm wydawał się zdumiony. — Jest bardzo uprzejmą, miłą, młodą kobietą.

Z fantastycznymi nogami i umiejętnościami, o jakich Marielle nie mogła marzyć.

Dziękuję panu. Nie mam dalszych pytań.

Malcolm wrócił na swoje miejsce. Był cały czerwony na twarzy. Chwilę później Brigitte opuściła salę sądową. Kiedy wyszła, natychmiast otoczył ją tłum dziennikarzy, szarpiąc ją na wszystkie strony. W końcu, płacząc, wsiadła w podartej sukience do taksówki.

Po zeznaniach Malcolma oskarżenie powołało kilku ekspertów sądowych do ustalenia faktu, czy pluszowy miś i piżama należały rzeczywiście do Teddego.

Ostatnim świadkiem w tym dniu był mężczyzna, który powiedział, że chodził do szkoły razem z Charlesem Delauneyem i że Charles kiedyś groził, że mu coś zrobi, gdy mieli po czternaście lat. Świadek, nerwowy młody prawnik z Bostonu, który sam zgłosił się, by zeznawać, stwierdził, że zawsze uważał Charlesa za trochę zwariowanego. Tom Armour sprzeciwił się temu określeniu i sędzia podtrzymał sprzeciw. Przysięgli zaczęli się już nudzić. Mieli za sobą ciężki dzień. W końcu świadek skończył zeznawać i sędzia pozwolił wszystkim opuścić salę. Wychodząc, John i Marielle wymienili między sobą spojrzenia. Podczas jazdy do domu Malcolm nie odezwał się ani słowem. Po powrocie poszedł prosto do biblioteki, zamknął drzwi i zadzwonił do kilku osób. Pół godziny później bez słowa zatrzasnął za sobą wejściowe drzwi. John Taylor i garstka ludzi z FBI udawali, że go nie widzą.

Wszyscy wiedzieli, co się stało tego dnia w sądzie.

Po wyjściu Malcolma John poszedł zobaczyć się z Marielle. Usiedli i rozmawiali cicho.

— Byłaś zaskoczona? — zapytał, mając na myśli sprawę z Brigitte.

Marielle czuła się jak balon, z którego ktoś wypuścił powietrze. Minęło kolejne wyczerpujące i smutne popołudnie.

— Tak. Przypuszczam, że jestem niewiarygodnie głupia, ale ją lubiłam. To była przyjemna dziewczyna, zawsze taka miła dla Teddy’ego.

Mówiąc to, Maricile była pogrążona we wspomnieniach. Myślała o tych wszystkich małych prezencikach, które robiła Brigitte, cukierkach, zabawkach, sweterkach... Marielle czuła się jak zupełna idiotka. Zastanawiała się, od jak dawna trwał ich romans. Może od początku. Cofnęła się pamięcią do tych sześciu i pół roku i poczuła się jeszcze większą idiotką. Jaka była głupia i jak oni byli podstępni.

— Prawdopodobnie starała się zaprzyjaźnić z Teddym, by zrobić wrażenie na twoim mężu.

— Może — powiedziała smutno Marielle. — Sądzę, że to nie ma znaczenia.

Malcolm musiał gdzieś zaspokajać swoje potrzeby. Nie spali ze sobą od lat i Marielle wiedziała, jak ważny było dla niego seks. Ale nigdy nie pomyślała o Brigitte. Tylko raz jej to przyszło do głowy, w dniu, kiedy młoda Niemka wyglądała szczególnie ładnie. Z początku, kiedy Malcolm zaczął z nią podróżować, Manelle była trochę zazdrosna, ale potem nigdy już o tym nie myślała. Teraz wiedziała, że codziennie po pracy chodził do mieszkania Brigitte, często spędzał tam noce, a nawet płacił czynsz. Bardziej był mężem Brigitte niż Marielle, na to przynajmniej wyglądało. Nic ją już z nim nie łączyło. Ani wierność, czułość, lojalność... ani nawet Teddy.

Gdy Marielle rozmyślała o tym, John obserwował ją. Pomyślał o swojej żonie i o tym, co może się zdarzyć po zakończeniu procesu.

Lepiej niż ktokolwiek wiedział, że tak dalej być nie może. Ale mimo

uczucia, jakie ich łączyło, John i Marielle unikali rozmowy o przyszłości. Zbyt wiele działo się teraz w ich życiu, by mogli myśleć

o czymś innym niż o procesie i o odnalezieniu Teddego.

— Prawie jest mi żal Malcolma — powiedziała później Marielle odprowadzając Johna do drzwi.

Tak bardzo chciał zostać z nią na noc. Była mu droga każda chwila, którą spędzali razem.

— Wyjawienie tego wszystkiego musiało mu przyjść z trudem — dodała.

Malcolm wydawał się wściekły, gdy składał zeznania, a Brigitte wyglądała na przestraszoną.

— Nie było to takie trudne jak wczorajszy dzień dla ciebie.

Jak mogła współczuć Malcolmowi? Była naprawdę zadziwiająco dziewczyną.

W większości mówił same kłamstwa.

Ale w końcu go dopadli, chociaż się nie przyznał, że od dawna wiedział o Charlesie i o jej pobycie w klinice. Choć sędziowie przysięgli nie wiedzieli tego, to jednak przekonali się, że Malcolm jest oszustem i kłamcą.

— Zasługuje na to, co go spotkało. Zasługuje nawet na coś gorszego za to, co ci zrobił. Nie musieli cię tak naciskać podczas przesłuchania.

— Dobrze zrobili. Teraz nie muszą się martwić, że będę współczuć Charlesowi i osłabię dowody oskarżenia. Teraz moje zeznanie nie ma żadnej wartości.

Marielle żałowała, że musiała w ogóle iść do sądu. To było takie bolesne.

— Czy wciąż mu współczujesz, Marielle?

Nie była pewna. Od miesięcy nie myślała o tym.

— Nie wiem. Po prostu nie wiem, co myśleć... istnieją dowody, a jednak sądziłam, że znam go lepiej, nawet po tych wszystkich latach. Nie wierzyłam mu, gdy mówił te głupstwa w parku... a potem zniknął Teddy... Nie wiem, co mam myśleć.

Nic mogła znieść myśli o tym... o pustym łóżeczku, które ciągle wydawało się ciepłe, gdy je dotykała. Od trzech miesięcy nie widziała już Teddego, nie trzymała go w ramionach..., chłopczyka, którym, jak mówiono, nie mogła się opiekować, bo była zbyt słaba i chwiejna.

— Jeśli okaże się, że jest niewinny..., jeśli znajdziemy Teddego... — zaczął mówić John. Wciąż miał nadzieję, że to im się uda, choć teraz nadzieja stawiała się coraz bardziej złudna. To oczekiwanie przypominało przebieg sprawy Lindberghów.

— Czy wrócisz do Charlesa?

Od wielu dni chciał ją o to zapytać. Chciał wiedzieć, bo w głębi serca żywił obawy, że Marielle wciąż jeszcze kocha Delauneya.

— Nie wiem — odpowiedziała szczerze. — Nie sądzę. Nie mogłabym. Zbyt wiele bólu zadaliśmy sobie nawzajem. Pomyśl, co byśmy czuli patrząc na siebie każdego ranka. Jeśli Charles jest niewinny..., nigdy by mi nie wybaczył, że podejrzewałam go o porwanie Teddy’ego...

Taylor zirytował się na nią.

— Nie wszystko złe na tym świecie dzieje się z twojej winy. To nie ty mu groziłaś w parku, tylko on tobie. Jest cholernym głupcem, który albo rzeczywiście porwał dziecko, albo sam się urządził swoim głupim gadaniem. Zrozum, ty poszłaś jedynie z dzieckiem do parku. Na Boga, to nie jest twoja wina, tak samo jak w przypadku porwania Teddego... i to, że utonęło tamto dziecko, to też nie twoja wina..., przestań wierzyć w całe to gówno, które dranie ci wciskają. Marielle uśmiechnęła się do Johna. Kochała go, ponieważ tak w nią wierzył, ochraniał, dbał o nią i próbował odnaleźć Teddego. Ale co stanie się z nimi po procesie? Pozostaną prawdopodobnie przyjaciółmi, nic poza tym, bo spotkali się w tak ciężkim i trudnym dla Marielle okresie. John jednak, od czasu, gdy usłyszał ostatnie zeznania w sądzie, martwił się z innego powodu. Wiedział bowiem, co Patterson trzyma w zanadrzu. Jeśli odnajdą chłopca, Patterson będzie chciał rozwieść się z Marielle i procesować się z nią o opiekę nad dzieckiem, oskarżając ją o to, że jest niezdolna do opiekowania się synem. O to chodziło, gdy oskarżenie mówiło o jej chwiejności psychicznej i posługiwało się zeznaniami guwernantki i pokojówki. John Taylor wiedział, do czego zmierza Malcolm, ale nie chciał straszyć przed czasem Marielle. Może to się w ogóle nie zdarzy. Może nigdy nie odnajdą Teddego.

— Trzymaj się — szepnął do niej.

Chwilę później zbiegał w dół po schodach, żałując, że jej nie pocałował na pożegnanie.

Marielle wróciła do swojego pokoju. Przypuszczała, zresztą słusznie, że w tym czasie Malcolm przebywał z Brigitte.

Już nie zawracał sobie głowy, by wracać do domu na noc czy zatelefonować do Marielle.

Udawanie się skończyło. Marielle zastanawiała się, gdzie są teraz. Musieli unikać dziennikarzy, którzy pasjonowali się ich romanssem. Marielle była ciekawa, jak często Malcolm dzwonił do niej z mieszkania Brigitte. Zadziwiająca, jak mało знаła swojego męża, uważała go za godnego szacunku,

miłego, łagodnego człowieka, a on całymi latami zbierał przeciwko niej dowody. Od początku wiedział o jej pobycie w szpitalu i o małżeństwie z Charlesem i oszukiwał ją razem z Brigitte. Jego wizerunek nie był zbyt piękny.

Marielle wciąż o tym myślała leżąc w ciemnościach, gdy nagle

o dziesiątej zadzwonił telefon. Z początku nie zamierzała go odbierać, sądząc, że to może dzwonić Malcolm. Ale było prawdopodobne, że telefonowano w sprawie Teddego.

Wiedziała, że policjanci obecni w domu podniosą słuchawkę, niemniej jednak chciała dowiedzieć się, kto dzwoni. Zdziwiła się, gdy usłyszała głos Bei Ritter, która prosiła policjanta o połączenie jej z panią Patterson. Nie chciał się na to zgodzić.

— W porządku, Jack. Odbiorę. Halo?

— Pani Patterson?

Tak.

Tu Bea Ritter dziewczyna powiedziała szybko i nerwowo. Była wzbudzającą zainteresowanie kobietką, pełną życia, ciągle

goniącą za sensacją. Marielle chciała jej podziękować za uczciwą relację z wystąpienia w sądzie. Rudowłosa dziewczyna zmieszała się.

Oni naprawdę chcieli panią wykończyć — powiedziała. — Niedobrze mi się robiło, gdy to obserwowałam.

Przynajmniej nie wyprowadzono mnie z sądu tak, jak to inni opisali.

— To stado drani. Jeśli coś nie dzieje się tak, jak oni chcą, to zmyślają. Ja tego nie robię.

Bea zrobiła paSzę. Nie wierzyła, że uda się jej połączyć z Marielle, a tymczasem rozmawiały teraz jak stare znajome. Marielle była trochę spłoszona i tak zaskoczona, że dziennikarka mogła łatwiej nawiązać z nią kontakt.

— Przepraszam, że dzwonię do pani tak późno... Nie wiedziałam, jak się z panią porozumieć... pani Patterson, czy może się pani ze mną spotkać?

Po co?

Muszę z panią porozmawiać. Nie mogę tego powiedzieć przez telefon. Ale naprawdę muszę.

— Czy to ma związek z moim synem?

Czy była jakaś nowa wiadomość... szansa..., nadzieja?... Marielle poczuła, jak jej serce przestało bić.

— Nic. Niezupełnie. To ma związek z Charlesem Delauneyem.

— Więc proszę dać mi spokój. Proszę... widziała pani, co mi wczoraj zrobili..., nie mogę mu pomóc.

— Proszę mnie tylko wysłuchać... chcę pomóc odnaleźć pory. waczy pani syna. Charles go nie porwał. Wierzę w to.

— Czy on wie, że pani dzwoni?

Bea zaczerwieniła się i potrząsnęła głową.

— Prawie mnie nie zna. Widziałam się z nim kilka razy, ale on znajduje się w szoku spowodowanym tym procesem. Sądzę, że jest niewinny, i chcę mu pomóc.

A ja pragnę odzyskać mojego syna. To wszystko, czego chcę — powiedziała chłodno Marielle.

— Wiem... ja także... pani zasługuje na to... proszę się ze mną zobaczyć... tylko na kilka minut.

— Kiedy?

Ich spotkanie mogło stać się sensacją dla dziennikarzy, a nawet spowodować skandal. Ale oni i tak mieli już wystarczająco dużo materiału związanego z ujawnieniem romansu Malcolma i Brigitte.

— Czy mogłabym przyjść zaraz? To znaczy... wiem... potwornie się narzucam.

Bea była śmiertelnie wystraszona, ale w końcu Marielle ustąpiła.

— Dobrze.

— Teraz?

— Tak. Czy może być pani tutaj za pół godziny?

Bea z chęcią byłaby tam za pół minuty.

Kiedy przyjechała, Marielle była ubrana i czekała na nią na dole. Młoda reporterka wyglądała właściwie na trochę przestraszoną. Miała dwadzieścia osiem lat, ale nagle jej śmiały i bezczelny sposób zachowania rozwiął się i wydawała się teraz prawie dziecinna. Była drobna, o wiele niższa od Marielle. Miała na sobie spodnie, gruby sweter i prochowiec.

Dziękuję, że zechciała się pani ze mną zobaczyć — powiedziała drżącym głosem.

Marielle wprowadziła ją do biblioteki i zamknęła drzwi. Sama była ubrana w czarne spodnie i czarny kaszmirowy sweter. Włosy ściągnęła do tyłu, twarz miała nie umalowaną. Z jej twarzy biła szczerłość i ufność. Właśnie to tak bardzo Johna Taylora do niej pociągało.

— Nie wiem, czego oczekuje pani ode mnie — rzekła cicho Marielle, gdy usiadły. —

Powiedziałam przez telefon, że w niczym nie mogę pani pomóc.

Nie oczekuję od pani pomocy — przyznała się Bea Ritter, patrząc na nią uważnie.

Po prostu chciała się znowu spotkać z tą kobietą, po tylu tygodniach. I wreszcie tu była. Wydawało się dziwne, że siedzą jak dwie znajome, dwie kobiety, które pragnęły tego samego, choć z różnych powodów. Bea chciała, by odnaleziono chłopca, bo wtedy Charles zostałby oczyszczony z zarzutów, Marielle zaś pragnęła tylko odzyskać syna.

— Chciałam porozmawiać z panią, dowiedzieć się, co pani myśli..., tylko tyle... nie dla mojej gazety... ani dla sądu.... Nie uważa pani, że on to zrobił, prawda?

— Wczoraj w sądzie byłam szczerą — westchnęła Marielle.

Zastanawiała się, dlaczego pozwoliła jej tu przyjść. Dziewczyna miała w sobie tyle energii i była tak spięta, że prawie ją denerwowała. A jednak czuła, że jest jej coś winna. Ale co dobrego mogło przynieść powtarzanie na nowo całej historii?

Nie ma pani zamiaru pisać o naszej rozmowie? — zapytała. Bea potrząsnęła głową przecząco. Marielle wierzyła jej.

— Nie, to tylko dla mojej wiadomości. Muszę wiedzieć. Bo ja także nie sądzę, by on to zrobił.

Zachowywała się tak, jakby Marielle myślała tak samo. Była o tym głęboko przekonana, nawet gdyby Marielle się tego wypierała.

— Dlaczego?

— Może jestem szalona, ale wierzę mu. Ufam. Podziwiam wszystko, czego loni. Myślę, że jest cholernym głupcem, zrobił kilka naprawdę idiotycznych rzeczy i nigdy nie powinien mówić tego, co powiedział pani tamtego dnia w parku. Ale jeśli naprawdę miał zamiar zabrać chłopca, nigdy by o tym nie uprzedzał.

— Ja też tak myślałam... do czasu, gdy znaleziono piżamę maleństwa...

To było zabawne, że w dalszym ciągu myślała o Teddym w ten sposób... „maleństwo”... czteroletnie... maleństwo, którego może już więcej nie zobaczyć. Marielle musiała siłą opanować płacz.

— Jeśli on go nie zabrał, to skąd wzięła się tam piżama?

— Pani Patterson... Marielle.. czy mogę tak się zwracać do pani?

Należały do dwóch różnych światów, ale przez tę krótką chwilę były sobie bliskie. Miały jeden wspólny cel: odnalezienie dziecka. Marielle skinęła głową w odpowiedzi.

— Charles przysięga, że ją podłożyli. Uważa, że komuś zapłacono za podrzucenie jej tam. może nawet komuś stąd, z pani własnego domu.

— Ale to była piżama Teddego. Widziałam ją. Na kołnierzyku były wyszyte małe pociągi. Taką samą miał na sobie w noc, kiedy go porwano.

— Czy ma inne podobne piżamy?

Marielle potrząsnęła głową.

— Nie identyczne.

Reporterka pokiwała głową z rozpaczą. Tak bardzo chciała pomóc Charlesowi. Marielle miała ochotę zadać jej pytanie.

Dlaczego tak się tym przejmujesz? Czy to z powodu porwania, czy z powodu tego mężczyzny?

Marielle spojrzała jej prosto w oczy, ale Bea nie spieszyła się.

— Z jego powodu — odpowiedziała dziewczyna, a potem zapytała łagodnym głosem: — Wciąż go kochasz, prawda?

Marielle zastanawiała się przez chwilę, nie wiedząc, czy może zaufać tej dziewczynie.

Wiedziała, że to, co powie, nie będzie dla mej niespodzianką

Zawsze go kochałam. Przypuszczam, że zawsze będę. Ale teraz Charles należy do przeszłości.

Stopniowo Marielle sama zaczynała to rozumieć.

— Charles powiedział to samo, gdy z nim rozmawiałam. Ale on także ciebie kocha. Myślę, że jest teraz mniej zwariowany. Sądzę, że ostatnie wydarzenia przywróciły mu rozum.

— Trochę za późno — uśmiechnęła się smutno Marielle.

Uważa, że chłopiec gdzieś żyje — stwierdziła Bea, która pragnęła dać jej nadzieję, jeśli nie mogła dać odpowiedzi.

Chciałabym, żeby to była prawda. Ludzie z FBI sądzą, że jest już za późno. Obawiają się, że...

Marielle nie mogła tego wymówić. Gdy odwróciła głowę, miała łzy w oczach. To wszystko było bez sensu. Czemu miał służyć ten proces? Cokolwiek zrobią Charlesowi, to nie przywróci jej dziecka.

— Nie wierzę w to — powiedziała Bea, nie spuszczając wzroku z Marielle.

Wyciągnęła małą, ale silną dłoń i ścisnęła palce kobiety.

Zamierzam zrobić wszystko, co mogę, by pomóc im go odnaleźć. Zamierzam wykorzystać dziennikarzy i moje kontakty.

Bea Ritter miała kilka osobliwych kontaktów w świecie przestępczym. Wyjaśniła, że zawdzięcza to serii artykułów, jakie napisała, i które spodobały się lokalnemu szefowi szajki. Zrobiła w nich z niego bohatera. Obiecał, że zawsze może na niego liczyć. Później, po rozmowie z Charlesem, chciała do niego zadzwonić.

— Czego chcesz ode mnie? zapytała Marielle.

Była zmęczona. Czowała sympatię do tej dziewczyny, ale było już późno i wszystko wydawało jej się takie beznadziejne.

— Po co tu przyszedłaś?

Chciałam spojrzeć ci w oczy i sama przekonać się, w co wierzysz. Sądzę, że nie jesteś przekonana, że Charles to zrobił, ale z drugiej strony nie wiesz...

— To prawda.

— To zrozumiałe. Może na twoim miejscu czułabym tak samo. Musiał zadać ci wiele bólu, kiedy...

Obydwie wiedziały, że myślała o tym, co wydarzyło się po śmierci Andr.

— Był wtedy szalony — Marielle uśmiechnęła się smutno. — Może wciąż jest.

— Troszeczkę — na ustach Bej też pojawił się uśmiech. Musiał być taki, by móc walczyć w Hiszpanii.

Bea podziwiała go za to. Uwielbiała to, co napisał. Pokazał jej kilka ze swoich książek.

Pewnego dnia przez parę godzin rozmawiali w więzieniu, a Charles płakał zapewniając ją, że nie porwał Tedego. I o?ia mu uwierzyła. Przyrzekła sobie wtedy, że mu pomoże. Wiedziała, że Marielle jest jej potrzebna, bo, bez względu na to, co o niej powiedziano w sądzie, była kimś, kto mógł pomóc Charlesowi.

Przykro mi z powodu twojego męża — powiedziała Bea ostrożnie.

— Mnie także. Jutrzejsze gazety będą miały dużą uciechę.

— Na pewno.

Bea widziała już kilka artykułów, które miały ukazać się rano.

— Ale to wzbudzi większe współczucie dla ciebie — pocieszyła ją. — Tamtego dnia naprawdę zdeptali cię. Robiło mi się niedobrze, gdy tego słuchałam. Dlatego napisałam ten kawałek, który przeczytałaś.

Była kimś w rodzaju Robin Hooda, zawsze broniącym przegranych, pobitych, biednych, pokonanych. Wydawało się, że ona i Charles mają ze sobą wiele wspólnego.

— Ale dlaczego Charles? — łagodnie zapytała Marielle. — Dlaczego on? Dlaczego tak bardzo się nim przejmuje?

— Nie chcę patrzeć, jak zabijają go za nic. Nigdy także nie wierzyłam całkowicie, że Bruno Hauptmann był winny. Dowody w tamtej sprawie były pośrednie. Wielką rolę odegrała tu historyczna nagonka uprawiana przez dziennikarzy. To był mój pierwszy reportaż, miałam

wtedy dwadzieścia jeden lat. Zawsze uważałam, że mogłam coś na to poradzić, ale nie zrobiłam tego. Może tym razem będzie inaczej. A przynajmniej nie przestanę próbować. Marielle nie śmiała zapytać o nic więcej, ale było coś takiego w oczach dziewczyny, że po dłuższej chwili zdecydowała się zadać jej pytanie.

— Czy jesteś w nim zakochana?

Nie była zazdrosna ani też nie chciała bronić swojego prawa do Charlesa. Po prostu zapytała.

Bea Ritter patrzyła na nią przez moment, zanim odpowiedziała.

— Nie jestem pewna. Nie chcę być pewna. Nie o to tu chodzi.

Ale to dlatego tak bardzo się przejmowała sprawą Charlesa i Marielle wiedziała o tym.

Uśmiechnęła się do dziewczyny.

— Czy on o tym wie, czy jest taki tępy jak dawniej?

Czasami, gdy chciał, potrafił być niedomyślny. Oczywiście teraz był zajęty czymś o wiele ważniejszym. Bea roześmiała się.

— Możliwe, że jest tak głupi jak dawniej, albo może jest po prostu zbyt zajęty.

Ten człowiek walczył o swoje życie. Nagle Bea zaniepokoiła się.

— Czy wrócisz kiedyś do niego? — zapytała.

Marielle potrząsnęła głową bez wahania. Minęło zbyt wiele lat pełnych bólu i smutku.

Kochała go i wiedziała, że zawsze tak będzie. Ale teraz nie istniał już dla niej jako mężczyzna. Marielle pomyślała, że ta rudowłosa dziewczyna będzie dla niego doskonała w odpowiednim czasie, jeśli go uniewinnią. Wiele jej zawdzięczał, choć, według niej, nawet o tym nie wiedział.

— Co masz teraz zamiar zrobić, Bea?

— Nie wiem... zadzwonię do kilku moich dłużników..., porozmawiam ze starymi przyjaciółmi... skontaktuję się z prywatnymi detektywami, których znam...

Jeśli będzie potrzebowała pieniędzy, to może porozmawia z Tomem Armourem. Może adwokat zechce zapłacić za dodatkowe informacje lub jakieś wskazówki. Jeśli miało to pomóc Charlesowi, Bea była gotowa zrobić wszystko, zadzwonić do każdego, pójść wszędzie i każdemu zapłacić.

— Może to do niczego nie doprowadzi, ale przynajmniej będziemy próbować... a może wskaże nam drogę do Tedego.

— Daj mi znać, jeśli o coś usłyszysz, dobrze?

— Natychmiast to zrobię.

Obie kobiety wstały i Marielle odprowadziła dziewczynę do drzwi. Wiedziała, że nigdy nie staną się prawdziwymi przyjaciółkami, ale polubiła ją. Bea była niezwykłą i inteligentną dziewczyną. Charles nie zdawał sobie sprawy, jakie miał szczęścia, że ją poznał.

Bea Ritter zniknęła w ciemnościach nocy. Kiedy Marielle wróciła na górę, było już dobrze po północy. Zgasiwszy światło, leżała w łóżku myśląc o Malcolmie, który był prawdopodobnie w apartamencie na Park Ayenue... i o jej chłopczyku, który, modliła się o to, spał gdzieś w łóżeczku u obcych ludzi.

Rozdział XIII

ciągnął się dalej od kilku już tygodni, a tymczasem w Europie Hitler zajmował Kłajpedę nad Bałtykiem. Mimo tych wydarzeń relacje z rozprawy, przynajmniej w Nowym Jorku, nadal zajmowały pierwsze strony gazet. Wielka Brytania i Francja ogłosiły gotowość udzielenia poparcia Polsce. W końcu marca wreszcie zakończyła się wojna domowa w Hiszpanii poddaniem Madrytu generałowi Franco. Wojna pochłonęła ponad milion istnień ludzkich i w ciągu trzech lat liczba ludności znacznie się zmniejszyła. Charles głęboko to przeżył, współczując swoim przyjaciołom w Europie. Walka się skończyła. Wojna była przegrana. Ale teraz Charles Delauney prowadził prywatną walkę, bitwę o własne życie.

Po nocnej wizycie Bei Ritter Marielle nie miała od niej żadnych wiadomości, za to stale czytała jej relacje w gazecie zawierające ciepłe i pełne współczucia opisy procesu.

Jak było do przewidzenia, wszystkie gazety rozpisywały się o romansie Malcolma i Brigitte, ale mimo nieustannych próśb

o wywiady, Marielle trzymała się od tego z daleka i odmawiała wszelkich komentarzy. Od tygodni prawie w ogóle nie rozmawiała z Malcolmem i tylko raz widziała Brigitte.

Dziewczyna zachowywała się wyniośle, udając, że nie ma sobie nic do wyrzucenia.

Uczepiona ramienia Malcolma usiłowała robić wrażenie, że to ona odniosła zwycięstwo.

Marielle czuła się oszukana przez ich kłamstwa i fałszywą przyjaźń Brigitte, jednak nie czuła do nich złości ani nie była zazdrosna. Chociaż od dawna Malcolm nie należał do niej, bardzo ją zranił swoim postępowaniem. Marielle próbowała z nim porozmawiać, ale on, udając obrażonego, stwierdził, że nie jest jej winien żadnych wyjaśnień. W ten sposób zapewne chciał zamaskować swoją zdradę, ale było już na to za późno.

Marielle zwróciła mu chłodno uwagę, że jeśli będzie się zachowywał ostentacyjnie przebywając w mieszkaniu tej dziewczyny, stanie się łatwym łupem dla dziennikarzy.

Po paru dniach stwierdziła, że posłuchał jej rady i nie poszedł do mieszkania Brigitte. Ale i tak Marielle rzadko go widziała.

Napięcie między nimi było nie do zniesienia. Równie przykra była atmosfera całego procesu, wystąpienia ekspertów, detektywów, zeznania ludzi nie mających nic wspólnego ze sprawą, a świadczących przeciwko Charlesowi, których z kolei atakował Tom Armour.

Minęły trzy pełne tygodnie, zanim obrona miała szansę powołać swoich świadków. Jako pierwsza zeznawała Marielle.

Początkowo Tom zadawał jej ostrożnie podobne pytania, jakie stawiał prokurator, w takiej jednak formie, by stworzyć jej nowy wizerunek. I w istocie nowa twarz Marielle różniła się znacznie od obrazu namalowanego przez Malcolma i Palmera. To już nie była chora umysłowo kobieta, której nie można powierzyć własnego dziecka. Tom przedstawił dokładnie tragiczne wydarzenia, które spowodowały jej załamanie nerwowe po śmierci pierwszego synka, utracie nie narodzonej córeczki, a potem męża. Tom Armour przyznał otwarcie, że Charl Delauney zachowywał się wtedy jak szalony i okropnie potraktował Marielle. Dodał, że oboje cierpieli jak potępieńcy. Kiedy poprosił Marielle, aby opowiedziała o poszukiwaniu André pod lodem na jeziorze w Genewie, wszyscy w sali mieli łzy w oczach. Marielle wyjaśniła, w jaki sposób udało jej się szybko uratować dwie dziewczynki, natomiast nie potrafiła wyciągnąć własnego syna, który wpadł głęboko pod lód. Kiedy wreszcie tego dokonała, był już nieżywy, siny i zimny. Musiała kilka razy przerywać opis tego wypadku, a potem opowiadanie o pobycie w szpitalu tamtej nocy i poronieniu. Oboje stracili rodzinę, a Charles przeżywał to bardziej chyba niż Marielle. Potem Marielle opowiedziała o swoim załamaniu i jak bardzo pragnęła umrzeć, aby być ze swoimi dziećmi.

— Czy teraz też to pani czuje? — zapytał ją cicho Tom, a kilku sędziów przysięgłych wytarło nosy.

Nie — powiedziała smutno.

— Czy wierzy pani, że Teddy wciąż żyje?

Znowu w jej oczach pojawiły się łzy, ale dalej mówiła.

— Nie wiem... mam taką nadzieję... tak wielką... spojrzała na dziennikarzy, a potem na całą salę. ...Jeśli ktokolwiek wie, gdzie on jest... proszę, proszę go sprowadzić do domu... zrobimy wszystko... tylko nie krzywdźcie go...

Jeden z reporterów podbiegł i światło reflektora błysnęło jej w twarz. Sędzia nakazał przedstawicielowi sądu wyrzucenie fotografa z sali.

— Jeśli ktoś jeszcze zrobi coś takiego, wsadzę go za kratki, jasne? — ryknął sędzia Morrison, a potem przeprosił Marielle za ten incydent.

Marielle uspokoiła się trochę i była gotowa odpowiedzieć na kolejne pytanie Toma.

— Czy uważa pani, że Charles Delauney porwał pani syna?

To było niebezpieczne pytanie, ale Armour chciał, żeby świat wiedział, co sądzi o tym Marielle. Nie uważał, żeby była przekonana o winie Charlesa.

— Nie jestem pewna.

— Czy myśli pani, że zrobiliby coś takiego? Zna go pani lepiej niż ktokolwiek znajdujący się w tej sali. Kochał panią, skrzywdził, wyzywał... nawet uderzył... prawdopodobnie wyrządził pani więcej krzywdy niż innym osobom, które zna.

Charles sam to przyznał Tomowi, a jednak z tego, co mu o nim powiedziała Marielle, adwokat wywnioskował, że nie wierzyła w jego winę.

— Pani Patterson, czy znając Charlesa Delauneya wierzy pani, że porwał Teddego?

Wydawało się, że Marielle milczała przez wieczność. W końcu potrząsnęła głową i zakryła twarz rękoma. Tom Arinour czekał.

— Czy wciąż jest pani zakochana w tym mężczyźnie, pani Patterson?

Marielle spojrzała smutno na Charlesa. Co za potworne rzeczy im się przydarzyły. Przez ile nieszczęść przeszli razem, a jednak, dawno temu, byli ze sobą tacy szczęśliwi.

Nie — odpowiedziała cicho Marielle — chociaż wciąż mam dla niego dużo uczucia.

Prawdopodobnie zawsze tak będzie. To był przecież ojciec moich dzieci. W młodości bardzo go kochałam... ale teraz..., jest mi go przede wszystkim żal. Jeśli zrobił tę potworną rzecz, to mam nadzieję, że zwróci mi bezpiecznie mojego syna. Ale już nie jestem w nim zakochana. Dzieli nas zbyt wiele cierpień i bólu, jaki sobie nawzajem zadaliśmy.

Tom Armour skinął głową. Miał dla niej wiele szacunku. Była niesamowitą kobietą.

Wytrzymała wszystkie pytania podczas procesu, podzieliła się swoją odwagą, życiem, duszą; los odebrał jej najpierw dwoje dzieci, teraz jeszcze jedno, a jednak dzielnie się trzymała.

Podziwiał ją bardziej niż kogokolwiek innego. Z nieprzeniknioną jednak twarzą zadawał jej dalsze pytania.

— Czy miała pani romans z panem Delauneyem od czasu poślubienia pana Pattersona?

— Nie — Marielle odpowiedziała spokojnie.

— Czy miała pani romans z kimś innym? Czy kiedykolwiek zdradziła pani męża?

Annour popatrzył jej prosto w oczy. Gdy ich spojrzenia spotkały się, nie zadrgał żaden mięsień na ich twarzach.

— Nie. Nigdy.

To była prawda. Kiedyś pocałowała Johna Taylora, ale nic więcej, nawet teraz, gdy skończyło się jej małżeństwo.

Dziękuję, pani Patterson. Może pani wrócić na miejsce. Nie mam więcej pytań.

Tom pomógł jej zejść. Marielle, wracając na miejsce, była wyczerpana, ale nie miała tego okropnego uczucia jak wtedy, gdy skończył ją przesłuchiwać Bill Palmer.

Następnie Tom wezwał Hayerforda, lokaja Pattersonów, Służący opisał Marielle jako skromną, szlachetną i inteligentną kobietę, prawdziwą damę. Powiedział to z dumą, co wzruszyło Marielle. Stwierdził, że była cudowną matką dla syna. On, Hayerford, zawsze dziwił się, dlaczego była tak źle traktowana przez pozostałych służących pana Pattersona. Jak gdyby żż nich sądził, że nic jej nie zawdzięcza, tylko panu Pattersonowi. Sam Hayerford uważał,— Czy twierdzi pan, że nikt nie szanował pani Patterson w jej własnym domu?

Tom Armour naciskał na mego, by być pewnym, że sędziowie przysięgli zrozumieli to, co mówił lokaj.

— Tak, sir — odpowiedział Hayerford.

Wyglądał bardzo dostojnie w ciemnym garniturze, który uszyto dla niego w Londynie.

— Czy według pana to zachowanie pani Patterson doprowadziło do takiej postawy służby, panie Hayerford? Czy jest ona, jak sugerowano wcześniej w tej sali, nieodpowiedzialną, słabą kobietą, bez żadnych zalet?

Stary lokaj zjeżył się wyraźnie na taką sugestię, sądząc, że Tom go źle zrozumiał.

— Powiedziałem, sir, że jest jedną z najwspanialszych osób, jakie znam. Jest mądra, miła, uczciwa, porządna, dobra. Po tym wszystkim, przez co przeszła, nie rozumiem, jak ktoś może nazwać ją słabą kobietą. To panna Griffin miewała złe humory i momenty hysterii, i to jej, od czasu porwania dziecka, lekarz przepisywał tabletki.

— Czy odważyłby się pan wyjaśnić, dlaczego nikt w domu Pattersonów nie szanował pani? Czy był jakiś logiczny powód?

Bill Palmer chciał zakwestionować pytanie, ale zdecydował, że nie warto. Staruszek był nieszkodliwy.

Hayerford skinął głową i miał wielką ochotę wyjaśnić to sędziom przysięgłym.

— Na samym początku pan Patterson powiadomił nas, że...

próbował przypomnieć sobie dokładne określenie, ale mu się nie udało ..nie była przy zdrowych zmysłach, no, nie nazwał tak tego. Powiedział nam, że jest bardzo słaba i nerwowa. Zasugerował, żebyśmy uprzejmie słuchali jej poleceń, ale nie zważali na nie. Mówił, że ona nie ma pojęcia o prowadzeniu domu, a później, że pan Patterson nigdy nie był po jej stronie. Zachowywał się tak, jakby była tylko gościem, a nie panią domu, i tak właśnie wszyscy ją traktowali. Lokaj powiedział, że panna Grimm odnosiła się do niej okropnie, gospodyni jeszcze gorzej, a Edith kradła jej ubrania, o czym wiedzieli wszyscy, nie wyłączając pana Pattersona. Według służącego, cała służba naśmiewała się z Marielle w kuchni. nie urnie opiekować się dziećmi. To pozwoliło nam się zorientować, jaki pan Malcolm miał do niej stosunek.

Marielle także to sobie uświadomiła, słuchając wypowiedzi Hayerforda. Ale wciąż nie mogła zrozumieć, dlaczego Malcolm zrobił z niej przedmiot pogardy i ośmieszył już na samym początku. Może po prostu chciał zachować nad wszystkim kontrolę. W jego domu nigdy tak naprawdę nie było dla niej miejsca, może tylko, gdy urodziła Teddego, ale nawet wtedy odsuwali ją od wszystkiego.

Czy wiedział pan o romansie pana Pattersona z panną Sanders? zapytał Tom.

— Tak, albo przynajmniej miałem pewne podejrzenia — powiedział Hayerford z dezaprobatą.

Czy kiedykolwiek wspominał pan o swoich podejrzeniach pani Patterson?

— Oczywiście, że nie, sir.

— Dziękuję, panie Hayerford.

Tom przekazał świadka oskarżeniu, ale Bill Palmer nie miał do niego żadnych pytań. Osoba lokaja była mało ważna dla niego. Ale zeznanie służącego wzruszyło Marielle i sędziów przysięgłych.

Marielle poczuła się w pewien sposób pomszczona po tym, co powiedział, ale z zażenowaniem wysłuchiwała tych szczegółów. Pocieszyła się jednak, gdy uświadomiła sobie, że to, co odczuwała w domu Malcolma, to była prawda, a nie złudzenie. Ciągle nie rozumiała, dlaczego Malcolm oczernił ją wobec służących. Musiał być jakiś powód. Może dlatego, że prawie od początku był zakochany w Brigitte. Czy próbował się pozbyć Marielle? Miał nadzieję, że ucieknie albo po prostu podda się i zostawi mu Teddego? Wpierw by umarła. Ale czy trzeba ją było upokarzać, kłamać, oszukiwać? Po pierwsze, dlaczego zadał sobie ten trud,

aby ją poślubić? Czy od początku wszystko było kłamstwem? Przypominając sobie jednak pierwsze, radosne chwile, jakie z nim spędziła, nie mogła w to uwierzyć.

Następnym świadkiem, którego wezwał Tom, była Brigitte Sanders. Gdy szła w kierunku trybuny dla świadków, na sali zapanowało znaczne poruszenie. Nie można było zaprzeczyć, że była piękną i seksowną dziewczyną, czego wcześniej jakoś nie zauważała Marielle. Może po prostu teraz Brigitte nie miała już nic do ukrycia. Ich tajemnica została ujawniona i wydawało się, że jest z tego dumna.

Miała na sobie lśniąca, czarna sukienkę, która, jak zauważyła Marielle, musiała sporo kosztować. Jej włosy były związane jak zwykle w kunsztowny węzeł, usta i paznokcie pomalowała na czerwony kolor. Wszyscy byli zgodni co do tego, że była dziewczyną, której nie można nie zauważyć. W porównaniu z nią Marielle poczuła się jak szara myszka. Nie zdawała sobie jednak sprawy, że wszystkim w sali Brigitte wydawała się zimna, wyrachowana i twarda w porównaniu z Marielle. Tom Armour pomyślał, że łączyła w sobie najgorsze cechy niemieckie. Na jego pytania odpowiadała arogancko. Marielle po raz pierwszy widziała Brigitte zachowującą się w ten sposób. Zastanawiała się, czy taką może przyjęła postawę obronną po tym, jak ujawniono przed całym światem, że była kochanką Malcolma.

Brigitte przyznała, że Malcolm spędzał z nią większość wieczorów i nocy. Powiedziała, że nigdy nie był szczęśliwy ze swoją żoną i ożenił się z nią tylko po to, by urodziła mu dzieci. To, co powiedziała, wstrząsnęło Marielle. Chciała wiedzieć, czy to była prawda. Więc o to chodziło?

— Nawet z tym miała trudności — stwierdziła Brigitte z drwiną. Gdzieś zżukło ciepło, troska i uprzejmość, jakie zawsze okazywała Marielle i Teddy’emu. Była gotowa powiedzieć wszystko. Malcolm obserwował ją z napięciem.

— Czy wyjaśniąaby pani łaskawie swoją ostatnią uwagę, panno Sanders? — zapytał uprzejmie Tom.

— Minęło sporo czasu, zanim zaszła w ciążę.

Tom Armour powstrzymał się od zasugerowania, że może pan Patterson spędzał zbyt wiele nocy poza domem, i czekał, co powie dalej.

Włakiwie był już tak zmęczony czekaniem, że tuż przed tym, jak zaszła w ciążę, myślał o rozwodzie.

Na sali rozległy się pomruki. Marielle spuściła wzrok, czuła, jak się czerwieni. John Taylor, obok którego siedziała, nie poruszył się ani nic nie powiedział, ale było mu jej żal. Wiedział, jak ważna była dla niej prywatność i dyskrecja. To wszystko musiało być dla niej koszmarnie. Sędzia zastukał młotkiem, by uciszyć zebranych.

— Czy już wtedy była pani związana z panem Pattersonem? — Tom zapytał Brigitte, która nie odpowiadała przez dłuższy moment. — Czy mam powtórzyć pytanie? Przypominam pani, że mówi pani pod przysięgą.

— Tak, byłam związana — powiedziała Brigitte trochę mniej śmiało.

Kiedy dokładnie to się zaczęło?

Marielle wstrzymała oddech. Była ciekawa odpowiedzi.

— Dwa miesiące po ich ślubie. W lutym.

Marielle wiedziała już, kiedy to się stało. Podczas pierwszej podróży w interesach, na którą Malcolm pojechał bez niej. Nie zwlekał zbyt długo. Wtedy właśnie stał się dla niej wyjątkowo chłodny. Myślała wówczas, że był rozczarowany, bo nie mogła zająć w ciążę, ale on już był pod urokiem Brigitte.

Czy nie była pani zła, że ożenił się z nią, a nie z panią?

— Nie, ja... — Brigitte wyglądała na trochę zbitą z tropu jego pytaniem. Wiedziała, że chce mieć dziecko i on... Malcolm... pan Patterson... zawsze był dla mnie wspaniałomyślny i hojny. To już wszyscy wcześniej usłyszeli.

Tom nie dopytywał się, dlaczego Patterson chciał mieć dziecko z Marielle, a nie z Brigitte. Zapytał ją natomiast, czy obiecał jej małżeństwo, po rozwodzie z Marielle. Brigitte wymigała się od odpowiedzi twierdząc, że nigdy o tym nie rozmawiali. Tom uważał to za mało prawdopodobne, a ze spojrzenia, jakie posłała Malcolmowi, wywnioskował, że musiała być o tym mowa.

Brigitte wyjaśniła, że wszędzie razem podróżowali, zwłaszcza do Niemiec, gdzie pan Patterson prowadził interesy. Stwierdziła, że nie krępował jej fakt, że była tylko kochanką. Powiedziała to jednak z tak wyzywającą miną, że Tom Armour nie uwierzył w to całkowicie. Dodała potem, że bardzo lubiła Teddy'ego, a Malcolm go wprost uwielbiał. Wiadomość o porwaniu chłopca o mało go nie zabiła. Stwierdziła również, że bardzo rzadko widywała Marielle razem z dzieckiem.

— Zawsze leżała w łóżku z bólem głowy powiedziała to takim samym nieprzyjemnym i lekceważącym tonem, jak służący, gdy wypowiadali się o Marielle.

Z wyjątkiem Hayerforda, nikt z nich nie wyrażał się o niej w miły sposób.

Brigitte zeszła z trybuny dla świadków demonstrując swoje nogi i poruszając biodrami. Gdy przechodziła obok Malcolma, odwrócił głowę i udawał, że jej nie widzi.

Po wystąpieniu Brigitte, przez prawie tydzień postępowanie toczyło się normalnie. Wezwano więcej ekspertów sądowych i detektywów. Na miejscu porwania dziecka nie odkryto żadnych odcisków palców, żadnych dowodów, które mogłyby wiązać Charlesa z tą sprawą. Nic, oprócz piżamy i zabawki znalezionych w domu oskarżonego. Tom Armour utrzymywał, że łatwo mogły zostać podrzucone. Nikt w domu Delauneya nie widział chłopca, a alibi Charlesa tej nocy, gdy go porwano, było niepodważalne.

Wreszcie, pod koniec czwartego tygodnia procesu, wezwano Charlesa do złożenia zeznań.

Gdy szedł na miejsce dla świadków, na sali panowała kompletna cisza.

Charles Delauney wyglądał mizernie i poważnie. Składając uroczyste przysięgę i przyrzekając mówić tylko prawdę, zerkał nerwowo na sędziów przysięgłych. Tom Armour omówił już z nim wszystko i starał się go ostrzec przed ewentualną wpadką.

Gdy Charles usiadł, obrońca zapytał go, gdzie spędził ostatnie osiemnaście lat, mieszkając w Europie. Charles wyjaśnił, że wiele lat mieszkał we Francji, a ostatnie siedem spędził w Hiszpanii walcząc przeciwko Franco.

— Czy brał pan również udział w pierwszej wojnie światowej, panie Delauney? — zapytał Charlesa, a ten odpowiedział twierdząco.

Był ciągle jeszcze bardzo przystojny. Z bladeścią na twarzy wydawał się nagle Marielle o wiele starszy niż wtedy, gdy go spotkała w Katedrze św. Patryka. Cztery miesiące, które upłynęły od jego aresztowania, były dla niego piekielnie trudne. Jakby miał mało problemów, przed chwilą Tom powiedział mu, że stan jego ojca szybko się pogarsza.

— Ile miał pan lat, gdy się zgłosił do wojska?

— Piętnaście.

Tom kiwnął głową z aprobatą.

— Czy był pan ranny służąc swojej ojczyźnie?

— Tak, pod Saint-Mihiel. Potem wróciłem tutaj na trzy lata, by skończyć szkołę. Ale w 1921 roku pojechałem z powrotem do

Europy. Byłem w Oxfordzie, we Włoszech, a potem przeniosłem się do Paryża.

— Czy to tam poznał pan swoją żonę, obecnie panią Patterson?

— Tak.

Charles spojrział na Marielle i uśmiechnął się. Marielle wydała mu się czymś zaniepokojona. Sama nie wiedziała, czego właściwie chce. Pragnęła sprawiedliwości dla Charlesa. Chciała odzyskać Teddy'ego, a nie wiedziała, czy cokolwiek z tego się spełni.

— Spotkałem ją w 1926 roku. Miała osiemnaście lat i pod koniec lata pobraliśmy się.

— Czy kochał ją pan, panie Delauney? — Tom spojrział na niego tak, jakby zadawał mu niezwykle ważne pytanie. — Czy kochał pan swoją żonę?

Tak... bardzo ją kochałem..., była taka młoda..., cudowna... jak dobra, piękna wróżka.

Wszystko było dla niej nowe i podniecające...

Na chwilę Charles pogrążył się we wspomnieniach. Potem spojrział przepraszająco na Toma i powiedział cicho:

Byliśmy bardzo szczęśliwi.

I mieliście dziecko?

Charles skinął głową.

— Chłopczyka... André..., kiedy się urodził, byliśmy małżeństwem prawie od roku. Był wyjątkowym dzieckiem.

Marielle pomyślała, że wszystkie dzieci są takie... Teddy także... one wszystkie były wyjątkowe.

Czy według pana, mieli państwo bardzo bliski kontakt z dzieckiem?

— Tak.

— Niezwykle bliski?

Możliwe. Nie rozstawaliśmy się nigdy. Trochę podróżowaliśmy, często pisałem w domu.

Marielle była cudowną matką. Sama się zajmowała dzieckiem.

Bez pomocy guwernantki? — przerwał mu Tom. Marielle nie potrzebowała niczyjej pomocy.

Marielle uśmiechnęła się na to wspomnienie. Wtedy życie było o wiele przyjemniejsze, bez ludzi w rodzaju panny Griffin.

— Tak więc wszyscy troje byliście sobie bardzo bliscy. Szalenie bliscy? Sądzę, że można tak powiedzieć.

— Jak pan myśli, czy w związku z tym strata syna była dla was tym bardziej bolesna?

— Przypuszczam, że tak. Poza tym oboje byliśmy tak młodzi... po prostu odsunęliśmy się od siebie. Ja obwinałem ją, a ona mnie... a to już nie miało żadnego znaczenia.

— Ona obwinała pana?

— Niezupełnie... chodzi mi o dziecko..., tak naprawdę, to Marielle obwinała samą siebie, aja byłem dla niej taki okrutny... głos Charlesa załamał się. — Nie miałem racji. Potem to zrozumiałem, ale wtedy już nie mieliśmy ze sobą żadnego kontaktu... nie chciała mnie widzieć. I lekarze uważali..., uważali, że moja wizyta w klinice tylko by ją zdenerwowała.

Tom chciał wydobyć z niego wszystko tak, by sędziowie mieli jasny obraz sytuacji.

— Czy uderzył ją pan w nocy, kiedy zmarł pana syn, panie Delauney? — zapytał ostro.

Charles, przygnębiony, kiwnął głową.

Tak. Straciłem głowę tamtej nocy... po prostu miałem go przed oczami... i nie mogłem

uwierzyć, że pozwoliła na to... chciałem coś rozwalić..., umrzeć... spoliczkowałem ją mocno...

Wspomnienie tego zawsze będzie go prześladować.

— Czy w rezultacie pańska żona poroniła?

— Nie Charles potrząsnął głową, spoglądając z bólem na Marielle. — Lekarz powiedział, że kiedy przybyła do szpitala, dziecko już nie żyło. Kontakt z lodowatą wodą zabił płód. Ale nie

powiedzieli jej o tym.

Słuchając tych słów, Marielle dławiała się łzami. Nie wiedziała, że dziecko już nie żyło.

Powiedziano jej jedynie, że tamtej nocy straciła je w tym piekle.

— Czy uważał ją pan wtedy za odpowiedzialną za śmierć obojga dzieci?

Tom Armour postępował bezlitośnie ze swoim klientem. Bea Ritter skrzywiła się z bólu, ale wiedziała, że jeśli mają go uratować, wszystko musi zostać wyjawione. Tak jak rana, którą

trzeba naciąć i oczyścić, by można było uratować pacjenta.

— Tak — szepnął Charles Delauney. — Tak... i nie miałem racji. To nie była jej wina. Ale

gdy to sobie uświadomiłem, było już za późno.— Czy zabiłby pan ją tamtej nocy?

— Nie! — przeraził się Charles. — Nigdy nie chciałem jej skrzywdzić. Po prostu sam byłem zraniony.

— Gdy pan policzkował żonę, musiano odciągać pana od niej, czy sam pan przestał ją bić?

— Sam przestałem. Potem zostawiłem ją tam, wyszedłem i piłem przez całą noc. A kiedy wróciłem rano, by powiedzieć jej, jak bardzo jest mi przykro, już jej nie było, przeniesiono ją na oddział chirurgiczny. Straciła dziecko. I nigdy potem nie otrząsnęła się z tego. Potem już właściwie nie widziałem się z nią.

Gdy to mówił, po policzkach jego i Marielle spływały łzy.

— Czy uczestniczył pan w pogrzebie syna?

— Tak.

— A pana żona?

Charles potrząsnął głową i przez chwilę nie był w stanie nic powiedzieć.

— Nie. Była zbyt chora. Wciąż przebywała w szpitalu w GeTeraz wszyscy już wiedzieli, że ten szpital to nie klinika dla załamanych nerwowo doktora Verbeuf w Villars.

— Czy potem chciał mieć pan dzieci, sir? — zapytał Tom, a Charles szybko pokręcił głową.

— Nie. Nie miałem i nie mam ochoty na więcej dzieci. To jest jeden z powodów, dla którego nigdy nie ożeniłem się powtórnie. Uważałem, że już miałem syna, którego nam odebrano.

Moje życie spędziłem w pogoni za innymi rzeczami, pisząc o sprawach, które wydawały mi się istotne, walcząc w obronie tego, w co wierzyłem. Bo miałem do stracenia mniej niż inni.

Gdyby mnie zabili, nikt by mnie nie oplakiwał. Prowadziłem swobodne życie. Mając żonę lub dzieci nie mógłbym tak żyć.

— Czy ma pan ludziom za złe, że mają rodziny?

— Nie — powiedział spokojnie Charles. — Nigdy nie miałem. Sam dokonałem wyboru i zgodnie z nim żyłem.

— Czy chciał pan kiedyś wrócić do żony?

— Tak — przyznał Charles. — Zanim opuściła szpital, poprosiłem ją, by do mnie wróciła, ale nie chciała. Powiedziała, że zawsze będzie się czuła odpowiedzialna za to, co się stało. Nie wierzyła, że już jej me obwiniam.

Delauney?

— Tak — odpowiedział Charles bez zakłopotania.

— Czy, pańskim zdaniem, ona też była w panu zakochana?

— Tak sądzę.

— Czy dziś ciągle jest pan w niej zakochany?

— Tak — powiedział cicho Delauney. — I może zawsze będę. Ale rozumiem, że nasze życie rozeszło się w różnych kierunkach. Nie sądzę nawet, że jeszcze do siebie pasujemy.

Uśmiechnął się łagodnie do Marielle. — Ona nie sprawia wrażenia kobiety, która byłaby szczęśliwa mieszkając pod namiotem na stokach górskich, podczas gdy jej mąż walczyłby w okopach.

Wszyscy roześmieli się. Niewiele kobiet chciałoby tak żyć, z wyjątkiem jednej, która poszłaby za nim w każdej chwili na dowolną górę, jaką by wybrał.

— Ile czasu upłynęło od momentu, kiedy widział ją pan po raz ostatni, do dnia, gdy ujrzał pan ją w Katedrze św. Patryka?

— Prawie siedem lat.

— Czy był pan wstrząśnięty tym nieoczekiwanym spotkaniem?

— Tak. To była rocznica śmierci naszego syna i widok Marielle bardzo mnie poruszył.

— Czy była szczęśliwa widząc pana, sir?

— Tak sądzę.

— Czy dała panu do zrozumienia, że chciałyby się znowu z panem zobaczyć?

— Nie — Charles stanowczo potrząsnął głową. — Powiedziała, że nie może mnie widywać ze względu na swojego męża.

Jakże różniło się to od zeznania Malcolma o gniazdku miłości, jakie uwił sobie z Brigitte.

Była bardzo stanowcza, jeśli o to chodziło dodał Charles.

— Czy był pan wtedy na nią zły?

— Nie, było mi przykro. Myślałem jedynie o przeszłości i o naszym dawnym życiu. Chciałem się z nią spotkać.

— Czy powiedziała panu o swoim dziecku?

— Nie. Byłem wstrząśnięty, kiedy zobaczyłem go następnego dnia. Miałem potwornego kaca po pijaństwie poprzedniej nocy i jeszcze całkiem nie wytrzeźwiałem. Byłem zły na Marielle, że nie powiedziała mi o nim w kościele. Wyglądał na miłego chłopca.

I mówiłem wtedy wiele głupstw, na przykład, że nie zasługuje na niego. Sądzę, że w pijackim bełkocie mówiłem raczej o sobie samym, ale niewątpliwie bardzo źle ją potraktowałem.

— Czy groził jej pan?

— Przypuszczam, że tak — powiedział szczerze Charles.

— Czy mówił pan poważnie?

— Nie.

— Czy zadzwonił pan do niej później i ponowił groźby? Może przedtem pan do niej dzwonił?

— Nie.

— Czy kiedykolwiek groził pan komuś wyrządzeniem mu fizycznej krzywdy i potem to zrobił?

— Nigdy.

— Czy tym razem było inaczej? Czy spełnił pan swoje groźby, panie Delauney? — powiedział Tom coraz silniejszym i bardziej donośnym głosem.

— Nie, nie spełniłem. Nigdy nie skrzywdziłbym ani jej, ani dziecka.

— Czy w nocy jedenastego grudnia zeszłego roku zabrał pan Teodora Whitmana Pattersona, syna Pattersonów, z jego domu albo wynajął pan lub umówił się z kimś, by to zrobić?

— Nie zrobiłem tego, sir.

— Czy wie pan, gdzie obecnie przebywa dziecko?

— Nie... przykro mi, ale nie..., chciałbym wiedzieć...

— Czy to jego piżamę i zabawkę znaleziono w pańskim domu w tydzień po porwaniu?

— Tak.

— Czy wie pan, w jaki sposób się tam znalazły?

— Nie.

— A jak pan sądzi, skąd się wzięły w pańskim domu, panie Delauney?

— Nie wiem. Myślę, że musiano je podrzucić.

— Dlaczego uważa pan, że ktoś mógłby to zrobić?

— Po to, bym to ja zapłacił za przestępstwo, które popełnił ktoś inny. To jedyny powód, jaki przychodzi mi do głowy.

— Czy może wie pan, kto to mógł być?

— Nie.

— Czy ma pan jakichś wrogów, którzy przysięgli panu zemstę?

— Czy w tamtym czasie był pan w niej zakochany, panie

— Nie... może tylko generał Franco...

Na sali rozległ się śmiech.

— Czy jest pan komunistą, panie Delauney?

— Nie — uśmiechnął się Charles. — Jestem republikaninem albo raczej byłem. Obecnie jestem wolnym człowiekiem, jeśli chodzi o politykę.

— Czy należy pan do partii komunistycznej?

— Nie.

— Czy żywi pan urazę do pani Delauney... obecnej pani Patterson za to, że opuściła pana? Albo do pana Pattersona, ponieważ jest jej mężem?

Charles spojrział prosto w oczy Malcolmowi i miał ochotę plunąć na niego, ale pohamował się i zwrócił się do sędziów:

Z tego, co usłyszałem na tej sali sądowej, pan Patterson nie zasługuje na nią. Ale nie żywię do niego żadnej urazy, ani tym bardziej do Marielle. Dość już wycierpiała w życiu. Zasługuje na kogoś lepszego od nas dwóch i jej dziecko powinno do niej wrócić.

Słuchając Charlesa, Marielle czuła, jak łzy napływają jej do oczu. Charles zawsze był i jest porządnym człowiekiem. Słyszając jego słowa przestała już wierzyć, że zabrał Teddy'ego. A Tom Armour modlił się w duchu, by sędziowie przysięgli odnieśli takie samo wrażenie jak Marielle.

— Czy jest pan winny przestępstwa, o które jest pan oskarżony, panie Delauney? Proszę się zastanowić i pamiętać, że mówi pan pod przysięgą. Czy w jakikolwiek sposób jest pan związany z porwaniem dziecka, o którym mowa?

Charles spojrział poważnie na obrońcę i powoli potrząsnął głową.

— Przysięgam, że nie mam z tym nic wspólnego.

Tom Armour zwrócił się do oskarżyciela:

— Pański świadek, panie Palmer.

Oskarżenie usiłowało zetrzeć Charlesa w proch, zmusić go do przyznania się, że skłamał, wykazać, jaki ma podły charakter, czego dowodem miało być jego zachowanie wobec Marielle po śmierci ich dziecka. Ale to wszystko zostało już ujawnione, nie było żadnych tajemnic, a Charles twardo się trzymał swojej wersji. Powtarzał, że nie wie nic o porwaniu i nie ma pojęcia, w jaki sposób pizama chłopca pojawiła się w jego suterenie. Nie znaleziono żadnych

dowodów na to, że przebywało tam dziecko, absolutnie nic, co mogłoby świadczyć, że Charles Delauney był zamieszany w porwanie.

Charles składał zeznania przez dwa dni. Pod koniec zagadka wciąż nie była rozwiązana, ale Charles do końca pozostał nieugięty. Nie był winny. Ale czy przekonał o tym sędziów przysięgłych?

Kiedy Charles skończył swoje zeznania, Malcolm opuścił salę sądową nie oglądając się na Marielle.

W drodze do domu Marielle wstąpiła na chwilę do kościoła. Chciała pomodlić się o łagodny wyrok na procesie i o szczęśliwy powrót Tedd— Może gdybym spotkał wcześniej Brigitte, nie ożeniłbym się z tobą. Ale spotkałem najpierw ciebie. A ja tak bardzo pragnąłem mieć dzieci.

Po dwóch bezdzietnych małżeństwach, Marielle miała spełnić jego nadzieje. Dzięki niej jego modlitwy mogły być wysłuchane. Była taka młoda i bezradna. Spodobało mu się, że nie miała nikogo na świecie i że mógł nad nią dominować. Właściwie nie przeszkadzał mu fakt, że przebywała kiedyś w sanatorium. To mogło tylko jeszcze bardziej uzależnić ją od niego.

— Więc chodziło jedynie o dzieci? Żebym urodziła ci syna?

— Możliwe.

Wykorzystał ją. Potraktował jak narzędzie, by dała mu dziecko. Ale oboje przecież wiedzieli, że kiedyś łączyło ich jakieś uczucie, nawet gdyby Malcolm nie przyznawał się do tego. Na początku, przez krótką chwilę, była pewna, że ją kocha. A potem... potem zjawiła się Brigitte. Teraz Marielle wszystko rozumiała.

— I co teraz zrobisz? Ożenisz się z Brigitte i będziesz miał następne dzieci?

Malcolm nie powiedział jej, że Brigitte nie mogła mieć dzieci; łączyła ich prawdziwa i namiętna miłość.

— To nie twoja sprawa, co teraz zrobię, Marielle.

Wyprowadzę się stąd, jak tylko skończy się proces — powiedziała spokojnie.

Ale zamierzała zabrać rzeczy Teddy’ego... musiała je wziąć ze sobą... w razie, gdyby wrócił do domu... po raz pierwszy od tylu lat poczuła w głowie ten sam zamęt, jaki czuła w klinice w Villars... ten sam dziwny ból, gdzieś w głowie, który uniemożliwiał jej myślenie lub podjęcie jakiegokolwiek decyzji..., teraz mogła myśleć jedynie o Teddym.

— Dokąd się wyprowadzisz? — wydawało się, że spojrzenie Malcolma obezwładnia Marielle.

— Nieważne. Zostawię adres ludziom z FBI, żeby mogli mnie zawiadomić... w razie... gdyby go znaleźli.

Malcolm spojrzał na nią z pogardą. Znowu traciła rozum. Nie przyszło mu jednak na myśl, że to on doprowadził ją do takiego stanu.

— Nie znajduję go, Marielle. Nigdy. Nie rozumiesz tego?

— Zamieszkać w hotelu.

Marielle zignorowała jego pytanie i odwróciła głowę. Malcolm obserwował ją. Już uzgodnił ze swoimi adwokatami, ile jej da pieniędzy po rozwodzie. Zamierzał ją spłacić.

Prawdopodobnie skończy w jakimś zakładzie psychiatrycznym. Kiedy on już od niej odejdzie, a wyrok zostanie wykonany na Charlesie, Marielle zrozumie, że nigdy nie zobaczy swojego dziecka, i to ją prawdopodobnie zabije.

— Ja w każdym razie wyjeżdżam. Ty możesz przygotować się do odejścia.

— Dokąd jedziesz? — zapytała słabym głosem, próbując się skoncentrować, ale jej dłonie drżały ze zdenerwowania.

— To nie twoja rzecz.

Słuchając go, Marielle poczuła rosnący lęk. Kto się nią zajmie, gdy on odejdzie?... kto jej pomoże opiekować się Teddym? Nagle jednak zdała sobie sprawę, że nie potrzebowała nikogo. Potrzebowała jedynie czasu, by móc otrząsnąć się po tym, co się zdarzyło.

Uświadomiła sobie, w jakiej jest teraz sytuacji, i walczyła z całych sił, by pokonać demona strachu. Zrobiła nadludzki wysiłek i wstała spokojnie z fotela. Zeszła na dół do swojego pokoju.

Malcolm mógł zrobić, co tylko chciał, ale nie mógł odebrać jej wspomnień o dziecku, które kochała, i siły tej miłości. Nagle zrozumiała, że da sobie z wszystkim radę.

Tej nocy zadzwonił do niej John Taylor. Martwił się o nią. Wiedział, w jak złym jest stanie.

— Dobrze się czujesz? — zapytał.

— Tak. To był trudny dzień.

Marielle była wyczerpana, ale miło jej było usłyszeć głos Johna.

— Przez następne kilka dni będzie jeszcze gorzej. Końcowe przemówienia i oczekiwanie na wyrok będą mordercze. Po prostu nie denerwuj się, Marielle.

On będzie tam przy niej.

Wiem... wszystko w porządku... John, nie ma wiadomości o nim, prawda?... to znaczy, o Teddym?

— Nie — odpowiedział cicho. Nie ma.

Wiedział, że Marielle powoli godzi się z tą myślą. Po miesiącach nie było prawie nadziei na odnalezienie go.

— Powiem ci, jeśli coś się zdarzy.

— Wiedziałaś, że to zrobisz.

żadnych

czterech

ego. Wielkanoc już minęła, inne dzieci szukały wielkanocnych jaj i bawiły się z małymi pisklętami, a w domu Pattersonów pokój Teddy’ego ciągle był pusty. Serce pękało Marielle,

gdy tam wchodziła, a jednak codziennie znajdowała jakiś powód, by tam zajść, poszukać czegoś, odłożyć, ułożyć ubranka dziecka. Nie było panny Griffin, która wciąż przebywała u swojej siostry w New Jersey. Ostatnio gospodyni powiedziała Marielle, że guwernantka wkrótce obejmie posadę opiekunki do dziecka w Palm Beach. Jakie ma szczęście, pomyślała Marielle... jakie to szczęście jest mieć dziecko, którym można się opiekować. Ale dla niej nie uczyły się inne dzieci, ona pragnęła jedynie Teddy'ego. Bolało ją serce, gdy wspominała jego miękkie włosy, jędrne małe policzki, słodkie, całujące ją usta. Teraz nie było jej synka... zniknął..., prawdopodobnie na zawsze. Usiłowała się z tym pogodzić, ale to było bezskuteczne. Cóż wobec tego znaczyła zdrada Malcolma?

Marielle przez długi czas klęczała przy ołtarzu w kościele św. Vincenta Ferrer. W końcu podszedł do niej John Taylor i przyklęknął obok. Stale był przy niej w sądzie, a jednak tak niewiele mógł zrobić. Odnalezienie piżamy i pluszowego misia w domu Charlesa Delauneya stanowiło jedyny ślad.

John pomyślał o końcowych przemówieniach, które oskarżyciel i obrońca mieli wygłosić następnego dnia, i poczuł się całkowicie bezsilny. Po wysłuchaniu zeznań Charlesa Delauneya zaczął się poważnie zastanawiać, czy ma rację uważając go nadal za winnego. John położył rękę na ramieniu Marielle. Ostatnio bardzo schudła i wyglądała blado, ale już rzadziej miewała te swoje nękające bóle głowy.

— Gotowa do powrotu? — zapytał.

Marielle westchnęła, a potem skinęła głową. Czasami pragnęła na zawsze zostać w kościele, na kolanach, błagając Boga o zwrócenie jej Teddego. Od miesięcy o to prosiła.

Jadąc samochodem, nie odzywała się. Dziennikarze ciągle tłoczyli się przed drzwiami jej domu, ale Taylor umiał im się wymykać i wprowadzał Marielle tylnym wejściem.

Dziwna wydawała mu się myśl, że wkrótce proces się zakończy. Policja pozostanie w domu Pattersonów przez jakiś czas, a ludzie z FBI z pewnością będą tam wpadać od czasu do czasu, chociaż od dawna nie było innych wiadomości, telefonów, żaden wariat nie dzwonił o północy. Nie mieli powodu, by tam zostać. Wszystko było skończone. Pozostało jedynie czekać na wyrok sędziów przysięgłych. John zastanawiał się, czy Marielle też się martwiła tym, że proces dobiega końca. Wiedział, że wciąż zależy jej na Charlesie, może nawet bardziej, niż to przyznawała.

Chcesz być sama? — zapytał cicho, gdy dotarli do domu.

Marielle spojrzała na niego z wdzięcznością i skinęła głową. W końcu nikt jej nie pozostał. Małżeństwo z Malcolmem się skończyło, nie było Teddy'ego... i jeśli skazą na śmierć Charlesa, nie pozostanie nikt na tym świecie, kto kiedykolwiek ją kochał. Miała uczucie, że się dusi, kiedy o tym myślała. Taylor widział, jak jest jej ciężko.

Łagodnie dotknął jej ramienia, a potem policzka.

Trzymaj się... czasami nie jest tak źle, jak się wydaje.

Oboje jednak wiedzieli, że w jej przypadku to nie była prawda. John obserwował ją, jak wolno wchodziła po schodach, ze spuszczoną głową. Nagle zaniepokoił się. Co się stanie, jeśli zrobi to samo głupstwo, jak przed laty? Zastanawiał się, czy nie powinien zostać i pójść za nią na górę, ale jeden z policjantów powiedział mu, że Malcolm wrócił do domu. Taylor polecił więc, by miał oko na Marielle, a sam wrócił do biura.

Po rozstaniu z Johnem, Marielle poszła na górę do pokoju Teddego. Usiadła w fotelu na biegunach i zamknęła oczy. Na zewnątrz miierzchało. Przez firanki Marielle widziała kilka gwiazd, które pojawiły się na niebie. Przypomniała sobie o wierszach dla dzieci, o piosenkach, które śpiewała mu ostatniej nocy, gdy leżał w łóżeczku, i lży potoczyły się wolno po jej policzkach. Nagle usłyszała hałas i odwróciła się. W pokoju stał jej mąż.

— Co tu robisz? — zapytał chłodno.

— Przyszłam, by być bliżej Teddy'ego.

To ci nie pomoże — powiedział złośliwie Malcolm. — On nie żyje. Podziękuj swojemu byłemu mężowi.

— Dlaczego jesteś taki okrutny? — Tym razem ośmieliła się go o to zapytać. I skąd możesz być pewien, że nie żyje. Skąd wiesz, czy wkrótce do nas nie wróci?

Malcolm Patterson stał, patrząc na żonę zimno. Od czasu rozpoczęcia procesu z jego twarzy opadła maska. Nie dbał już

o pozory, zamierzał się rozwieść z Marielle.

— Jeśli wróci, Marielle, to nie wróci do „nas” czy do ciebie. Nie nadajesz się na jego matkę. Dokładnie to samo przewidział Tom Armour. Znając casus Vanderbiltów, zdawał sobie sprawę, do czego dąży Malcolm. Zeznanie guwernantki, pokojówki, telegram ze szpitala psychiatrycznego, wszystko to miało przekonać sąd, że Marielle nie będzie zdolna do opieki nad dzieckiem... w razie, gdyby je odnaleźli.

— Kim ty jesteś, by o tym decydować? zapytała smutno Marielle. — I dlaczego tak bardzo mnie nienawidzisz?

Nie nienawidzę cię. Mam dla ciebie jedynie pogardę. Jesteś słaba... i wprowadziłaś tego komunistę do naszego życia, by ukraść naszego syna i zabił go...

— Wiesz, że to nieprawda.

Malcolm zbliżył się do niej, ale Marielle nie wstała z fotela.

— Jesteś głupia, Marielle. I kłamiesz — powiedział, a jego oczy, podobnie jak Marielle, błyszczały. — Jak możesz oczekiwać, że ktoś będzie cię szanował?

— A Brigitte? — cicho zapytała Marielle. — Czy ona jest o tyle lepsza?

Wciąż bolała ją zniewaga, jakiej doznała. Uświadomiła sobie teraz, że przez te wszystkie lata Malcolm poniżał ją. Ale dlaczego? Dlaczego jej nienawidził? Czy to z powodu Brigitte?

— Brigitte nie ma z tym nic wspólnego. Nigdy nie powinniśmy się byli pobierać.

— Więc dlaczego to zrobiliśmy?

— Może gdybym spotkał wcześniej Brigitte, nie ożeniłbym się z tobą. Ale spotkałem najpierw ciebie. A ja tak bardzo pragnąłem mieć dzieci.

Po dwóch bezdzietnych małżeństwach, Marielle miała spełnić jego nadzieje. Dzięki niej jego modlitwy mogły być wysłuchane. Była taka młoda i bezradna. Spodobało mu się, że nie miała nikogo na świecie i że mógł nad nią dominować. Właściwie nie przeszkadzał mu fakt, że przebywała kiedyś w sanatorium. To mogło tylko jeszcze bardziej uzależnić ją od niego.

— Więc chodziło jedynie o dzieci? Żebym urodziła ci syna?

— Możliwe.

Wykorzystał ją. Potraktował jak narzędzie, by dała mu dziecko. Ale oboje przecież wiedzieli, że kiedyś łączyło ich jakieś uczucie, nawet gdyby Malcolm nie przyznawał się do tego. Na początku, przez krótką chwilę, była pewna, że ją kocha. A potem... potem zjawiała się Brigitte. Teraz Marielle wszystko rozumiała.

— I co teraz zrobisz? Ożenisz się z Brigitte i będziesz miał następne dzieci?

Malcolm nie powiedział jej, że Brigitte nie mogła mieć dzieci; łączyła ich prawdziwa i namiętna miłość.

— To nie twoja sprawa, co teraz zrobię, Marielle.

Wyprowadzę się stąd, jak tylko skończy się proces — powiedziała spokojnie.

Ale zamierzała zabrać rzeczy Teddy’ego... musiała je wziąć ze sobą... w razie, gdyby wrócił do domu... po raz pierwszy od tylu lat poczuła w głowie ten sam zamęt, jaki czuła w klinice w Villars... ten sam dziwny ból, gdzieś w głowie, który uniemożliwiał jej myślenie lub podjęcie jakiegokolwiek decyzji..., teraz mogła myśleć jedynie o Teddym.

— Dokąd się wyprowadzisz? — wydawało się, że spojrzenie Malcolma obezwładnia Marielle.

— Nieważne. Zostawię adres ludziom z FBI, żeby mogli mnie zawiadomić... w razie... gdyby go znaleźli.

Malcolm spojrział na nią z pogardą. Znowu traciła rozum. Nie przyszło mu jednak na myśl, że to on doprowadził ją do takiego stanu.

— Nie znajdą go, Marielle. Nigdy. Nie rozumiesz tego?

— Zamieszkać w hotelu.

Marielle zignorowała jego pytanie i odwróciła głowę. Malcolm obserwował ją. Już uzgodnił ze swoimi adwokatami, ile jej da pieniędzy po rozwodzie. Zamierzał ją spłacić.

Prawdopodobnie skończy w jakimś zakładzie psychiatrycznym. Kiedy on już od niej odejdzie, a wyrok zostanie wykonany na Charlesie, Marielle zrozumie, że nigdy nie zobaczy swojego dziecka, i to ją prawdopodobnie zabije.

— Ja w każdym razie wyjeżdżam. Ty możesz przygotować się do odejścia.

— Dokąd jedziesz? — zapytała słabym głosem, próbując się skoncentrować, ale jej dłonie drżały ze zdenerwowania.

— To nie twoja rzecz.

Słuchając go, Marielle poczuła rosnący lęk. Kto się nią zajmie, gdy on odejdzie?... kto jej pomoże opiekować się Teddym? Nagle jednak zdała sobie sprawę, że nie potrzebowała nikogo. Potrzebowała jedynie czasu, by móc otrząsnąć się po tym, co się zdarzyło.

Uświadomiła sobie, w jakiej jest teraz sytuacji, i walczyła z całych sił, by pokonać demona strachu. Zrobiła nadludzki wysiłek i wstała spokojnie z fotela. Zeszła na dół do swojego pokoju.

Malcolm mógł zrobić, co tylko chciał, ale nie mógł odebrać jej wspomnień o dziecku, które kochała, i siły tej miłości. Nagle zrozumiała, że da sobie z wszystkim radę.

Tej nocy zadzwonił do niej John Taylor. Martwił się o nią. Wiedział, w jak złym jest stanie.

— Dobrze się czujesz? — zapytał.

— Tak. To był trudny dzień.

Marielle była wyczerpana, ale miło jej było usłyszeć głos Johna.

— Przez następne kilka dni będzie jeszcze gorzej. Końcowe przemówienia i oczekiwanie na wyrok będą mordercze. Po prostu nie denerwuj się, Marielle.

On będzie tam przy niej.

Wiem... wszystko w porządku... John, nie ma żadnych wiadomości o nim, prawda?... to znaczy, o Teddym?

— Nie — odpowiedział cicho. Nie ma.

Wiedział, że Marielle powoli godzi się z tą myślą. Po czterech miesiącach nie było prawie nadziei na odnalezienie go.

— Powiem ci, jeśli coś się zdarzy.

— Wiedziałam, że to zrobisz.

— Marielle...

John zdawał sobie sprawę, że telefony są na podsłuchu, ale pragnął powiedzieć jej, jak bardzo ją kocha.

— Wiem... dobrze — Marielle powiedziała to tak słabym i smutnym głosem, że Johnowi zrobiło jej się żal.

Tak bardzo pragnął wziąć ją w ramiona. Ale ona siedziała samotnie w swojej sypialni i dwie łzy spływały jej po policzkach. Łzy wyczerpania i smutku.

Bądź silna jeszcze przez kilka dni. Może, kiedy to się skończy, będziemy mogli spędzić razem trochę czasu.

John wiedział, jak bardzo Marielle potrzebowała wyrwać się stąd. Obawiał się, że znowu się załamie. Tej nocy prawie tak się stało, ale Marielle nie poddała się przygnębieniu.

— Do zobaczenia jutro — powiedział czule.

— Dobranoc szepnęła.

Odłożyła słuchawkę. W czasie, gdy Marielle zasypiała tej nocy, Bea Ritter myślała o tym, by zadzwonić do Toma Armoura.

Rozdział XIV

Tego

samego popołudnia Tom Armour po powrocie do domu szlifował swoje końcowe przemówienie, które miał wygłosić następnego dnia. Wreszcie, w nocy, uznał, że ostateczna jego wersja jest zadowalająca.

Przeciągnął się, ziewnął, przeczytał jeszcze raz cały tekst przemowy i w końcu zdecydował się zrobić sobie kanapkę. Jego mieszkanie wyglądało tak, jakby splądrowały je szczury. Kiedy otwierał lodówkę, przypomniał sobie, że jest pusta. Okropnie głodny szukał czegoś do zjedzenia, gdy nagle zadzwonił telefon. Tom rozważał, czy go odebrać. Prawdopodobnie znowu dzwoniли ci przekłęci reporterzy, ale mogło też to być coś ważnego.

— Tak? — odezwał się, podnosząc w roztargnieniu słuchawkę.

Zastanawiał się, czy warto wyskoczyć po coś do jedzenia, czy może powinien iść prosto do łóżka i zdrzemnąć się trochę, by być wypoczętym następnego dnia. Wypoczętym, ale zdecydowanie głodnym. W dzień nie zjadł obiadu.

Słyszał burczenie w brzuchu, gdy przykładął słuchawkę do ucha, zastanawiając się, kto może do niego dzwonić o takiej godzinie. Jedyne interesująca go kobieta niedawno ogłosiła, że zaraz po Bożym Narodzeniu wychodzi za mąż. Stwierdziła, że Tom poślubił swoją pracę, a ona jest zmęczona wysłuchiwaniami jego relacji ze spraw. W wieku trzydziestu sześciu lat miał już ustaloną opinię jednego z najwybitniejszych adwokatów w sprawach kryminalnych.

— Czy jest pan Armour? — odezwał się kobiecy głos, którego Tom nie rozpoznał, ale brzmiał on bardzo przyjemnie.

— A kto, myśli pani, odbiera telefon o tej godzinie? Lokaj?

Nagle przyszło mu na myśl, czy nie był to telefon od jakiejś wariatki, mający związek ze sprawą Charlesa Delauneya. Na początku procesu otrzymywał wiele telefonów od szaleńców i mnóstwo listów z pogroźkami... jak możesz bronić takiego potwora jak... etc.

— Kto mówi? — zapytał zaintrygowany.

Od miesięcy nikt nie dzwonił do niego do domu, a cóż dopiero kobieta o atrakcyjnie brzmiącym głosie.

— Tu Beatrice Ritter. Czy to ty, Tom?

— Nikt inny.

Wiedział, kim była, i lubił ją. Poczul do niej sympatię tamtego dnia, kiedy przyszła błagając, by przyjął sprawę Charlesa. Podobały mu się kawałki, jakie napisała o Marielle, Charlesie i jego procesie. Nietrudno się było domyślić, że należała do jego „drużyny”.

— Muszę z tobą porozmawiać.

Wydawała się poważna i podekscytowana.

— Dalej. Masz mnie.

Z burczeniem w brzuchu, pustą lodówką i wolnym czasem aż do rana.

— Możesz się gdzieś ze mną spotkać? Tom zerknął na zegarek i skrzywił się.

Był atrakcyjnym mężczyzną. Stał w kuchni w swojej białej koszuli, w której był na sali sądowej tego popołudnia, i w spodniach na szelkach. Jedyne, co miał w ustach przez ostatnie czternaście godzin, to litry czarnej kawy.

— Jest prawie jedenasta. Czy to nie może poczekać do jutra rana?
— Nie, nie może — odpowiedziała zdesperowana dziewczyna.
— Czy coś jest nie w porządku?
— Muszę się z tobą zobaczyć.
— Zamordowałaś kogoś?
— Mówię poważnie... proszę... zaufaj mi... to nie może czekać do jutra rana.
— Zakładam, że to jest związane w jakiś sposób z moim klientem? Ta dziewczyna stała się orędowniczką sprawy Charlesa z powodów, których Tom nie rozumiał do końca. Ale jeśli jej zapał miał pomóc jego klientowi, chciał go wykorzystać.
— Tak, i to bardzo. I nie może zaczekać?
— Nie sądzę.
Bea wydawała się bardzo poważna.
— Czy chce ci się przyjść do mojego mieszkania?
Większość dziewcząt nie miałaby ochoty odwiedzać mężczyzny o takiej porze, ale Bea nie należała do nich. Była reporterką. Przyzwyczyła się robić rzeczy, na które nikt przy zdrowych zmysłach by się nie zdobył. Tom podziwiał zapał i energię tej drobnej kobiety. I lubił ją. Pewnego dnia może zostaną przyjaciółmi, ale jeszcze nie teraz. Będę u ciebie... — powiedziała bez wahania. Tylko nie mów mi, że mieszkasz w New Jersey.
— Co powiesz na Pięćdziesiątą Ulicę, między Lexington a Trzecią Aleją?
Tom mieszkał w cichym bloku zbudowanym z piaskowca. Powiedziałabym, że mam szczęście. Mieszkam na Czterdziestej Siódmej Ulicy. Złapię taksówkę i będę za pięć minut.
— Zrobisz mi przysługę?
— Pewnie.
Mogłabyś mi podrzucić kanapkę z mięsem? Nic nie jadłem od rana.
— Z musztardą czy z majonezem?
— Z tym i tym. Wszystko jedno. Zjem nawet opakowanie. Umieram z głodu.
— Załatwione.
Dwadzieścia minut później zadzwonił dzwonek. Bea miała na sobie granatowe spodnie i jasnoniebieski sweter. Na głowę wsadziła niebieski kapelusik, w rękę trzymała brązową torebkę, a w niej: piwo, dwa słoiki pikli i kanapki.
— Jesteś aniołem — powiedział do niej Tom.
Był tak głodny, że nawet nie dbał o to, co miała mu do powiedzenia. Po prostu czuł wdzięczność, że przyniosła mu kolację.
— Chcesz trochę piwa?
— Nie, dzięki — potrząsnęła głową.
Wsunęła się w fotel, który stał w kuchni. Wyglądali jak starzy przyjaciele. Obserwowała cały proces i razem prowadzili wojnę o uniewinnienie Charlesa.
— Jak sądzisz, jak im idzie? — zapytał Tom.
— Nie jestem pewna. Trudno jest wyczuć tych sędziów. Czasami sądzę, że mężczyźni popierają Charlesa, a kobiety nie, a czasami... nie jestem pewna. Przynajmniej dzięki tobie Marielle Patterson odzyskała trochę wiarygodności. Jakim sukinsynem okazał się Patterson. Tom skinął głową. Wciąż był jednak świadomy, że Bea jest reporterką i to wszystko może być podstępem.
— Odwaliłeś kawał roboty dla Charlesa Delauneya.
— Dziękuję. Dzisiaj dobrze wypadł w sądzie, przynajmniej tak mi się wydaje.
— Ja też tak uważam — powiedziała cicho Bea.

Uchwyciła spojrzenie Charlesa, kiedy schodził z trybuny dla świadków i uśmiechnął się wtedy do niej. Był wzruszony jej zainteresowaniem i wiarą w mego. Trochę dziwił go zapal Bei, ale lubił tę dziewczynę. Nie tak bardzo, jak ona jego, ale według dziennikarki to był dopiero początek... chyba że... ale to zależało od Toma Armoura... i od sędziów przysięgłych. — Więc o co chodzi? Co cię sprowadza tutaj o takiej porze z kanapką z mięsem? Zakładam, że nie przyszłaś tu, by mi powiedzieć, jak bardzo podziwiasz moje wystąpienia na sali sądowej.

— Nie — uśmiechnęła się Bea od ucha do ucha. — Ale rzeczywiście jesteś bardzo dobry. Lepszy od wielu, których widziałam.

Spoważniała nagle. Miała mu coś ważnego do powiedzenia. Oboje wiedzieli, że czas płynie na niekorzyść Charlesa Delauneya. Następnego dnia Tom razem z prokuratorem wygłoszą końcowe przemówienia i potem wszystko będzie zależało od sędziów.

— Zrobiłam coś dziwnego — przyznała się Bea, sięgając do słoika z piklami. —

Zadzwoiłam do kogoś, o kim dawno temu napisałam reportaż... cóż, w każdym razie... w zeszłym roku. Prawdopodobnie wiesz, kim jest Tony Caproni.

Szef szajki z Queens? — zdziwił się Tom. — Zadaje się pani z ładnymi facetami, panno Ritter.

— Spodobało mu się to, co o nim napisałam. Powiedział, że jeśli kiedyś będę czegoś od niego potrzebowała, mogę do niego zadzwonić. Itak właśnie zrobiłam.

Zadzwoiłaś do Caproniego? Po co?

Tom znowu był pod wrażeniem jej odwagi. Tony Caproni był jednym z najbardziej niebezpiecznych ludzi w Nowym Jorku, a jednocześnie jednym z najpotężniejszych w świecie przestępczym.

Chciałam się dowiedzieć, czy nie słyszał o czymś, czy nie ma kogoś, kto zna kogoś, kto... może kogoś w tak zwanym półświatku, kto znałby prawdziwych porywaczy dzieciaka albo... sama nie wiem, po prostu doszłam do wniosku, że warto spróbować.

I co? Zakładam, że nie pisał ani słowa. Ludzie z FBI próbowali tej samej metody. Wybadali wszystkich informatorów, wszystkie kontakty ze świata przestępczego. I nie dowiedzieli się niczego.

— Za pierwszym razem, kiedy do niego zadzwoniłam, Tony też nic nie powiedział — Bea przestała jeść pikle i chwyciła Toma za ramię. Ale dziś w nocy do mnie zadzwonił. Podał mi imię jakiegoś faceta, jego numer telefonu i powiedział, że bym do niego zadzwoniła, Toru przestał jeść i przyjrzał się dziewczynie.

Czy on coś wie?

Ktoś... nie wie, kto... zapłacił mu pięćdziesiąt tysięcy dolarów za podrzucenie zabawki i piżamy dziecka. Nie chciał zeznawać, ale jeśli obiecamy mu ułaskawienie, zrobi to. Jest przerażony, Tom. Jest śmiertelnie przerażony, ale żał mu Charlesa. Według niego dzieciak żyje. Powiedział, że chce mówić, zanim coś się wydarzy.

Kurczę... o Boże... daj mi jego numer.

Bea wyciągnęła kartkę papieru z torebki. Tom chwycił za słuchawkę. Nagle spojrzał na dziewczynę.

To nie jest sfigowane, prawda? Jeśli dasz to do gazet, zabiję cię. Przysięgam, że nie. To poważna sprawa.

I z powodów, których sam nie znał, Tom uwierzył jej.

Następnego

ranka, dokładnie o dziesiątej piętnaście, sędzia Abraham Morrison zastukał młotkiem i przywołał zebranych w sali do porządku. Tom Armour wyglądał wyjątkowo atrakcyjnie w wykrochmalonej białej koszuli, ciemnoniebieskim garniturze i nowym krawacie. Tego dnia wstał piętnaście minut przed czasem, by wyczyścić sobie buty. Lubił robić dobre wrażenie pod koniec procesu, kiedy wygląd miał duże znaczenie. Charles wyglądał poważnie w popielatym garniturze i krawacie ojca.

— Panie i panowie, dzisiaj wysłuchamy końcowych przemówień — wyjaśnił sędziom przysięgłym Abraham Morrison.

Ostatni miesiąc spędzili w hotelu „Chelsea” i musieli się już trochę nudzić. Niektórzy z nich zaczęli wyglądać bardzo mizernie.

Po wyjaśnieniu sędziego, Tom Armour wstał i poprosił o pozwolenie zbliżenia się do niego. Podszedł razem z Billem Palmerem.

— O co chodzi, panie Armour? — zapytał go sędzia półgłosem, marszcząc przy tym brwi.

— Mam nowy dowód, wysoki sędzie, i mały problem. Czy mogę wyjaśnić to w pokoju?

Sędzia nie wyglądał na uszczęśliwionego. Byli prawie gotowi do zakończenia procesu, a teraz mówiło się o nowym dowodzie. Co, u diabła, miało to znaczyć?

— Dobrze, dobrze — kiwnął ręką na obu prawników.

Wszyscy trzej udali się do pokoju obok sali sądowej. Byli tam do godziny jedenastej trzydzieści, dyskutując ze sobą zażarcie. Sędzia zgadzał się, by zeznawał nowy świadek obrony, ale nie chciał zagwarantować mu bezkarności. Jeśli słowa tego człowieka były prawdą, to podrzucenie pizamy dziecka do domu Charlesa Delauneya stanowiło przestępstwo federalne. Ten mężczyzna prawdopodobnie znał więcej szczegółów dotyczących porwania, niż się do tego przyznawał.

— Moim zdaniem trzeba go aresztować — powiedział beztrósco Palmet

— Nie mogę złamać obietnicy — odparł Armour.

— A co, jeśli kłamie?

— A co, jeśli nie? Jeśli to on podrzucił pizamę i misia, to Delauney jest niewinny.

— O rany! Kim jest ten facet? — Palmer prawie krzyknął.

— Nie mogę ci powiedzieć, dopóki nie dojdziemy do porozu mienia.

Podczas gdy obaj prawnicy się spierali, sędzia patrzył na nich przygnębiony. Nie był zadowolony z układu, do jakiego w końcu doszli.

— Daję ci czterdzieści osiem godzin na sprawdzenie tego i odkrycie, czy to nie jest czasem jakiś kawał — powiedział sędzia do Toma. — Masz do dyspozycji FBI, piechotę morską, armię. Nie obchodzi mnie, co zrobisz, ale zobaczmy, czy przyniesiesz mi coś konkretnego. Nic nie obiecuję temu człowiekowi. Sprawdź wszystko, dowiedz się, o co chodzi. Ale za czterdzieści osiem godzin lepiej bądź w tej sali z dowodem, bo inaczej zaskarżę cię za niestawiennictwo i wsadzę tego twojego informatora do paki? Zrozumiane?

— Tak, sir. Dziękuję.

Tom Annour rozpromienił się. Miał tylko dwa dni na dokonanie cudu, ale może pomoże mu w tym znajomy Bei.

— Czy zgadza się pan na dwudniową przerwę, panie Palmer? — zapytał sędzia.

— Czy mam jakiś wybór? — Palmer był zirytowany, ale pogodził się z tym faktem. Był tak doskonale przygotowany na wygłoszenie błyskotliwego przemówienia końcowego.

— Raczej nie — powiedział sędzia, uśmiechając się do niego.

Tom roześmiał się.

— W takim razie nie pozostaje mi nic innego, jak się zgodzić. I niech to lepiej będzie coś dobrego. Osobiście uważam, że to wszystko śmierdzi. To, że Delauney jest winny, jest jasne jak słońce. To wszawy komunistyczny łajdak.

— Nie mów w ten sposób o moim kliencie — stanowczo powiedział Tom Armour.

— To nie bierz sobie takich ludzi na klientów.

Sędzia i prawnicy wrócili na salę sądową. Sędzia wyjaśnił wszystkim, że prawdopodobnie istnieje nowy dowód i dlatego odracza rozprawę na dwa dni w celu uzupełnienia śledztwa. Sąd zbierze się ponownie w piątek. Sędzia podziękował wszystkim za przybycie.

Tom w tym czasie szeptał do Charlesa i wyjaśniał mu, co się zdarzyło. Gdy tylko obrońca wstał, kiwnął ręką na Johna Taylora.

— Możemy się spotkać na minutę? Potrzebuję twojej pomocy.

Pewnie.

Mimo że oficjalnie John miał pomagać oskarżeniu, to właściwie pomagał wszystkim, którzy mogli znaleźć Teddy'ego.

— Możemy pójść w jakieś spokojne miejsce na kilka minut? — zapytał Tom.

Zostawił Charlesa, którego miano przewieźć do więzienia, i poszedł za Taylorem do pustego biura.

— O co chodzi?

— Nie jestem pewien. Ale myślę, że to jest coś dobrego.

Tom wyjaśnił Johnowi, skąd ma informacje i co powiedział jego informator.

— Jest nieludzko wystraszony. Wziął forszę od kogoś, kto ją dla niego zostawił. Teraz jest współwinny i co najmniej zostanie oskarżony o utrudnianie działań wymiarowi sprawiedliwości. Figuruje w kartotece za kradzieże. Facet jest na zwolnieniu warunkowym i cholemie boi się wystąpić.

— Przynajmniej nie jest głupi. Kto to jest? Może go znam.

— Prawdopodobnie tak. Ale jeśli mam ci powiedzieć, musisz zagwarantować mi, że go nie aresztujesz.

— Nie mogę ci zagwarantować tego gówna, Armour. Ale gwarantuję ci, że skopię ci tyłek, jeśli nie podzielisz się ze mną tym, co masz. Nie ochramiamy tylko tyłka twojego klienta. Szukamy czteroletniego chłopca, który może żyje, a może nie, i jeśli żyje, to jest w piekielnym niebezpieczeństwie.

— Cholera, wiem to. Ale nie mogę wsypać człowieka. On też uważa, że chłopiec żyje.

Musisz mi obiecać, że nie pójdziesz i nie przydybiesz go.

— Nie zamierzam tego robić. Chcę z nim porozmawiać. Jeśli chcesz, możemy pójść do niego obaj. Kto to jest?

Armour wciąż się bał, żeby John nie narobił facetowi kłopotów.

— Nazywa się Louie Polanski powiedział Tom z wahaniem, modląc się, by Taylor nie zepsuł wszystkiego.

— Lonie? Louie Kochanek? Psiakrew, spotkaliśmy się wiele lat temu. Piętnaście lat temu posłałem go do pudła, kiedy sam byłem jeszcze szczeniakiem..., ratując mu w ten sposób życie. Jego kumple próbowali go wtedy zabić, a my daliśmy mu miłą i przytulną celę i ochronę na co najmniej pięć lat. On mnie uwielbia — powiedział John uśmiechając się od ucha do ucha.

— Mówisz poważnie?

Tom był zaskoczony historią.

— On będzie ze mną gadał. Przysięgam.

I gdy Tom zadzwonił ponownie do Louie'ego, tamten czekał na jego telefon i zgodził się na rozmowę z nim i z Johnem Taylorem.

Spotkali się o pierwszej we włoskiej restauracji w Greenwich Viflage. Taylor wiedział, że prowadził ją złodziejaszek i że jeszcze w latach prohibicji mieścił się w niej tajny bar.

Mężczyzna, którego tam spotkali, był mały, otyły, łysy i pocił się intensywnie. Denerwował się potwornie podczas ich rozmowy, ale wydawał się autentycznie zadowolony ze spotkania z Johnem Taylorem.

— Nigdy nie powinienem tego robić. To było szaleństwo. Ale chodziło o tak cholernie dużo forsy i wydawało się takie proste.

I takie było naprawdę. Aż do teraz.

Taylor spojrzął na Toma.

— Kto, psiakrew, zapłaciłby mu tyle po to tylko, by zrobić Delauneya? Komuś naprawdę na tym zależało.

— Chciałbym, do diabła, wiedzieć, komu — powiedział ponuro Tom.

— Słowo, że dzieciak żyje, ale nie wiem, gdzie jest ani kto go ma — szepnął Louie, oglądając się przez ramię.

— Dlaczego tak myślisz? Możesz się tego dowiedzieć? — zapytał Taylor urzędowym tonem.

— Popytam się. Ale według mnie ktoś to trzyma w tajemnicy. Kupa forsy przeszła z rąk do rąk. Musieli wynająć specjalistów, bo nikt nic nie mówi.

Dzięki Bogu nikt oprócz Louie’ego. Taylor złapał się na tym, że się modli, żeby koledzy Louie’ego mieli rację i żeby Teddy żył.

— Nie przychodzi ci do głowy, gdzie on może być? Nie masz żadnego śladu? Żadnego tropu? Nic, czego moglibyśmy się chwycić?

— Może jest już za granicą — powiedział Louie.

Tom i John też o tym pomyśleli. Ale od miesiący FBI i policja kontrolowały wszystkie porty i lotniska, i nawet przejścia graniczne do Kanady i Meksyku. Dopiero całkiem niedawno je otworzyły. Doszli do wniosku, że Teddy albo nie żyje, albo nikt nie zamierza wywieźć go z kraju. Ale to nagłe zastanowiło Johna. Dopiero tydzień temu zmniejszono kontrolę portów. Warto było jeszcze raz im się przyjrzeć.

John spojrzął na Louie’ego z zainteresowaniem.

— Właśnie coś mi przyszło do głowy, Lonie. Kocham cię.

— Tak? To co masz zamiar dla mnie zrobić? Słuchaj... zwrócę pieniądze... wydałem tylko dziesięć tysięcy. Mogę ci oddać pozostałe czterdzieści. Daj je FBI, Chryste, daj je sędziemu. Tylko, kurczę, nie chcę odsiadywać za zawszoną piżamę dzieciaka.

— Powiem ci coś — Tom spojrzął na niego poważnie. — Jeśli coś znajdziemy, załatwię ci uniewinnienie za pomoc w odnalezieniu dzieciaka. Jeśli go nie znajdziemy, znajdziesz się po uszy w gównie. Ale zrobię, co będę mógł. Zadzwoń do ciebie.

— Dobra... daj mi znać... — Lonie Kochanek spojrzął nerwowo na Toma.

John Taylor poszedł zadzwonić, a Tom odezwał się cicho:

— Dziękuję za rozmowę z nami. To może oznaczać życie dla mojego klienta.

— Tak — nerwowo uśmiechnął się Louie i dla swojego tyłka. Ja... eh... nie lubię oglądać, jak ludzie krzywdzą dzieciaka. Śmierdzenie. Wiesz, o co mi chodzi. Tak jak u Lindbergjiów. Byłem wtedy w pudle, miałem odsiadkę za obrabowanie banku. Niedobrze mi się robi, gdy myślę o takich facetach, co... zabijają dziecko.

— Myślisz, że mogli je zabić?

Tomowi też się zrobiło niedobrze, gdy o tym pomyślał. I to nie tylko z powodu swojego klienta. W czasie trwania procesu wzrósł jego podziw dla Marielle i nie mógł znieść myśli, że musiałyby przeżyć śmierć Teddy’ego. Zwłaszcza po stracie dwójki dzieci i po tym, jak potraktował ją Malcolm...

— Ciężko powiedzieć — odpowiedział poważnie Lonie. — Czasami, kiedy chodzi o duże pieniądze, to też się może zdarzyć. I słowo daję, że tutaj o to się rozchodzi.

— Chciałbym wiedzieć, kto to zrobił.

Tom wiedział teraz na pewno, że Charles Delauney nie był sprawcą porwania. Przedtem też mu wierzył, ale teraz nie miał już żadnych wątpliwości. Ale skoro to zostało zrobione przez

profesjonalistów, Armour zastanawiał się, czy kiedykolwiek odkryją prawdziwych porywaczy. I czy odnajdą biednego Teddy’ego.

Taylor miał ponurą minę, kiedy wrócił, skończywszy rozmawiać przez telefon.

— J co? — zapytał go Tom.

— Nie wiem. Może to wyprawa z motyką na słońce, ale zamierzamy przeczesać port w ciągu następnych kilku dni. Nigdy nie wiadomo, co się tam znajdzie. Podobno mamy do zbadania dziesięć frachtowców i sześć statków pasażerskich. To powinno nam zająć jakiś czas. A ty, Lonie, też rób swoją robotę i dowiedz się czegoś.

W najgorszym razie mogli wydobyć z niego zeznanie o podrzuceniu misia i piżamy. Ale Taylor wiedział, że może się w końcu okazać, że nie będzie go łatwo ochronić.

— Zadzwoń do ciebie — powiedział John.

— Dzięki za obiad — podziękował Lonie.

Spojrzał na obu mężczyzn i nie żałował, że tu przyszedł. Może było warto, jeśli dzięki temu mieli odnaleźć dzieciaka. Chociaż raz człowiek musi zrobić coś dobrego, nawet gdyby miało go to sporo kosztować.

Gdy wyszli z restauracji, John wszedł do budki telefonicznej, by jeszcze raz zadzwonić.

Dzwonił do Marielle do domu i nie chciał, żeby ktoś słyszał jego rozmowę.

— Cześć. To ja — wiedział, że rozpoznała jego głos. Spotkasz się ze mną w tym samym kościele, co wczoraj, powiedzmy... za dwadzieścia minut?

— Pewnie — zgodziła się ze zdziwieniem Marielle.

Przyszła sama. Wymknęła się z domu i poszła ulicą jak zwyczajny przechodzień, zauważył. Na głowie miała zawiązany szalik, niany żakiet i ciemne okulary.

— Czy coś się stało? zapytała zaniepokojona.

John uśmiechnął się do Marielle, by ją uspokoić.

— Nie, ale przez następne kilka dni będę bardzo zajęty. Nie przejmuj się, jeśli nie będziesz mnie widywała.

— Czy to ma związek z nowym dowodem, o którym wspomniano w sądzie dziś rano?

Marielle wydawała się zdziwiona. Od nocy, kiedy porwano Teddy’ego, widywali się dosłownie codziennie. John był teraz jej jedynym wsparciem.

— Tak.

— Czy to jest... czy ma coś wspólnego z Teddym?

...znalezli go... albo jego ciało? Dręczyły ją te pytania, ale nie odważyła się zapytać.

— Nie wiem, czy to ma z czymkolwiek coś wspólnego, ale sprawdzamy to. Nie martw się. Jeśli coś się zdarzy, dam ci znać — zapewnił ją John, ale nie chciał dawać jej nadziei, bo to nie byłoby w porządku. Me najpierw chcę ci zadać pytanie. Dzisiaj rano moi ludzie odkryli coś przypadkowo.

To właśnie sprawiło, że pomyślał o porcie. To i coś, co powiedział Louie Kochanek. Dzięki tym dwóm rzeczom zaświtało mu w głowie. Przedtem sądził, że nastąpiła pomyłka albo Marielle mu o czymś nie powiedziała.

— Czy za dwa tygodnie ty i Malcolm wybieracie się gdzieś?

— Z Malcolmem? Od tygodni ledwo ze mną rozmawia i ostatniej nocy powiedział mi, że chce się rozwieść.

Mówiąc to, Marielle nie wyglądała na zmartwioną. Zważywszy na to, przez co przeszła, znosiła to całkiem dobrze.

— Ale z niego numer! Więc nie wybierasz się z nim w podróż?

John był pewien, że nie, ale musiał to sprawdzić.

— Nie, dlaczego pytasz? Była zaintrygowana.

— Więc nie sądzisz, że zaplanował mały miesiąc miodowy, by spróbować załagodzić sprawy między wami?

— Nie, przynajmniej nie ze mną. Powiedział mi, że jego adwokat do mnie zadzwoni.

bocznymi drzwiami tak że nikt jej nie Ubrana była w weł

— Kiedy to było?

— Ostatniej nocy, gdy wróciłam z kościoła.

Nagle Marielle przypomniała sobie coś, co Malcolm powiedział jej w sypialni Teddy’ego.

— Gdy byliśmy w pokoju małego, mówił, że i tak wyjeżdża. Czy o to ci chodzi?

— Może.

Nie powiedział Marielle, że pani i pan Malcolm Pattersonowie mieli zarezerwowane miejsca na statku „Europa”. Był teraz pewien, że Malcolm zabierał ze sobą Brigitte w charakterze swojej żony. Był to dość często spotykany zwyczaj na statkach, gdzie ludzie byli zwykle bardzo dyskretni. Jaką to miłą podróż zaplanował dla siebie, podczas gdy Marielle miała czekać na telefon od jego prawnika. Co za łajdak.

W każdym razie, tak tylko myślałam. Sądziłem, że zaszła jakaś pomyłka.

— Uważałeś, że chcę wymknąć się z miasta? — uśmiechnęła się Marielle.

Teraz jednak, nawet gdy się śmiała, jej oczy były smutne. Zbyt wiele przeszła w ciągu ostatnich czterech miesięcy. John chciał wziąć ją w ramiona, ale ani miejsce, ani czas nie były odpowiednie. Poza tym był zajęty.

— Jeśli wyjedzie pani z miasta, FBI będzie deptało pani po piętach, pani Patterson.

— Właściwie, to brzmi całkiem pociągająco — powiedziała uśmiechając się, gdy wychodzili z kościoła. — Kiedy znowu cię zobaczę?

— Jak tylko uda mi się wyrwać. Wpadnę do domu albo zadzwonię do ciebie. Ale zobaczymy się w sądzie w piątek rano. — Uśmiechając się łagodnie, położył rękę na jej ramieniu. — Dbaj o siebie.

Gdyby nie to, że nieustannie był zajęty, troska o nią nie pozwalałaby mu o niczym innym myśleć. Odprowadził ją prawie do domu, a potem obserwował, jak pobiegła dalej w kierunku posiadłości Pattersonów. Wziął taksówkę i udał się do biura.

Przez następne dwa dni Marielle nie miała żadnych wiadomości. Malcolm pojechał do Waszyngtonu, by zobaczyć się z ambasadorem Niemiec, i zabrał ze sobą Brigitte. Tom Annour był szalenie zapracowany przygotowując ostateczną wersję swojego przemówienia w sądzie. Ponadto musiał uspokoić Charlesa.

Charles był potwornie zdenerwowany tym, co się działo, gdy Tom opowiedział mu niektóre szczegóły rozmowy z Louie’em. Byłoby z nim jeszcze gorzej, gdyby wiedział o wszystkim. Powiedziano mu tylko, że to Louie podrzucił pizamę i piżamę do jego domu, nie dodając jednak, że Louie może nie zechcieć zeznawać, jeśli FBI nie obieca mu ułaskawienia i ochrony.

Ale to dowodzi, że jestem niewinny — Charles prawie krzyknął na Toma.

— Wiem. Ale jeśli facet nie zechce tego potwierdzić przed sądem?

— Jak się nazywa? — zapytał Charles, jakby to miało jakieś znaczenie.

Tom Armour uśmiechnął się.

— Lonie Kochanek.

— Świetnie. Po prostu typ faceta, którego potrzebuję w mojej sytuacji.

— Posłuchaj, przyjacielu. Jeśli to on podrzucił piżamę i jest gotowy zeznać ten fakt w sądzie, to jest dokładnie tą osobą, której w twojej sytuacji potrzebujesz najbardziej.

— Jak, do diabła, go znalazłeś?

Zaczynała świtać dla niego nadzieja, ale wiedział, że jeszcze niejedno go czeka. Wiele rzeczy musiałyby się zdarzyć, zanim mógłby zostać uniewinniony. Jeśliby Louie Usta, czy jak tam się nazywał, zniknął, to byłby już dla niego koniec; zdawał sobie z tego świetnie sprawę.

— Dostałem cynk w środku nocy od twojej przyjaciółki, a na pewno wielbicielki.

— Od kogo? — zapytał Charles zaintrygowany.

— Od Beatrice Ritter — powiedział z rezerwą Tom.

— Jest całkiem niezła, prawda? Energia ją rozsadza.

Wtem Charles zamyślił się.

— Czasami przypomina mi Marielle, gdy była młoda. Była wtedy taka niesamowita, pełna życia, skora do śmiechu i figlów. Sądzę, że potem życie jej dokopało — popatrzył smutno. — Albo może ja.

Marielle była teraz dużo poważniejsza, a przy tym taka piękna, miła i spokojna. A jednak potrzebowała również śmiechu i dobrej zabawy, i trochę szczęścia. Tom Armour był tego w pełni świadom.

— Czy sądzisz, że kiedykolwiek otrząśnie się z tego wszystkiego? — Charles zapytał Toma, jakby adwokat znał dobrze Marielle.

Z czasem Charles uświadomił sobie, że Tom Armour jest dobrym znawcą ludzkiej psychiki.

— Myślę, że tak. Nie sądzę, że znowu będzie tą beztroską dziewczyną, jaką opisałeś, ale niewielu ludzi pozostaje takimi, gdy dobiegają trzydziestki. Przewycięży to wszystko, ale wspomnienia wciąż będą w niej tkwiły. Da sobie radę, bo jest silna.

Potem westchnął. Marielle zasługiwała na o wiele lepsze życie, niż miała.

— Jak to się dzieje, że prawie przez cały czas jesteś tak zadowolony? — Charles dociął Tomowi.

W ciągu ostatnich czterech miesięcy zaprzyjaźnili się. Charles szanował Toma i Tom go również lubił.

— Sądzę, że to z głupoty — odpowiedział adwokat.

Ale i on przeżył swoją tragedię. Na samym początku znajomości wyznał to Charlesowi, kiedy ten opowiedział mu o André. Dziesięć lat temu Tom stracił żonę i córeczkę w wypadku samochodowym, zaraz po skończeniu studiów. Rzeczą zastanawiającą było, że w tym samym roku Charles utracił André. Tom też się nie ożenił powtórnie. Miał hopla na punkcie swojej pracy. Twierdził, że ożeni się, gdy będzie miał czas..., gdy nie będzie bronił takich wariatów jak Charles Delauney... kiedy znowu odważy się pokochać kogoś... ale dla Toma Armoura ta chwila jeszcze nie nadeszła.

Tom z trudem znosił niecierpliwość Charlesa, który zamęczał go pytaniami, czy są jakieś wieści od Johna Taylora. Nie nadchodziły jednak żadne nowe wiadomości. Tom sam chciałby dowiedzieć się czegoś. Raz nawet odważył się zadzwonić do Johna i miał dużo szczęścia, że go zastał w biurze. Taylor wydawał się wykończony.

— Psiakrew, człowieku, czy ty wiesz, co to znaczy przetrząsnąć szesnaście statków.

Rozkopaliśmy cały ten pieprzony port, a ty mi mówisz: pośpiesz się?

Z FBI współpracowały władze w New Jersey, ale im było dużo łatwiej. W tamtejszym porcie stały tylko tankowce. Za to w porcie na Manhattanie rozpętało się piekło. Załogi wszystkich zagranicznych statków były wściekłe, że się je przeszukuje. Gdy marynarze usłyszeli, o co chodzi, byli nieco bardziej skłonni do współpracy, ale mimo wszystko me do końca.

Wiadomość o porwaniu Teddy'ego zeszła już z pierwszych stron gazet i ludzie zaczęli powoli o tym zapominać, mniej się nią interesowali i przejmowali. A niedogodności związane z poszukiwaniami w porcie były olbrzymie. FBI przeszukało nawet „Europę”, na której miał wypłynąć Malcolm, ale nic nie znaleziono. Niemcy ogromnie się złościли, że ich statki również będą podlegać kontroli.

— Powiedziałem ci. Zadzwonię, jeśli coś znajdziemy powiedział John. Od wczoraj me byłem w biurze i wstąpiłem teraz tylko po to, by wziąć prysznic. Czy ma pan jakieś skargi, panie Armour? zapytał ostro Taylor.

Tom jednak wiedział, że John nie chciał go urazić. Był po prostu zmęczony.

— Żadnych. Mam za to nerwowego klienta.

To powiedz mu, żeby nie zgubił portek ze strachu. Robimy, co tylko możemy. Zrobiłbyś coś dla mnie? zapytał John po dłuższym wahaniu.

— Pewnie. Wal. O co chodzi? Zadzwonić do Louie'ego Kochanka? — zażartował Tom.

Taylor roześmiał się.

— Nie. Do Marielle Patterson. Musi się potwornie denerwować, nie wiedząc, co się dzieje. Nie powiedziałem jej, że Louie dostał pięćdziesiąt tysięcy za podrzucenie pizamy. Nie chcąc jej robić nadziei, napomknąłem jedynie, że natrafiliśmy na pewien ślad.

— Jasne. Co mam jej powiedzieć?

— Nie wiem... zawahał się Taylor.

Tomowi przyszło do głowy, że John być może interesuje się Marielle jako kobietą, ale po chwili uznał, że jest zbyt podejrzliwy, a może trochę nienormalny.

— Po prostu upewnij się, że wszystko z nią w porządku. Nie jest jej łatwo z Pattersonem. Wiesz, rozwodzi się z nią.

Nadęty facet powiedział z pogardą Tom.

Nie był jednak zaskoczony tą wiadomością.

— Tak jak mówiłem — dodał John. — Nie wie, ile ma szczęścia. Ale myślę, że razem z małą panną Niemeczką dostaną to, na co zasługują. Pomimo swoich szalowych włosów, wygiąda na zwykłą kucharkę.

— Czy mogę pana zacytować, agencie specjalny Taylor? — zaśmiał się Tom.

John zachichotał w odpowiedzi:

— W każdej chwili, panie adwokacie.

— Musisz przyznać, że ta mała Niemka wyglądała całkiem do rzeczy, gdy zeznawała w sądzie zażartował Tom.

Gdy skończyli rozmawiać, John wrócił do pracy nad nadzorowaniem swoich pracowników. Już przestrasznęli dwanaście statków i do następnego rana mieli przeszukać jeszcze cztery. Tom, zgodnie z obietnicą, zadzwonił do Marielle.

— Czy dzieje się coś szczególnego, panie Armour? — zapytała Marielle smutnym głosem. — Ciągłe myślę, że znaleźli.., znaleźli... — bała się wymówić te słowa: — Martwię się, że znajdą ciało Teddy'ego. Chyba powinniśmy wiedzieć, czy... me wiem, co jest gorsze, niewiedza czy wiadomość, że już po wszystkim.

Obydwa rozwiązania zabrzmiały dla Toma okropnie. Wciąż parzył moment, kiedy dowiedział się o swojej żonie i dziecku. To było nie do zniesienia. Ale sprawa Teddy'ego ciągnęła się już tak długo, że może wiadomość o jego śmierci przyniosłaby ulgę. A tak nie wiadano nic oprócz tego, że się ulotnił jak kamfora. Odnalezienie ciała dziecka Lindberghów zajęło im dwa miesiące.

— Mam nadzieję, że wkrótce będziemy mieli dla pani dobre wiadomości.

— Czy pan wie, czym oni się teraz zajmują?

Tom nie chciał jej mówić, że przewracali port do góry nogami w poszukiwaniu Teddego.

— Myślę, że po prostu upewniają się co do ostatniego dowodu przed zakończeniem rozprawy. Jutro wszystko się skończy.

— Jak Charles to znosi?

— Właściwie...

Tom odchylił się na krześle i uśmiechnął się. Marielle miała przyjemny głos i lubił z nią rozmawiać. Podobało mu się w niej wszystko, imponowało mu jej zachowanie w czasie trwania procesu. Wcześniej jednak nie pozwalał sobie na rozmyślenia o niej, chyba że miało to jakiś związek z jego klientem.

— Właściwie to, prawdę powiedziawszy, doprowadza mnie do szału.

— To typowe dla niego — zażartowała Marielle, a potem znowu poważnie zapytała: — Czy bardzo się martwi?

Dosyć. Ten nowy dowód może mu pomóc wygrzebać się z tego wszystkiego. W każdym razie mamy taką nadzieję. FBI sprawdza to dla nas. Damy pani znać, jeśli dowiemy się czegoś.

— Dziękuję.

Marielle nie powinna być po ich stronie, ale wydawało się, że nie ma już żadnych stron. Po prostu wszyscy szukali prawdy... i Teddy'ego.

Następne dwa dni ciągnęły się w nieskończoność dla Marielle. Nie było Malcolma, a John był zajęty śledztwem. Nie miała z kim porozmawiać i bez Malcolma dom wydawał się niezwykle cichy. Zaczęła zastanawiać się, co zrobi, gdy się stąd wyprowadzi. Nie miała dokąd pójść, żadnej pracy, żadnej rodziny, do której mogłaby się zwrócić. Martwiła się tym, ale nie była tak przerażona jak mogłaby być przed laty. Nie bała się już Malcolma. Nagle przestała się nim przejmować. On tylko ją skrzywdził.

Drugiego dnia przerwy w rozprawie zadzwoniła do niej Bea Ritter, ale też nie chciała powiedzieć, czego dotyczyło śledztwo.

Udawała, że nie wie, i nie przyznała się, że to ona dała znać Tomowi Armourowi. Po prostu zadzwoniła do Marielle, by zapytać się, czy pojawiły się jakieś nowe ślady w sprawie Teddy'ego.

— Nie, żadne. Widziałaś się znowu z Charlesem?

— Kilka dni temu. Żyje w ogromnym napięciu.

Do północy nic się nie zmieniło. Pozostały jeszcze dwa statki niemieckie do przeszukania. Kapitan jednego z nich nie zgadzał się na to, twierdząc, że nie musi się podporządkować zarządzeniom amerykańskim. Kolejne osiem godzin zajęło zdobycie sądowego nakazu przeszukania statku. Następnego ranka, o dziesiątej, gdy sędzia Morrison przywoływał ludzi zebranych na sali do porządku, John Taylor, razem z przedstawicielami Straży Przybrzeżnej, władz portowych i FBI, wchodził na pokład ostatniego statku. Był pewien, że nic nie znajdą, ale musiał to zrobić dla Marielle. Z doku zadzwonił do Toma Armoura, zanim adwokat wyszedł do sądu.

— I co?

— Nic nie mamy. Przyjechaliśmy na próżno. Nie ma Teddy'ego, żadnych nowych śladów, nikt nie chce rozmawiać, nikt nic nie wie. Przycisnęliśmy wszystkich naszych informatorów. Bez skutku.

A Louie Kochanek nie odpowiada na telefony. Myślę, że się boi. Może nawet nas wykiwał. Taylor miał dla Toma jedynie złe nowiny.

Kurczę. I co ja mam teraz zrobić?

— Zakończ swoją sprawę tak, jak zamierzałeś to zrobić dwa dni temu.

Ale, cholera, Charles tego nie zrobił, człowieku! Słyszałeś faceta. Ktoś zapłacił mu pięćdziesiąt tysięcy, by podrzucił piżamę dzieciaka.

— Tak, wiem. Ale kto to zezna? Ty czy może ja? Psiakrew, to była plotka.

Nie możesz mi tego zrobić! — krzyknął Tom płaczliwym głosem.

Taylor jednak był zbyt zmęczony, by się tym przejmować. Został mu ostatni statek do przeszukania i brakowało mu już sił, by to zrobić.

— Kur... człowieku, nie spałem od dwóch dni i przetrząsnąłem każdy obleśny i zgniły statek w tym porcie — i kilka naprawdę luksusowych, ale teraz wszystkie wyglądały dla niego jednakowo i gówno znalazłem. Myślę, że twój facet prawdopodobnie tego nie zrobił, ale nie mogę dostarczyć ci niczego, byś mógł go z tego wyciągnąć. I nie mamy dzieciaka. Co jeszcze mam ci powiedzieć?

— Poproszę o unieważnienie postępowania — powiedział Tom drżącym głosem.

Był tak samo zdenerwowany jak Taylor. Bez względu na to, jak bardzo naciskali, nikt nie chciał mówić.

— Unieważnienie, oparte na czym? zapytał niewyraźnie Taylor.

W tym czasie jego ludzie zaczęli wchodzić na pokład niemieckiego statku, by się po nim rozejrzeć, ale robili to bez zapału. Wiedzieli, że nie znajdą chłopca. Albo był tak dobrze ukryty, że nikt nie był w stanie go znaleźć, albo nie żył i był gdzieś pogrzebany.

Do diaNa, w jaki sposób zamierzasz zdobyć unieważnienie? — powtórzył Taylor, bo Tom nie odpowiadał.

— Nie wiem..., daj mi trochę czasu..., czy możesz dać mi jakikolwiek powód, żebym mógł poprosić o przerwę?

— Żadnego. I jeśli Louie wkrótce się nie pojawi, sędzia obedrze nas ze skóry.
tym

Tak. Wiem o tym.

— Gdy sprawdzimy statek, wyślę jednego z moich ludzi do sądu z informacją, ale me miej wielkich nadziei.

Tom nie miał już żadnych i obawiał się momentu, kiedy będzie musiał powiedzieć Charlesowi, że Louie Kochanek zniknął.

— Co zrobił? — krzyknął Charles, gdy Tom mu o powiedział.

— Ulotnił się — szepnął Tom, gdy szli na salę sądową. Sukinsyn. Jak te dupki mogły pozwolić, żeby zwiął?

— Scisz głos — Tom upomniał Charlesa, bo sędzia stukał już młotkiem. Miał wiele do stracenia. Za to, co zrobił, mógł pójść do więzienia. Poza tym, teraz jest na zwolnieniu warunkowym. Zrobił świństwo, ale naprawdę nie możesz go winić.

— Do diabła z tym. Oni mnie za to powieszają.

Tom miał kamienny wzrok i czuł ból w dole żołądka.

— Nie pozwolę, by cito zrobili — powiedział.

Starał się pokazać, że jest pewny siebie, ale wcale tak się nie czuł, gdy sędzia, patrząc na nich podejrzliwie, poprosił, by wraz z Billem Palmerem podeszli do niego

— No i cóż, panie Armour? Gdzie jest pański nowy dowód? Czy mamy świadka?

— Nie, sir, nie mamy — odparł ponuro Tom Armour. Przez dwa dni FBI sprawdzało ten ślad i kilka innych, ale jak dotąd nic nie znaleźli.

Tom był brutalnie szczery, a Bill Palmer wyglądał na zadowo
lonego.

— A pański informator? — zapytał zirytowany sędzia.

— Zniknął, wysoki sędzie. Na razie.

— Nie mogę uwierzyć, że zmarnował pan dwa dni rozprawy czas podatników, panie Armour Sędziego szybko ogarnęła wściekłość.

— Musieliśmy to sprawdzić, sir. Miałem nawet zamiar poprosić przedłużenie przerwy. Ale... Proszę o tym nawet nie myśleć.

Sędzia spojrział na obu prawników i machnął ręką, by wrócili na swoje miejsca. Bill Palmer promieniał z zadowolenia i zerkał na Malcolma, który siedział lojalnie obok Marielle, wciąż opanowanej i spokojnej. Oboje nie odzywali się do siebie słowem.

1

O

Nagle sędzia znowu zastukał młotkiem i poprosił Billa o wygłoszenie końcowego przemówienia.

Tom Armour nie mógł uwierzyć, że tak się stało. Klucz do rozwiązania był niemal w ich rękach i stracili go. Charles wygiądał tak, jakby za chwilę miał się rozplakać. Bea Ritter doprowadzona do białej gorączki zastanawiała się, co się właściwie stało, ale nie było nikogo, kto by jej o tym powiedział.

Cała końcowa mowa Billa Pahnera składała się z możliwych do przewidzenia wypowiedzi. Oskarżyciel przypominał sędziom o wszystkim, co okropnego zrobił Charles, jego głupocie, słabym charakterze, o jego pogroźkach, o każdej pijatyce, o używaniu siły i sięganiu do przemocy. O jego ataku na Marielle, niczym nie usprawiedliwionym zniszczeniu baru w Paryżu, kiedy był dziewiętnastoletnim chłopakiem. Według Billa Palmera, wszystkie te czyny były pierwszymi oznakami braku kontroli, pobłażania sobie, skłonności do gwałtów, co w

końcu doprowadziło go do porwania i zabicia małego Teddy'ego. Brutalność, żądza zabijania, która popchnęła go do wzięcia udziału w pierwszej wojnie światowej, gdy miał piętnaście lat... pociąg do komunizmu, który sprawił, że pojechał do Hiszpanii... i jego groźby w Central Park, które spełnił już trzydzieści sześć godzin później. I mała, czerwona piżama znaleziona w suterenie jego domu, znak, że rzeczywiście porwał Teddy'ego. Ten człowiek był porywaczem, wołał z furją oskarżyciel, on z pewnością zabił to bezbronne dziecko. Powiedziawszy to, Palmer utkwiał wzrok w sędziach przysięgłych, a potem rozejrzał się po sali. Nagle zrobiło się zamieszanie i rozległ się głuchy stukot, jakby ktoś upadł. Marielle Patterson zemdląca.

Rozdział XVI

Gdy

Marielle odzyskała przytomność, brzęczało jej potwornie w uszach, przed oczami widziała rozmazane światło, a na czole czuła coś wilgotnego i zimnego. Po chwili otworzywszy oczy uświadomiła sobie, że przeniesiono ją do pokoju sędziego. Stała nad nią jego sekretarka z wilgotną chusteczką. Wezwano lekarza, ale Marielle upierała się, że czuje się dobrze. Próbowwała usiąść, ale była za słaba. Potem zobaczyła obydwu adwokatów i męża. Ktoś przykładał jej coś chłodnego do nadgarstków, inna osoba podała Marielle szklanek wody. To była Bea Ritter. Przecisnęła się siłą przez tłum reporterów, by przedostać się do Marielle. To właśnie ona zawołała o pomoc, gdy uklękła przy Marielle na podłodze, a nie Malcolm. On tylko wyglądał na zirytowanego i zmieszanego. Ani trochę nie współczuł żonie.

— Pani Patterson? cicho zapytał sędzia. — Czy chciałaby pani, żeby ktoś odwiózł ją do domu?

Słuchając sędziego, Marielle czuła, jak pulsowała jej cała głowa.

Oczywiście z chęcią pojechałaby do domu, ale pomyślała, że tchórzostwem byłoby nie zostać do końca. Uważała, że jest to winna Charlesowi, Malcolmowi czy komukolwiek innemu. Nie była pewna, komu, ale stwierdziła, że powinna zostać. Może tylko po to, by udowodnić światu, że nie była osobą o słabym charakterze.

Ale wszyscy patrzyli na nią z takim współczuciem, że wolałaby z pewnością opuścić sądową salę.

— Czuję się dobrze. Jeśli nie ma pan nic przeciwko... to może mogłabym tu zostać przez kilka minut.

Przynajmniej póki się nie uspokoi.

— Czy zakończył pan swoje przemówienie, panie Palmer? — zapytał sędzia, patrząc na drugi koniec pokoju.

Bill Paimer kiwnął głową. Nie spodziewał się tak dramatycznego zakończenia swojej mowy, ale nie zaszkodziło to jego wystąpieniu. Właściwie, spodobało mu się.

— Tak, wysoki sędzie.

— W takim razie może zrobimy przerwę na obiad? obrońca może wystąpić po przerwie. Czy odpowiada to panu, panie Armour?

Była już jedenasta trzydzieści. Tom i tak nie chciałby zaczynać teraz swojego przemówienia, propozycja sędziego była mu bardzo na rękę. Przyjął ją z zadowoleniem, patrząc z troską na Marielle. Była biała jak prześcieradło i wyglądała naprawdę okropnie. Sędzia również to zauważył.

— Sądzę, że pani Patterson powinna pojechać do domu i odpocząć w czasie przerwy — zakomunikował wszystkim zebranym w pokoju.

— Dziękuję, wysoki sędzie — szepnęła Marielle.

Tomowi żal się zrobiło Marielle, a Bea ścisnęła jej dłoń ze współczuciem.

Malcolm dla pozorów towarzyszył żonie, gdy szli do samochodu, ale kiedy przyjechali do domu, zostawił ją samą.

Marielle położyła się w swoim pokoju, w ciemnościach, z zimnym ręcznikiem na czole.

Próbowała napić się trochę herbaty, ale nie było już na to czasu. Poczula miazdzący jej głowę ból. Wiedziała jednak, że bez względu na to, jak źle się czuła lub jak bardzo cierpiała, musi być na sali sądowej o wpół do drugiej. Nie miała najmniejszej ochoty tam wracać. Wydawało się, jak gdyby oczekiwała czegoś i nagle, tego ranka, zrozumiała, że to się nie wydarzy. Cały czas myślała, że to wszystko było jak potworna gra... jeśli wygrają... wreszcie odzyska swoje dziecko, ktoś się przyzna, co z nim zrobiono albo powie, że jest mu przykro. Sądziła, że musiało być jakieś rozsądne rozwiązanie tego wszystkiego, nagroda za cały ten ból, jakieś rozsądne zakończenie, a teraz uświadomiła sobie, że nie było niczego takiego. Niczego. Tylko

słowa, ludzie i aktorzy... i kłamcy... w końcu ktoś uzna Charlesa za niewinnego lub winnego i albo go skaza, albo uwolni, ale nigdy nie zwróci jej Teddy'ego.

Nigdy. Tego nikt się nie spodziewał. Leżąc na łóżku, Marielle poczuła się, jakby otaczała ją mgła.

— Idziesz?

Malcolm wszedł do jej zaciemnionej sypialni piętnaście po pierwszej i spojrzał na nią z pogardą. Czuła się zbyt słaba, by się poruszyć. Nie była w stanie wyobrazić sobie, jak wchodzi na salę sądową.

— Chyba nie mogę — powiedziała cicho.

Nie była w stanie teraz nawet otworzyć oczu ani usiąść.

— Bzdura — powiedział oschle Malcolm. — Musisz. Chcesz, żeby myśleli, że boisz się tam być.

Malcolm powiedział to w taki sposób, jakby uważał to za ciężki grzech. Czy strach był tak okropny? Jej drugi śmiertelny grzech. Strach. Pierwszym była słabość. A co z miłością? Czy ona też była grzechem? Czy zgrzeszyła, bo pokochała Charlesa... i Andr... i ich nie narodzoną córeczkę... albo Teddy'ego? Na którym miejscu słowo „miłość” znajdowało się w słownictwie Malcolm? I czy w ogóle w nim istniało? Czy były tani jedynie takie słowa jak: odpowiedzialność, obowiązek i powinność? Kręciło jej się w głowie. A może miłość była czymś zarezerwowanym wyłącznie dla Brigitte?

— Jeśli nie pójdziesz, Marielle, pomyśl, że byłaś w zмовie z Charlesem i nic możesz znieść momentu, kiedy go będą skazywać. Czy tego chcesz? Czy chcesz, by pisał o tym wszystkie gazety? Bo ja nie. Wstawaj, na Boga, i staw temu czoło.

Malcolm krzyczał na nią w ciemnościach pokoju, a Marielle czuła, jak jej całe ciało drży. Ale nagle odnalazła w sobie siłę, o której istnieniu nie wiedziała. Usiadła spokojnie i zdjęła ręcznik z głowy, wykrzywiając twarz z bólu. Potem spojrzała na męża.

— Przez całe moje życie stawiam czoło różnym rzeczom, Malcolmie, rzeczom, którym ty nie byłbyś w stanie się przeciwstawić. Więc nie mów mi, co mani teraz robić.

Marielle wykrzyczała prawie te słowa w sposób, w jaki od chwili, gdy poznała Malcolm, nie odważyłaby się do niego mówić. Ale on zachowywał się wobec niej tak obrzydliwie od momentu

porwania Teddy'ego, że w końcu pokonała strach. To nie była ani jej wina, ani jego, ani prawdopodobnie nawet Charlesa. Porwał go ktoś chory umysłowo, obcy człowiek. I ktokolwiek to zrobił, nie było Teddy'ego i wszystko było skończone. Dlaczego Malcolm wciąż ją za to obwiniał?

— Wyglądasz okropnie — powiedział, obserwując ją, jak się czesze i upina włosy w kok.

Marielle poszła umyć twarz i pomalować usta, ale ciągle wyglądała mizernie. Włożyła czarne okulary i poszła za Malcolmem do samochodu. Pomyślała, że od dawna już nie widziała Johna Taylora.

Usiadła spokojnie w samochodzie obok Malcolma i towarzyszących im ochroniarzy i policjantów. Po dojechaniu na miejsce musieli jak zwykle przeciskać się na salę sądową przez tłum, odpychając ludzi, którzy chcieli ich dotknąć i zadać im pytania. Starając się unikać dziennikarzy, chowali twarze przed fotografami. Dla Marielle, która miała migrenę, było to szczególnie nieprzyjemne. Ale w końcu udało im się dotrzeć na swoje miejsca. Wtedy Marielle zdjęła okulary.

Po raz pierwszy od rozpoczęcia się procesu sędzia spóźnił się dziesięć minut. Tom siedział zagłębiony w notatkach. Charles miał zamknięte oczy i wyglądał ponuro. Nie miał już prawie żadnej nadziei, minio że wierzył w umiejętności Toma. Był przekonany, że bez zeznania informatora o piżamie i misiu zostanie uznany za winnego.

Sędzia właśnie poprosił Toma, by rozpoczął swoje końcowe przemówienie, i gdy adwokat wstał, nagle John Taylor wszedł do sali. Zatrzymał się na chwilę i spojrzał na sędziego, który go dobrze znał. Zarówno oskarżyciel, jak i obrońca, popatrzyli na Johna z oczekiwaniem. Wszyscy w sali sądowej zastanawiali się, dlaczego, tak zwykle schludnie ubrany agent FBI, był brudny i potargany. John miał na sobie robocze spodnie i gruby sweter. Cały pokryty był olejem i błotem. Dziwnie wyglądał jak na kogoś, kto przyszedł do sądu. Spoglądając przepaszająco na sędziego, podszedł prosto do Marielle i poprosił szeptem, żeby z nim wyszła. Nie mówiąc nic Malcolmowi, cicho poszła za Taylorem. Wszyscy obserwowali ich, szepcząc i odwracając głowy. Wreszcie sędzia zapukał młotkiem, by zwrócić uwagę zebranych.

Czy wolno mi przypomnieć państwu, panie i panowie — huknął — że pan Armour wygłasza swoje końcowe przemówienie.

Tom wrócił myślami do tego, co miał teraz zrobić. Usiłował skoncentrować się i nie zastanawiać się, dlaczego John Taylor zabrał Marielle z sali sądowej. Miał okropne uczucie, że znaleźli ciało Teddy'ego i agent FBI chciał jej pierwszej to powiedzieć. Ale czy w takim wypadku nie poprosiłby też Malcolma? A może lepiej było, by został na sali?

Tom zmusił się do skupienia swojej uwagi na człowieku z jedną nogą... byłej zakonnicy... i na młodym czarnym muzyku... by powiedzieć im, jakim porządnym człowiekiem jest Charles, jak niesprawiedliwie został oskarżony i że oskarżyciel nie udowodnił ponad wszelką wątpliwość, że Charles jest winny. Tom powiedział sędziom przysięgłym, że jeśli wnikną w swoje sumienie, nie będą mogli posłać tego człowieka na krzesło elektryczne za to, co powiedział kiedyś w momencie zamroczenia alkoholowego i czego nie traktował poważnie. Armour sam zdawał sobie sprawę, że mówi monotonnym głosem. Ciągle jednak zaprzętała go myśl, dlaczego Marielle opuściła salę. I on, i wszyscy obecni głęboko się nad tym zastanawiali. Tylko Malcolm był opanowany i śledził z uwagą przebieg postępowania sądowego.

Marielle patrzyła na Johna z przerażeniem, idąc za nim do samochodu.

— Co się dzieje? — zapytała z lękiem. — O co chodzi?

— Chcę, żebyś mi zaufała. Zabiorę cię w pewne miejsce. Dobrze się czujesz?

John spojrzał na nią zaniepokojony, bo Marielle zachwiała się przez chwilę. Nikt mu nie powiedział, że rano zemdlą na sali sądowej.

— Nic mi nie jest. Mani tylko potworną migrenę.

Znowu ból wykrzywił jej twarz, ale bez wahania wsiadła z Johnem do samochodu.

— Przykro mi, że muszę to robić. To nie będzie takie straszne, jak myślisz, i postaram ci się to ułatwić... ale musisz ze mną pojechać.

John włączył silnik i pojechali na zachód w kierunku West Side. Marielle była wystraszona.

— Czy to aresztowanie? — zapytała.

Czy to możliwe? Czy John zwariował? Czy myślał, że mimo wszystko była w zмовie z Charlesem? Może Malcolm mu tak powiedział? Może to jest jego końcowa zemsta na niej? Była naprawdę przerażona.

— Oczywiście, że nie — odpowiedział John.

Pogładził delikatnie jej dłoń, a potem uniósł brwi, próbując lekko się uśmiechnąć.

— A czy powinienem cię aresztować?

— Nie wiem — odrzekła nerwowo Marielle. — Nie wiem, dokąd jedziemy. Czy Malcolm nie powinien jechać razem z nami?

Podobnie jak Tom, Marielle bała się, że poproszą ją o zidentyfikowanie ciała Teddy'ego.

Wiedziała, że nie zniosłaby tego. Może John stwierdził, że lepiej będzie, jeśli Marielle pojedzie tam sama.

Taylor jednak potrząsnął przecząco głową w odpowiedzi na jej pytanie.

— Nie, nie powinien. Wszystko będzie dobrze, Marielle. Zaufaj mi. To nie będzie tak trudne, jak myślisz.

John popatrzył na nią łagodnie i zapragnął ją pocałować. Ale teraz mieli ważniejsze sprawy na głowie.

— Możesz mi powiedzieć, o co tu chodzi?

Marielle była bliska płaczu. Jedyne, co John powiedział jej w sądzie, to: „Pani Patterson, muszę prosić panią o pójście ze mną”. Malcolm był zaskoczony, gdy spełniła prośbę agenta FBI.

— Nie mogę ci powiedzieć, Marielle. Przykro mi. Tym razem to jest oficjalna sprawa.

John znowu pogładził jej dłoń, zostawiając grudki ziemi na jej palcach.

Marielle kiwnęła głową. Starła się dzielnie trzymać, gdy jechali przed siebie, ale ból głowy był tak silny, że ledwo mogła go znieść. John porozmawiał z nią przez krótką chwilę, było jednak jasne, że był pochłonięty innymi myślami. Marielle nie mogła nie zauważyć, że jest cały brudny i zastanawiała się, dlaczego. Był tak roztargniony, że nawet nie zdawał sobie sprawy z milczenia Marielle.

Kilka minut później dojechali do portu. John pojechał prosto do doków, gdzie stało pół tuzina wozów z FBI. Wszyscy przyglądali się badawczo Marielle, gdy John pomagał jej wysiąść z samochodu.

Nie chciałbym cię dotykać. Jestem taki brudny — powiedział, uśmiechając się.

Wydawało się, że jego łagodne spojrzenie pomaga Marielle.

John zaprowadził ją na pokład statku. To był mały niemiecki statek, nieszczerólnie atrakcyjny ani czysty, rozchodził się z niego okropny zapach kapusty, który nie złagodził bynajmniej bólu głowy Marielle. To był fachtowiec, ale zabierał też pasażerów. Jego kapitan czekał na nią w małej jadalni. Miał bardzo poważny wyraz twarzy, gdy Taylor przedstawiał mu Marielle. W tym samym pomieszczeniu stało również pół tuzina ludzi z FBI i Marielle nie była pewna, czy pilnują jej, kapitana, czy może Johna Taylora. Kapitan zbliżył się do niej szybko.

— Pani Patterson, jest mi tak przykro. To jest ogromny smutek dla mojego kraju powiedział poważnie.

Niezgrabnie uklonił się i próbował pocałować ją w rękę. Jednak gdy Marielle usłyszała jego słowa, poczuła, jak cały pokój wiruje. Ze słów kapitana wywnioskowała, że musieli znaleźć ciało Teddy'ego. Nagle odwróciła się z rozpaczą do Johna Taylora, prawie wczepiając się w niego i błagając spojrzeniem o pomoc. John przysunął do niej krzesło i pomógł jej usiąść. Dał znać jednemu ze swoich ludzi, by przyniósł szklanekę wody.

Kiedy wykonano jego polecenie, trzymał szklanekę przy ustach Marielle. Opierała się o niego, a on przemawiał do niej prawie jak matka do chorego dziecka, prosząc ją, by była silna i

pozwoliła sobie pomóc. Ale Marielle potrząsnęła jedynie głową i zamknęła oczy. Chciała umrzeć. Wiedziała, że nie przeżyje tego.

— Wszystko w porządku, Marielle... wszystko będzie dobrze...

Marielle słyszała jego głos. Nagle otworzyła oczy. John odezwał się do niej łagodnie:

— Jeszcze tylko kilka minut. Chcę, żebyś przyjrzała się kilku osobom... to wszystko. Chcę, żebyś tylko na nie spojrzała i powiedziała mi, czy je znasz.

— Czy oni nie żyją? — Marielle odezwała się słabiutkim, prawie dziecięcym głosem.

John łagodnie pogłaskał ją po włosach, a drugą ręką dotknął jej ramienia.

— Nie, żyją. Wszystko będzie w porządku. Musisz tylko spojrzeć na nich i powiedzieć mi, czy ich znasz.

— Dobrze.

Tak się bała, że brakowało jej tchu. Była wdzięczna, że podstawili jej krzesło, bo nie byłaby w stanie stać. Chwilę później dwaj ludzie z FBI wprowadzili do pokoju mężczyznę. Był wysoki, bardzo chudy, miał jasne włosy i surowy zagniewany wzrok. Starał się odwrócić twarz, ale ludzie z FBI zmusili go, by spojrzeć na Marielle. Stał od niej w odległości mniej więcej półtora metra. Marielle cofnęła się siedząc na krześle, ale agenci Johna mocno trzymali mężczyznę, tak aby nie próbował im uciec.

— Czy znasz tego mężczyznę, Marielle? Czy kiedykolwiek gdzieś go widziałaś? Przyjrzyj się mu uważnie.

Marielle potrząsnęła głową i powiedziała, że nigdy go nie widziała. Nie miała pojęcia, dlaczego się tutaj znalazła, ale nie śmiała zapytać o to Johna. Wiedziała, że ma to jakiś potworny związek z jej dzieckiem, ale jeśli oni je zabili, nie chciała o tym wiedzieć.

Agenci odsunęli pierwszego mężczyznę, a pięć minut później wprowadzili następnego. Był ciemnowłosy i śniady, a przez całą jego twarz, aż do brody, biegła obrzydliwa blizna.

Spojrzał na Marielle, jakby chciał ją zabić. Powiedział coś do niej po niemiecku gniewnym, gardłowym głosem. Marielle odchyliła się w stronę Johna, a on szybko ją uspokoił.

— Nikt cię nie skrzywdzi, Marielle. Nie pozwolę im.

Kiwnęła głową jak dziecko. Wciąż rozpaczliwie bała się zapytać, co zrobili ci ludzie.

Potem wprowadzono kobietę. Była ociężałą blondynką około trzydziestki. Mówiła coś ze wściekłością po niemiecku do kapitana statku. W końcu bzyknął na nią, by była cicho.

Kobieta spojrzała błagalnie na Marielle, jak gdyby oczekiwała od niej pomocy.

— Co ona mówi? — zapytała Marielle.

— Mówi, że nikogo nie skrzywdziła — wyjaśnił kapitan.

Potem mówiła jeszcze coś i kapitan znowu powiedział jej, by się uspokoiła.

— Kim Są ci ludzie? — Marielle wreszcie zapytała Johna.

— Tego właśnie chcę się najpierw dowiedzieć od ciebie. Nie znasz żadnego z nich, Marielle? Jesteś pewna?

— Żadnego. Nigdy ich przedtem nie widziałam.

Nigdy nie pracowali dla ciebie, nawet krótko... a może dla Malcolma?

— Nie wiem. Nigdy ich nie widziałam — powtórzyła Marielle.

Była o tym przekonana. John, z obojętnym wyrazem twarzy, kiwnął głową do swoich ludzi i dał im znać, by wyprowadzili Niemców z pokoju. Gdy wyszli, ponownie skinął na współpracowników, a potem nachylił się do Marielle i powiedział do niej z przejęciem:

— Chcę, żebyś była bardzo silna... bardzo silna, Marielle... trzymaj mnie za rękę... pokażemy ci kogoś... i chcę, żebyś mi powiedziała, czy go znasz.

Słuchając go, Marielle przestraszyła się. Nie miała odwagi spojrzeć na ciało jej zmarłego maleństwa. Widziała Andrc, gdy go wyciągnęła nieżywego spod lodu, trzymała go w ramionach, przyciskała do serca i nie mogłaby zrobić tego jeszcze raz... wiedziała, że... nie mogłaby. Zaczęła płakać i odwróciła się, próbując uwolnić się z uścisku Johna.

— Nie mogę... — rozpląkała się i ukryła twarz w kurtkę Johna. — Nie mogę tego zrobić... proszę... nie zmuszaj mnie...

— To może nie być on... musisz nam pomóc... proszę... proszę, Marielle...

John sam był bliski płaczu. Tak bardzo nie chciał jej zranić. Ale dziecko, które znaleźli, wydawało się głuchonieme i chyba ich nie rozumiało. Nie byli pewni, czy było pod wpływem narkotyków, zbyt przestraszone, by rozmawiać z nimi, czy po prostu nie mówiło po angielsku. Kapitan nie przypominał sobie, by je kiedyś widział, chociaż załoga od wielu dni była na statku. Dziecko nie było podobne do chłopca Pattersonów, ale w jego oczach było coś, co przyciągnęło uwagę Johna. Nie zgadzał się kolor włosów, dziecko było chudsze niż Teddy na zdjęciach, jakie widzieli, starsze, ale ciągle... John wiedział, że musi zapytać Marielle. Nie mógł pozwolić, by statek odpłynął, a Marielle nie zobaczyła chłopca. Jakiś szósty zmysł powiedział mu, że z tymi ludźmi było coś nie w porządku.

Marielle trzymała się go kurczowo i odmawiała spojrzenia na dziecko. Wtedy John popatrzył Marielle prosto w oczy.

— Musisz to zrobić, Marielle... dla dobra Teddy'ego...

Trzymał jej dłoń, a potem wolno odwrócił jej głowę. Marielle utkwiała wzrok w dziecku, które wprowadzono do pokoju. I nagle wszystko się dla niej zatrzymało. Podniosła się z krzesła i stała, patrząc na chłopca, jakby nie będąc w stanie uwierzyć w to, co widzi. Miał krótko obcięte włosy w kolorze ciemnobrązowym, ale u nasady głowy trochę jaśniejsze. Gdyby się im uważnie przyjrzeć, można by zauważyć, że zostały ufarbowane.

Gdy Marielle przyglądała mu się, chłopiec podniósł oczy. Nie mógł uwierzyć, że w końcu jego mama przyszła, by go uratować.

Marielle wydała rozdzierający serce krzyk i za moment przyciskała do siebie dziecko, trzymając je mocno. Powoli, jakby wydając zapomniany odgłos, dziecko zaczęło płakać. Z początku szlochało, ale nagle rozpląkało się głośno, trzymając się kurczowo matki. Myślał, że stracił ją już na zawsze. Kapitan też płakał i po policzkach Johna Taylora spływały łzy, gdy obserwował tę scenę.

Marielle przez długi czas nie patrzyła na nikogo. Jedyne, co widziała, to było jej dziecko w ramionach, dziecko, którego nie miała już nadziei odzyskać.

— Moje kochanie... och, moja miłości...

Trzymała go mocno, jakby nie chciała go ponownie wypuścić.

Wreszcie kapitan sprowadził ich z pokładu statku. Ludzie z FBI zabrali trójkę Niemców i założyli im kajdanki na ręce i nogi. Kapitan ponownie bardzo przeproszał za incydent. John poinformował go, że statek zostanie zatrzymany w porcie do czasu zakończenia śledztwa. Pozostawiono dwa tuziny ludzi do pilnowania go. John pomógł Marielle i Teddy'emu wsiąść do samochodu. Musiał wrócić do sądu i powiedzieć sędziemu, co się stało, ale przedtem wezwał dodatkowych ludzi. Wiedział, że będzie potrzebował tam zastępu ochroniarzy. Jadąc do sądu, John poważnie przyglądał się dziecku, które siedziało na kolanach matki. Chłopiec nie uśmiechał się. Trzymał się kurczowo Marielle, jakby bojąc się, że ją utraci. John łagodnie dotknął jego małych paluszków.

— Cześć, młody człowieku... przez tyle czasu szukaliśmy ciebie.

Teddy przyjrzał się Taylorowi. Nie był pewny, czy można ufać temu mężczyźnie.

— Powiedzieli, że nie żyjesz — szepnęła cichutko, podnosząc oczy na matkę. — A potem wsadzili mnie do skrzyni... z dziurami... i karmili mnie krakersami.

— Przyjemny naród, ci Niemcy — powiedział John z wymuszonym uśmiechem. — Zawsze ich kochałem.

Porywaczy czekało jeszcze sporo rozmów z policjantami. Od chwili, gdy ich zatrzymano, twierdzili, że zostali wynajęci przez ojca chłopca, by zawieźć dziecko do Niemiec, dla jego

„bezpieczeństwa”. Nie chcieli jednak ujawnić imienia tego mężczyzny. Mówili tylko, że rodzice chłopca byli Niemcami. Ale jeden z mężczyzn miał przy sobie kartkę z napisanym na niej nazwiskiem Malcolma i numerem, który John rozpoznał jako numer telefonu do mieszkania Brigitte Sanders. Nie powiedział jednak o tym Marielle. Ciekawe, do czego jeszcze się przyznają Niemcy, gdy w końcu zmusi ich do mówienia.

— Nie wiem, co powiedzieć — szepnęła cicho Marielle, trzymając Teddy’ego na kolanach.

— Nie myślałam, że go odnajdziemy... i tak bardzo się bałam..., myślałam, że zabrałeś mnie tam, bym...

Nie mogła nawet wymówić tych słów. Nagle uświadomiła sobie, że ból głowy minął. Myślała teraz jedynie o Teddym, trzymając go mocno w ramionach, w pędzącym samochodzie, obok człowieka, który go znalazł.

Wiem, co myślałaś — powiedział spokojnie John. — Przecież nie zrobiłbym ci tego... gdyby o to chodziło, zabrałbym ze sobą Malcolma. Ale chciałem, żebyś to ty pierwsza zobaczyła dziecko. Ci ludzie powiedzieli, że wynajęli ich rodzice chłopca.

— Malcolm będzie szczęśliwy — uśmiechnęła się Marielle.

Cieszyła się ze względu na niego. Mimo wszystko nie zasługiwał na utratę syna. Ale John Taylor nic na to nie odpowiedział.

Kiedy przyjechali pod budynek sądu, na zewnątrz czekało na nich dwudziestu ludzi z FBI. John polecił im okrążyć Marielle i dziecko szczelnym murem. Chłopiec był przestraszony. Marielle przyciskała go mocno w ramionach i obiecywała mu, że wszystko będzie w porządku. Za chwilę zobaczą tatusia.

Gdy John Taylor wszedł do sali sądowej otoczony przez swoich ludzi, wszyscy zamilkli, jak gdyby wyczuli, że za moment wydarzy się coś ważnego. Sędzia podniósł zdziwione oczy na dziwną grupę, a Tom Armour przerwał w połowie zdania. Ludzie z FBI przeszli na środek sali. Gdy tylko stanęli przed sędzią, mężczyźni powoli rozstąpili się i wszyscy zobaczyli nagle stojącą za nimi Marielle,

która trzymała na rękach małego, brudnego chłopca. Sędzia zerwał się na nogi ze zdumieniem w oczach.

— Czy to jest?...

Spojrzał na Marielle, która uśmiechała się do niego przez łzy, a potem na Taylora. Zmieszany popatrzył na salę. Nagle jakaś kobieta krzyknęła, a widzowie i dziennikarze rzucili się w kierunku Marielle i dziecka. Policjanci, których wezwano, jak tylko Teddy i jego matka weszli do sali, odepchnęli wszystkich do tyłu,

— O mój Boże... to jest ten chłopiec! ktoś krzyknął. — On żyje! To Teddy!

Sędzia usiadł i gwałtownie zaczął uderzać młotkiem. Polecił policjantom opróżnić salę.

Johna przede wszystkim interesowała reakcja Malcolma, który gdy tylko zobaczył chłopca, nie zachował się tak jak Marielle. Wstał, a potem usiadł. Rozejrzał się wokół siebie, jakby szukając kogoś i dopiero wtedy rzucił się w kierunku Teddy’ego. Ale zrobił to po namyśle. Jego twarz była nieprzenikniona, bez śladu emocji ani radości.

To Charles, nie Malcolm, płakał, patrząc na Teddy’ego i uśmiechał się nad głową dziecka do płaczącej Marielle. Przypomnił sobie inny okres swojego życia, inny dzień, i był zadowolony, że tym razem stało się inaczej.

Dzięki Bogu, że żyje — szepnął do Toma Armoura, który skinął głową, starając się ukryć wzruszenie i uśmiechając się przez łzy do swojego klienta.

Charles wiedział, co to znaczy utracić dziecko, i był wdzięczny, że tak się nie stało. W tym momencie nie myślał o sobie. Po prostu był zadowolony ze względu na Marielle, że odnaleziono jej synka.

Malcolm, gdy zbliżył się do Marielle, Johna i Teddy’ego, wyglądał wyjątkowo poważnie.

— Dzięki Bogu, że znaleźliście chłopca — powiedział namaszczonej tonem.

Ale jego oczy były suche, a Taylor widział, że malowała się w nich złość. Malcolm próbował wziąć chłopca od Marielle, ale Teddy nie pozwalał się odciągnąć od matki.

— Mówili, że mamusia nie żyje — powtarzał, ciągle przerażony.

— To musieli być okropni ludzie — stwierdził Malcolm z dziwnym wyrazem twarzy.

W tym samym momencie John Taylor poprosił go, by udał się z nim do pokoju sędziego.

Przez ten czas z sali wyszli wszyscy widzowie i pozostali tylko dwaj prawnicy, oskarżony, Marielle, dziecko, sędziowie i niezliczona liczba ludzi z FBI. Sędzia poszedł z Malcomem i Johnem Taylorem do swojego pokoju.

Marielle nie miała pojęcia, co się stało. Siedziała spokojnie rozmawiając z Charlesem i Tomem. Była taka spokojna i radosna jak nigdy w całym swoim życiu. Dwaj ludzie z FBI wyszli, by kupić Teddy'eniowi loda i gdy go przynieśli, chłopiec jadł go z zadowoleniem, trzymając się mocno matki. A Marielle siedziała przytulając synka i zdawało jej się, że nigdy się z nim nie rozstawała. Nagle wszystkie wspomnienia ostatnich koszmarnych miesięcy rozwiały się bezpowrotnie. Teddy wrócił do domu, bezpieczny i zdrowy. Po czterech miesiącach, dzięki łasce Boga, Johna Taylora i może nawet Louie'ego Kochanka, Teddy był znowu ze swoją matką.

Minęło sporo czasu, zanim Malcolm, sędzia i John pojawili się z powrotem w sali. Malcolm wychodząc miał zaciśnięte usta w wąską linijkę.

Gdy byli w pokoju sędziego, John otrzymał dwa telefony z biura. Jego ludzie wciąż nie znali jeszcze wielu szczegółów, ale jednego byli pewni, że porywacze, a przynajmniej ta trójka ludzi, którzy trzymali chłopca na statku, zostali wynajęci przez Malcolma. Nie było co do tego żadnej wątpliwości. Niemcy mieli nawet przy sobie papiery świadczące o tym i fałszywy paszport dla dziecka, który przypuszczalnie dostarczył Malcolm. Dokument stwierdzał, że dziecko nazywało się Theodore Sanders.

— To niedorzeczne — natychmiast powiedział Malcolm, gdy John odłożył słuchawkę. — Próbuja wciągnąć mnie w coś, z czym nie mam nic wspólnego.

Obrażony do głębi, od razu przypomniał Taylorowi o swoich koneksjach.

— Podali pańskie nazwisko, panie Patterson stwierdził spokojnie John. — I nikogo innego. Będzie miał pan okazję ich rozpoznać i obronić się. Musimy o tym porozmawiać, ale zrobimy to w moim biurze. Wiele pieniędzy przeszło z rąk do rąk, sporo osób popełniło przestępstwa, za które im pan zapłacił. Sądzę, że w najlepszym wypadku zostanie pan oskarżony o spisek i wymu

274

wienie. Nie wspominając o sprawie cywilnej, jaką może wytoczyć panu pan Delauney.

Sędzia był zaskoczony. Trudno było uwierzyć, że ten człowiek porwał swojego własnego syna czy też wynajął przestępców, by to zrobili. Dlaczego tak postąpił? Rozwiązanie tej zagadki należało do FBI. Abraham Morrison musiał odesłać sędziów przysięgłych do domu i zwolnić niewinnego, jak się okazało, człowieka. Dziecko wróciło całe i zdrowe, nie wyglądało więc na to, aby to Delauney był porywaczem. Uniewinnienie go było z pewnością krokiem najbardziej słusznym

— Panie i panowie — przemówił uroczyście sędzia do bardzo zdezorientowanych członków ławy przysięgłych, gdy wrócił na salę. — Okazuje się, że mamy tutaj do czynienia z pomyłką sądową. Albo raczej mielibyśmy, gdybyśmy dalej kontynuowali proces. Wydaje się, że Charles Delauney jest niewinny przestępstwa, o które został oskarżony. Do czasu zakończenia śledztwa zwalniam go, a was odsyłam do domów, do własnych rodzin. Poprosimy pana Delauneya o nieopuszczanie miasta i powiadomimy was, jeśli sprawa zostanie rzeczywiście oddalona. A wierzę, że tak się stanie. Dziękuję za wszystko, co zrobiliście tutaj, za zaufanie i poświęcenie swojego czasu.

Sędzia skinął głową. Członkowie ławy przysięgłych wstali tak szybko, jakby mieli zamiar wybiec z sali. Ale wszyscy uśmiechali się do Marielle i kilku z nich życzyło Charlesowi powodzenia. Jedna z kobiet zatrzymała się, by pocałować Teddy’ego.

Zwalniam pana, panie Delauney, bez kaucji, pod warunkiem, że nie wyjedzie pan z miasta Nowy Jork do czasu sprawy. Czy to jest jasne?

Tak, sir.

Charles wyglądał tak, jakby ktoś zdjął mu z ramion ciężar całego świata.

— I czekam na wiadomość od pana, panie Taylor — powiedział sędzia do Johna.

Agenci FBI wyprowadzili Malcolma w kajdankach. Wychodząc, nie powiedział ani słowa do Marielle, tylko mruknął coś do Teddy’ego. John został, by zawieźć Marielle i jej synka do domu.

Tom uśmiechnął się do Charlesa.

Jesteś wolnym człowiekiem. Podrzucić cię do domu?

— Z przyjemnością — powiedział Charles do swojego prawnika. — Cieszę się, że Teddy wrócił odezwał się cicho do Manel

le. Nie zniósłbym, gdybyś i jego utraciła. Nie zasługujesz na to. Pocałował ją łagodnie w policzek. Oboje patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę.

Zawsze będę cię kochać — powiedział.

Teddy przyglądał się Charlesowi. Marielle kiwnęła głową. Ona też zawsze będzie go kochać, ale nie miała mu już nic do zaoferowania. Wiele lat temu dała z siebie wszystko. Teraz pozostało jej uczucie do Teddy’ego.

Odwiozę was do domu powiedział cicho John do Marielle. Otoczył ją ramieniem i wolno wyszli z sali sądowej.

Charles obserwował ich. Kilka minut później wyszedł razem z Tomem. Na schodach przed budynkiem sądu czekała na nich Bea Ritter. Widziała, jak Marielle wchodziła wcześniej do środka, otoczona ze wszystkich stron przez ludzi z FBI i domyśliła się, że stało się coś niezwykłego. Usiadła na stopniach i, czekając na Charlesa i Toma, płakała.

Diabelnie dużo ci zawdzięczam — odezwał się do niej Charles, prawie nieśmiało. Ty i Tom byliście jedynymi, którzy uwierzyli we mnie. A przez chwilę sprawy wyglądały całkiem kiepsko.

Bea skinęła głową z wdzięcznością, a Charles uścisnął ją ciepło. Potem pojechał z Tomem, który wysadził go przy posiadłości Delauneyów. Stary lokaj, który pracował tam od czterdziestu lat, prawie zemdlął na jego widok. Tej nocy gazety zapełniły się opowieściami o odnalezieniu Teddy’ego przez agentów FBI na niemieckim statku, na którym rzekomo przewożono karabiny maszynowe.

I następnego ranka Charles stał się naprawdę wolny. O godzinie ósmej sędzia Morrison oficjalnie oddalił sprawę przeciwko Charlesowi Delauneyowi.

Poprzedniego dnia Tom Armour zadzwonił do sędziego do domu, prosząc go o podpisanie nakazu oficjalnego zwolnienia jego klienta. I do tego czasu John Taylor zdobył wystarczająco dużo dowodów przeciwko Malcolmowi.

To była skomplikowana opowieść i trudno byłoby w nią uwierzyć tym, którzy popierali Pattersona, ale to on wynajął

r

przestępców, by porwali jego własnego syna, i zapłacił za to fortunę. Ponad milion dolarów przeszło z rąk do rąk, by można było ukryć chłopca do czasu rozluźnienia blokady portów. Później Teddy bez problemów mógł zostać wywieziony z kraju. Malcolm sprowadził do Ameryki grupę Niemców, starannie dobranych i przeciwczonych, którzy mieli wywieźć Teddy’ego do Niemiec, gdzie Malcom pragnął zamieszkać razem z Brigitte.

Planował to wszystko od wielu lat, prawie od momentu narodzin dziecka. Wiedział wtedy, że popełnił błąd żeniąc się z Marielle, a nie z Brigitte. Marielle była dystygowana, pełna godności, elegancka, miła i, w gruncie rzeczy, była doskonałą żoną. Ale tęsknił za Brigitte, to ona go podniecała, to z nią pragnął żyć. Na przeszkodzie temu stał fakt, że nie mogła mieć dzieci.

Dość późno przyszedł im ten pomysł do głowy, ale potem nie mówili o niczym innym jak o rozwodzie Malcolma. Marielle była dla niego zbyt łagodna, lękliwa, zanadto naznaczona przeszłością. Kiedy żenił się z nią, podobało mu się to, że nie miała żadnej rodziny, ale z czasem jej zależność od niego zaczęła mu ciążyć. W przeciwieństwie do niej, Brigitte była sprytna, stanowcza, wymagająca i całkowicie niezależna. Zażądała od Malcolma, by się rozwiódł z Marielle. To go przeraziło, szczególnie gdy zagroziła, że go opuści. Ale on zwlekał z decyzją o rozwodzie, bo nie chciał zostawić Teddy'ego. Myślał o wszczęciu procesu o oddanie mu opieki nad synem, ale to było bardzo skomplikowane a wynik niepewny. W końcu Brigitte zaproponowała, żeby po prostu pojechali do Niemiec i zabrali ze sobą chłopca. Wtedy właśnie Malcolm obmyślił dokładnie cały plan. Jeśli uznano by dziecko za zmarłe, to z czasem wszyscy, łącznie z jego matką, przestaliby go szukać.

Po pewnym czasie poślubiłby swoją sekretarkę i zaadoptował jej rzekome dziecko w Niemczech. Któż by się dowiedział? Kto miał by wątpliwości? Całkowicie naturalne wydawałyby się jego starania, by zapomnieć o stracie Teddego. Po roku czy dwóch latach spędzonych w Niemczech, chłopiec wyglądałby na niemieckie dziecko. To był genialny plan, który dawał całkowitą pewność pozbycia się Marielle na zawsze. Ale Malcolm wykorzystał do jego zrealizowania zbyt dużą liczbę osób: Charlesa, Marielle, dziecko, ludzi, którzy porwali chłopca, tych, którzy go ukrywali. Wielu ludzi naraziłoby na straszne cierpienia, które, gdyby nie wykryto spisku, nie skończyłyby się nigdy. Gdy sędzia słuchał tego wszystkiego, robiło mu się niedobrze. A John Taylor miał ochotę zabić Pattersona.

Plan został dokładnie obmyślony i Malcolm zaczął już lokować swój majątek w Europie. Nikt na to nie zwrócił uwagi, bo Patterson zawsze prowadził tam poważne interesy. Od roku zamierzał przenieść się razem z Brigitte do Niemiec.

Skorzystała na tym również Brigitte, której Malcolm zapłacił ni mniej, ni więcej tylko pół miliona dolarów, umieszczonych w banku w Berlinie. Inni również zostali dobrze opłaceni. Ten plan kosztował go fortunę, ale jego zdaniem, opłacało się wydać tyle pieniędzy. Pragnął jedynie pozbyć się Marielle, mieć chłopca i wychować go na Niemca. Miał już dość Ameryki. Twierdził, że Hitler zapanuje nad światem, Hitler, jedyny człowiek, który wiedział, jak należy rządzić. Adolfowi Hitlerowi poświęcił Malcolm swoją pracę, zainteresowania, miłość, a nawet pieniądze. Według niego, najlepszą rzeczą, jaką mógł ofiarować Teddy'emu, było wychowanie go na Niemca.

To była iście diabelska intryga i John Taylor ledwo mógł w nią uwierzyć. Rzecz zastanawiająca: nikt, oprócz Louie'ego Kochanka, nie zdradził tajemnicy, ale gdy tylko domek z kart zaczął się walić, ludzie, których wynajął Malcolm, zaczęli mówić, by ratować własną skórę. Nie mieli zamiaru nadstawiać dla niego karku. W przeciągu kilku dni John Taylor miał więcej zeznań, niż się spodziewał, ale zaczęły się przed nim piętrzyć trudności. Wciąż nie miał podstaw do oskarżenia Malcolma o porwanie, ponieważ Teddy był jego synem. Ale oskarżono tych, którzy zabrali chłopca, a Malcolma o spisek, zмовę, utrudnianie pracy wymiarowi sprawiedliwości i zadawanie się ze znanymi przestępcami. To było wszystko, co zawierał akt oskarżenia przeciwko niemu.

W tej całej historii niezwykle rzeczą był fakt, że osoba Charlesa Delauneya przyszła Malcolmowi dopiero później do głowy.

Charles pojawił się w odpowiedniej chwili dla niego. Gdy Patrick opowiedział Malcolmowi o spotkaniu Marielle z Charlesem w Katedrze św. Patryka, Patterson postanowił zrobić z

Delauneya doskonałego kozła ofiarnego. Lepszy zbieg okoliczności nie mógł się zdarzyć. Malcolm wydał dodatkowo pięćdziesiąt tysięcy dolarów, by opłacić podrzucenie piżamy i pluszowego misia do domu Delauneya i tym samym przypieczętować jego los i potwierdzić winę. Chłopiec był trzymany w ukryciu w New Jersey i Malcolm mógł łatwo zabrać jego piżamę. Czekał na otwarcie portów, trzymał tam syna przez cztery miesiące. W maju mieli popłynąć razem z Brigitte statkiem „Europa” do chłopca, który w tym czasie powinien już przebywać w Niemczech. Przedtem jednak chciał oskarżyć Marielle o narażenie dziecka na niebezpieczeństwo i doprowadzenie do jego porwania. Zamierzał ogłosić światu, że to on jest pokrzywdzoną stroną, a potem znaleźć pocieszenie w ramionach oddanej panny Sanders. Wszystko zostało doskonale zaplanowane i udało się całkiem gładko, gdyby John Taylor nie zniszczył planu, znajdując Teddy’ego w ostatnim momencie na małym niemieckim statku. Dwa dni później frachtowiec już by wypłynął. Na samą myśl o tym wszystkich przechodziły ciarki. Ale według Malcolma, jego plan był uczciwy, bo Teddy był jego synem, a poza tym chciał jedynie uwolnić się od Marielle i umożliwić chłopcu zostanie Niemcem. Oznaczało to spędzenie reszty życia w Niemczech, ale Malcolm kochał ten kraj. Bardziej niż swoją własną ojczyznę. Na razie jednak nigdzie nie mógł wyjechać. Został zwolniony za kaucja, do czasu rozpoczęcia procesu w lipcu. Razem z Brigitte ukrywał się przed dziennikarzami gdzieś w Nowym Jorku. Brigitte również została oskarżona o spisek. Mówiono nawet o możliwości jej deportacji. Marielle pragnęła jedynie wyrwać się z miasta i spędzić spokojnie czas z Teddym. Nie chciała widzieć ani Malcolma, ani Brigitte. Lękała się kolejnej rozprawy, choć wiedziała, że będzie musiała w niej uczestniczyć jako świadek oskarżenia. Przed procesem zamierzała pojechać na trzy miesiące do Vermont, ale najpierw miała do załatwienia mnóstwo rzeczy, na przykład spotkanie z adwokatem w sprawie rozwodu z Malcolmem. Marielle właśnie wyjaśniała Johnowi kilka szczegółów. Przyszedł porozmawiać z nią przed podjęciem przez nią konkretnej decyzji co do wyjazdu z Teddym na wakacje. John od wielu dni był bardzo zajęty, starał się jednak wpadać do Marielle prawie codziennie. Dom Pattersonów opuścili już jego agenci, policja i większość służby. A Marielle i Teddy ciągle szukali mieszkania dla siebie.

— Sądziłem, że powinniśmy porozmawiać, zanim podejmiesz jakieś poważne kroki.

Od czasu zakończenia procesu jego osoba jako bohatera, który znalazł dziecko Pattersonów, pojawiała się nieustannie w artykułach prasowych. Teraz pochłaniała go sprawa przeciwko Malcolmowi, Brigitte i wszystkim ich współnikom. W sumie zamieszane w tę sprawę były dwadzieścia dwie osoby, wszystkie oskarżone o różne przestępstwa.

— O co chodzi z tym Vermont? — zapytał.

Był zmartwiony i czuł się zraniony. Nie mógł ścierpieć myśli o wyjeździe Marielle nawet na kilka miesięcy. Chciał zatrzymać ją blisko siebie.

— Pomyślałam, że powinniśmy zażyć trochę świeżego powietrza.

Szczególnie przed kolejnym procesem, który miał się ciągnąć przez miesiąc. Tym razem Marielle była gotowa przetrwać go razem z Johnem obok niej.

Spojrzała z uwagą na Taylora. Miała mu tyle do powiedzenia, ale właściwy moment jeszcze nie nadszedł.

Naprawdę się wyprowadzasz? zapytał z nadzieją John.

Właściwie sprawy przybierały lepszy obrót, niż mógł się spodziewać. Marielle odzyskała syna i uwolniła się od Malcolma. Pytanie było, co John miał teraz zrobić.

Spojrzał jej prosto w oczy, pytając, czy naprawdę wyprowadza się z posiadłości Pattersona.

Marielle kiwnęła powoli głową. Nie będzie jej przykro opuszczać ten dom. Jedyne szczęśliwe wspomnienia z okresu, jaki w nim spędziła, były związane z Teddym, a on odchodził wraz z nią.

To jest dom Malcolma.

Patrzyli na siebie długo, a John pragnął zadać jej tysiące pytań.

— My potrzebujemy jedynie małego mieszkania — powiedziała czule.

— I czego jeszcze? A czego oczekujesz ode mnie?

John wiedział, że musi ją o to zapytać. Bał się jednak, że nie otrzyma tego, czego sam pragnął. Pragnął Marielle. Na zawsze.

— Twojej przyjaźni... odpowiedziała.

.twojej miłości..., twojego życia. To chciała mu powiedzieć, wiedziała jednak, że nie ma do tego prawa.

— Czy to wszystko? — spojrzał na nią smutno.

Od tygodni odkładał tę rozmowę, bo bał się, co mu powie Marielle, gdy wyzna, jak bardzo ją kocha. Kiedyś obiecali sobie nawzajem, że zaczekają do końca procesu, zanim pozwolą sobie na mówienie, czego oczekują od siebie. A teraz przyszedł czas i Marielle podjęła decyzję. Nie chciała być odpowiedzialna za rozpad jego małżeństwa.

— Czego chcesz ode mnie, Marielle? — powtórzył. — Co pozwolisz mi sobie ofiarować?

— Trochę czasu. Czasu na wyleczenie się z ran i nacieszenie synem. Zawdzięczani ci bardzo dużo, Johnie... zawdzięczam ci wszystko... — powiedziała, uśmiechając się do niego.

Oboje zdawali sobie sprawę, a przynajmniej Marielle, jak wiele była mu winna.

— Jestem ci winna tyle, że nie mogę wziąć niczego od ciebie, nie mogę niszczyć tego, co masz... muszę pozostawić cię w twoim domu, przy żonie, dzieciach. Co byś tak naprawdę miał, gdybyś ich zostawił? — zapytała, patrząc się na niego dużymi i smutnymi oczami.

John wiedział, że była mądrzejsza od niego.

— Miałbym ciebie i Teddy'ego... — powiedział czule.

— I poczucie winy i żalu... może pewnego dnia byś mnie za to znienawidził.

— Nigdy nie mógłbym cię znienawidzić.

Ale przecież Malcolm jej nienawidził, i Charles przez pewien czas. Marielle wiedziała, jak to było. I za bardzo ceniła Johna Taylora, by chciała go stracić. Kochała go bardziej, niż myślał, bardziej, niż zamierzała mu powiedzieć.

— I nie pozwolisz mi uciec razem z tobą, prawda? — zapytał.

Popatrzył na nią ze smutkiem, dotknął jej dłoni i chciał pocałować. To dlatego, między innymi, Marielle chciała wyjechać, umknąć przed nim i miłością do niego, ale nie powiedziała tego Johnowi. Wiedziała, że za bardzo go kocha, by mogła być blisko niego i nie związać się z nim. Zbyt jej na nim zależało, by rozbijać jego małżeństwo i odbierać go dzieciom.

Gdy John wziął ją w ramiona, szepnęła do niego łagodnym głosem:

— Potrzebujesz ich. I oni potrzebują ciebie.

Tak jak ona, bo oprócz Teddego nie miała nikogo.

— Potrzebuję też ciebie — powiedział szybko John.

Nigdy nie znał kogoś takiego jak Marielle i przez jeden szalony moment pomyślał sobie, że mógłby zmusić ją do wyjazdu z nim. Mógłby to zrobić, ale gdy spojrzał na nią, wiedział już, że nie potrafił.

Miała prawo robić to, co chciała. Musiała mieć spokój, samotność i czas na zagojenie ran. I może miała rację co do Debbie.

— Nie chcę cię stracić, Marielle.

Ani też tego, co ich łączyło, obietnicy tego, co miało dla nich przyjść. Teraz wszystko runęło.

— Nie stracisz mnie. Zawsze tu będę.

John przeżywał męki, gdy patrzyła na niego z czułością.

— A kiedy cię już nie będzie? Kiedy będziesz należeć do kogoś innego? — zapytał smutno.

Lepiej od Marielle wiedział, że taki dzień nadejdzie. Bo zasługiwała na to, bardziej niż on czy ktokolwiek inny.

Wciąż będziemy przyjaciółmi. Powiedziałam ci... nigdy mnie nie stracisz nagle uśmiechnęła się. — Chyba, że ja będę tego chciała.

Pocałowała go łagodnie w usta, a John przycisnął ją do siebie.

Rozmawiali przez długi czas, w końcu John niechętnie wyszedł, zastanawiając się, czy to, co zrobiła, było rzeczywiście rozsądne. Lata miną, zanim się o tym dowiedzą. A jednak zawsze zdawał sobie sprawę, że ich światy za bardzo się różniły. Marielle nigdy tego nie przyznała, ale John wiedział, że powinien się z tym pogodzić.

Przez kilka dni czuł się bez niej samotny. Odrywał się od myśli o Marielle przesłuchując podejrzanych w śledztwie dotyczącym Pattersona.

Marielle także była samotna bez Johna. Wiedziała, że w każdej chwili mogła do niego zadzwonić, ale, dla jego dobra, starała się tego nie robić. Poza tym zajęła się przygotowaniami do wyjazdu z Teddym do Yermont. Wreszcie wynajęli dom, nie oglądając go nawet. Miały się tam znajdować krowy, kurczaki i owczarek.

Teddy coraz bardziej przypominał siebie. Przytył trochę i był zdrowy, szczęśliwy i czysty. Większa część farby zeszła już z jego włosów, pozostała jedynie w kilku miejscach. Jednak chłopiec wciąż budził się niespokojny w nocy, śniły mu się często koszmary. Spał w łóżku Marielle, która sama się nim opiekowała. Z całej służby pozostał tylko Hayerford, który na dobre miał ich opuścić za kilka dni. Cieszył się, gdy mógł jej pomagać przy Teddym. Właśnie częstował chłopca lodami w wielkim pucharze, kiedy przyszedł Charles, by pożegnać się z Marielle i jej synkiem. Rano wracał do Europy.

— Znowu do Hiszpanii? zapytała Marielle, gdy wszedł za nią do kuchni.

— Jeszcze nie teraz.

Myślał o wstąpieniu do wojska w Anglii, ale czuł, że nie był jeszcze gotowy. Przedtem chciał trochę pobyc w Paryżu.

— Zamierzamy pojechać najpierw na południe Francji, tylko na lato mówiąc to, zaczerwienił się, jakby zmieszany, że coś robi dla własnej przyjemności.

Oboje jednak wiedzieli, że zasłużył sobie na odpoczynek. Ale coś zdziwiło Marielle, która nie mogła pohamować się, by mu nie dokuczyć.

Gdy stali w kuchni Pattersonów, Teddy zaoferował mu trochę czekoladowych lodów ze swego ogromnego pucharu. Chłopiec i Charles stali się prawie przyjaciółmi, chociaż Teddy ciągle nie wiedział, skąd ten mężczyzna znalazł jego matkę.

— My? zapytała Marielle. Zabierasz ze sobą przyjaciela?

Domyśliła się jednak, kto miał mu towarzyszyć. Widziała ich idących razem kilka razy i była zadowolona. Charles być może bardziej niż ktokolwiek inny zasługiwał na miłość.

— Zgoda, masz rację zaśmiał się.

Wiedział, że już zgadła. Znal jej mądrość i, rzecz zastanawiająca, wciąż ją kochał.

— Ktoś, kogo znam?

Po tylu latach oddalenia od siebie, niezwykle było znów mieć w nim przyjaciela. Marielle była jednak teraz pewna, że nic już nie zniszczy tej przyjaźni. Nagle wszystko się zmieniło.

— Zabieram ze sobą Beę Ritter do Paryża.

— To dobrze. Przynajmniej to jesteś jej winien — docięła mu Marielle śmiejąc się.

Charles też się roześmiał.

— Była niezwykle dobra dla mnie podczas procesu.

A od czasu jego zakończenia nawet jeszcze lepsza. Charles pozostał jeszcze chwilę. Gdy wychodził, Marielle pocałowała go na pożegnanie. Przecież to nie przez niego teraz cierpiała. Życzyła mu, aby był szczęśliwy. Uwolniła się od niego, ale mimo to wciąż go kochała.

Tym, którego na pewno nie kochała, był Malcolm. Bała się tego, co miało nastąpić po jego procesie. Zdawała sobie sprawę, że dzięki swoim powiązaniom, nawet jeśli dozna jakichś przykrości i upokorzeń, szybko dojdzie do siebie. Pragnęła być tak daleko od niego, jak tylko

mogła. Nie chciała, by zbliżał się do Teddy'ego. Chociaż John Taylor obiecał jej całkowitą ochronę, wiedziała, że nie będzie mogła ciągle uciekać przed Malcolmem. Kiedyś musi stanąć z nim twarzą w twarz. FBI zapewniło ją, że Malcolm nigdy już nie zabierze jej dziecka. Tak długo ją wykorzystywał, był tak okrutny i z zimnym sercem doprowadził do porwania własnego syna, że sąd mógł odmówić mu nawet prawa do odwiedzania Teddy'ego. Czasami Marielle zastanawiała się, czy kiedykolwiek jeszcze pokocha i zaufa komuś, z wyjątkiem Teddy'ego. Tylko on miał teraz dla niej znaczenie. Był jej radością, jej życiem i tylko dla niego żyła.

W przeddzień wyjazdu do Vermont Marielle spakowała resztę swoich rzeczy. Nie mogła się doczekać chwili, kiedy opuści dom Malcolm'a. Uprzedziła go, że nie zastanie w domu nikogo, gdy wróci z Brigitte. Marielle o wiele bardziej wolałaby spędzić te wszystkie dni w hotelu niż w tym strasznym domu. Nie chciała w nim dłużej zostać,

Ciężko jej było wyjaśnić całą sytuację Teddy'emu. Wciąż nie wiedział, że to jego ojciec go porwał. Instynktownie wyczuwał, że coś było nie w porządku i słyszał szept tu i ówdzie, ale był na tyle mały, że nic nie rozumiał. Marielle powiedziała mu, że Malcolm'a nie będzie przez bardzo długi czas i raczej go nie zobaczą przed wyjazdem. Teddy zdziwił się, ale nie był smutny z tego powodu. Wydawało się, że przebywanie z matką sprawiało mu wystarczająco dużo radości.

Późnym wieczorem zadzwieczał dzwonek u drzwi wejściowych. Po chwili przyszedł Hayerford, by oznajmić Marielle przybycie Toma Armour'a. Zdziwiła ją jego wizyta. Charles już wyjechał i od czasu zakończenia procesu nie widziała adwokata. On jednak dowiedział się od John'a Taylora, że Marielle wyjeżdża do Yermont.

Zeszła wolno po schodach, by wyjść mu na spotkanie. Tom był jak zwykle bardzo przystojny, młodzieńczy, ale kiedy tak stał czekając na nią, wydawał się trochę skrępowany. Marielle przywitała go serdecznie i po przyjacielsku, zachowując się tak, jakby spodziewała się jego wizyty.

Usłyszałem dzisiaj w sądzie, że pani wyjeżdża — powiedział zakłopotany.

Marielle uściśnęła mu dłoń. Hayerford zniknął, by zrobić kawę.

Od jakiegoś już czasu Tom pragnął przyjść i zobaczyć się z nią, ale ciągle to przekładał, bo brakowało mu odwagi. Chciał przyjść i sam się z nią pożegnać. Chciał jej coś powiedzieć, kiedy już zakończył się proces. Ale ze względu na późniejsze wydarzenia, nie miał okazji, by to zrobić.

Wyjeżdża pani do Vermont?

Jedynie to powiedział mu Taylor. W spojrzeniu John'a było coś więcej niż zwykle zaciekawienie. Tom chciał usłyszeć, co wydarzyło się między agentem FBI a panią Patterson. Marielle z uśmiechem skinęła głową. Siedzieli w bibliotece. Zastanawiała się, dlaczego przyszedł, ale była szczęśliwa, że go widzi. Tyle dobrego zrobił dla Charles'a, poza tym Marielle zawsze go lubiła. Kiedy zeznawała, zachowywał się wobec niej bardzo poprawnie. Zawsze wyczuwała jego siłę i wewnętrzną dobroć.

— Teddy i ja musimy się stąd wyrwać — wyjaśniła.

Hayerford pojawił się z kawą, a potem równie szybko zniknął.

— Jak on się ma? zapytał Tom o chłopca, rozglądając się wokoło.

To był wspaniały dom. Ciągle zastanawiał się, czy Marielle nie było żal go opuszczać.

Spojrząwszy na twarz adwokata, Marielle uśmiechnęła się. Wiedziała, o czym myślał.

Niczego nie żałowała. Nie mogła się doczekać chwili, gdy wyjedzie z tego domu na zawsze.

— Czuje się dobrze, chociaż czasami śnią mu się koszmary i nie lubi rozmawiać o tym, co się wydarzyło.

— To zrozumiałe.

Oboje zdawali sobie sprawę, że te wspomnienia na zawsze pozostaną w pamięci dziecka. Na szczęście ciągle nie miał pojęcia, że to jego ojciec po mistrzowsku zaplanował jego porwanie.

Marielle miała nadzieję, że przynajmniej przez kilka lat nie będzie musiała mu tego wyjaśniać. Tom uważał, że to było niezwykle lojalne z jej strony wobec Malcolma. Obserwując ją jednak podczas procesu, nie zdziwił się, że taką podjęła decyzję. Marielle wydawała się teraz spokojna, opanowana i bardzo przyciszona. Miała poważne spojrzenie, ale na swój sposób wyglądała na szczęśliwą.

— A pani? — zapytał łagodnie Tom, patrząc na nią. — Dobrze się pani czuje? Żadnych bólów głowy?

Marielle uśmiechnęła się w odpowiedzi. Od czasu zakończenia procesu nie miała ani jednej migreny. Po raz pierwszy od lat czuła się całkowicie zdrowa. Jakby przeszła przez jakiś potworny sprawdzian i zaliczyła go, a wszystkie zmory udały się na odpoczynek. Teraz była o wiele silniejsza.

— Czuję się dobrze.

Chciała podziękować Tomowi za jego dobroć podczas procesu, ale nie była pewna, jak powinna to zrobić. Starła się nie zauważać, jaki był przystojny w białych spodniach, blezerze i czerwonym krawacie. Był naprawdę atrakcyjnym mężczyzną i Marielle zaczerwieniła się nieoczekiwanie, udając, że przekłada książkę na stole.

Marielle... — wymówił jej imię.

Wiedział, że musi to powiedzieć, i nie chciał, by wyjechała z miasta, póki z nim nie porozmawia.

— Chciałbym... chciałbym zadzwonić do ciebie, kiedy będziesz w Vermont.

Marielle spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami, zdziwiona jego propozycją. Nagle przyszło jej do głowy, że może Tom reprezentuje Malcolma. Ale gdy Tom zobaczył jej spojrzenie, łagodnie dotknął jej ręki i uspokoił ją.

Nie jestem pewien, czy wyrażam się jasno... potwornie to wszystko gmatwam powiedział, nagle tak chłopięco zażenowany, że oboje poczuli się jak dzieci. — Od dawna nie mówiłem czegoś podobnego.

Od dawna nie spotkał kogoś takiego jak Marielle. Tak bardzo przypominała mu jego zmarłą żonę, a jednak była też od niej różna. Miała w sobie więcej uczciwości niż ktokolwiek, kogo znał, więcej siły, hartu ducha, możliwe, że nawet więcej dobroci. A przez ostatnie dziesięć lat nie miała zbyt wiele szczęścia w życiu. Tom wierzył, że po jej powrocie to się zmieni.

— Będziesz miała telefon w Vermont? — kluczył wokół tematu, który chciał z nią poruszyć. Nagle Marielle roześmiała się. Zrozumiała, co chciał powiedzieć, ale trudno jej było w to uwierzyć. Zawsze był taki pochłonięty pracą, daleki, a tu okazuje się, że pod tym pozornym chłodem kryły się silne uczucia.

— Sądzę, że będziemy mieć wspólną linię z sąsiadami.

— To dobrze. Więc dostarczymy im sensacyjnych wiadomości — zaśmiał się Tom. — Gdy będę do ciebie dzwonić, postaram się wymyślać naprawdę soczyste wiadomości.

Oboje zdawali sobie jednak sprawę, że przez ostatnie miesiące zdarzyło się wystarczająco dużo sensacji. Marielle miała nadzieję, że teraz jej życie będzie zwyczajne. Gawędząc z Tomem o tym, jak będzie na wsi, patrzyła na prawnika z zainteresowaniem. W Vermont miała zamiar spędzić tylko kilka miesięcy do czasu rozpoczęcia procesu Malcolma. Potem będzie musiała wrócić i znaleźć mieszkanie dla siebie i Teddy'ego. Jutro odejdzie od nich Hayerford. Kiedy wrócą, ich życie zmieni się, ale Marielle nie żałowała tego.

— Czy nie będzie za wcześnie, jeśli... — odważył się zapytać Tom, bardziej zakłopotany niż uczeń — ...kiedy wrócisz, ja... my... wyjąkał nieśmiało.

Patrzył na Marielle i nie mógł uwierzyć, że to takie trudne. Od tygodni myślał o niej w sposób, w jaki od lat nie myślał o nikim innym. Nigdy nie przypuszczał, że kiedyś będzie musiał mówić to komuś i teraz nie mógł wydusić z siebie tych słów. W końcu odetchnął głęboko, wziął Marielle za rękę i z poważnym wyrazem twarzy powiedział do niej:

— Marielle... jesteś wyjątkową kobietą. Bardzo chciałbym cię

lepiej poznać.

Nareszcie. W końcu to powiedział. Poczuł ulgę. Nawet jeśli Marielle powie mu, że nie chce go więcej widzieć, to przynajmniej dowiedziała się, jak bardzo ją lubi.

— Podziwiam cię od chwili, gdy cię zobaczyłem po raz pierwszy — dodał.

Marielle znowu zarumieniała się, czując się dziwnie słabo i bardzo młodo. A kiedy spojrzała na Toma, w jej oczach było coś, co sprawiło, że poczuł, jak ogaria go ciepło.

To zdumiewające, że obok takiego bólu..., takiej potworności... zdarzyło się tyle dobrych rzeczy — Marielle powiedziała łagodnie i z wdzięcznością za szczęście, jakiego doświadczyła.

Jeszcze raz spojrzała na Toma. Pragnęła powiedzieć mu tak wiele. Nagle rozległ się dźwięk przy drzwiach do biblioteki i jej największe szczęście pojawiło się w niebieskiej pizamce.

Teddy wpadł do pokoju z figlarnym spojrzeniem.

— Co ty tutaj robisz? — zapytała ze śmiechem.

— Nie mogłem zasnąć bez ciebie.

Wspiął się na kolana matki i popatrzył z zainteresowaniem na Toma.

Ależ mogłeś. Chrapałeś, kiedy wychodziłam.

— Wcale nie — zaprzeczył Teddy. — Udawałem.

Marielle przedstawiła mu Toma, nie wspominając, skąd go zna.

Teddy ziewnął i objął zaborczo matkę.

— Słyszałem, że jedziesz do yermont — swobodnie zagadnął Tom.

— Kiedy byłem w twoim wieku, zwykle spędzałem wakacje w Vermont — uśmiechnął się Tom do chłopca, a potem do jego matki.

Nie musiał już nic mówić. Mimo jego zażenowania Marielle doskonale zrozumiała jego zamiary i akceptowała je. Nad głową dziecka wymienili między sobą spojrzenie, które zbliżyło ich nagle do siebie.

— Miał pan kucyka? — dopytywał się Teddy.

Zainteresował go ten mężczyzna. Od dłuższego czasu nie widział swojego tatusia i czasami tęsknił za nim. A mamusia mówiła, że tata pojechał w bardzo długą podróż. Pewnie był gdzieś w Afryce albo na statku i nie mogli do niego nawet zadzwonić.

— Miałem kucyka. I krowę, którą sam musiałem doić. Jeśli przyjadę do yermont, pokażę ci, jak to się robi.

— A przyjedzie pan do yermont? — zapytał Teddy poważnie zainteresowany.

Ścisłe biorąc, Marielle była tak samo zainteresowana.

— Nie myślałem o tym — odpowiedział Tom, który planował, że zaczeka na powrót Marielle w Nowym Jorku. — Ale właściwie to nie jest zły pomysł. Zerknął na Marielle pytająco. Znowu się do siebie uśmiechnęli. Tom był szczęśliwy, że starczyło mu odwagi, żeby tu przyjść i zobaczyć się z nią przed odjazdem. W przeciwnym razie zamęczałby się przez miesiące. Teraz nie będzie musiał tego robić.

— Może będę mógł przyjechać na weekend.

Znał miły hotel w pobliżu domu, który wynajęła Marielle. Patrząc na chłopca i jego matkę, uznał, że jest to wspaniały pomysł.

— Umie pan jeszcze jeździć na koniu? — zapytał go poważnie Teddy.

— Sądzę, że tak — roześmiał się Tom.

Bo jeśli pan nie umie — zaproponował wspaniałomyślnie chłopiec — to ja pana nauczę.

Wszyscy troje roześmieli się. Potem pomaszzerowali do kuchni, by poszukać ciasteczek dla Teddego.

Hayerford udał się już do swojego pokoju. Spakował resztę swoich rzeczy i Marielle wiedziała, że było mu przykro ich opuszczać. Nie chciał jednak dalej służyć u Malcolma, a Marielle nie stać było na jego zatrudnienie. Zgodziła się wziąć pewną kwotę od Malcolma i to

było wszystko, czego od niego chciała. Teddy odziedziczył resztę majątku po Malcomie, kiedy dorosła.

Tom nalał chłopcu szklankę mleka, a Marielle znalazła ostatnie pudełko czekoladowych ciasteczek. Wreszcie wszyscy troje usiedli, rozmawiali i śmiali się, jedząc ciasteczka. Była już prawie jedenasta, gdy chłopiec w końcu poszedł na górę. Tom pomógł Marielle położyć Teddego. Potem oboje zeszli na dół i Marielle odprowadziła Toma do wyjścia.

Stał przy drzwiach i patrzył na nią długo. To była chwila, na którą tak bardzo czekał.

— Dziękuję za to, że pozwoliłaś mi spędzić dzisiaj trochę czasu z tobą — powiedział.

Pragnął dotknąć jej włosów, policzka i karku, ale wiedział, że na to było jeszcze za wcześnie.

— Cieszę się, że przyszedłeś.

Marielle nie oczekiwała, że kiedyś go jeszcze zobaczy po zakończeniu procesu, i było jej żal z tego powodu. Teraz jednak jego odwiedziny otworzyły zupełnie nowe widoki na przyszłość.

Wciąż tęskniła za Johnem Taylorem, ale wiedziała, że podjęła właściwą decyzję. Dla jego dobra. Spędzenie kilku chwil z Tomem było dla niej jak nieoczekiwany podarunek i była mu za to wdzięczna.

— Zawsze chciałam ci powiedzieć, jak bardzo podziwiałam cię w sądzie — szepnęła Marielle.

Tom jednak nie chciał, żeby myślała o procesie. Pragnął, by myślała jedynie o Vermont, szczęśliwych momentach i lecie, które miała spędzić na wsi z Teddym. Wiedział, że kiedy wróci na proces Malcolma, on będzie przy niej, by jej pomóc. Nie chciał, by ponownie przeżywała w samotności ten trudny okres; pragnął dla niej szczęścia i spokoju.

— Nie myśl o tym — powiedział cicho.

Nie mógł powstrzymać się i wyciągnął rękę, przyciągając Marielle do siebie.

— Nie myśl już więcej o tym — powtórzył.

I jej, i jego przeszłość już minęła. Pozostało za nimi zbyt wiele bólu i nieszczęść, Tom pragnął zamknąć mocno drzwi przeszłości.

— Myśl tylko o Teddym i jego kucyku.

Oboje uśmiechnęli się. Nagle, gdy tak stali blisko siebie, Tom spojrzał na Marielle poważnie.

— Będę tęsknił za tobą, kiedy będziesz w Vermont.

To było szaleństwo, ale naprawdę tak myślał. Ledwo się znali, a jednak byli sobie bliscy. Tom znał ją lepiej niż większość swoich przyjaciół, lepiej niż jakąkolwiek kobietę, z którą był związany.

I kochał wszystko, co o niej wiedział.

— Ja też będę tęsknić za tobą Marielle uśmiechnęła się do Toma, czując po raz pierwszy od wielu lat nadzieję i całkowity spokój. — Zadzwoń do ciebie.

— Najpierw ja zadzwonię do ciebie — szepnął.

Już zapisał jej numer telefonu w Vermont.

— Jedź ostrożnie — powiedział.

Przytulił Marielle do siebie i pocałował, a ona zamknęła oczy.

— Dobranoc, Marielle... do zobaczenia wkrótce...

Spojrzał na nią po raz ostatni, a potem wyszedł.

Marielle zamknęła drzwi. Zastanawiała się, jakie dziwne jest życie. Nigdy nie wiadomo, co się zdarzy. Wyobrażała sobie kiedyś tyle rzeczy, które się nie spełniły... że ona i Charles będą ze sobą na zawsze, że ich życie będzie szczęśliwe, szalone i że będą mieli mnóstwo dzieci..., że Malcolm zawsze będzie ją kochał i ochraniał... że nic strasznego im się nie przydarzy, bo był takim przyzwoitym i uczciwym człowiekiem... a potem bała się, że Teddy nigdy do niej nie wróci. Myliła się co do tego wszystkiego, a szczególnie, Bogu dzięki, co do Teddego. Był znowu w domu. Tylko on naprawdę miał dla niej znaczenie. Był świecą gwiazdką nadziei, dzięki której przeżyła. Teraz Marielle rozpoczynała nowe życie. Wszyscy odeszli. Minęły koszmary. Marzenia rozwiały się we mgle. Ona i Teddy zostali sami, ze złymi i dobrymi

wspomnieniami, i mieli przed sobą całe życie. Marielle wiedziała, że smutne przeżycia dodadzą im sił. A czas, który spędzą w Vermont, dobrze im zrobi... a kiedy wrócą do domu, zaczną wszystko od nowa... i Tom Armour będzie na nich czekał i ofiaruje im swoją uczciwość i dobroć. Może ich marzenia się spełnią, a może nie. Jednak i Marielle, i Tom mieli nadzieję, że tak się stanie. Wierzyła głęboko, że koszmary minęły bezpowrotnie. Marzyła o tylu rzeczach, a większość z nich dotyczyła Teddego.

Rano, gdy Marielle i Teddy odjeżdżali starym buickiem Malcolma, Hayerford stał na schodach i machał im ręką. Stary lokaj znał Marielle od czasu, gdy poślubiła Pattersona, a Teddy'ego od momentu jego narodzin. Teraz wyjechali naprzeciw temu, co miało im przynieść życie.

Myśląc o chłopcu, Hayerford zamknął cicho drzwi, klucz włożył do koperty, by wysłać ją do prawników. Dom był pusty, rodzina wyjechała. Zszedł po schodach i przywołał taksówkę. Miał nadzieję, że wszystko dobrze się ułoży Marielle i Teddemu, i ta myśl ucieszyła go. Dokładnie w tym samym momencie Marielle przejeżdżała przez most, a Tom Armour był w drodze do sądu, by wziąć udział w kolejnym procesie. Myślał o niej i o Teddym.

KONIEC.